



# ANNIA

GRZEGORZ KUBICKI



MACIEJ DRZEWICKI

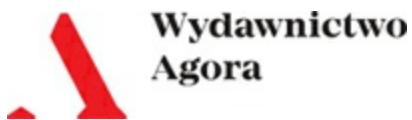
# ANIA

GRZEGORZ KUBICKI • MACIEJ DRZEWICKI

**Redakcja:** Paweł Goźliński, Paweł Sajewicz  
**Korekta:** Monika Ochnik

**Projekt graficzny okładki:** Krzysztof Rychter  
**Projekt graficzny makiety i skład:** ProDesGraf

**Fotoedycja:** Sylwia Tukendorf  
**Przygotowanie zdjęć do druku:** Małgorzata Charewicz



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa  
[www.wydawnictwoagora.pl](http://www.wydawnictwoagora.pl)

**Dyrektor wydawniczy:** Małgorzata Skowrońska  
**Redaktor naczelny:** Paweł Goźliński  
**Koordinacja projektu:** Katarzyna Kubicka

© copyright by Agora SA 2017  
© copyright by Grzegorz Kubicki 2017  
© copyright by Maciej Drzewicki 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone  
Warszawa 2017

ISBN: 978-83-268-2006-9 (epub), 978-83-268-2007-6 (mobi)



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej

fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!  
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# SPIS TREŚCI

\*\*\*

Oczy

Będzie chłopak

Mali artyści

Strach

Kieszonka

Obywatele drugiej kategorii robią ognisko

Dziewczynki, co wyście powiedziały?

Siostry

Trzy kondygnacje na własność

Cholela

Pani z peweksu trafia na scenę

Mężczyźni

Biała Naomi

Tata

Druga twarz

Chuliganka

Zalakowana

Chce iść w dorosłość? Proszę bardzo  
To jest oburzające  
Cienie, Anka, troszkę cienie  
Ranga uczelni  
A co u Marylki?  
Jak słyszę „Ania Przybylska”, to zawsze się śmieję  
Mieć to i to  
Zeszyt wydatków  
Koniec amatorki  
Chcesz srebra?  
Pewnie za grosze  
Everywoman  
Półtora roku  
Szybko, byle szybciej  
Rzecz kobieca  
Jak mam mu to powiedzieć?  
Weź coś zrób  
Czas  
Macierzyństwo  
Sny  
Nudne życie  
Nie będziemy grały

Sprawy ważniejsze

Nienauczalne

Nigdy więcej!

Ania

Drogie życie nasze

Teletubisie mówią pa, pa

„Oj, jakaś niesympatyczna pani”

Przybylską słyszeć z daleka

Odpinamy nartę

Zameżna

Jeden dzień, dwie serie

Żwirek

Jak pięknie być sobą

Latynoska

Ritz

Blask

Gdzie jest moje auto?

Gdzie jest Woody Allen?

Dziewczyna i chłopak

Łódzki spleen

Koniec „Złotopolskich”

Guma

Uciezki

Pierogi

Kulturalna i taktowny

Jak ci było ze mną w łóżku

Boję się

Dom

Normalnie

Miejsca

„Anka, ładuj, hamuj! Do domu wracasz!”

Nowy początek

Tylko z ukochanym reżyserem

Niesprawiedliwe

Nowy gracz

Mamo, Ania była u lekarza...

Jak najbliżej domu

Czysta sytuacja

Polowanie

Jesteś diabłem

Najpiękniejszy

Pozdrawiam z zaświatów

New York, New York

Jak tylko wyzdrowieję...



Na kawie z Panem Bogiem

Nie będzie

Jakim człowiekiem trzeba być

15.18

Dzięki, że byłeś

Róże

Autorzy zdjęć

Przypisy



Kochać własne dziecko to naturalne, choć przecież nie zawsze proste. Patrząc, jak w dziecku zakochuje się świat – to dziwne, bardzo dziwne uczucie. Ale Ania nie była gwiazdą. Nie dla mnie, nie dla jej najbliższych. Zresztą ona sama też nie mówiła „robię karierę”. Raczej – „spełniam marzenia”. Zawsze była po prostu Anią – siostrą, przyjaciółką, mamą, kochaną córeczką.

Chciałabym, żeby tę zwyczajnie niezwykłą Anię dostrzegli ci, którzy do tej pory znali ją tylko z jej ról i tego, co pisały o niej media. Żeby właśnie taką Anię – dziewczynę, której udało się spełnić dziecięce marzenie – widziały jej dzieci, moje ukochane wnuki.

Czytam stronę po stronie. Uśmiecham się, złośćczę, płaczę. W końcu zamykam książkę i jedno mogę Wam powiedzieć: oto jest Ania.

Krystyna Przybylska, mama Ani

# Oczy

Piąta minuta filmu, słysząc dzwonek domofonu. Ktoś dobija się natarczywie.

– To dom państwa Rosnerów? – pyta charakterystyczny zachrypnięty głos.

– Hm.

– To ja.

– Kto?

– Suczka. Kocham pani męża.

– Która to godzina?

– Piąta.

– Boże, piąta. Więc co?

– Kocham go.

Najpierw widać plecy: bordowy sweter, czarny plecak, na głowie czarna wełniana czapka. Kamera przesuwa się w kierunku twarzy, po drodze rzuca się w oczy dziwny srebrny kolczyk. I w końcu są – wielkie ciemne oczy, wydatne usta, zgrabny nos.

Agnieszka Wagner, filmowa Ewa Rosner, stoi w piżamie przy drzwiach. – Nie ma męża – mówi zaspana.

Anna Przybylska, filmowa Suczka: – Wiem. Dlatego przyjechałam.

– To było jej pierwsze ujęcie – opowiada Radosław Piwowarski, reżyser i scenarzysta *Ciemnej strony Wenus*. – Kręciliśmy je pod Warszawą, przed wynajętą willą w Zalesiu Górnym. Ania stała przed furtką w czapce, z tymi wielkimi ustami. Na nogach miała martensy. No i oczy. Dokoła trzydzieści osób, kamery, a te oczy dosłownie płoną. Dla tej jednej sceny, dla tego ujęcia warto było zrobić cały ten film. Dla momentu, kiedy kamera zagląda w te jej wielkie gały.



*Ciemna strona Wenus. Pierwszy kadr w karierze Ani*

•

14 miesięcy wcześniej dwuletnia fioletowa corsa, która na co dzień rzuca się w oczy na ulicach Gdyni, pędzi trasą z Trójmiasta do Warszawy. Prowadzi Małgorzata Rudowska, później menedżerka i przede wszystkim przyjaciółka Ani Przybylskiej. Ania siedzi na tylnej kanapie. Ma siedemnaście lat. Obok – w nosidełku-foteliku – siedmiotygodniowy Marcel, syn Rudowskiej. Chory, na antybiotyku. Co jakiś czas postój, bo Gosia musi nakarmić małego piersią.

Jest czerwiec 1996 roku. Małgosia Rudowska prowadzi agencję modelek i hostess. Niedawno dostała informację o castingu do *Ciemnej strony Wenus*. To będzie nowy film Radosława Piwowarskiego, reżysera legendarnego *Yesterday* (1984) o młodych chłopakach z prowincjonalnego miasteczka, którzy dorastają, zakochują się, buntują, przeżywają pierwsze rozczarowania z muzyką Beatlesów w tle.

„To miał być film o przyjaźni i wolności – opowiadał Piwowarski w jednym z wywiadów. – Bo to, co się działo w Polsce w latach 80. i później, miało korzenie w Beatlesach. To wszystko zaczęło się od Beatlesów i Rolling Stonesów. Od tego, że muzyka była wolna i można grać, co się chce. Że nie potrzeba orkiestry, tylko gitary i garki. Jak jeździłem później z *Yesterday* po świecie, to na każdym spotkaniu znalazł się ktoś, kto mówił – to jest film o mnie!”<sup>[1]</sup>.

Jeśli jakimś cudem ktoś przeoczył głośny debiut Piwowarskiego, na pewno oglądał *Pociąg do Hollywood*, nieco surrealistyczną komedię o Merlin Wafelek (brawurowa Katarzyna Figura), która chce zostać gwiazdą filmową, choć na razie jest bufetową w Warsie. Ale nawet nie chodząc do kina, trudno nie znać Piwowarskiego. Przecież to on wyreżyserował serial o poszukującym prawdziwej miłości Janie Serce (niezapomniana rola Kazimierza Kaczora). Tak, znają go wszyscy. Prawie, bo Ani nazwisko reżysera ledwo obito się o uszy. Wie za to, że do nowego filmu szuka młodej, atrakcyjnej dziewczyny, która ma zagrać rozbijającą małżeństwo nastoletnią *femme fatale*. I kiedy słyszy o castingu od Małgosi Rudowskiej, koniecznie chce spróbować zdobyć

tę rolę. Jedzie jednak do stolicy przede wszystkim po to, żeby zobaczyć, jak to jest na prawdziwych castingach w „wielkiej Warszawie”. Traktuje wyjazd jak przygodę. Żadnych aktorskich korepetycji, żadnych przygotowań. Jest zielona jak szczypiorek (którym wkrótce zostanie). Wie, gdzie i o której trzeba się stawić. To musi wystarczyć.

Dlaczego spośród dziewczyn ze swojej agencji Małgosia Rudowska zabiera właśnie ją?

– Kiedyś powiedziała mi, że chce być aktorką. A potem w kółko to powtarzała – tłumaczy dziś Gosia. – Ona była inna niż dziewczyny, które wysyłałam na wybiegi albo na promocje do supermarketów. Już kiedy zobaczyłam Anię po raz pierwszy, wiedziałam, że coś z niej będzie. Coś więcej, choć jeszcze nie wiedziałam co. Uroda? Niesamowite oczy, w których można się było utopić? Jasne. Ale jeszcze kontrastujący z tą urodą głos, taki nietypowy, wibrujący, nawet zbyt niski. Przecież taki głos powinien jej przeszkadzać, przecież nie pasuje do jej twarzy zbuntowanego anioła. A jednak u niej to wszystko grało. Najpierw hipnotyzowały cię oczy, potem zaskakiwał głos. Nie sposób było nie zwrócić na nią uwagi. Nie sposób było o niej zapomnieć. Tylko że wtedy Anka nie miała jeszcze o tym pojęcia.

Przesłuchanie odbywa się w wytwórni filmowej na Chełmskiej. Może to nie studia Warner Bros. ani Cinecittà, ale to tu powstawały wielkie filmy Andrzeja Wajdy, Jerzego Antczaka, Krzysztofa Zanussiego, Krzysztofa Kieślowskiego i Jerzego Hoffmana.

Ania wchodzi sama. Gosia idzie na spacer z dzieckiem. Ale nie za daleko. Nie mają komórek, nie mogą do siebie zadzwonić ani napisać SMS-a. Kiedy Rudowska robi kolejne okrążenie z wózkiem, na chodnik wybiega Ania. „Tam są same top modelki!” – krzyczy. Zaczyna wymieniać nazwiska, wymiary. Kogo rozpoznała albo przynajmniej wydaje się jej, że rozpoznała. Mówi, że są też inne dziewczyny z Trójmiasta. I że wszystkie są piękne. „Gosia, nie mam szans, tam ich jest ze sto pięćdziesiąt!” – powtarza. Rudowska stara się ją uspokoić, żeby tym krzykiem nie obudziła Marcela, który właśnie zasnął w wózku. Ale tak naprawdę też jest przerażona. Jakie aktorstwo? Przecież to nie jej świat. Nawet agencja modelek nie jest jej światem. Ona tylko studiuje zarządzanie na Uniwersytecie Gdańskim i chce sobie dorobić, żeby mieć za co tankować swoją corseę.





Ania podczas jednego z pokazów kinowych *Ciemnej strony Wenus*. Rok 1997

Przybylska wybiega na Chełmską z tekstem, który dostała do nauczenia. Po latach wspomina, że był to... monolog o orgazmach<sup>[2]</sup>, który wcale nie pojawi się w filmie. Znow się na chwilę rozdzielają. Gosia siedzi w samochodzie i karmi piersią małego, a Ania na ławce uczy się tekstu. Ale co chwilę przybiega i powtarza, że to bez sensu. Że tamte są piękne, a ona... Ale kiedy wraca na casting, by zagrać to, czego się nauczyła, Radosław Piwowski nie może od niej oderwać oczu.

Gosia: – Podobno dopytywał: „Kto to jest? Skąd ona się wzięła?” Tak mi to potem opowiadała Ania.

– Pojawiło się wtedy ze sto pięćdziesiąt pięknych dziewczyn z całej Polski – wspomina po latach Radosław Piwowski. – Modelki, aktorki i raptem wchodzi taka... ktoś zupełnie inny. Włosy obcięte na trzy centymetry, wielkie usta, ogromne wystraszone oczy. No, kosmita! To nie był człowiek w ogóle!

Krótkie oczekiwanie na werdykt i informacja: Ania przechodzi do kolejnego etapu.

– Zareagowałyśmy jak zawsze w takich sytuacjach: gdy się z czegoś cieszyłyśmy, to cała okolica słyszała – śmieje się Gosia Rudowska.

Ale o rolę wciąż walczy z Anią kilkanaście kandydatek. Wszystkie dostają do wykucia nowy tekst. Tym razem dłuższy. Mają też trochę więcej czasu na przygotowania. Kolejne przesłuchania zaplanowano na popołudnie, więc Ania i Gosia znow wsiadają do corsy. Ania odwiedza najpierw ciotkę na Sadybie, potem jadą z Gosią do agencji, która powiadomiła Rudowską o castingu do *Ciemnej strony Wenus*. Chcą podziękować i pochwalić się drugim etapem. Ale w agencji wcale nie jest miło. Zero entuzjazmu, drobne przycinki. Nagle jedna z dziewczyn z agencji, w chwili gdy zebrało się jej na żarty z Ani i jej „sukcesu”, spada z krzesła. Ania z Gosią nie wytrzymują. Wybuchają głośnym śmiechem. Śmieją się długo, wyzwalająco. Schodzi z nich całe zgromadzone od rana napięcie. W końcu robi im się jednak głupio – „one dają nam informację o castingu, a my, zamiast dziękować, śmiejemy się z anorektycznej chudziny, która nie może się podnieść

z podłogi?”

– Na długo zapamiętałyśmy tę scenę – wspomina Gosia. – I za każdym razem, kiedy przypominałyśmy ją sobie, nie byłyśmy w stanie powstrzymać śmiechu.

Trzy godziny później Ania znów stoi przed Piwowarskim i jego ekipą. Nie ma pojęcia, że jest jedną z faworytek do roli Suczki. Nie wie też, że największa przygoda jej życia właściwie już się zaczęła.

Chwilę po tym, jak Ania wychodzi z drugiego etapu castingu, fioletowa corsa rusza w drogę powrotną do Trójmiasta. „Z filmu” mają się odezwać. Ale Ania nie wierzy, że coś z tego będzie. Mimo to jest szczęśliwa. Zrobiła pierwszy krok, by zrealizować swoje marzenie.

# Będzie chłopak

Waga: 3350 gramów, wzrost: 53 centymetry. Krystyna Przybylska wspomina córkę chwilę po urodzeniu: – Długie ciemne włosy, cyganka taka.

Duże oczy?

– Nie, oczka – nie oczy. Dopiero gdzieś tak po siedmiu-ośmiu miesiącach było widać, że robią się coraz większe i większe.

•

Jest rok 1978. W październiku papieżem zostaje Karol Wojtyła, kilka miesięcy wcześniej na mundialu w Argentynie Polska zajmuje 5.-6. miejsce, co zostaje uznane za porażkę. W kinach można oglądać musical *Halo, Szpicbródka, czyli ostatni występ króla kasiarzy* z Piotrem Fronczewskim w roli tytułowej, ale też ważne filmy kina moralnego niepokoju: *Bez znieczulenia* Andrzeja Wajdy, *Wodzireja* Feliksa Falka i *Spiralę* Krzysztofa Zanussiego, w której jedną ze swoich pierwszych ról zagrał Paweł Wawrzecki, później jeden z najbliższych przyjaciół aktorów Ani. A także Ewa Ziętek, serialowa żona Wawrzeckiego ze *Złotopolskich*.

W kraju to już „schyłkowy Gierek”. Wprawdzie telewizja karmi społeczeństwo propagandowymi sukcesami – a to rusza produkcja poloneza, a to Mirosław Hermaszewski leci w kosmos, a to rodzi się 35-milionowy obywatel – ale do drzwi polskich mieszkań puka kryzys. Dwa lata wcześniej podczas strajków w Ursusie i Radomiu władza pokazała prawdziwą – brutalną – twarz. W Gdańsku już działają wolne związki zawodowe, za dwa lata wybuchnie strajk w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, który zmieni historię Polski i świata. Ale na razie...



Krystyna i Bogdan Przybylscy z córeczkami. Impreza rodzinna w Jednostce Wojskowej 2035 w Gdyni-Demptowie. Rok 1979

Rodzina Przybylskich zajmuje trypokojowe mieszkanie przy ulicy Bosmańskiej na Oksywiu, północnej, „wojskowej” dzielnicy Gdyni – tu mają siedziby dowództwa jednostek wojskowych, Akademia Marynarki Wojennej, tu w ostatnich latach powstają wojskowe osiedla. Czterdzieści siedem metrów kwadratowych na trzecim piętrze, z balkonem, typowe mieszkanie kwaterunkowe w czteropiętrowym bloku z wielkiej płyty. Osiedle jak na ówczesne standardy całkiem nowoczesne. Blok nie jest zbyt duży – ma tylko cztery klatki schodowe. W tym czasie w Gdańsku rosną gigantyczne falowce – najdłuższy ma osiemset pięćdziesiąt metrów i dziesięć pięter – w których upakowani w niewielkich

mieszkaniach żyją między innymi stoczniowcy i ich rodziny.

Bogdan Przybylski jest kapitanem Marynarki Wojennej, jego żona Krystyna pracuje w kancelarii innej gdyńskiej jednostki.

Ojciec Ani właściwie miał być lekarzem. O tym marzył w młodości w wielkopolskim Kiełczewie pod Kościanem. Po maturze pracował nawet w laboratorium medycznym, zdawał na studia. Nie dostał się jednak. Zabrakło kilku punktów. Trzeba było podjąć decyzję, co robić z życiem. Wielu młodych w tamtym czasie decydowało się na przenosiny z małych miasteczek do wielkich miast, szukało tam kotwic. Tą samą drogą podążył Przybylski. Postawił na wojsko. Pomógł admirał Kazimierz Bosy, wówczas dowódca 8. Flotylli Obrony Wybrzeża, który też pochodził z okolic Kościana. W 1966 roku ściągnął krajana do marynarki i wsparł na starcie. W latach 60., gdy na mieszkanie czekało się latami, młodzi ludzie wybierali karierę w wojsku, bo kusiła ich wizja własnego M. Jako zawodowy żołnierz Przybylski otrzymał przydział na służbowe mieszkanie – na Płycie Redłowskiej, w pięknym nadmorskim zakątku położonym w pobliżu charakterystycznego klifu, który można zobaczyć na niemal wszystkich pocztówkach z Gdyni. To zawsze będzie jedno z ukochanych miejsc Ani. Stamtąd Przybylscy przenieśli się na Oksywie, na Bosmańską. To drugi koniec Gdyni, choć też blisko morza.

Jako chorąży Bogdan Przybylski idzie na studia – najpierw inżynierskie w Wyższej Szkole Marynarki Wojennej (dziś to Akademia Marynarki Wojennej), następnie magisterskie na Akademii Politycznej. Potem kończy jeszcze szkołę kwatermistrzowską.

Bogdan poznaje Krystynę w 1972 roku na pokładzie wojskowego kutra Bryza, który dziś leży na dnie Zatoki Puckiej naprzeciwko Helu i jest podwodną atrakcją dla nurków. Ale w latach 70. ubiegłego wieku Bryza pływa między Gdynią a Helem, wożąc wojskową pocztę i żołnierzy na ich okręty oraz do pracy na lądzie. Bogdan pracuje wtedy w Helu, w sztabie trałowców, często więc pływa Bryzą. Tak jak dziesięć lat od niego młodsza, dwudziestoletnia Krystyna, która podróżuje z ojcem prowadzącym na Helu ośrodek wczasowy. Skończyła niedawno technikum gastronomiczne, więc mu pomaga.

To musi być uczucie od pierwszego wejrzenia, skoro młodzi pobierają się już pół roku później.

– Przystojny, trudno go było nie zauważyć – uśmiecha się pani Krystyna. – Też musiałam mieć coś w sobie, skoro wpadłam mu w oko.

Po dwóch latach na świat przychodzi Agnieszka. W 1978 roku ma cztery lata, a Przybylscy spodziewają się kolejnego dziecka.

Krystyna jest przekonana, że tym razem będzie to chłopiec. Nawet wybiera mu imię – Łukasz. Przekomarzają się z kuzynką z Krakowa, która również jest w ciąży i też zakłada, że będzie miała Łukasza. Przepowiada Krystynie, że urodzi córeczkę – Karolinę. Ale Krystyna nie wierzy. Po kilku miesiącach okaże się jednak, że to kuzynka miała rację.

Termin porodu przypada na koniec roku. Krystyna nie jest już w stanie sama przygotować Wigilii. Przybylscy spędzają część świąt u jej mamy. Wieczorem 25 grudnia wracają do siebie, a już po kilku godzinach rozpoczyna się akcja porodowa. Umówili się z sąsiadką z pierwszego piętra, Elżbietą Janowską, że w takim wypadku zaopiekuje się małą Agnieszka. Z Ela i jej mężem – też wojskowym – Przybylscy poznali się dwa lata wcześniej przy odbiorze kluczy do mieszkań i zaprzyjaźnili.

– Jak coś chcieliśmy od siebie, wystarczyło w kaloryfer zapukać – opowiada dzisiaj ze śmiechem Janowska, matka chrzestna Ani Przybylskiej. Ojcem chrzestnym został jej tata.

– Niedługo po północy słyszę rumor na schodach – wspomina Ela. – Za chwilę otwierają się drzwi i staje w nich Bogdan z zaspaną, opatuloną w kołdrę Agnieszka na rękach. Nic nie musiał mówić. Zabrałam Agnieszkę, a Bogdan poleciał do góry, żeby sprowadzić Krysie do samochodu.

Do szpitala jadą wojskową karetką. Krystyna do końca przekonuje męża, że „to musi być chłopak”

Lekarz w karetce nie wierzy: – Panie kapitanie – mówi. – Przyrzekam, że jeżeli urodzi się panu syn, to idziemy na dobrą wódkę.

Opowiada, że jak długo jeździ karetką z ciężarnymi, jeszcze mu się nie zdarzyło, żeby urodził się chłopak.



Ślub Krystyny i Bogdana Przybylskich, rok 1972

Na narodziny nowego członka rodziny czekają też krewni Przybylskich z Kiełczewa pod Kościanem – miejscowość, z której pochodzi Bogdan, za kilka lat stanie się bardzo ważna dla Agnieszki i Ani. W nocy z 25 na 26 grudnia, około pierwszej w kiełczewskim domu od zapalonych na choince świeczek zajmuje się firanka. Na szczęście nie wszyscy jeszcze śpią. Pożar udaje się szybko ugasić. – To pewnie jakiś znak z Gdyni – spokojnie oznajmia Zofia, mama Bogdana.

Nie pierwszy i nie ostatni raz okaże się, że ma rację.

W tym czasie Przybylscy docierają do szpitala. Akcja porodowa jest szybka. Dziecko przychodzi na świat o trzeciej dwadzieścia.

Bogdan nad ranem wraca do domu.

– Piąta rano, a nas zrywa z łóżka pukanie do drzwi – wspomina Ela Janowska. – Otwieram, a tam Boguś, cały szczęśliwy, bo na punkcie dzieci zawsze wariował. Trzyma w ręku butelkę wódki i krzyczy: „Jest,

jest, córa!” „Boguś, litości. Nie teraz, przyjdź na śniadanie, na dziewiątą.” No i przy tym śniadaniu zaczęliśmy świętować.

Świętowano również w Kiełczewie.

– Od samego rana dobijał się do nas sąsiad, który jako jedyny w okolicy miał telefon – wspomina Małgorzata Hofman, kuzynka Ani z Kiełczewa. – Gdy w końcu mu otworzyliśmy, oznajmił radośnie: „Bogdan dzwonił, że o trzeciej urodziła się Karolina!” Babcia cieszyła się z nowej wnuczki, ale nie podobało jej się to imię. „Karolina dupę wypina” – skomentowała, jak to ona.

Dziś nie wiadomo już, skąd w ogóle wziął się pomysł na Karolinę. Pewnie dlatego, że akurat „szał był” na to imię. Ale nie mniej popularne było wtedy babcine powiedzenie. Do domu Przybylskich w Gdyni przyniosła je z przedszkola czteroletnia Agnieszka. Zanosila się przy tym płaczem i mówiła, że nie chce, żeby jej siostra tak się nazywała.

Ale skoro nie Karolina, to jak? Zdecydowała o tym Agnieszka. Akurat słuchała na okrągło przeboju Czerwonych Gitar *Anna Maria*. Więc będzie Ania...

W tamtych latach to był standard: młode matki pozostają w szpitalu po porodzie całe pięć dni. Krystyna z Anią wraca więc na Bosmańską w sylwestra – akurat pierwszego dnia frontalnego ataku zimy, która potem zmieni się w zimę stulecia. Temperatura spada do minus dwudziestu pięciu stopni, szaleją wichury, a na morzu sztorm osiąga nawet osiem stopni w skali Beauforta. W sylwestrową noc spada piętnaście centymetrów śniegu, potem rosną coraz wyższe zaspasy. Najwyższe są na Wybrzeżu, więc łatwo zakopać się, nawet jeżdżąc miejskimi ulicami. Ponure wrażenie potęgują szczelnie okutani nieliczni przechodnie, z trudem torujący sobie drogę przez zaśnieżone chodniki, bo przecież taka zima musiała tradycyjnie zaskoczyć drogowców.

Przybylscy jadą do domu wojskowym gazikiem załatwionym przez męża, ale Krystyna i tak ma duszę na ramieniu. Bloki z wielkiej płyty i w normalnych warunkach niezbyt dobrze trzymają ciepło, co dopiero przy tęgich mrozach. Ale Bogdan Przybylski po raz kolejny zdał egzamin z zaradności. W mieszkaniu wszystkie okna są uszczelnione, pozaklejane na wszelki wypadek szerokim medycznym plastrem. Pod nimi stoją dwa przenośne grzejniki elektryczne.



•

Pierwsza myśl po powrocie? „Matko Boska, co teraz?” Ania krzyczy i krzyczy, nie bardzo wiadomo, co robić. Dopiero wieczorem przychodzi matka Krystyny i tłumaczy: „Dziecko, masz słaby pokarm, ona chce jeść”. Jakoś ten wieczór i kolejny dzień – Nowy Rok – jeszcze przetrzymują, ale drugiego stycznia z samego rana Bogdan biegnie do sklepu po mleko. Na szczęście jest – trzeba tylko odpowiednio wcześnie wstać.

Bogdan już o szóstej rano czeka pod sklepem. Kupuje mleko, ale w domu okazuje się, że to sopel w butelce. Szkło trzeba stłuc, mleko młoda mama wstawia do garnka i włącza kuchenkę, żeby się roztopiło. Przybyłscy muszą tak robić przez całą zimę. Potem to przegotowane mleko przesączają przez dwa bandaże, tak na wszelki wypadek. Ale co robić? Ania jest nieustannie głodna.

## Mali artyści

Cała klatka schodowa bloku na Bosmańskiej wie, kiedy Ania wraca z zerówki. „Pojawiasz się i znikasz, mam na twym punkcie bzika” – śpiewa codziennie swoim charakterystycznym głosem refren piosenki Bajmu *Józek, nie daruję ci tej nocy*. Piosenka pierwotnie nosiła tytuł *Wojtek nie daruje ci tej nocy* i traktowana była jako protest song przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Kiedy publiczność śpiewała ją na koncercie w Warszawie w „pierwotnej” wersji, Bajm dostał zakaz koncertowania w stolicy. Na dwa lata. Ale Ania oczywiście nie ma o tym pojęcia. Zresztą to już koniec lat osiemdziesiątych, przestano już nawet zagłuszać radio Wolna Europa. Ania śpiewa na cały regulator, strasznie przy tym fałszując. W ogóle jej to nie przeszkadza.

•

Kiedy Ania ma półtora roku, trafia do żłobka. Krystynie Przybylskiej kończy się najpierw macierzyński, potem zwykły urlop. Przybylscy martwią się, bo ich starsza córka dużo w żłobku chorowała. Ania też ciągle łapie infekcje i przeziębienia. Po niespełna pół roku rodzice uznają, że mała się do żłobka nie nadaje. Zaopiekuje się nią polecona przez znajomych pani Gienia. Przychodzi rano na Bosmańską albo Przybylscy przed pracą odprowadzają do niej dziecko. Na szczęście Ania nie marudzi na wczesne wstawanie. Śpi bardzo dobrze, ale gdy trzeba wstać, po prostu podnosi się z łóżeczka i jest gotowa do wyjścia.

Mała nie sprawia większych problemów. Tylko energia ją rozsadza.

Idzie do przedszkola na Oksywiu, gdy ma trzy lata. Najbardziej lubi tańczyć i śpiewać. W domu do dziś wspominają jej popisowy numer: piosenkę o szarlotce, czyli *U babci jest słodko* Wandy Chotomskiej.

*Kiedy tata basem huknie,  
kiedy mama cię ofuknie,  
kiedy patrzę na człowieka okiem złym;  
to do kogo człowiek stuka,  
gdzie azylu sobie szuka,  
to do kogo, to do kogo tak jak w dym?  
U babci jest słodko,  
świat pachnie szarlotką.  
No proszę, zjedz jeszcze żdziebełko  
i głowa do góry!  
Odpędzę te chmury  
i niebo odkurzę miotełką...*

Mała Ania nie wstydzi się publiczności, śpiewa odważnie. Uwielbia występować. Wyprasza u taty, żeby ją zapisał do osiedlowego zespołu Jantarki. To gdyńska wersja popularnej wówczas w Polsce Gawędy.

Do Jantarków Ania trafia razem z Agnieszką. Starsza siostra chodzi jednak na próby bez przekonania. W latach osiemdziesiątych grupa tego typu to całkiem poważne przedsięwzięcie. Równoległe do boomu rockowego, z Maanamem i Republiką na sztandarach, w Polsce wybucha bowiem inny fenomen: piosenka dziecięca. W 1982 roku w telewizyjnej Jedynce startuje *Tik-tak*. Z początku kukiełkowy program dla dzieci utrzyma się na antenie siedemnaście lat, a gdy pojawią się w nim aktorzy i młodzi wykonawcy, zrobi się tak barwny i przebojowy jak żaden inny w rodzimej TV. Muzykę do *Tik-taka* pisze Krzysztof Marzec z nowofalowej, jak najbardziej dorosłej grupy ZOO. Pomysłodawcami całego zamieszania są zaś twórcy dziecięcego zespołu Fasolki.



Występ Ani w pelerynie zrobionej własnoręcznie przez babcię Zosię z Kiełczewa na komunię Agnieszki

Popularność programu jest tak duża, że szybko wyrasta z niego, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, całe uniwersum: kolejne audycje, *spin-offy*, *crossovery*... Kolejne dzieciaki dostają szansę debiutu przed kamerą, ćwiczą ruch sceniczny, umiejętności wokalne. Swoje kariery zaczną w ten sposób niewiele młodsze od Ani Monika Mrozowska czy Iza Miko, a potem między innymi Joanna Jabłczyńska. Jednocześnie status nastoletnich idoli uzyskują muzycy Papa Dance i Krzysztof Antkowiak. Polski show-biznes w wydaniu późnego PRL-u wyraźnie próbuje gonić Zachód. W medialnym obiegu jest coraz więcej miejsca na to, co młodzieżowe i energetyczne, więc nawet osiedlowa grupa daje szansę zaznać wielkiego świata, na przykład zwiedzając inne kraje. Gdyńskie Jantarki występują między innymi w Jugosławii. Niestety, próby z siostrami Przybylskimi nie trwają długo. Zespół rozpada się kilka miesięcy po tym, jak dołączają do niego Agnieszka i Ania. Do występu Przybylskich z Jantarkami nie dochodzi. Kariera Ani będzie przebiegała innymi ścieżkami.



Ania przed pierwszą komunią z rodziną przed blokiem na Bosmańskiej. Obok Ani o dwa lata młodszy kuzyn Paweł

Pierwsze zabawy z muzyką Ania zawdzięcza też dwa lata młodszemu kuzynowi Pawłowi Tambergowi (siostrzeńcowi Krystyny Przybylskiej), który już w dorosłym życiu stanie się jednym z jej najbliższych przyjaciół. Paweł jako kilkulatek dostaje od rodziców keyboard. Anię fascynuje ten instrument. Podczas niedzielnych popołudni w domu Pawła dzieci próbują grywać na cztery ręce, choć pierwsze próby nie wypadają najlepiej. Zawsze kończą się awanturą. „Paweł, przestań. Mamo, Paweł się wtrąca” – Ania denerwuje się na młodszego kuzyna. Ale przychodzi kolejna niedziela i dzieci znów wspólnie siadają do klawiszy.

W dużym pokoju na Bosmańskiej stoi telewizor marki Beryl 102 – podarunek od babci. Babcia daje im swój własny, bo Przybylskich

wtedy jeszcze nie stać, a według niej wnuczki powinny móc oglądać bajki w telewizji.

Cała telewizja to wówczas dwa programy, nadawane zresztą nie przez całą dobę (Dwójka w dni powszednie zaczyna po południu). Bajek jest mało, może właśnie dlatego dzieci tak na nie czekają. Niedzielne *Teleranki*, a potem – w porze rodzinnego obiadu – bajki Disneya albo występy dziecięcego zespołu Gawęda. Dziewczynki po epizodzie w Jantarkach z zazdrością patrzą na małych artystów.

Ania lubi *Przyjaciela wesołego diabła*, *Akademię pana Kleksa* – tak jak chyba wszyscy jej rówieśnicy. Uwielbia niedzielne telewizyjne widowiska dla dzieci, na przykład *Balladę o Kasi i drzewie* Andrzeja Maleszki o Jędrku, który wyciął na pniu starego dębu serce z inicjałami ukochanej Kasi. Stary Dąb za karę zamienia go w pień. Kasia opiekuje się drzewem-chłopcem, ale zły Krawiec chce je wyciąć. Kasia musi ocalić drzewo i Jędrka zarazem.

Kiedy na podwórku dzieciaki odgrywają sceny z przedstawienia, Ania jest oczywiście Kasią. W telewizyjnej wersji tę rolę grała dziewczynka, która za kilkanaście lat zostanie najbliższą przyjaciółką Ani – Kasia Bujakiewicz.

Ania kocha również łyżwiarstwo figurowe. Sama też całkiem nieźle radzi sobie na łyżwach. Ale już wtedy marzy o aktorstwie. Mówi o tym najpierw starszej siostrze, kiedy w niedzielę oglądają bajki Disneya.

Wkrótce będzie opowiadać całej rodzinie.

# Strach

Ania ma trzy lata. Po jednym z weekendowych wypadów do dziadków Przybylscy wracają z Kiełczewa do domu. W samochodzie Ania źle się czuje, zaczyna wymiotować. Mama przebiera ją w czyste rzeczy. Czuje, że dziecko jest bardzo gorące, na pewno ma wysoką temperaturę. To nie XXI wiek, nie ma telefonów komórkowych ani porad na każdy temat w internecie. Przerażeni rodzice dojeżdżają z dziećmi do Bydgoszczy i pędzą po pomoc do najbliższej jednostki wojskowej. Mają trochę szczęścia, akurat trafiają tam na lekarza. Ale i pecha, bo okazuje się ginekologiem. Bada Anię i stwierdza, że „jego zdaniem to wygląda na wyrostek”. Każe jechać do szpitala.

Na ulicy udaje się Przybylskiemu zatrzymać radiowóz. Milicjanci na sygnale pilotują rodzinę. W szpitalu natychmiast badania i szybka decyzja: „Na stół”.

Początkowo rodzice postanawiają, że Bogdan ruszy ze starszą córką w dalszą podróż do Gdyni, a Krystyna zostanie z Anią. Ale lekarze odradzają. Dziecko musi przenoć w szpitalu. W tamtych czasach nie było przyjęte, by rodzice zostawali z dziećmi – nie ma dodatkowych łóżek, w zasadzie żadnych warunków do tego, by matka mogła zostać z dzieckiem na oddziale. Lekarze gwarantują za to, że Krystyna będzie mogła odwiedzić córkę dzień po operacji. Przybylscy zostawiają więc Anię i ruszają, wciąż mocno przerażeni, w dalszą podróż do Gdyni. Wieczorem z domu Przybylska dzwoni do szpitala, nerwowo pytając o stan córki.

– Już po wszystkim – mówi spokojnym głosem pielęgniarka. – Operacja się udała. Tylko nie uwierzy pani, co pani córka zjadła... Fasolkę po bretońsku.

Ania leżała w sali szpitalnej z chłopcem mniej więcej w jej wieku. Po operacji nie wolno jej było jeść. Ale on dostał swoją porcję fasolki po bretońsku. Nie zjadł jej jednak i zasnął. A skoro zasnął, Ania zabrała mu jego obiad i spałaszowała. Pielęgniarki były przerażone. Na szczęście



fasolka nie zaszkodziła Ani. Mała po ucztce spokojnie zasnęła.

Kiedy Krystyna następnego dnia zjawia się w szpitalu, słyszy: – Żeby pani widziała, jaka ona była szczęśliwa, gdy się najadła.

•

Ania ma cztery latka. W kuchni na obudowie zlewu stoi szklanka z gorącą herbatą. Ania chce sięgnąć do szafki nad zlewem po kubek. Potrąca szklanke. Wrzątek leje się jej na nóżkę.



Zima 1983 roku, przedszkolne zabawy. Z lewej Ania



Zakończenie zerówki w przedszkolu. Kto rozpozna Anię? Tak, tak – to siódme dziecko od lewej

– Usłyszałam wrzask Ani, wbiegłam do kuchni i zobaczyłam, co się stało – wspomina Krystyna Przybylska. – Na szczęście wiedziałam, co robić. Wcześniej, kiedy córka sąsiadki wylała na siebie gorącą kaszkę, poleciałam na pomoc. I zostało mi w pamięci, że zanim cokolwiek się zrobi, zanim się trafi do lekarza, trzeba natychmiast włożyć oparzone miejsce pod zimną wodę.

Mama chwytła Anię na ręce i biegnie do łazienki, wkłada ją do wanny. Gdy zaczyna zdejmować córce elastyczne rajstopki, z prawej, oparzonej nóżki schodzą razem ze skórą. Poparzone jest całe podudzie – od kolana do stopy.

Trzeba jak najszybciej jechać na pogotowie. Pomaga sąsiad z góry.

Ani na zawsze pozostanie po oparzeniu ślad na prawej nodze. Ale dzięki balsamowi Szostakowskiego, którym lekarze na pogotowiu kazali go smarować, na szczęście niewielki.

•

Ania ma pięć, góra sześć lat. Do Przybylskich przyjeżdżają w gości krewni z Krakowa. Duże zamieszanie, rodzinny obiad. W końcu ktoś zauważa, że mała zniknęła. Początkowo jest jeszcze spokojnie – pewnie wyszła na podwórko. Zaczyna być poważnie, gdy okazuje się, że tam też jej nie ma.

Dorośli stoją już dłuższą chwilę skonsternowani pod blokiem, gdy nagle dostrzegają Anię na rękach obcego mężczyzny. Idzie w ich stronę, a im wszystkim serca skaczą do gardeł, bo biała sukienka dziewczynki robi się coraz bardziej czerwona, a z główki cieknie krew...

Rana okazuje się jednak nieduża, tylko obficie krwawi. Później Ania opowie rodzicom, że wymknęła się sama z mieszkania na podwórko i postanowiła ruszyć w poszukiwaniu huśtawek. Znalazła je przy blokach nieopodal, ale zabawa nie trwała długo. Huśtawka uderzyła ją w głowę. Kończy się na strachu – i zszyciu rany na pogotowiu.

•

Agnieszka, siostra Ani: – Rozpierała ją energia, wszędzie było jej pełno. I pewnie przez to ciągle wpadała w tarapaty. Ale z drugiej strony wychodziła z nich bez szkody. Wszyscy w rodzinie byliśmy przekonani, że jest w czepku urodzona i że wykaraska się z każdego kłopotu.

# Kieszonka

Od najmłodszych lat największym przysmakiem Ani jest „kubaska” (zwyczajna, toruńska, jakabądź, byle kiełbasa). I ziemniaczki.

Krystyna Przybylska: – W każdych ilościach i o każdej porze. Jednej nocy – w domu akurat trwało tapetowanie – mąż po skończonej pracy nabrał ochoty na smażone ziemniaki. Zapach obudził Anię, chociaż wcześniej rano miała wstać do przedszkola. Weszła do kuchni, nie odzywając się do nas ani słowem, najadła się i wróciła jak gdyby nigdy nic do łóżka.

Anię dokarmiają też sąsiadki na Bosmańskiej. Do pani Leokadii Dobrzańskiej dziewczynka wpada na placuszki.

– Ciągle jestem głodna – tłumaczy.

– Mój syn z wakacji na wsi przywiózł pewien przepis, który potem podchwyciła Ania – opowiada z kolei matka chrzestna, Ela Janowska. – Stawała pod naszym oknem i wołała: „Ciocia, ciocia!” „Co, Aniu?” „Głodna jestem. Rzuć mi chleba z cukrem i wodą” Kromkę trzeba było skropić, żeby cukier dobrze przylgnał. Dzieci się zajadały. A czasem po prostu wpadała, żeby coś przekąsić. Raz smażyłam racuszki. „Poczęstujesz się?” „Pewnie.” „A ile ci dać? Dwa ci wystarczą?” Popatrzyła na mnie jakoś tak dziwnie. A potem jedną patelnię usmażyłam, drugą. Za każdym razem po trzy albo cztery placki. Pytam: „Już wystarczy, Aniu?” A ona: „Daj jeszcze do kieszonki” I poszła do domu, pewnie na kolację.

## Obywatele drugiej kategorii robią ognisko

Późną wiosną i latem pod blokami na Bosmańskiej wyrasta miasteczko namiotowe. Dzieci najpierw sypiają tam w ciepłe weekendy, ale już w lipcu i sierpniu często po prostu na co dzień. Namioty stoją od strony balkonów, rodzice cały czas mogą obserwować, co się dzieje z ich pociechami. Ale dla maluchów taka odrobina swobody, choćby i reglamentowanej, to i tak niezapomniane przeżycie. Same w nocy, bez rodziców, pod namiotami. Długo nie udaje się zasnąć, a rozmowom przez otwarte okna mogą się przysłuchiwać wszyscy mieszkańcy osiedla.

Reguły przydziału miejsc są jasne i niezmiennie. Więzy krwi nie mają znaczenia – liczy się wiek. Zatem siostry Przybylskie nigdy nie mieszkają pod jednym namiotem.

Na Bosmańskiej nie ma placu zabaw. Przynajmniej nie takiego, jakie dziś wyrastają na polskich osiedlach. Ale jest trzepak, prawdziwe centrum dziecięcych zabaw. Stoi tuż przy śmietnikach, przez co latem pełno wokół os. Atrakcją dla dzieci staje się też pobliski supersam – gdy już na początku lat osiemdziesiątych wojskowe osiedle doczeka się takiego luksusu. Kalipsiaka można tam kupić. Potem patyczkiem przedziela się loda na pół i już dwie osoby są szczęśliwe.

Kiedy pada deszcz, dzieci zbierają się na klatce schodowej. Na podłodze rozkładają koce, poduszki, wynoszą z mieszkań zabawki i nikt nie ma prawa się nudzić. Rodzice donoszą soki, ciastka. Takie imprezy to prawdziwa atrakcja, czasem aż żal się robi, gdy cały dzień świeci słońce.



Rok 2003. Pierwsze urodziny Miłosza, siostrzeńca Ani. Na zdjęciu Ania z kuzynem Pawłem i Grzegorzem, mężem Agnieszki (pierwszy z lewej)

A ulubioną zabawą w piaskownicy jest kopanie ogromnego dołu, który potem maskuje się jakimś workiem albo kartonami z supersamu i lekko przysypuje piaskiem. Autorzy takiej pułapki siadają z drugiej strony piaskownicy i wołają do przechodzących kolegów: „Cześć Krzysiek, Tomek, Piotrek, chodź do nas!” A żeby do nich dojść, trzeba przejść przez całą piaskownicę. I po drodze wpada się po pachy w wielki dół. I ubaw też jest po pachy.

W tym okresie Ania dużo lepiej dogaduje się z kuzynem Pawłem, który często przychodzi z mamą na Bosmańską albo obie rodziny spotykają się na niedzielnych obiadach u babci – zresztą też na Bosmańskiej, kilkadziesiąt metrów dalej.

– Te wspólne obiady to chyba moje najwcześniejsze wspomnienie – opowiada Paweł. – Rosół, schabowe. Aż pachnie na całej klatce. A po obiedzie zawsze pada komenda: „Ania i Paweł, na dwór!”

Obydwoje zawsze mocno protestują, jak to zwykle w takich wypadkach – twierdzą, że są obywatelami drugiej kategorii.

Ania chodzi wciąż do pierwszej klasy, Paweł jeszcze do przedszkola. Agnieszka, jako starsza, może zostać w domu i przysłuchiwać się poobiednim rozmowom starszych. Ale prawdę mówiąc, na podwórku jest dużo ciekawiej niż w domu, w towarzystwie dorosłych. Tym bardziej że zabawa nie ogranicza się do podwórka przed blokiem – w grę wchodzi też okoliczne chaszczki, którymi zarastają oksywskie pagórki. Dla Ani żadne drzewo, żaden płot nie stanowią wystarczającej przeszkody, raczej wyzwanie. Te eskapady nie zawsze kończą się dobrze. Zwłaszcza gdy Ania i Paweł zaczynają się nudzić. Pewnego razu postanawiają eksplorować hałdę węgla przy osiedlowej kotłowni. Uznają, że to świetne miejsce na zjeżdżalnię. A przecież nie od dziś wiadomo, że z takich hałd najwygodniej – i najbezpieczniej! – zjeżdża się po prostu na pupie. Odświętne niedzielne stroje – granatowy aksamitny garniturek Pawła oraz biała sukienka i rajtuzy Ani – wobec tak dobrego pomysłu nie mogą być żadnym argumentem.

Ale to zupełnie niewinna rozrywka w porównaniu z ogniskiem w pokoju. Znowu jest rodzinna impreza i znowu pada hasło: „Ania i Paweł, na dwór!”. Dzieci grzecznie wychodzą i na dłuższy czas słuch o nich ginie. Nikomu jakoś nie przychodzi do głowy, że w przypadku tej dwójki to dziwne. Tymczasem oni cichaczem znoszą do jednego z pokoi gałązki z podwórka. Sprawa wychodzi na jaw dopiero wtedy, gdy dorośli czują swąd – oprócz gałązek ogniem zajął się już dywan.

Pożar udaje się szybko ugasić, ale wypalona dziura na środku pokoju pozostaje jako ostateczny dowód winy.

## Dziewczynki, co wyście powiedziały?

Ania Przybylska: – Nie pochwalam przeklinania, ale taka już jestem. Wielokrotnie przysięgałam sobie, że już więcej nie będę. Chyba nic na to nie poradzę<sup>[3]</sup>.

•

Krystyna Przybylska: – No cóż, byliśmy wojskową rodziną, a w wojsku, jak to w wojsku, nie przebiera się w słowach.

Do legendy jednostki, w której pracowała, przeszła jej wymiana zdań z jednym z oficerów:

– Panie komandorze, kurwa, gdzie pan zgubił te tajne dokumenty?

Komandor: – Pani Krystyno, mimo wszystko w tak pięknej buzi to ta „kurwa” nie pasuje.

– To niech pan, kurwa, lepiej pilnuje papierów.

Z kolei do legendy bloku przy Bosmańskiej przeszła konwersacja pomiędzy siostrami Przybylskimi: sześć- i dziesięciolatką.

Ela Janowska: – To była późnowiosenna, może nawet już letnia niedziela. Siedzimy z mężem w naszym mieszkaniu na pierwszym piętrze, przy poobiedniej kawie. Wyszłam po coś do kuchni, a mąż nagle woła: „Chodź szybko, posłuchaj swojej chrześnicy”. Podchodzę do uchylonego okna. No tak, nie może być wątpliwości – ten charakterystyczny głosik poznałabym wszędzie. Ania stoi na dole i wrzeszczy w kierunku swojego balkonu na trzecim piętrze: „Agnieszka, kurwa, rzucisz mi tę lalkę czy nie?”

– Ale mama nas zawsze strofowała: że tak nie można, nie wypada i w ogóle gdzie myśmy się tego nauczyły – mówi Agnieszka Przybylska (dziś Kubera), po czym dodaje ze śmiechem: – No jak to gdzie? A jak już się nauczyłyśmy, jakoś nie mogłyśmy przestać. Samo tak wychodziło.



Kiedyś u babci przez przypadek potrąciłyśmy półkę, na której stały różne filiżanki, dzbaneczki, pamiątki po wakacyjnych podróżach do Bułgarii czy na Węgry. Jedna do drugiej krzyczy: „Kurwa, coś ty zrobiła?” Słyszysz to babcia i z niedowierzaniem mówi: „Dziewczynki, co wyście powiedziały?” Na to ta druga, nie pamiętam już, czy ja do Anki, czy ona do mnie: „No, ty chyba jesteś pierdolnięta!”

Babcia złapała się za serce.

# Siostry

Agnieszka: – Pamiętam moment, gdy chciałam ją wypchnąć przez okno. Serio, przeszło mi coś takiego przez głowę. Ile mogła mieć lat? Z dziesięć. Myłam akurat naczynia, a ona przez otwarte okno konferowała z koleżankami. „Agnieszka myje gary, bo musi, a ja nic nie muszę” – usłyszałam. I przez moment fantazjowałam, co by się stało, jakbym tak podeszła do niej od tyłu i ją wypchnęła. Kto mi coś udowodni? Pełna premedytacja.

•

Cztery i pół roku to różnica, która w dzieciństwie jest przepaścią. Zwykle ciężiej znoszą tę różnicę starsze dzieci.

– Ja już szkoła, ona jeszcze przedszkole. No gówniara przecież – wspomina Agnieszka. – A jeszcze rodzice ciągle każą: popilnuj jej. A niby dlaczego? A już najgorsze było sprzątanie. Ance potem się zmieniło, ale jak była mała, ostatecznie zawsze sprzątać musiałam ja. Bo „ona nie nabrudziła, to ona nie będzie sprzątała.” A nawet jak już musiała, i tak starała się wymigać. Wołałam wtedy: „Mamo, ona mnie nie słucha!”. I co? Mama na to z drugiego pokoju: „Anka, więcej tak nie rób!”. No to co to za kara jest? Sama musiałam sobie radzić. I gwizdnąć ją następnym razem. Oberwała trochę Anka ode mnie, jak to od starszej siostry. Kilka razy po sztucznym dywanie ją tak przeciągnęłam, że plecy miała zdarte. I tak ją szturchałam i szturchałam, aż do momentu, gdy mi oddała. Pamiętam dobrze, jak pomyślałam wtedy: „No dobra, trzeba szukać innych sposobów”



Ania i Agnieszka podczas choinki w Jednostce Wojskowej 2035 w Gdyni-Demptowie

– Jak byśmy małe, ostre kłótnie były u nas na porządku dziennym – opowiadała Ania<sup>[4]</sup>.

– I kończyły się zazwyczaj wybiciem szyby w drzwiach – dopowiadała Agnieszka. – Wpadałyśmy w popłoch, kiedy rozlegały się kroki na schodach. Mama wraca do domu! Co robić? „Przeciąg! Otwórzmy okna i udawajmy, że był przeciąg!” To Anka najczęściej miała takie genialne pomysły. Na szczęście jakoś zawsze nam to uchodziło na sucho. Mimo że się kłóciłyśmy, nigdy na siebie nie skarżyłyśmy. Siostrzana solidarność!

Ania potrafi się zemścić za prawdziwe albo i wyimaginowane krzywdy. Któregoś razu po kłótni idzie do toalety, a Agnieszka wychodząc z domu, złośliwie otwiera jej drzwi na oścież. Ania poprzysięga wtedy rewanż, a że jest pamiętliwa, cierpliwie czeka na okazję. Ta się nadarza, gdy młodsza siostra wraca ze szkoły, a tym razem starsza jest w toalecie. Ania zbiega na podwórko, skrzykuje koleżanki. Idą do mieszkania Przybylskich, Ania na przedzie. Wchodzi,

drzwi wejściowe zostawia otwarte, otwiera też te do ubikacji. Koleżanki, które idą za nią, mają raczej niecodzienny widok.





Oba zdjęcia sióstr pochodzą z roku 1990. Dolne – z psami Dino i Filipem

– Ależ się wstydu wtedy najadłam. Długo nie mogli mi zapomnieć tego występu – wspomina Agnieszka.

Mycie naczyń i wynoszenie śmieci to najczęstsze pola konfliktów. Później jednak dziewczynom się odmieniło – w czasach, gdy na podwórku czekali chłopcy, wynoszenie śmieci stało się jednym z ich ulubionych zajęć. Bywało, że znikają się wtedy ze śmieciami na dobrych kilka godzin.

Z jednej strony konflikty, z drugiej jednak... W pokoju Agnieszki i Ani stoją dwa tapczaniki. Same tak chciały, rodzice sporo za nie zapłacili, a zwykle siostry i tak śpią razem. Raz jedna przychodzi do drugiej, następnego dnia może być na odwrót.

Dziewczynki na ścianach przyklejają pocztówki. Przeróżne – byle więcej, byle bardziej kolorowe. Na plastelinę. Sposób skuteczny, ale gdy

się pocztówkę zdejmie, na ścianie pozostaje brzydka tłusta plama.

Jak większość dzieci w latach osiemdziesiątych, Agnieszka i Ania zbierają też puszki po coli i... piwie. Ustawiają je potem na półkach w piramidy. Kolekcjonują historyjki rysunkowe, które można znaleźć w gumach Donald. Kto pamięta lata osiemdziesiąte, wie, o co chodzi. Innym trudno dziś wytłumaczyć tamte fascynacje.

Później, już w podstawówce, Ania zacznie zbierać serwetki – takie, które można położyć na stół albo powiesić na ścianie. Zwyczajne hobby dzieci schyłkowego PRL-u.

## Trzy kondygnacje na własność

Ania zaczyna chodzić do szkoły, gdy Bogdan Przybylski postanawia wybudować dom. I buduje go sam, po pracy. Czasem narzeka, że nikt mu nie pomaga. Żona z młodszą córką pewnego razu robią Bogdanowi niespodziankę – zgłaszają się na ochotnika do pomocy. Każę im układać cegły, to układają. Ile dają radę, potem wracają do mieszkania na Bosmańskiej. Tego wieczoru Bogdan przychodzi z budowy dużo później niż zwykle, strasznie zły. Wszystko, co one ułożyły, musiał rozebrać i ułożyć jeszcze raz.

Potem już o pomoc nie prosi.

•

Przybylscy zaczynają budowę domu w połowie lat osiemdziesiątych, niedaleko ich bloku na Bosmańskiej, w niewielkim jarze. Wystarczy zejść po schodkach ze skarpy i już się jest na miejscu. Osiedle ma liczyć osiemnaście domków w zabudowie szeregowej – w dwóch szeregach, po dziewięć po obu stronach ulicy. Na potrzeby inwestycji oficerowie zawiązują Stowarzyszenie Budowy Domów Jednorodzinnych przy Dowództwie Marynarki Wojennej. Sami muszą zatroszczyć się praktycznie o wszystko – nie tylko materiały budowlane, ale przede wszystkim rękę do pracy. Jej większość wykonują sami – osiemnastu oficerów wraca ze służby, je obiad i rusza na budowę, zwykle już dobrze po godzinie szesnastej. I tak dzień w dzień – do zmroku. No, chyba że nadchodzi czas poligonów. Wtedy inwestycja na dwa-trzy tygodnie musi stanąć.



Ania w nowym domu, rok 1990

Dlatego budowa domu Przybylskich trwa ponad pięć lat. Nie może krócej. Ile da się zrobić w trzy godziny dziennie? Z przerwą na posiłek, który córki noszą kapitanowi Przybylskiemu w trojaku.

Członkowie stowarzyszenia pomagają sobie nawzajem. Jeden ma znajomości w cegielni, więc kombinuje cegły, inny – żwir. Bogdan Przybylski kupuje dla wszystkich kaloryfery – potem w każdym domku na całej ulicy długo są jednakowe. Gdy trzeba, zrzucają się na wypożyczenie dźwigu. Szeregowce rosna w podobnym tempie, a budowa idzie zgodnie do etapu dachów. Wtedy dopiero wspólna praca trochę się psuje, jedni kończą wcześniej, innym brakuje pieniędzy, materiałów albo czasu. W końcu jednak wszyscy doprowadzają swoje inwestycje do końca.



Domki miały być dwóch rodzajów – albo jednorodzinne trzykondygnacyjne, albo trzyrodzinne, gdzie na każdej kondygnacji może zamieszkać jedna rodzina. Początkowo Przybylscy myślą o tym drugim rozwiązaniu – dla nich ma być jedna kondygnacja, a pozostałe – w przyszłości – dla Agnieszki i Ani z ich rodzinami.

Decyzja o budowie domu nie jest na pewno łatwa, bo koszty są ogromne. Dwieście dwadzieścia metrów kwadratowych powierzchni – na parterze garaż, pralnia, wyżej salon, kuchnia i łazienka, potem – na kolejnej kondygnacji – trzy pokoje z łazienką, a nad tym wszystkim jeszcze poddasze. Dom z zewnątrz nie wygląda na aż tak duży.

Wielki dzień nadchodzi 11 listopada 1989 roku. W Dniu Niepodległości Bogdan Przybylski jedzie do jednostki na uroczysty apel, a jego żona w pracy załatwia samochód, trzech żołnierzy na pomoc i przewozi rzeczy do nowego domu. Szybko sprzątaję jeszcze mieszkanie służbowe na Bosmańskiej, które trzeba było zdać – taki postawiono im warunek, nim dostali pozwolenie na budowę.

– Wielka chwila. Pamiętam moją pierwszą kąpiel w nowym miejscu – w łazience na dole, którą wyłożyliśmy granatowymi kaflami. Byłam taka szczęśliwa, że w końcu jestem w swoim domu – opowiada Krystyna.

# Cholela

Dziewczynki uwielbiają przyjeżdżać do Kiełczewa, a całe Kiełczewo uwielbia dziewczynki.

•

Bogdan Przybylski pochodzi z tej niewielkiej wsi graniczącej z Kościanem w ówczesnym województwie leszczyńskim. Mieszka tam większość jego rodziny, u której Przybylscy z Gdyni przez lata są częstymi gośćmi – nie tylko na święta czy uroczystości rodzinne.

– Kiedy myślę o dzieciństwie, widzę krajobrazy Kościana, gdzie mieszkała rodzina taty i gdzie jeździłam na wakacje. Mała miejscina, rodzinne obiady i mnóstwo miłości, którą mnie otaczano – opowiadała Ania<sup>[5]</sup>.

Z Gdyni do Kościana jedzie się pociągiem ładnych kilka godzin, z przesiadkami. A pociągi często są tak przeładowane, że Ania i Agnieszka dostają się do nich przez okno. Najpierw miejsce w przedziale zajmuje jeden z rodziców, a drugi wygodniejszą i paradoksalnie – przez tłok na korytarzach – bezpieczniejszą drogą podaje pociechy, by potem samemu precyzyjnie przycisnąć się już tradycyjnie do przedziału.

Dom rodzinny Przybylskich stoi na skraju Kiełczewa. To tak naprawdę trzy połączone budynki ze wspólnym podwórkiem, do którego prowadzi ogromna brama wjazdowa. Prawdziwy wakacyjny raj.

Agnieszka Przybylska: – Zawsze pachniało tam „jak u babci”. Te wykrochmalone pościele... Albo stare meble, łóżko z zapadającym się materacem. No i babcia w Kiełczewie to była taka tradycyjna babcia, zawsze przepasana fartuszkami, krzątająca się po kuchni. W przeciwieństwie do babci nowoczesnej – tej z Gdyni.

– Wspaniały człowiek – wspomina teściową Krystyna Przybylska. – Mogłabym ją nazwać ministrem finansów, wiele się od niej nauczyłam. Mimo że przecież w wojsku poznałam dyscyplinę, tak naprawdę dużo zachowań mam po mamie mojego męża. Wszystko tam chodziło jak w zegarku, wszystko było przemyślane, poukładane. Taka historia: mój mąż, od kiedy wyjechał z Kościana do Gdyni do wojska, co miesiąc wysyłał do domu pieniądze. Takie wsparcie dla rodziców – skoro oni go wychowali, pomogli w wykształceniu, to teraz on miał obowiązek pomagać im. Trwało to ładnych kilka lat, aż do naszego ślubu. Wyobraźcie sobie, że w dniu ślubu teściowa dała mi niewielkie pudełeczko. Otwieram, a w nim – przewiązane wstążeczką wszystkie przekazy pocztowe od syna. To był nasz prezent ślubny.

Zofia Przybylska bardzo wspomaga rodzinę Bogdana, zwłaszcza w ciężkich latach osiemdziesiątych. Wojskowi tak samo jak wszyscy odczuwają braki w zaopatrzeniu. Mama jednak zawsze odpowiednio wyposaża ich na drogę, a gdy długo nie przyjeżdżają, wysyła do Gdyni paczki, a w nich ziemniaki czy włoszczyznę. No i garmaż. Paczki zawsze dochodzą już na drugi dzień. Przynajmniej o mięsa i kiełbasy Przybylscy nie muszą się martwić.

Ania i Agnieszka przyjeżdżają więc do Kiełczewa tak często, jak mogą, i zostają na tak długo, jak się da. Latem zwykle, gdy jedno z rodziców ma urlop, zabiera je tam na tydzień lub dwa. Ale z czasem dziewczynki zostają na jeszcze dłużej – babcia zapewnia, że przecież sobie z nimi poradzą.

Kuzynka Małgosia wspomina, jak w Kiełczewie rozwijał się nieposkromiony apetyt Ani, wówczas sześciomiesięcznego niemowlaka: – Ania siedzi w swoim wózek i nie może się doczekać obiadu. Zapach rozchodzi się po całej kuchni, babcia przecież gotuje wspaniale. A tu mama nie spieszy się z pełnym talerzem! Czarne oczy Ani skaczą między piecykiem gazowym, znad którego unoszą się powalające zapachy, a czymś, co w ręce trzyma jej pięcioletnia siostra Agnieszka. Aga właśnie kończy ogryzać udko kurczaka. I na swoje nieszczęście opiera się rączką o wózek. Ta chwila wystarczy, żeby Ania zabrała Adze kostkę! No i zaczyna się walka. To mógłby zagrać tylko prawdziwy aktor: mimika, krzyk, złość, a przede wszystkim ogromna wola walki Ani. Aga była bez szans!



Kiełczewo, rok 1986, na ślubie siostrzeńca taty



Czteroletnia Ania na działce babci Danusi w Gdyni

Z czasem Ania próbuje babcinego placka drożdżowego, smażonych na miejscu pączków, zupy owocowej, koglu-moglu. Wszystko świeże, z produktów prosto z ogrodu za oknem.

W Kiełczewie nie ma ograniczeń narzucanych dzieciom w mieście, gdy rodzice codziennie chodzą rano do pracy i wracają dopiero po południu. Kilkuletnia Ania może całymi dniami bawić się w piasku, kąpać w cynkowej wannie przed domem, oddychać świeżym powietrzem. Codziennie od wczesnego ranka wychodzi na podwórze i prowadzi ożywione rozmowy z psem, który mieszka w wielkim kojcu. Siada obok i opowiada Korze, co jej się śniło albo co babcia właśnie przygotowuje na śniadanie. Często też dzieli się z psiakiem swoją kubaską.

•

Ania długo nie chce zrezygnować ze smoczka, nazywanego w rodzinie „korkiem”. Babcia stara się wszelkimi sposobami oduczyć wnuczkę tego przyzwyczajenia. Solidnie macza smoczek w ostrej musztardzie – ale ten pomysł nie wypala, Ania lubi przecież ostre smakołyki. Babcia posypuje więc smoczek solą – ale i sól daje się jakoś zlizać. Nie skutkuje też ocet. W tej trudnej sytuacji na pomoc przychodzi Kora. Pewnego ranka Ania jak zwykle po przebudzeniu wybiega przywitać się z psem, a babcia w tym czasie przygotowuje śniadanie. Nagle Ania wpada do kuchni z wraskiem, zalewając się łzami. Babcia zamiera ze strachu. Przed chwilą spoglądała, czy wnuczka bawi się na podwórzu, i nic nie zapowiadało tragedii. Ania krzyczy: „Bo Kola, bo Kola...! Chodź babciu, bo Kola...!” Nie potrafi powiedzieć nic więcej. Podbiegają więc razem do kojca, Ania kurczowo trzyma babcię za rękę.

– Co się stało? – pyta babcia, spoglądając ze zdziwieniem na leżącą spokojnie psinę.

– Zobać, babciu, Kola polwała mi kojka – tłumaczy w końcu przez łzy Ania. Faktycznie, smoczek leży na środku kojca. To Ania go tam przypadkiem wrzuciła, bawiąc się z psem.

Co robić? Babcia rozpoczyna negocjacje z Korą. Łagodnym głosem prosi:

– Kora, to jest smoczek Ani, oddaj go jej.

Pies nie bardzo rozumie, o co chodzi. Przewraca się tylko z boku na bok i zasłania korek. Wtedy babcia spokojnie informuje wnuczkę, że Kora właśnie „zjadła kojka”. W tym momencie przebiera się miarka. Ania podpira się pod boki i z całej siły, na jaką stać trzylatkę, wrzeszczy:

– Kola! Ty cholelo! Oddaj mi mojego kojka!

Ale psiak spogląda tylko ze zdziwieniem i rozkłada się wygodniej w kojcu. Od tego momentu Ania daje sobie spokój ze smoczkiem.

## Pani z peweksu trafia na scenę

Ania: – Jako bardzo mała dziewczynka chciałam zostać panią z peweksu. Stać za ladą wśród cudownych towarów, których nie było w zwykłych sklepach. Kiedy podrosłam, liczyło się już tylko aktorstwo. Właściwie nie miałam planu awaryjnego, co będzie, jeśli mi się nie uda<sup>[6]</sup>.

•

Ania jest w drugiej klasie, gdy na Oksywiu zaczyna krążyć plotka o satanistach. Rodzice przekazują sobie pocztą pantoflową ostrzeżenia o bandach, które mają jakoby grasować w pobliżu – wycinać krzyże na cmentarzach, niszczyć groby. Podobno w telewizji o tym mówili, ostrzegali. Trzeba dzieci bardziej pilnować, nie puszczać samych, tym bardziej że na Oksywiu sporo jest terenów trudno dostępnych, porośniętych chaszczami. Są nawet poniemieckie bunkry.

Mała Ania niespecjalnie boi się satanistów, poświęca im za to słuchowisko radiowe. Nagrywa je na kasetowym magnetofonie Kasprzak.

– „Czarrne buty, czarrne jeansy”, wszystko z akcentem na „r” – wspomina Agnieszka Przybylska. – Opowiadała o tych satanistach, jakby w jakimś transie. Kabarety przy niej wysiadały. Fragmentem słuchowiska była uduchowiona piosenka Violetty Villas. W tle słyhać kolejne modlitwy: *Ojcze nasz, Pod Twoją obronę, Aniele Boży...* Żeby odpędzić tych satanistów.





14-letnia Ania w Jastrzębiej Górze



Ania w swoim pokoju w domu rodzinnym, rok 1993



14-letnia Ania z mamą na moło w Sopocie

Pierwszy raz talent aktorski Ani objawia się, gdy chodzi już do liceum – do gdyńskiej Dziewiątki. Bierze udział w międzyszkolnym konkursie recytatorskim, który wygrywa. Mało tego – występuje z własnym utworem.

Paweł Tamberg: – Widziałem wtedy Anię na scenie. To na pewno była proza. Coś o miłości, rozstaniu, bólu. Na pewno było to bardzo czarne. Ania włożyła w występ mnóstwo emocji, strasznie się zaangażowała i starannie wyreżyserowała, jak ma wyglądać. Cały czas stała sama, samusienka – wszyscy inni występowali co najmniej w duetach. I pamiętam jeszcze, że kończąc, wiła się na podłodze „z bólu”. To na pewno robiło wrażenie.

# Mężczyźni

– Wiecie, że to Ania uczyła mnie, skąd się biorą dzieci? – mówi nam jej kuzyn, Paweł.

Robimy wielkie oczy.

– Miałem jakieś cztery lata, czyli Ania sześć.

O jakim poziomie szczegółowości mówimy?

– Zapytała mnie o to podczas jakiejś uroczystości rodzinnej, kiedy się razem bawiliśmy. Odpowiedziałem, że no... niedokładnie. A Ania na to: „Musisz się przytulać ze swoją dziewczyną tak bardzo, bardzo, bardzo. Aż cię połaskocze. I wtedy będą dzieci...” W zasadzie nadal w to wierzę.

•

Pierwsza miłość dopada Anię w przedszkolu. Ma na imię Bartek. Trudno powiedzieć, dlaczego tak wpadł jej w oko. Może już wtedy dobrze tańczył? (Później zrobił karierę w tańcu towarzyskim). Dość, że sprawa jest poważna. Gdy mama chłopca spotyka na ulicy Krystynę, zawsze pyta: „Jak tam narzeczona mojego Bartka?”

Ta miłość nie przetrwa jednak próby czasu.

– Miałam jedenaście lat, gdy przeprowadziliśmy się do domu na Oksywiu – opowiadała Ania<sup>[7]</sup>. – W krótkim czasie znałam chłopaków z całej okolicy. Gromadzili się pod naszym oknem i wyczekiwali, aż wyjdę. W końcu tata zaczął przepędzać ich spod domu i ograniczać moje wyjścia. Rodzice długo kontrolowali moje życie. Nie chodziłam jak koleżanki na imprezki i bale. Dziś jestem rodzicom za to wdzięczna. Z moimi pomysłami mogłabym narobić mnóstwo głupstw.

Pierwszym „oficjalnym” chłopakiem Ani w podstawówce – w piątej albo szóstej klasie – jest Marek, zwany Marasem. O głowę od niej niższy, ale Ania i tak się w nim zakochuje. Raz przyznaje się w tajemnicy

siostrze:

- Wiesz, ja go pocałowałam.
- A jak, skoro jest od ciebie o tyle niższy?
- Na cegle stanął.

Potem są Tomek i Mytnik. Wszyscy używają raczej nazwiska tego drugiego niż imienia, może dlatego, że chłopak jest synem słynnego kolarza, reprezentanta Polski. Są też długowłose Przemek i ministrant, który potrafi grać na gitarze. Ten drugi za zarobione przez siebie pieniądze kupuje Ani martensy w szkocką kratę – całe osiedle zazdrości jej tych butów. Wkrótce jednak Ania go rzuca. Dlaczego? Kto by dziś pamiętał.

W pierwszej klasie liceum przydarza się jej pierwszy poważniejszy związek, z Danielem.

- Za rączkę razem chodzili. Został kiedyś u nas na noc nawet – opowiada Agnieszka. – Ale spokojnie, pilnowałam, żeby do niczego nie doszło. Siedzieliśmy cały wieczór we trójkę, bo mamy akurat nie było. Zrobiłam kolację, a potem mówię: „Musimy tu posiedzieć całą noc, telewizję możemy pooglądać”. I tak zrobiliśmy.

Chłopaki chłopakami, ale w tym wieku najważniejsze są oczywiście przyjaciółki. I to, co można wspólnie robić. Na przykład w szóstej klasie palić papierosy na strychu własnego domu – o czym Krystyna Przybylska dowiedziała się dopiero niedawno.

- Palić to ja zaczęłam wcześniej – opowiadała dwudziestodwuletnia Ania. – Zawsze mnie ciągnęło do zapachu tytoniu. Mój tata palił, a mama go ganiała. Ale nie paliłam tak, żeby kupować sobie w sklepie, bo nie było mnie stać, a poza tym nie wypaliłabym całej paczki. W liceum to się paliło tak, że w pięć zamykałyśmy się w łazience i paliłyśmy jednego na spółkę. Teraz w tygodniu prawie nie palę, a popalam w weekendy<sup>[8]</sup>.



Zdjęcie klasowe w IX LO w Gdyni. Ania czwarta od lewej w drugim szeregu, w objęciach kolegi

Na wywiadówki do szkoły zawsze chodzi tata. On też odrabia z dziewczynkami lekcje. Ale tylko w pierwszych klasach podstawówki. Potem, gdy przychodzą o coś zapytać, by je zmotywować, mawia:

– Grube miliony leżą na półkach, wystarczy tylko otworzyć słownik albo atlas.

Ania uczy się dobrze – najogólniej mówiąc, na czwórkach. Pewnie mogłaby lepiej, ale tyle zdaje się jej wystarczać. Gdy mama mówi: „Zobacz, Agnieszka się uczy, nigdzie nie wychodzi”, Ania odpowiada: „To głupia, że się tyle uczy”

Jeśli są problemy, to raczej z zachowaniem.

– Nie dość, że niepokorna, to jeszcze pyskata. Jak ktoś mi nadepnął na odcisk, nie przebierałam w słowach. No i było „z ojcem do szkoły” – zwierzała się Ania<sup>[9]</sup>. – Mówiłam jak chłopak, siadałam jak chłopak, byłam straszną luzarą. Nigdy nie wstydziłam się rozmawiać na tematy,

przy których dziewczyny się rumieniły. Opowiadałam pieprzne dowcipy, a na lekcji biologii w piątej klasie, kiedy omawialiśmy anatomię, pierwsza rozwijałam temat. Nie lubiłam tylko być pouczana. Na mamine: „Aniu, usiądź jak dziewczynka!”, demonstracyjnie zakładałam nogi po męsku. Chciałam po prostu robić to, na co miałam ochotę. Nie do końca mi się to udało, poza tym szybko odkryłam, że nie muszę ścigać się z chłopakami, żeby dobrze czuć się w ich towarzystwie.

W ogólniaku zaczynają się wypadki na dyskoteki, zabawy. Ulubionym miejscem, szczególnie latem, jest skwer Kościuszki.

– Ale zawsze był warunek: powrót o dziewiątej, dziesiątej, nie później – zastrzega Krystyna Przybylska.

– Na co dzień mama trzymała nas krótko – opowiadała Ania. – Mówiła „tak” albo „nie”. Czarne było u mamy na pewno czarne, a białe na pewno białe. Była konsekwentna w egzekwowaniu zachowań, które uważała za stosowne. Pamiętam, jak odkryła, że nie cierpię kłaniać się sąsiadom, i zaczęła nade mną pracować. Dziś witam sąsiadów z odległości kilometra. „Już mówiłaś mi, Aniu, dzień dobry dwa razy” – dziwią się. Dzięki mamie jestem ugrzeczniejsza do przesady, a każdy przejaw niedelikatności razi mnie i denerwuje. Żywiołowość i poczucie humoru odziedziczyłam bez wątpienia po niej. (...) Gdy mama mówiła „nie”, biegło się do taty. Łatwo dawał się uprosić (...). Ponieważ w jednostce wydawał rozkazy, z przyzwyczajenia mówił podniesionym głosem, nawet w obojętnych sprawach. Jego powściągliwość również wiązała się z mundurami. Zależało mu, żebyśmy z Agnieszką były mądre i wykształcone. Śledził nasze postępy w nauce, był na każdej wywiadówce. Mnóstwo czasu spędzaliśmy nad matematyką. Tatę podziwiałam również z tego powodu, że był mężczyzną. Uważałam, że mężczyźni prowadzą ciekawsze życie i bardzo lubiłam towarzystwo chłopców<sup>[10]</sup>.

# Biała Naomi

W niewielkiej sali w Młodzieżowym Domu Kultury naprzeciwko Urzędu Miasta w Gdyni trwa właśnie próba. Po sali kręci się kilkanaście pięknych nastolatek, wszystkie zgrabne i uśmiechnięte, słysząc gwar i przede wszystkim muzykę. Nagle drzwi się otwierają. Wchodzi Ania.

– Moje pierwsze skojarzenie (a to były czasy wielkich top modelek): normalnie Naomi Campbell. Tylko że biała – mówi Małgosia Rudowska, która agencję modelek i hostess Perfect Studio założyła w 1994 roku. – Ania nosiła długie blond włosy, jeszcze rozjaśnione od słońca, była mocno opalona, wręcz śniada, i miała wielkie oczy.

Kilkanaście dni wcześniej w agencji odbywa się casting. Małgosia musi je organizować co jakiś czas, by poszerzyć grupę modelek lub zastąpić te dziewczyny, które chcą lub muszą odejść. Po naborze Rudowska jest załamana – żadna z dziewczyn nie nadawała się na wybieg. Właścicielka agencji zleca więc swoim podopiecznym, żeby same zaczęły się rozglądać za kandydatkami – w rodzinie, wśród znajomych, w sklepach, na ulicach albo szkolnych korytarzach. I to właśnie podczas przerwy w IX LO w Gdyni Monika Nowacka, która pracuje już w Perfect Studio, zauważa Anię Przybylską. Podchodzi do szkolnej koleżanki, zaczepia ją i mówi: „Cześć, fajnie wyglądasz, wpadnij do nas na próbę”

Jest rok 1995. Ania ma wtedy urodę dziewczynki z prześlicznymi „puckami”, jest nawet lekko pulchniutka. Nie otyła, absolutnie, ale Rudowska mówi jej na jednych z pierwszych zajęć, że jeśli chce być modelką, musi trochę schudnąć. Ania odpowiada: „Ale wie pani co, ja wcale nie chcę być modelką. Ja chcę być aktorką”

Ania tak to później tłumaczy: – Modelka powinna mieć przynajmniej sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i być chuda jak patyk. Ja miałam sto siedemdziesiąt dwa centymetry. Ciągle też słyszałam, że mam za duże biodra, wystające zęby, a w ogóle to powinnam urosnąć. Miałam wtedy szesnaście lat i kiedy słyszałam, że mam się



odchudzać, a nawet głodzić, uznałam, że to nie dla mnie. Lubiłam czekoladę, frytki i chipsy. Do dziś nie zawsze potrafię sobie odmówić tych przyjemności<sup>[11]</sup>.

„– O karierze modelki i o samym modelingu nigdy nie marzyłam – opowiada blisko siedemnastoletnia Ania w filmie promującym Perfect Studio. To pierwszy zapis wideo z jej udziałem. Ma ścięte na krótko włosy i pomalowane jaskrawo usta. Taką wkrótce wypatrzy ją Radosław Piwowarski. – W głowie mi się to nie mieściło. Modelką zostałam z przypadku, a to, co chcę robić w przyszłości, ma pewne powiązania z tym zawodem, bo gdy ukończę liceum ogólnokształcące, chcę wybrać się do szkoły teatralnej w Krakowie. (...) Gdybym wygrała dużą sumę pieniędzy i miałabym ją przeznaczyć na jakieś podróże, to przede wszystkim zaczęłabym od zwiedzania Polski. Lubię zwiedzać wszelkie zabytki, już wiele miejsc zwiedziłam, ale nie wszystkie. I chciałabym przede wszystkim najpierw dokładnie zwiedzić swoją ojczyznę, a dopiero później wybrać się w świat. I jeśli jeszcze troszeczkę pieniążków by mi zostało z tej podróży po Polsce, chciałabym je przeznaczyć na jakiś charytatywny cel”

Zajęcia dziewczyn w Gdyńskiej Agencji Ruchu i Reklamy Perfect Studio odbywają się trzy razy w tygodniu, po półtorej godziny. Najpierw w ramach rozgrzewki jest aerobik i fitness, potem nauka chodzenia po wybiegu. Czasami dodatkowo lekcje makijażu. Ania, jak na zdolną aktorkę przystało, momentalnie uczy się „grać modelkę”, poruszać jak gwiazdy wybiegów. Ale jest też z nią problem – jest zdolna, ale jeszcze niepełnoletnia. A obok pokazów mody czekają na nią też promocje chipsów Star Foods czy piwa Heweliusz reklamowanego hasłem „Wszechświat cieszy”

– Sama byłam wtedy młoda, nie do końca odpowiedzialna, wysyłałam moje dziewczyny na akcje promocyjne. Ania była w tej grupie, bo świetnie wyglądała i chciała zarobić swoje pierwsze pieniądze. Musieliśmy więc trochę przechytrzyć tę jej nieletniość. Zwłaszcza kiedy trzeba było stanąć za barem albo przejść szkolenie, jak prawidłowo nalewać piwo – wspomina Rudowska.



Rok 1995, czasy Perfect Studio. Ania w stylizacji Anny Męczyńskiej

Za pierwsze własne pieniądze Ania kupuje tusz do rzęs Astor. Później zostanie międzynarodową twarzą tej marki.

•

– Mamuś, będę modelką – Ania wbiega do domu i krzyczy od wejścia od progu. – Będę występowała, wszyscy się mną zachwycają!

Ale Krystyna Przybylska czuje niepokój. Woła męża. Ustalają, że trzeba się zorientować, o co chodzi z tym Perfect Studio, sprawdzić, kto za tym stoi. Bo jeszcze im gdzieś córkę wywiozą...

Kiedy Przybylscy spotykają się z Gosią, okazuje się, że agencję prowadzi dziewczyna o pięć lat starsza od Ani, która jeszcze się uczy. Ale już pracuje, idzie w życiu do przodu. Od razu im się podoba, czują, że u niej nic złego się Ani nie stanie, że córka jest bezpieczna i nie muszą się martwić. Bogdan próbuje jeszcze przekonywać, że najważniejsze są wyniki w szkole, ale Ania natychmiast na nich naskakuje: „Ale mamusiu, ale tatusiu...” Dostaje zgodę.

Modeling to świat, którego wcześniej nie znała. Do tej pory żyje raczej w schemacie dom-szkoła-dom. Od razu maksymalnie się angażuje, sama robi sobie dodatkowe treningi. Przed pokazem Michała Starosta w Teatrze Miejskim w Gdyni chodzi po domu z rurą od parasola ogrodowego, by ćwiczyć wyprostowane plecy, i omal nie rozbija przy tym mebli. Ale długo nikt nie traktuje jej „modelowania” na serio. Do czasu.

Ela Janowska, matka chrzestna Ani, wspomina, że Bogdan Przybylski, ten niby-przeciwny i sceptyczny, mocno przeżywał występy córki.

– Kiedyś Krysia była akurat w sanatorium, a Bogdan wpadł do mnie z okazji imienin, bez żadnej imprezy, tak tylko na kawę. I przyniósł kasety wideo. Kazał mi siadać i oglądać, jak Anka za modelkę robi. Był błądy i zadowolony jednocześnie. W pewnym momencie zorientowałam się, że nie patrzę już na to, co dzieje się na ekranie, ale jak reaguje Bogdan. Mówię: „Co, Boguś, córeczka tatusia?” On się wtedy tak dumnie wyprostował.

To okres, kiedy tata jest od wszystkiego. Zawozi na zajęcia, odbiera, jest od lekcji, kanapek, zakupów i wywiadówek. I jeszcze od nagród. Od kar tylko nie jest, od tego jest mama.

# Tata

To tylko plecy. Dokuczają od dawna, więc Bogdan Przybylski myśli o zmianie samochodu. W starym są niewygodne fotele i pewnie stąd ten ból. Chce też zmieniać materac w sypialnianym łóżku – wciąż szuka przyczyn. A kaszel? Takie tam pokasływanie. Nie ma co sobie głowy zauracać.

Kiedy w końcu trafia do lekarza, jest już za późno. Drobnociarnica to nowotwór, który objawia się dopiero, gdy są przerzuty. Lekarze dają Bogdanowi góra trzy miesiące.

Wkrótce Krystyna dowiaduje się, jak dużo palił jej mąż. Po zawale, który przeszedł w 1990 roku, w domu nie robił tego w ogóle. Co innego po kryjomu, w garażu. No i w pracy: jednego po drugim. Nawet dwie paczki dziennie. Ekstra mocnych.

Bogdan Przybylski trafia do szpitala w Oliwie 1 lipca. Córki wiedzą, że tata jest nieuleczalnie chory. Ale przecież to nie znaczy, że zaraz odejdzie. Nie tak szybko, tato. Na początku sierpnia odwiedza go przyjaciel z pracy, do której Przybylski trafił po wojsku. Zdzisław Grabarczyk zabiera go w wózku na spacer do parku Oliwskiego.

– Zdzichu, ja umieram – powiedział nagle Bogdan. – Bardzo cię proszę, zaopiekuj się Krystyną i dziećmi. Boję się, jak ona sobie poradzi z całym tym domem.



Roczna Ania z tatą. Mikołajki dla dzieci żołnierzy w Jednostce Wojskowej 2035 w Gdyni-Demptowie



Komunia Agnieszki, rok 1984. Dziewczynki z mamą i tatą oraz rodziną Hofmanów z Kiełczewa

•

19 sierpnia Ania wyjeżdża z grupą przyjaciół do Wejherowa – rodzice jednej z koleżanek mają tam dom. Ale już dzień później do Ani dzwoni mama. Mówi, że musi wracać. Jeszcze nie tłumaczy dlaczego. „Przecież mówiłaś, że mogę zostać na cały weekend?” – buntuje się Ania.

„Tata nie żyje” – słyszy w słuchawce.

Do Gdyni odwozi Anię starszy kolega.

– Zawsze mogłam polegać na tacie. To on robił mi rano kanapki. Byłam jego ukochaną córeczką. I nagle go zabrakło... Wierzę jednak, że jest gdzieś obok i czuwa nade mną. Czasem spotykam go w swoich snach. Wtedy zwykle coś doradzi, podpowie, pocieszy – mówiła Ania w jednym z wywiadów<sup>[12]</sup>.

Płacze wieczorami w swoim pokoju przy zgaszonym świetle.

Siedzi na podłodze przy ścianie ze zdjęciem taty.

Tuli je do siebie.

•

Krystyna Przybylska ma 42 lata, gdy zostaje wdową. Cały jej świat zawala się jednego dnia. Do tego momentu opiekowała się dziećmi i pracowała w wojskowej kancelarii, ale już o tym, jak płacić rachunki albo radzić sobie z drobnymi naprawami w domu, nie ma pojęcia.

– Krótko po śmierci taty trzeba było ogród podlać, a myśmy nawet nie umiały zaworu szlauchu odkręcić – wspomina Agnieszka. – Poważnie: myślałam, że zginiemy.

– Bałam się, to prawda – dodaje Krystyna. – Pamiętam, że jak wróciłam w tamtą sobotę ze szpitala, siadłam na schodach do ogrodu i... nie miałam pojęcia, co dalej. Jakiś czas pozostawałam w letargu, pomogli znajomi, przyjaciele. A później musiałam już sama stanąć na nogi. I ze wszystkim dałam radę.

Ale dorastające córki nie mają łatwo. Mama boi się o nie i stara



kontrolować, z trudem przychodzi im wybłagiwać zgody na wyjścia do dyskoteki czy na prywatki.



Spotkanie w domu rodzinnym po pogrzebie Bogdana Przybylskiego, sierpień 1995 roku

– Wszystko, co robiłam, wynikało z tego, że po prostu się o nie bałam, byłam jak taka przestraszona kura – wspomina Krystyna. – Nakręcałam się nawet wtedy, kiedy czytałam periodyki kryminalne o morderstwach, gwałtach, pobiciach. Córki zawsze wtedy na mnie krzyczały: „Mamuś, a po co ty to czytasz, po co się nakręcasz? Dlaczego akurat nam miałoby się coś takiego stać?”

Nastolatki uważają, że potrzebują więcej swobody. Może dlatego

Ania wyfrunie z domu, jak tylko skończy osiemnaście lat.

## Druga twarz

Tuż przed tym, zanim Ania dowie się o chorobie ojca, uda jej się odnieść pierwszy poważny sukces w karierze. Dużo w tym szczęścia i przypadku, a zaczyna się od konkurencyjnej agencji modelek i hostess, która również działa w Gdyni. Rozwija się prężnie, swoje castingi ogłasza nawet w lokalnej telewizji. To ma być szkoła dla modelek z prawdziwego zdarzenia – z surową selekcją, wysokimi kryteriami przy naborze. Nie to co u Rudowskiej, która dziewczyny dobiera po prostu według własnego gustu. W jej agencji tak naprawdę żadna nie nadaje się na typową modelkę, żadna nie ma metra osiemdziesiąt, a nawet metra siedemdziesiąt pięć. To drobne dziewczyny o słodkiej urodzie. Nieraz jest to problem, na przykład kiedy Gosia stara się o miejsce dla Ani w katalogu Levisa. Nie biorą jej, bo uznają, że jest zbyt słodka. Przybylska nie dostaje się też do programu *Lalamido*, oblewa casting. Wiganna Papina, znana warszawska stylistka, która pracuje wtedy przy *Lalamido*, wspomina w wywiadzie:

– Ania była urocza, od razu zrobiła na mnie pozytywne wrażenie. Ale moi koledzy powiedzieli, że do programu się nie dostanie, bo... ma za mały biust. To był ich błąd. Do dziś się śmieję, że nie potrafili rozpoznać prawdziwej gwiazdy<sup>[13]</sup>.

Papina zatrudnia Przybylską w 1995 roku do swojego pokazu w Teatrze Miejskim w Gdyni. Szykuje dla niej dwie kreacje. W pierwszej Ania ma na głowie białą perukę w barokowym stylu. Do tego krótka różowa spódniczka, różowy stanik, futrzane buty w tym samym kolorze, różowy wachlarz w dłoni i białe futerko zawieszona na ramieniu. Druga kreacja to pomarańczowa peruka, morska sukienka, a do tego złote buty i rajstopy.

Ostatecznie mimo silnej konkurencji to agencja Gosi zostaje na rynku, a tamta druga w końcu upada. I zostawia na lodzie grupę pięknych dziewczyn. Właścicielka zamykającej się agencji przychodzi wtedy do Rudowskiej i prosi, aby cały zespół przyjęła do siebie, bo nie chce,

by jej podopieczne poczuły się oszukane. Powołuje się przy tym na kontakty i możliwości w Warszawie, zapowiada, że zbliża się konkurs Twarz Roku i do Trójmiasta na pewno przyjedzie ktoś ze stolicy, aby poszukać ewentualnych kandydatek. Rudowska się zgadza. Po pierwsze – zna, szanuje, a nawet lubi właścicielkę upadającej agencji. Po drugie – szkoda jej tyłu młodych dziewczyn.

Kilka tygodni później do Gdyni rzeczywiście przyjeżdża delegacja z Warszawy (m.in. Dariusz Kumosa z agencji Model Plus), trwa nabór do Twarzy Roku 1994 – czwartej edycji konkursu dla modelek i modeli. Podczas spotkania goście z Warszawy oglądają uważnie dziewczyny, które Rudowska dopiero co przejęła, bo w jej pierwotnej grupie nikt nie spełnia wymogu wzrostu. Nie udaje się przepchnąć nawet Przybylskiej.

– Ania miała metr siedemdziesiąt dwa. No dobra, lekko naciągane – mówi ze śmiechem Rudowska. – Ale tak sobie założyłyśmy i tego się trzymałyśmy. Bo Ania nie była przecież niska, nie miała jednak wzrostu modelki wybiegowej.

Goście z Warszawy nie są usatysfakcjonowani. Wybierają dwie dziewczyny, ale bez większego entuzjazmu, i pytają Gosię, czy ma kogoś jeszcze. Ta zabiera ich więc na zajęcia do Perfect Studio, gdzie trwa akurat próba. Uprzedza od razu, że to będą niższe dziewczyny. Ale przedstawiciele organizatora konkursu i tak chcą je zobaczyć. Dziewczyny zaczynają się prezentować, aż w końcu zapada wybór – wskazują na Anię. „Ta! Tylko musi schudnąć!” Rudowska odpowiada od razu, że ona nie schudnie, bo nie chce być modelką, tylko aktorką. Goście kręcą nosem, jednak w końcu się zgadzają.

– Jedziemy do stolicy, trzeba się jakoś ubrać! – mówi Przybylska, która przed wyjazdem do Warszawy obcina włosy, a z szafy Gosi dostaje na finał krótką różową sukienkę. Rudowska ma pełno zagranicznych ciuchów, które przywozi jej ojciec, oficer na statkach handlowych. Jej pokój służy im za garderobę.

Finałową galę konkursu, która odbywa się w czerwcu 1995 roku w Warszawie, prowadzi Grażyna Torbicka. Przewodniczącą jury jest polska projektantka z Paryża, Irena Gregori. Gala transmitowana jest w Dwójce, a w jej trakcie występują Justyna Steczkowska, Dariusz Kordek oraz Mariusz Czajka. Główną nagrodą w rywalizacji dwadzieściora dziewcząt i dziesięciu chłopców jest kontrakt z agencją

w Londynie – miesięczny pobyt w Anglii połączony z kursem języka. Wśród uczestniczek finału, oprócz Ani (startuje z numerem siódmym), jest m.in. Joanna Horodyńska oraz inne piękne, a przede wszystkim wyższe od Przybylskiej dziewczyny. Ale to Ania dostaje się do najlepszej trójki. Jest przeszczęśliwa. Rudowską, która ogląda finał na żywo, przechodzą dreszcze. Do stolicy przyjechały dziewczyny z prowincji, bez żadnych układów, a przecież różnie z tym bywa. Gosia siedzi więc w studiu w Warszawie, widzi, jak Ania przebija się do finału, i w pewnym momencie płacze ze wzruszenia.

Twarzą Roku zostaje Marta Kucińska, ale po sukcesie nieznanej wcześniej nikomu Przybylskiej (za awans do najlepszej trójki dostaje złoty łańcuszek i złoty wisiołek) wokół małej agencji Perfect Studio robi się większe zamieszanie. Coraz częściej odwiedzają ją agenci i łowcy talentów. Przyjeżdżają nawet goście z Paryża, którzy też interesują się Anią. Dochodzi do wstępnych rozmów, a Krystyna Przybylska zaczyna się martwić, co to będzie, jeśli jej Ania wyjedzie za granicę, co ze szkołą, co z domem? Ostatecznie Ania się nie kwalifikuje – ze względu na wzrost. Tym razem magia 172 centymetrów nie działa, goście z Francji sami mierzą Przybylską. Wychodzi 170.

Do Gdyni przyjeżdżają też agentki z Warszawy, które stale powtarzają, że Ania jest śliczna, ale musi schudnąć. A Rudowska konsekwentnie odpowiada, że to niemożliwe, bo Ania chce zostać aktorką.

– I któregoś dnia dzwonią do mnie te same kobiety z warszawskiej agencji – opowiada Gosia – i mówią: „Słuchaj, jedna z twoich dziewczyn chciała być aktorką. Właśnie trwa casting dla modelek do filmu Piwowarskiego”

# Chuliganka

Na górze data: „18 listopada 1996” A poniżej:

„Droga Pani Mamo. Właśnie skończyliśmy zdjęcia z Anią. Pamiętając o Pani zaufaniu, z jakim oddała nam Pani córkę, chcę Panią zapewnić, że go nie zawiedliśmy. Oddajemy Anię całą i zdrową – i być może jeszcze trochę mądrzejszą. Mam nadzieję, że ta przygoda nie odbije się na jej maturze. Z pracy z Anią jestem bardzo zadowolony. Utwierdziła mnie, że dokonałem dobrego wyboru. Przez cały czas była miła, zdyscyplinowana, grzeczna. Cała ekipa bardzo ją lubi. Na ekranie wygląda bardzo dobrze. Jest zdolna, choć nie można jeszcze powiedzieć, że jest aktorką. Rozstajemy się w przyjaźni. Będę o niej pamiętał. Życzę Pani zdrowia, gratuluję córki”

Podpisane – Radosław Piwowarski.

•

Piwowarski (wtedy lat czterdzieści osiem) wciąż jest modnym reżyserem. Ostatnie jego filmy: *Kochankowie mojej mamy* i *Marcowe migdały*, potwierdziły jego mocną pozycję w polskim kinie. Dlatego na casting do jego nowego filmu przychodzą tłumy – popularnych aktorek i tych, które dopiero marzą o statusie gwiazd. Mają jeszcze jeden powód: Piwowarski znany jest z tego, że daje szansę nieopatrzoną aktorom, odkrywa ich, kreuje gwiazdy. Tak było chociażby z Joanną Pacułą, która zagrała w jego filmie *Córka albo syn*, czy Katarzyną Figurą, która po *Pociągu do Hollywood* postanowiła spróbować swoich sił za Atlantykiem. Więc kiedy urządza przesłuchanie (casting to wciąż nowe słowo, polszczyzna nie wchłonęła go jeszcze), warto się pokazać. To jest szansa, to może być „ten moment”. I rzeczywiście – próbne zdjęcia do *Ciemnej strony Wenus* zmieniają się

w zlot świetnych i ślicznych dziewczyn.



Agnieszka Wagner i Anna Przybylska, kadr z filmu *Ciemna strona Wenus*



Reżyser Radosław Piwowski na planie



Piwowarski nie pamięta, żeby kiedykolwiek wcześniej czy później tyle ich widział. Przyjechali wszyscy, a do tego agenci, ich narzeczone, wiadomo, jak jest. Sto pięćdziesiąt pięknych dziewczyn z całej Polski i raptem w tym całym tłumie, wśród długonogich blondynek z warszawskich salonów pojawia się taka dziewczyna, jakby zupełnie spadła z kosmosu. Włosy krótkie na trzy centymetry, wielkie, zmysłowe usta, na nogach martensy. I mówi jak Jan Himilsbach – głosem z warszawskiej Pragi raczej niż z Żoliborza.

– Lubię zdjęcia próbne, zawsze podchodzę do nich z sercem – opowiada Piwowarski. – Nie patrzę tylko na to, kto jak wygląda, ale staram się znaleźć coś więcej. Dlatego często każę aktorom łączyć się w pary i odgrywać scenę. Bo wtedy lepiej widzisz, kto bardziej, a kto mniej kapuje, masz porównanie. Anka właśnie tym wygrała. W tym, co robiła, była nie tylko szczerą i naturalną, ale właśnie doskonale kapowała, o co mi chodzi.

Reżyser jest zachwycony, ale jednocześnie bije się z myślami. Dookoła tyle pięknych dziewczyn, a tu takie... dziwadło. Chce z nią jeszcze porozmawiać, tak już poza castingiem, poza wyuczoną kwestią. Ania z jednej strony jest wtedy bardzo grzeczna, a z drugiej strony widać, że to chuligan. I dobrze.

– To była historia na jedną gwiazdę aktorską, którą został Janek Englert, na piękną kobietę, a zarazem Matkę Polkę, którą zagrała Agnieszka Wagner, i na jakąś młodą chuligankę – wspomina Piwowarski.

Tę chuligankę, która specjalnie dla roli jeszcze krócej ścina włosy, nazywa w filmie Suczką. Potem żałuje, że tak zrobił, po latach przyznaje, że to głupio brzmi. Ale wtedy najwyraźniej panuje w polskim kinie moda na bezimienne nastolatki o szemranej reputacji. Rok wcześniej na ekranach szaleje Włoszka z *Szamanki* Żuławskiego – dziewczyna z nizin społecznych, mająca problemy z konstruowaniem składowych zdań, daje się uwieść aroganckiemu inteligentowi, by go na końcu zabić i wyjeść jego mózg łyżeczką. Dopiero po dwudziestu latach od piramidalnej katastrofy tego filmu krytycy zobaczą we Włoszce uosobienie żarłocznego polskiego kapitalizmu i jego związków z elitami intelektualnymi kraju. Suczka u Piwowarskiego nie szokuje może

w takim stopniu, ale też coś uosabia. Pojawia się na ekranie, by rozwalić tradycyjne małżeństwo z wyższych sfer. On jest dyrygentem celebrytą, ona piękną żoną przy mężu i pochodzi „ze starej patriotycznej rodziny, dla której istnieją pewne wartości: ojczyzna, dom, sztuka”. A Suczka – ta trzecia – nie ma najwyraźniej żadnych korzeni i zamiast słuchać o ojczyźnie i sztuce, słucha – jak powiedzieliby bohaterowie *Szamanki* – „Guns N’Roses *und* Liroy”. W praktyce okaże się jedyną sympatyczną postacią z filmu.

Choć od pierwszej chwili reżyser właściwie wie, że do roli Suczki pasuje mu Przybylska, musi się upewnić. Idzie do Janusza „Kuby” Morgensterna, szefa Studia Filmowego „Perspektywa”, legendarnego reżysera *Kolumbów* i *Stawki większej niż życie*, którego film *Trzeba zabić tę miłość* Martin Scorsese uznał za arcydzieło. Autorytet. Pokazuje mu wszystkie zdjęcia. Układają je koło siebie: Englert, Wagner i wystrzyżona Przybylska. Morgenstern mówi tylko: „To jest zestaw idealny”. Nie mógł powiedzieć nic innego. Przecież kiedy trzydzieści dwa lata wcześniej kompletował obsadę do jednego ze swoich najgłośniejszych filmów, *Jowity*, do głównej roli wybrał Barbarę Kwiatkowską-Lass, dziewczynę o hipnotyzujących oczach. Wystarczy położyć obok siebie ich zdjęcia. Jak siostry.

Ania dostaje tym samym swoją pierwszą rolę – wygrywa wyjątkowo oblegany casting u modnego reżysera, choć sama nie do końca kojarzy Piwowarskiego.

– Nie wiedziałam, że to ten od *Pociągu do Hollywood* – wspomina potem w jednym z wywiadów. – Patrząc, jakiś wariat w koszuli, nie wiem, dlaczego wokół niego mizdrzą się te wszystkie znane modelki<sup>[14]</sup>.

•

Krystyna Przybylska trafia do szpitala z podejrzeniem wirusowego zapalenia opon mózgowych. Fatalna wiadomość, godziny na szpitalnym łóżku ciągną się w nieskończoność. Aż któregoś dnia drzwi szpitalnej sali otwierają się z hukiem, wbiegają mama Krystyny – Danuta, jej siostra Ela oraz oczywiście Ania. Zdyszana. Ania ściska w rękach faks,

który niedługo wcześniej przyszedł do biura Rudowskiej. Krzyczy, że dostała rolę, a konkretnie, że „załapała się do filmu”

„Jesteś naszą Suczką i zapraszamy cię do Warszawy” – przeczytała w faksie.

U Krystyny natychmiast odzywa się niepokój. Niby się cieszy, chce, żeby córka spełniła marzenie, a z drugiej strony ma przed oczami ten dziwny aktorski świat. „Gdzie tam moja Ania?” Przecież ona ma się teraz szykować do egzaminów, zaczęła właśnie klasę maturalną. Siostra Krystyny, Ela, już wtedy, w tym szpitalu, mówi jednak: „Słuchaj, puścisz ją, będziesz żałowała. Nie puścisz – też będziesz żałowała. Ma dziewczyna szansę, niech spróbuje”

Krystyna próbuje się jeszcze tłumaczyć brakiem pieniędzy, tym, że jest wdową, a trzeba będzie płacić za bilety do Warszawy i pobyt w stolicy. Ania ma łzy w oczach, ale z pomocą znów przychodzi ciocia: „Ja jej dam na ten bilet. I wsadzę ją w pociąg”. Ten pierwszy bilet kolejowy wróci po jakimś czasie do Eli – oczywiście z autografem Anny Przybylskiej.

Faks z Warszawy dla wszystkich jest zaskoczeniem, wszyscy już zapomnieli o castingu, nawet Ania. Aż tu nagle taka wiadomość. Pojawia się jednak problem – przyszła Suczka jest niepełnoletnia. Osiemnaście lat skończy dopiero 26 grudnia, a zdjęcia trzeba zacząć wcześniej. I podpisać umowę. Nie obejdzie się bez zgody mamy. Piwowarski wsiada więc do samochodu i z producentem Jerzym Kajetanem Frykowskim jadą do Gdyni. Przed wyjazdem ustalają, że wykorzystają okazję i kupią w hali targowej trochę ryb. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

Piwowarski: – Pojechaliśmy do Gdyni, jakaś dziwna dzielnica, właściwie przedmieścia, szeregowie wille, ledwo otynkowane. Dom Przybylskich musiał być świeżo ukończony, to było widać. Kierowcę wysłaliśmy na halę po ryby, a sami dzwoniemy do drzwi. Otwiera nam niewysoka kobieta, po chwili za jej plecami pojawia się Ania – długa, piękna – i oznajmia: „Mamo, panowie z filmu przyjechali”. Wchodzimy do środka, tam spotykamy kolejną kobietę, siostrę Ani. Myślę sobie – gdzie my jesteśmy?

Piwowarski najpierw chwali Anię za zdjęcia próbne, podkreśla, że nie do końca nauczyła się tekstu, który dostała, ale za to genialnie go

zinterpretowała, po prostu zagrała. A potem wyciąga na stół scenariusz *Ciemnej strony Wenus*. Przesuwa go w stronę Krystyny i prosi, żeby może najpierw przeczytała, bo to będzie film dla dorosłych, z odważnymi scenami, także z udziałem jej córki. Żeby potem nie miała pretensji.

Mama Ani spogląda Piwowarskiemu głęboko w oczy, z powrotem przesuwając scenariusz w jego stronę i mówi tylko: „Od dziecka chciała być aktorką, na drodze jej nie stanę”. Po chwili bez czytania podpisuje zgodę na udział niepełnoletniej córki w filmie. Piwowarski musi tylko solennie obiecać, że będzie się nią opiekował, że włos jej z głowy nie spadnie. Reżyser uspokaja Krystynę, prosi, aby się nie denerwowała, a w pewnym momencie obiecuje nawet, że za każdym razem odbierze Anię z dworca w Warszawie, a potem ją na ten dworzec odstawi. I jeszcze wsadzi do pociągu. Zapisali to nawet w umowie – potem rzeczywiście tak jest: kiedy Ania dojeżdża z Gdyni do Warszawy, na peronie czeka już kierowca, który zawozi Przybylską na plan zdjęciowy. Czasami tym kierowcą jest sam Piwowarski. W drugą stronę podobnie – Piwowarski lub ktoś z ekipy odwozi Anię na dworzec, wsadza do pociągu, a następnie dzwoni do jej matki i zapowiada, o której pociąg ma dojechać do Gdyni. Co więcej, to Piwowarski dba zawsze, by Ania na podróż powrotną miała ze sobą drożdżówki lub najlepiej kanapki. Kupuje je gdzieś przy dworcu, czasami kanapki robi sam. I chociaż Ania wcale ich nie chce, wciska jej prowiant na siłę i mówi: „Masz, trzymaj, powiedz, że dostałaś, jakby mama pytała”. Albo radzi, żeby zjadła kanapki dopiero koło Działdowa, bo wtedy nie dojedzie do domu głodna.

Piwowarski traktuje Anię po ojcowsku, ale nie tylko głaska. Siostra Ani, Agnieszka, przypomina sobie, że w trakcie zdjęć do *Ciemnej strony Wenus* Przybylska „dostała od Piwowarskiego po dupsku”. Dzieje się to przy zdjęciach do sceny, kiedy Przybylska i Wagner spotykają się na mieście, a Ania jeździ wtedy na rolkach. Te rolki dostaje zresztą od produkcji, ma ekspresowo nauczyć się na nich przynajmniej się nie przewracać. Ale Przybylska po kilku dniach śmiga na rolkach bez żadnych problemów. Kosztuje ją to trochę zdrowia (poobijane zwłaszcza pośladki oraz uda) i nerwów. Jednak podczas zdjęć i tak są kłopoty. Klaps od Piwowarskiego jest konkretnie za to, że Ania cały czas jeździ

na tych rolkach przed kamerą tak, że zasłania Wagner. I trzeba kręcić dubla za dublem.

Piwowski: – Trzymałem ją krótko. Jak trzeba było – ochrzaniałem. Raz się nawet popłakała, bidulka.

W. 18. XI. 96.

DROGA PAMI MAMO.

WŁAŚNIE SKOŃCZYLIŚMY ZDJĘCIA Z ANIĄ. PAMIĘTAJAL O PAMI ZAUFANIU, Z JAKIM ODDAŁA NAM PAMI CÓRKĘ, CHCĘ PAMI ZAPEWNIĆ, ŻE GO NIE ZAWEDELIŚMY. ODDAJEMY ANIĘ CAŁĄ I ZDROWĄ - I BYĆ MOŻE JEŠCZE TROCHĘ MADRZEJSZĄ. MAM NADZIEJĘ ŻE TA PRZYGODA NIE ODBIJE SIĘ NA JEJ MATURE. Z PRACY Z ANIĄ JEŠTEM BARDZO ZADOWOLONY.

UTWIERDZIŁA MNIE, ŻE DOKONAŁEM DOBREGO WYBORU. PRZEZ CAŁY CZAS BYŁA MIŁA, ZDYSZYPLI-  
NOWANA, GRZĘCZNA. (ALEA EKIPT B.) JA LUBI  
NA EKRAŃ WYGLĄD B. DOBRZE. JEŠĆ ZDOLNA  
CHOĆ NIE MOŻNA JEŠCZE POWIEDZIEĆ ŻE JEŠĆ AKTORKA  
ROZSTAJEMY SIĘ W PRZYJĘCI. BĘDĘ O NIEJ  
PAMIĘTAŁ.

ŻYCIE PAMI ZDROWIA, GRATULUJĘ CÓRKI.

R. Piwowarski

List, jaki Radosław Piwowarski wysłał Krystynie Przybylskiej po zakończeniu zdjęć do Ciemnej strony Wenus

– Ania traktowała mnie trochę jak ojca. A ja ją jak córkę – kontynuuje reżyser. – Przyszła raz do nas do domu na obiad, siedzimy przy stole z żoną i synami – i ona od razu mówi, że to jej bracia, że tak się tutaj czuje jak w domu. Potem, po latach często mówiła o mnie „mój filmowy ojciec”. To był dla mnie prawdziwy komplement. A na planie zawsze zwracała się „reżyserze kochany”

W wywiadach podkreślała nawet, że to „reżyser przez duże R”

W jednej ze scen dochodzi do kłótni między Suczką (Przybylska) a Ewą Rosner (Wagner). Wagner ściąga kołdrę z leżącej na łożku Przybylskiej. Dziewczyna jest naga, widać jej piersi. W pierwszej wersji mają się rozebrać obie aktorki, ale ostatecznie staje tylko na Przybylskiej.

Tuż przed tymi zdjęciami Ania dostaje krwotoku z nosa. Tak się denerwuje. Wygląda to strasznie przejmująco, nawet Piwowarski jest poruszony. Przecież Ania ma wtedy niespełna osiemnaście lat. Przez cały czas, kiedy wcześniej rozmawiali o tych momentach filmu, Ania nie pisnęła słowa, ale najwyraźniej bardzo wszystko przeżywa. Przed samym ujęciem bierze Piwowarskiego na bok i pyta: „Panie reżyserze, czy koniecznie muszę się rozbierać? Może mogę chociaż zagrać w majtkach?”

– Mówię jej: „Dobra, pokazuj te majtki. Jakie masz?” A ona mi odpowiada: „W niezapominajki”. Choć widziałem, że jest przejęta, parsknąłem śmiechem. Ale powiedziałem jej, by grała w tych majtkach. Dopiero wtedy się rozluźniła, zaczęła się wygłupiać. Znalazła jeszcze jakieś drugie majtki, które dla śmiechu zakładała sobie na głowę. Cała Anka, totalne wygłupy – wspomina Piwowarski.

Przybylska: „Panicznie się jej [tej sceny] bałam, choć zgodziłam się ją zagrać, bo była ważna dla filmu. Mocno wspierała mnie przy niej Agnieszka Wagner. Nie byłam całkiem naga, miałam na sobie kuse majteczki, których nie widać w filmie. I zaraz po zakończeniu zdjęć zakładałam szlafrok”<sup>[15]</sup>.

Piwowarski: – Kiedyś sceny rozbierane były w filmie atrakcyjne, teraz już nie są. Jest internet, pornografia na wyciągnięcie ręki. A kiedyś młodzi ludzie szli do kina między innymi po to, by zobaczyć choć

kawałek cycka. To była atrakcja. Nie będę ściemniał: starałem się z tego korzystać w filmach, zwłaszcza jeśli miałem ładną dziewczynę, która ma co pokazać, nie wstydzi się swojego ciała. Ale taką scenę wcale nie jest łatwo pokazać – tak, żeby była erotyczna, ale jednocześnie nikogo nie uraziła. Pogonie, strzelaniny, morderstwa – to każdy może zrobić. Ale już zrobić ładnie scenę miłosną – to jest trudniejsze, zaczyna się wyzwanie. Oddzielny temat to, jak namówić aktorkę na taką scenę, bo przecież każda dziewczyna to inna historia. Z Anią trzeba było postępować szczególnie delikatnie. Osiemnaście lat! Jak ją rozebrać i nie zranić? Okazało się, że ona ma najlepszy na to sposób: dystans.

•

W ostatnim dniu swoich zdjęć do *Ciemnej strony Wenus*, w swojej ostatniej scenie, Przybylska znów stoi na tej samej ulicy przed willą Rosnerów. Znów słychać dzwonek domofonu, kamera ponownie najjeżdża na dziewczynę z ogromnymi oczami, wielkimi ustami, ubraną w czarną wełnianą czapkę i bordowy sweter. Tym razem przed dom wychodzi do niej Englert.

– Słucham panią.

– Ja do Ewy.

– Żona śpi.

– Max?

– Proszę?

– To ty?

– Przepraszam, a my się znamy?

– Chyba nie. Proszę oddać to żonie. Bardzo się polubiłyśmy, ale ja wyjeżdżam.

Przybylska stawia na ziemi pudełko z kotem, a następnie biegnie ulicą w kierunku czekającej już taksówki.

Wtedy, podczas tych ostatnich zdjęć, Ania jest już zupełnie inna niż na początku pracy przy filmie – wyluzowana, opowiada dowcipy przy całej ekipie. Cały team ją uwielbia, zresztą – jej nie da się nie lubić. A kiedy oznajmia, że będzie już wracać, Piwowarski wyrywa jedną



kartkę ze scenariusza i pisze na niej list do pani Krystyny...

– Kiedy zobaczyłem ją w *Ciemnej stronie Wenus*, pomyślałem: „Kto to, kurde, jest?”. To samo miał zresztą Olaf Lubaszenko, zastanawialiśmy się, czy ona jest żywa, czy ją może wygenerowali komputerowo? – zdradza Cezary Pazura. – Matko kochana, przecież ta dziewczyna to było zupełne objawienie. Gdzie oni taką znaleźli? Ile szukaliśmy takich dziewczyn na castingach z Maćkiem Ślesickim, ile się naszukał Wajda czy inni reżyserzy. A tu nagle – bach, Piwowarski wyhaczył coś takiego. Wszedł do lasu, dookoła same muchomory albo co najwyżej podgrzybki, wszystko oszustwo, aż tu nagle taki prawdziwek – zdrowy korzeń, zdrowa głowa, wszystko super. A potem jeszcze zaczynasz kroić i widzisz, że nierobaczywy. Myśleliśmy jeszcze ze znajomymi: „Eeee, to pewnie tylko kolejna małolata. Zagrała jedną rolę i słuch o niej zaginie”. Bo u nas tak to najczęściej było z tymi pierwszymi, nazwijmy to dziecięcymi jeszcze, rolami. Ale potem widzę, że ta małolata pokazuje się w serialu, kradnie serca, jest o niej coraz głośniejsza. I ci sami znajomi mówią mi już inaczej: „Ty, ale ona gra! Po prostu zawodowo”.

Pazura tłumaczy, że tajemnica grania filmowego polega na tym, aby zachowywać się przed kamerą zupełnie naturalnie. Niewiele osób to potrafi. Bo kiedy już się pojawia kamera, nagle zaczynasz zmieniać głos, inaczej patrzysz, zaczynasz się zachowywać inaczej. A Przybylska miała umiejętność ignorowania włączonej kamery.

Już w trakcie zdjęć do *Ciemnej strony Wenus* Ania nieraz przychodzi do Piwowarskiego i pyta: „Reżyserze kochany, a czy ja nie powinnam pójść do szkoły aktorskiej?”. Odpowiedź za każdym razem jest taka sama: „Nie, to bez sensu, zabiorą ci najlepsze lata. Stracisz je na tym, jak należy prawidłowo wymawiać słowo »jabłko« albo »z daleka do bliska«”.

Piwowarski: – Już później mówiłem jej, że tydzień na planie *Złotopolskich*, granie z takimi aktorami jak Paweł Wawrzecki, Henryk Machalica, Ewa Ziętek, Alina Janowska – to jakby semestr w szkole aktorskiej.

Przybylska opowiadała w wywiadach, że w klasie maturalnej przygotowywała się nawet do egzaminu na warszawską akademię teatralną (wtedy jeszcze Państwową Wyższą Szkołę Teatralną), ale zanim zdała maturę, przekonała się, że można być aktorką także bez szkoły. „Żadna szkoła nie da mi tego, co praktyka na planie i kontakt

z aktorskimi znakomitościami” – mówi. I wymienia znakomitych artystów, którzy też nie byli w szkole aktorskiej: Beatę Tyszkiewicz czy Daniela Olbrychskiego. W tym jednak się myli, a może po prostu woli pewne sprawy widzieć po swojemu: zarówno Tyszkiewicz, jak i Olbrychski studiowali na PWST, choć ze zmiennym szczęściem. Ale pytana później, jak się czuje, oglądając siebie po latach w *Ciemnej stronie Wenus*, odpowiada krótko: „Dramat”

## Zalakowana

Kiedy Ania jeździ do Warszawy na zdjęcia do *Ciemnej strony Wenus*, nie zatrzymuje się w hotelu, a w mieszkaniu ciotki Haliny i wujka Włodzimierza, w bloku na Powsińskiej 70 na Sadybie. To jeden z warunków zgody Krystyny Przybylskiej na udział jej córki w filmie. W mieszkaniu wujostwa Ania dostaje swój pokój, w którym wieczorem sama rozkłada brązowo-kremową kanapę, ścieli ją, i to jest jej żywioł, jej królestwo. Choć w mieszkaniu na Powsińskiej tylko bywa. Często na zdjęcia trzeba bowiem wstać już o czwartej trzydzieści lub piątej rano, do domu Ania wraca najwcześniej koło osiemnastej, a zazwyczaj sporo później.

Wstaje rano, ścieli kanapę, pościel wynosi na balkon, a potem wychodzi na paluszkach. Przed blokiem czeka już na nią taksówka, która wiezie ją na Woronicza albo Chełmską. Wieczorem, gdy wraca, często jest tak, że je kolację i od razu pada ze zmęczenia. Ale są też wieczory, kiedy sama rzuca się do robienia wszystkim kolacji. Przygotowuje kanapki, kroi sałatę, uczy ciotkę, do czego użyć oregano, proponuje jej kieliszek wina. Po kolacji sprząta i zmywa. A gdy zdarza jej się wrócić wcześniej, to zawsze z ciastem. W razie potrzeby wie też, gdzie jest żelazko i deska do prasowania.

Ania ma na Powsińskiej dwóch adoratorów – Marcina i Maćka. Są w nią wpatrzeni, a może nawet zakochani w niej. Obaj przystojni, dobre chłopaki, w jej wieku. Najbardziej zdeterminowany jest Marcin. Przybiega kiedyś do jej ciotki i mówi: „Kupiłem dwa bilety do kina, może wstawiłabyś się za mną, ciocia, u Ani?” „Marcin, co cię będę oszukiwać – nie masz szans.” „Ale ciociu, ja bym ją na rękach nosił!” Jak na rękach, to co innego. Ciocia idzie do Ani, opowiada jej o Marcinie i biletach, ale Ania zawsze odpowiada to samo: „Ciociu, nie dam rady, nie mam siły”

Maciek też próbuje podchodów i – nie wiadomo dlaczego – on też przychodzi najpierw do ciotki. „A gdybym tak kupił kwiatki, to

spodobałoby się jej, przyjęłaby je?” „Nie wiem, Maciek, skąd mam wiedzieć? Idź i spróbuj”. Ale po kolejnych próbach Ania kwituje: „Skoro oni tak do ciebie latają, i to w mojej sprawie, to powiedz im, żeby nie zauracali sobie mną głowy i tobie też dali spokój”.

Kiedy jest w Warszawie i wraca ze zdjęć na Powsińską, nie wychodzi wieczorami z domu, z nikim się nie umawia. Tłumaczy, że jest zbyt padnięta, naprawdę dużo pracuje. Czasami ktoś do niej dzwoni, mężczyźni, na numer stacjonarny, ale kiedy ciocia podnosi słuchawkę, to mówi, że Ani nie ma w domu. Oczywiście na jej życzenie. Ania nie chce wychodzić nawet z koleżankami czy kolegami z planu. Czasami ciocia ją wygania, gani, że siedzi na Powsińskiej jak w jakimś lesie, ale ona odpowiada, że tak jej dobrze, że może sobie wyciągnąć ręce i nogi i trochę odpocząć.

Kiedy Ania mieszka u cioci i wujka, ich syn Witek ma już rodzinę i dziecko. Ania często mu powtarza: „Witek, po co ty się tak szybko ożeniłeś? Masz fajnych rodziców, fajny dom, a wpakowałeś się w te pieluchy”. A Witek się odgryza: „Oj Ania, nawet się nie obejrzyś, a też będziesz to wszystko miała”.

•

Gdy próba kostiumów do *Ciemnej strony Wenus* mocno się przeciąga, po jej zakończeniu Piwowarski uznaje, że osobiście odprowadzi Anię do domu. Jest ciepły, przyjemny wieczór, Piwowarski idzie przez miasto z młodzieńką dziewczyną, która patrzy na niego z nabożeństwem. Reżyser stara się ją rozluźnić, próbuje być młodzieżowy, ale raczej mu nie wychodzi.

– Doszliśmy na miejsce, oddałem Anię w ręce cioci. Wtedy Anka była jeszcze takim dzieciakiem. Kiedy wracałem, uzmysłowiłem sobie, że ten dzieciak zagra u mnie perwersyjną, młodocianą kochankę, która psuje, a nawet burzy ustatkowane małżeństwo – wspomina Piwowarski.

Kiedy reżyser odprowadza Anię do mieszkania cioci, pierwszy i jedyny raz, podkreśla od wejścia, że „oddaję nienaruszoną”. A ciocia na to: „Chyba raczej dobrze zalakowaną. Żartuję. Wierzę panu”.

Piwowarski bardzo też chwali Anię – że przyzwoita, pracowita, posłuszna, zdyscyplinowana, że przy nagrywaniu nie ma z nią żadnych hysterii i dąsów jak z innymi aktorkami.

Halina Zabielska: – Ania dobrze żyła z Piwowarskim, on lubił ją, a ona jego. Cieszyła się nawet wtedy, kiedy ją ochrzaniał. Mówiła tylko „przepraszam” i szybko starała się dostosować do jego uwag.

Przybylska pomieszkuje na Sadybie jakieś dwa lata. W końcu, już grając w *Złotopolskich*, serialu, który przyniósł jej sławę, uznaje, że będzie nocować w przysługującym jej hotelu. Ludzie jednak nadal zaczepiają Halinę – na ulicy albo w sklepie – i pytają, kiedy przyjedzie Ania. Ciocia odpowiada, że teraz to już pewnie nieprędko.

## Chce iść w dorosłość? Proszę bardzo

Ania wchodzi do domu i bez zbędnych wstępów oznajmia, że się wyprowadza. Tak po prostu. Do Jacka.

•

Jacek jest o cztery lata starszy, Ania poznaje go już po zdjęciach do *Ciemnej strony Wenus*. To jej pierwszy poważny partner, który wcześniej był pierwszym partnerem... Gosi Rudowskiej.

Gosia wiąże się z Jackiem w ósmej klasie podstawówki, potem idą razem do liceum. To są jeszcze beztrudne lata. Kiedy się rozstają, nadal mają ze sobą kontakt, w sumie dobrze ze sobą żyją. Któregoś razu Jacek mówi Gosi, że Ania bardzo mu się podoba. Gosia wie, że on też podoba się Ani. W końcu ich ze sobą poznaje.

Swoją decyzję o wyprowadzce Ania oznajmia po kilku miesiącach związku z Jackiem. On mieszka wtedy sam, w mieszkaniu po rodzicach. A Ania, chociaż skończyła dopiero osiemnaście lat, ma już pieniądze (choć niewielkie) z *Ciemnej strony Wenus*, dorabia jako modelka lub hostessa, ale przede wszystkim – ponieważ jeszcze się uczy – dostaje rentę po zmarłym ojcu. Nie są to może wielkie wpływy, ale – przynajmniej z renty po tacie – regularne. Ania jest więc w stanie sama się utrzymać. Mama próbuje ją jeszcze namówić, żeby odkładała na mieszkanie czy samochód albo zainwestowała w złoto, ale Ania nie chce słuchać. Odpowiada sama za siebie, właśnie zagrała w poważnym filmie i jest gotowa spróbować samodzielności.

Dla Krystyny to dramat. Nie wierzy, że córka mówi serio, ale jednocześnie nie jest w stanie przekonać jej, by jednak zmieniła zdanie. Może tłumaczyć, prosić, jednak Ania i tak stawia na swoim. To u niej okres buntu, podważania autorytetów, sprawdzania granic własnych

możliwości, nocnych imprez, kłótni o późne powroty do domu. Pomyłek. Krystyna jest załamana: „Chce iść w dorosłość? Proszę bardzo, w porządku, niech sobie idzie, niech spróbuje!” Ale też liczy po cichu, że Ania zaraz wróci, przeczuwa, że jeszcze za wcześnie na takie decyzje.

Kuzyn Ani, Paweł: – Anka właśnie taka była. Mogłeś do niej mówić nie wiadomo co i ile, a ona i tak musiała sama spróbować. Mogłeś jej opowiadać, że jest jeszcze za młoda, że szybko się sparzy, a ona i tak chciała to sama przeżyć.

Agnieszka, siostra Ani, też nie jest szczęśliwa: – Jacek odciął ją od wszystkich, nawet ode mnie czy Gosi, chciał ją mieć na wyłączność. Kiedy oznajmiła nam, że zamierza się wyprowadzić, byłam w szoku, powiedziałam, że chyba oszalała, jak ona to sobie wyobraża, jak sobie poradzi? Razem z mamą wylałyśmy morze łez, ale mimo to Ania postawiła na swoim. Powiedziała, że chce spróbować, że już zarabia i – oczywiście – że się zakochała. Byłyśmy bezradne. Mówiłam jej: „Ania, nie możesz tego zrobić mamie” Ale ona po prostu się spakowała, tylko najważniejsze rzeczy, i się wyprowadziła. Mama miała wtedy ogromny żal, ale jednocześnie wierzyła, a właściwie czekała, aż córka się opamięta. Bo doskonale wiedziałyśmy, że taka szybka, nieprzemyślana decyzja to musi być pomyłka – wspomina Agnieszka.

Ania nie słucha wtedy starszej siostry, choć w wywiadach podkreśla, że „bardzo ją kocha, liczy się z jej zdaniem i często prosi ją o radę”. Postanawia się wyprowadzić, nawet jeśli „cieszy się, że mieszka z mamą, Agnieszką i jej mężem Grzegorzem, że to rodzina jest dla niej najważniejsza”. To miłością do Jacka Ania tłumaczy fakt, że po liceum nie zdecydowała się na wyjazd do Warszawy i studia w szkole teatralnej. Chce zostać przy nim (ale też przy mamie i siostrze) w Gdyni.

Ale po wyprowadzce czasami zjawia się w domu z torbą na ramieniu. Dzieje się tak, gdy pokłóci się z Jackiem. Ale już następnego dnia wraca. Do mamy przyjeżdża też wtedy, kiedy ma dużo nauki, tłumaczy, że przy Jacku nie potrafi się skupić – „są jak dwie plotkary”, uwielbiają ze sobą rozmawiać.

Już wtedy traktowana jest jako młoda, piękna, warta zainteresowania gwiazdeczka. Udziela pierwszych wywiadów. Nie ma w nich jeszcze ostrożności ani prób ukrycia przed mediami i przed światem. Jest spontaniczna, otwarcie mówi o swoich emocjach, swoim życiu, związku,

kryzysach.

O Jacku:

„Jest ode mnie starszy, bardziej odpowiedzialny i czasami traktuje mnie jak dziecko. Może dlatego, że często rzeczywiście zachowuję się niezbyt poważnie – potrafię wypić wino, a potem radośnie śpiewać, nawet na ulicy, nie zwracając uwagi, czy ktoś na mnie patrzy. Gdy idziemy do restauracji, on przypomina mi, żebym zabrała z domu sweterek, bo może się ochłodzi. A przy obiedzie pilnuje, żebym zjadła surówkę. Jest takim chłopakiem opiekunem. (...) Oczywiście nie jest bez wad, czasami się kłócimy, nawet o nieistotne drobiazgi: że lodówka nie jest domknięta, że ktoś trzasnął drzwiami, że ktoś miał zająć się psem. Uważam jednak, że nawet kochające się i dobrane pary powinny się czasami kłócić, bo to oczyszcza atmosferę. Najgorsze do zniesienia są ciche dni, na szczęście u nas takich nie ma”<sup>[16]</sup>.

O małżeństwie i pieniądzach:

„Czy myślimy o ślubie? Tak, ale nie będziemy się formalnie wiązać, póki nie skończymy szkół. Nie spieszy się nam, bo i tak mieszkamy razem. Choć to bycie na własnym utrzymaniu jest okropnie stresujące. Ciągłe trzeba za coś płacić. Kiedy robią to rodzice, człowiek nie zdaje sobie sprawy z liczby przeróżnych rachunków. Czasem czuję, że pieniądze przeciekają mi przez palce”<sup>[17]</sup>.

O złości:

„Bywam kontrowersyjna. Często łamię konwenanse. Ale wynika to z mojego charakteru, a nie z tego, że chcę być zauważona. Zawsze byłam krzykliwa, śmiałam się głośno. Ostatnio nakrzyczałam na dwie starsze panie, które przysłuchiwały się mojej głośnej rozmowie. Na koniec powiedziałam im: »Co się panie patrzają?«”<sup>[18]</sup>.

O karierze:

„Doskonale wiem, co chcę robić. Jeśli ma się takie marzenie od urodzenia i nagle się ono spełnia, trzeba z tego korzystać. Nie napalam się jednak, że kariera, furora, kasa, bo to raz, że na krótki czas, a dwa, gdybym tak miała myśleć, zdurniałabym już do reszty. Wystarczy, że i tak jestem głupia, to po co bardziej?”<sup>[19]</sup>.



## To jest oburzające

Październik 1997 roku. Festiwal filmowy w Gdyni.

To nie jest dobry moment w historii polskiego kina. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych tego roku w ogóle miało nie być. Po wielkiej powodzi, która zalała Polskę, również przemysł filmowy liczy straty. Żeby je pokryć, Komitet Kinematografii postanawia odwołać gdyńską imprezę. Z pomocą przychodzi Lew Rywin, który dopłaca do festiwalu z pieniędzy Canal+ – jest wtedy jego szefem i jednym z najważniejszych polskich producentów.

Ale nie chodzi tylko o powódź. Polski przemysł filmowy jest w kryzysie, z roku na rok maleje liczba widzów w kinach. Za parę lat zaledwie co dwudziesty widz zapłaci za bilet na polski film. Budżet kinematografii kurczy się, za chwilę osiągnie dno: będzie można za niego zrobić jeden przyzwoity film. Dlatego reżyserzy kręcą głównie dla telewizji. A krytycy? Jeśli chcą pochwalić filmy pokazywane w Gdyni, piszą, że pokazano mniej złych filmów niż zwykle.

To naprawdę nie jest najlepszy czas dla debiutantów.

Tuż po oficjalnej projekcji *Ciemnej strony Wenus* na konferencji prasowej w Czarnej Sali Teatru Muzycznego siedzą obok siebie Radosław Piwowarski, Agnieszka Wagner, Paweł Deląg, Jerzy Kajetan Frykowski oraz Ania Przybylska. Jak na szpilkach, bo muszą wysłuchiwać połajanek krytyków. Piwowarski gra obojętnego, ale jednocześnie zastanawia się, czemu winne jest to dziecko, dlaczego do niej strzelają? W pewnym momencie nie wytrzymuje, wstaje i woła: „Podobał się wam film, nie podobał – trudno, wasza sprawa. Ale zapamiętajcie jedno nazwisko, nauczcie się go na pamięć. Anna Przybylska! To będzie gwiazda”

– Wtedy na festiwalu była taka moda, żeby walić w reżyserów i ich filmy. Konferencja polegała więc na tym, że ktoś wstawał i mówił: „Według mnie pan wyraźnie zaniża loty, w ogóle to jest dno”, i tak dalej – wspomina Piwowarski.

„Radosław Piwowarski (...), postanowił zostać kimś w rodzaju Buñuela – pisał po festiwalu w Gdyni Jacek Szczerba. – Jego film zaczyna się nawet niezłe: młoda żona sławnego dyrygenta przeżywa szok, gdy zjawia się u niej jego jeszcze młodsza kochanka. Potem jednak sen miesza się z jawą, a poziom pretensjonalności i pozornej głębi przekracza nawet normy przyjęte na superliberalnym festiwalu w Gdyni, gdzie wszystkim podoba się prawie wszystko”<sup>[20]</sup>.

Ania na festiwalu pojawia się już z Jackiem. Kiedy aktryzy wychodzą z konferencji, z głów im jeszcze paruje, dookoła błyski i fotoreporterzy, wielkie halo, Ania nie wie do końca, co się dzieje. A tu przed drzwiami czeka na nią przystojny chłopak. I od razu widać, że to jej chłopak – taka ładna z nich para. Ale Jacek ewidentnie nie wie, czy może podejść. Pewnie się boi. Albo Ania mu wcześniej zabroniła. Ale Przybylska też nie wie, jak się zachować, jakby się go wstydziła. Zabawnie to wygląda. W końcu zostaje w towarzystwie Piwowarskiego, bo może to nie jest dobry czas na ściskanie się po korytarzach. I właśnie tymi korytarzami biega potem za reżyserem i dopytuje, dlaczego wszyscy tak strasznie ich krytykują.

Przybylska mówiła potem: „Do końca życia nie zapomnę tej konferencji, byłam totalnie przerażona. Siedziałam tam w tej mojej sukieneczce ze studniówki i przez cały czas powtarzałam w myślach: Proszę, tylko żadnego pytania, żadnego pytania”<sup>[21]</sup>.



14 października 1997 roku, konferencja prasowa podczas 22 Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Ania w towarzystwie Jerzego Kajetana Frykowskiego, Pawła Deląga, Radosława Piwowarskiego i Agnieszki Wagner

Piwowarski twierdzi, że pospieszył się z tym filmem o jakieś dwadzieścia lat: – Zawsze miałem szacunek dla kobiet i ich piękna. W moich filmach kobiety są fajne i atrakcyjne. A tu mnie jakiś diabeł podkusił. Pokazałem tę ciemną stronę kobiety: że czasami jest w niej tyle samo dobra co zła. Stąd ta Wagner, której bohaterka ma w sobie dramaty i wyłażą z niej diabły, stąd Przybylska, „Suczka”, która jest prowokatorem. Wtedy ten film został źle przyjęty, a ja – tak naprawdę – dość mocno to przeżyłem. Ludzie pisali, że to takie gówno, że już nie powinienem w życiu filmów robić. Film o matce Polce, która w marzeniach zdradza męża z robotnikiem, a jemu gotuje na obiad kota, bo on też ją zdradził, okazał się nie do przyjęcia. Dziś tym filmem wygrałbym kilka festiwali.

•

Mimo krytyki na festiwalu w Gdyni i negatywnych recenzji Ania na chwilę zachłystuje się „karierą”. Kiedy tylko film można już obejrzeć (a nawet wcześniej – kiedy rozchodzi się fama, że zagrała w nim Ania), do domu Przybylskich zaczynają się pielgrzymki, głównie młodych dziewczyn albo nawet dziewczynek, mieszkających po sąsiedzku. Wszystkie chcą do „tej Ani z filmu”, dzwonią do drzwi i pytają, czy mogą dostać autograf. Albo dzwonią, a potem uciekają i zostawiają tylko przed drzwiami jakieś maskotki, figurki czy kartki, oczywiście z dedykacją dla Ani i informacją, że są zachwycone, że kogoś takiego znają. Ania wychodzi dać autograf – jeden raz, drugi, trzeci, jedenasty... Aż w końcu przestaje wychodzić.

Siostra jej tłumaczy, że dla tych dziewczyn jest znajomą z podwórka, która pojawiła się w filmie, więc nie powinna się im dziwić. Ale Ania odpowiada, czasami mocno zdenerwowana, że to przesada, że jakieś gówniary ją nachodzą, ona ma swoje życie. I każe Agnieszce mówić, że akurat się kąpie. „Ania, po pierwsze, jest godzina szesnasta. A po drugie – kim ty jesteś? Miałaś epizod w filmie i już się tak zachowujesz? A może to była twoja pierwsza i ostatnia przygoda?” – tłumaczy jej siostra. Ale Ania jest uparta, podkreśla, że musi się teraz skupić na sobie. A poza tym to nie był epizod! Przy jednej z takich sytuacji Agnieszka mówi do mamy, że Ani woda sodowa uderzyła do głowy. Ania to słyszy i naskakuje na siostrę, że ta obgaduje ją za plecami.

– Wtedy nie wytrzymałam – wspomina Agnieszka. – „Obgaduje się szeptem, a ja mówię głośno to, co myślę. Jak chcesz, to mogę jeszcze głośniej, niech cała ulica się dowie, jakie ty cyrki odstawiasz. Zawsze mówiłaś, że ten świat cię fascynuje, że tego chcesz, a co jest teraz?” Ale ona nawet wtedy nie ustępowała. Na szczęście nie trwało to długo, dosłownie moment.

Prawdziwa popularność – a wraz z nią jeszcze więcej zainteresowania ciekawskich, jeszcze więcej próśb o autograf – ma dopiero nadejść. W styczniu 1998 roku rusza emisja pierwszej serii nowego polskiego serialu, *Złotopolscy*. Znajdzie się w nim miejsce również dla Ani

Przybylskiej.

## Cieniej, Anka, troszkę cieniej

Pierwsza polska telenowela – *W labiryncie* – pojawia się na ekranach w tym samym momencie, w którym kraj przeżywa polityczny i gospodarczy przełom. Jest rok 1989, Okrągły Stół, półwolne wybory, wasz prezydent, nasz premier i reformy Balcerowicza, które zmieniają Polskę z obumierającego socjalizmu w poligon liberalnej gospodarki. Tymczasem od grudnia 1988 do czerwca 1991 roku telewizja emituje rozpisaną na 120 odcinków opowieść o pogmatwanych losach pracowników instytutu farmaceutycznego, w świetnej zresztą obsadzie (m.in. Marek Kondrat, Leon Niemczyk, Barbara Horawianka, Marta Klubowicz). Oglądając ich małżeńskie i pozamałżeńskie perypetie, można na chwilę odpocząć od świata za oknem, który zmienia się tak szybko, że niemal z miesiąca na miesiąc trzeba się go uczyć na nowo.

Na kolejne telewizyjne tasiemce trzeba jednak długo czekać. W latach dziewięćdziesiątych na ekranach królują zagraniczne seriale: *Dynastia*, *Santa Barbara*, *Dallas*, *Moda na sukces*...

Trzy pierwsze, jeszcze pilotowe odcinki *Złotopolskich* można obejrzeć w TVP1 w czerwcu 1997 roku w ramach konkursu na nową polską telenowelę. Rywalami są *Klan* i *Zaklęta*. Choć *Złotopolscy* przegrywają z *Klanem*, serial i tak zostaje skierowany do produkcji – *Klan* ma trafić do Jedynki, a *Złotopolscy* do Dwójki. Pilotowe odcinki zostają powtórzone 26, 27 i 28 grudnia, a od 2 stycznia 1998 roku rozpoczyna się regularna emisja nowych. Początkowo serial emitowany jest w piątki i soboty o godzinie dziewiętnastej, później zostaje przeniesiony na soboty i niedziele na piętnastą trzydzieści.

Od odcinka czwartego reżyseruje go Radosław Piwowarski.

„Nastaly nowe czasy i nowa widownia – opowiadał w jednym z wywiadów. – A do mnie zgłosili się Marian Terlecki i Tadeusz Lampka [producenci *Złotopolskich* – przyp. aut.], żebym przyszedł na tydzień do ich serialu i go ocieplił. Bo miałem taką opinię reżysera, który jak się dotknie, to od razu aktorzy lepiej grają, kobiety są piękniejsze i takie

tam. To się nazywało *Złotopolscy*. Poszedłem na tydzień i zostałem dwanaście lat”<sup>[22]</sup>.

– *Złotopolscy* to był fajny serial, zwłaszcza na początku – opowiada dziś. – Miał fantastyczną obsadę, grało w nim dużo gwiazd, był dobrze pisany przez Jana Purzyckiego. Pamiętajmy, że jeszcze wtedy nie było u nas tych światowych wzorców, sztywnych formatów, że akurat w siódmej minucie ktoś się musi całować. Kręciło się to inaczej, z większą swobodą.

Serial koncentruje się na losach rodu Złotopolskich, a właściwie jego dwóch skłóconych ze sobą linii. Głową tej wiejskiej, w której obyczajach kołacze się jeszcze jaśniepańska przeszłość z białego dworku, jest Dionizy Złotopolski (Henryk Machalica). Nie jest wprawdzie dziedzicem, ale sołtysem Złotopolic, za to jego syn, grany przez Kazimierza Kaczorę, Marek, został senatorem.

Dionizy ma dwóch wnuków, z których starszy, Waldemar (Andrzej Nejman), prowadzi gospodarstwo i jest protoplastą przyszłych telewizyjnych rolników, którzy szukają żony. Za to młodszy syn pana senatora, Kacper (grany przez popularnego piosenkarza Andrzeja Piasecznego), to rodzinny buntownik, który rzucił szkołę, uciekł z domu i zmienił nazwisko, by grać w zespole. Jako Kacper Górniak stał się idolem nastolatków.

Siostra bliźniaczka Dionizego, Eleonora Gabriel (Alina Janowska), mieszka w Warszawie. Jej syn Wiesiek (Paweł Wawrzecki) jest policjantem, a jego żona Marta (Ewa Ziętek) prowadzi kawiarnię. Mają syna Tomasza (Piotr Szwed), wiecznego poszukiwacza łatwych pieniędzy. Drugi syn, Mirek (Radosław Elis), to z kolei wzór rodzinnych cnót.

Ania Przybylska pojawia się w odcinku pięćdziesiątym trzecim. Początkowo to niewielka rólka. Gra sierżant Marylkę Bakę, która przyjeżdża do Warszawy ze szkoły policyjnej w Szczytnie, by odbyć praktykę w komisariacie na Dworcu Centralnym. Kiedy jednak pojawia się na ekranie, natychmiast wzbudza ciekawość. Mała rólka zamienia się w dwanaście lat współpracy.

– Chciałem coś z nią zrobić po *Ciemnej stronie Wenus*, czułem, że mam skarb, i to skarb jeszcze niewykorzystany – opowiada

Piwowarski.

•

„Złotopolskim” komisariatem na Centralnym rządzi Paweł Wawrzecki, filmowy Wiesiek Gabriel, syn Eleonory, policjant „z filozoficznym podejściem do zawodu” – jak opisywano jego rolę, w której dosłuży się rangi nadkomisarza. Komisariat nie ma jeszcze pełnej obsady, można więc jeszcze coś zmienić, wprowadzić nowe postaci. Piwowarski kombinuje, jak by tu tę Przybylską dopasować. Przecież nie ma wyjścia – to on zapowiedział, że Ania zostanie gwiazdą, a jej obiecał, że będzie o niej pamiętał. Któregoś dnia w zupełnej tajemnicy ściąga ją do Warszawy. Najpierw prowadzi Anię do garderoby i każe jej przebrać się za policjantkę.

W wytwórni na korytarzu siedzą producent Marian Terlecki i scenarzysta Jan Purzycki. Nagle zza zakrętu wychodzi zjawka. Nie, jednak kobieta. Piękna! Ubrana w mundur, na nogach ma wysokie obcasy. Bez słowa przechodzi korytarzem zaraz obok nich. Terlecki i Purzycki zamierają, też nic nie mówią, a za winklem widać tylko głowę Piwowarskiego, który cedzi przez zęby: „W drugą stronę, z powrotem. Wracaj. Przejdź jeszcze raz” No i Ania przechodzi.

Kiedy Terlecki i Purzycki wreszcie się odzywają, od razu dopytują – kto to jest, jak się nazywa, gdzie gra?

Piwowarski: – „Nigdzie. U mnie gra. To jest nasza nowa gwiazda”. I Purzycki wtedy obiecał, że napisze coś dla niej na próbę. A potem okazało się, że to ona jest królową. Marylka Baka.

Piwowarski bierze ją pod opiekę. Pomaga Paweł Wawrzecki.





Anna Przybylska z Pawłem Wawrzeckim na planie *Złotopolskich*. Zdjęcie wykonano 1 lipca 1998 roku

– Tak, sierżant Baka – zamyśla się aktor. – Pamiętam, że kiedy do nas trafiła, to zwłaszcza na początku nakręciła, co miała nakręcić, i potem mówiła: „No dobra, mamy to, a teraz wracam do Sopotu, bierzemy klatkę piwa i idziemy na plażę”. Klatka piwa – właśnie tak mówiła. I potem, za jakieś kilka dni, wracała do nas taka zmarnowana, opowiadała, jaka piękna pogoda była nad tym morzem. Ale ona była wtedy młodziutka, nie miała nawet dwudziestu lat. Zawodowo była jeszcze prawdziwką.

Przybylska, choć przychodzi jako prawdziwek i jej udział w serialu to z początku zabawa, szybko zyskuje uznanie. Bo aktorsko okazuje się nadspodziewanie sprawna, szybko się uczy. A nawet kiedy próbuje coś zagrać „swoim tekstem”, najczęściej to przechodzi. Sprawdza się świetnie.

– Anka była chłonna, ciekawa. Wysłuchiwała tego, wysłuchiwała tamtego i potem wszystko przerabiała, tak pod siebie – wspomina Wawrzecki. – I to było w porządku. A jak nie chciała słuchać i kombinowała, to mówiłem do niej: „Cieniej, Anka, troszkę cieniej”. A potem już po prostu: „Cieniuj, krowo”. Nie obrażała się, to była tylko gra między nami. Ania to był utalentowany gość. Grała ładnie, raz lepiej, raz gorzej, ale generalnie miała nosa, dobre czucie, taką prawdę w sobie. Jak jej mówiliśmy, że w danej scenie ma skakać, bo się niby boi myszy, ona od razu to grała, od razu jej wychodziło. Niemal zawsze miała wszystko pod kontrolą. Potrafiła słuchać i wyciągać konkretne wnioski. A to cecha ważniejsza nawet niż wyuczone aktorskie odruchy.

Wawrzecki od razu docenia talent Ani, do teraz pamięta, co myślał po ich pierwszym wspólnym ujęciu. Stają najpierw na boku, chwilę przegadują scenę, potem wchodzi na plan i już widać, że to wszystko ma ręce i nogi. Że ta piękna dziewczyna w mundurze nie tylko ładnie wygląda, ale jest też prawdziwa, rozumie, co trzeba zrobić, że to się da polubić.

– Czasami ktoś przychodzi, wkładasz w niego mnóstwo siły, on mówi „aha, aha”, że niby wszystko kapuje, a potem i tak robi po swojemu – ciągnie Wawrzecki. – Dlatego powtarzam, że do tego zawodu trzeba mieć pewien dar, potrafić wysupłać to, co jest istotą, a odrzucić, co miałki. Znaleźć kwintesencję. I Anka to miała.

Przybylska łąpie z Wawrzeckim szczególny kontakt. I to nie tylko dlatego, że w serialu jest jej przełożonym, komendantem posterunku, na którym pracuje sierżant Baka. Czasami wystarczy im tylko jedno spojrzenie i zaczynają się głośno śmiać, nie wiadomo z czego.

W pierwszych odcinkach Przybylska ma grać policjantkę „niby zakochaną” w swoim komendancie, a na pewno w niego wpatrzoną. I tu wychodzi jej siła. Gra oczami i robi to tak naturalnie, prawdziwie, że momentami Wawrzecki aż głupio się czuje.

– Patrzyłem na tę fajowską, śliczną dziewczynkę, ona niby była w roli, ale jakby nie była – przyznaje ze śmiechem.

Z czasem rozmowy Przybylskiej z Wawrzeckim nabierają coraz poważniejszego charakteru. Ona opowiada mu w kółko, że chce mieć swój dom, dużą rodzinę. On wspomina ojca, który zginął tragicznie (w latach sześćdziesiątych został oskarżony w tak zwanej aferze mięsnej

i wykonano na nim wyrok śmierci), o stracie żony czy chorym dziecku.

Wawrzecki: – Mówiłem jej: „Wiesz, Anka, z jednej strony człowiek ma kapitalnie, a z drugiej – sprawiedliwie nie znaczy wcale po równo. Życie cię kopie, nie wiadomo kiedy i jak”

Do Przybylskiej szybko przekonuje się też Alina Janowska. Marylka często przychodzi do jej filmowego domu – w końcu zostanie żoną jej wnuka – mają razem coraz więcej scen, coraz bliżej się poznają. I pewnego dnia Janowska mówi do Ani: „A co ty, dziecko, szkoły nie skończyłaś?” „No, nie” – odpowiada zmieszana Przybylska. A Janowska na to: „Nie przejmuj się, będzie dobrze. Ładna jesteś, zdolna, do tego bardzo ładnie mówisz. Będą z ciebie ludzie”

To właśnie z powodu Aliny Janowskiej Przybylska wraca z planu taksówką, a nie samochodem służbowym, który jest do dyspozycji aktorów. Powód? Ze służbowego auta z kierowcą zdecydowanie najczęściej korzysta Janowska, przekraczając wszelkie limity czasowe. Wsiada do auta, prosi, aby ją zawieźć do domu, ale po drodze chce się jeszcze zatrzymać na zakupy. Dosłownie na chwilę. Po czym znika na kilka godzin. Kierowca czeka i czeka, samochód jest formalnie zajęty i nie może odjechać, bo Alina Janowska zostawia na tylnym siedzeniu swoją torebkę. A przecież nie wiadomo, co ma w środku – klucze do domu, dokumenty, może pieniądze.

Aktorzy, którzy grają z Przybylską: Henryk Machalica, Paweł Wawrzecki, Eugeniusz Priwiezienczew, Anna Nehrebecka, Alina Janowska, Ewa Kasprzyk czy Jerzy Turek, często podkreślają, że prawdziwe szlify aktorskie Ania zdobędzie na planie *Złotopolskich*. „A gdzie i po co ty chcesz iść do tej szkoły, dziecko? Przecież tu masz szkołę, eksternistycznie” – mówią. Przybylska bierze to sobie do serca i któregoś dnia, w przerwie między zdjęciami, pyta głośno, tak z pretensjami: „Kto to wymyślił, że amator może się tytułować aktorem dopiero po trzech latach pracy w teatrze?” Na to odzywa się Kazimierz Kaczor, serialowy Marek Złotopolski: „Cóż, między innymi ja”<sup>[23]</sup>.



W posterunkowej Marylce Bace zakochała się cała Polska



Na planie *Złotopolskich*: Alina Janowska, Ania Przybylska i Piotr Szwed

Kaczor jest wtedy prezesem Związku Artystów Scen Polskich.

Innym razem Ania siedzi w garderobie z dwoma starszymi aktorami – Henrykiem Machalicą i Aliną Janowską, w pewnym momencie wstaje i pyta, czy zrobić im kawę albo herbatę. A oni każą jej siadać i mówią, że nie trzeba, że sami sobie zrobią.

Kuzyn Ani, Paweł Tamberg: – Ania nie wykorzystywała swojej popularności, nie zachowywała się jak gwiazda, bo nauczyła się tego właśnie w *Złotopolskich*. Trafiła przepiękną okazję, że już w tak młodym wieku zaczęła grać z aktorami rozwiniętymi, dojrzałymi, którzy wiedzieli, co to jest szacunek do drugiego człowieka.

W końcu Ania sama artykułuje wszystkie argumenty, by jednak nie iść do szkoły aktorskiej.

Po pierwsze: oblała ustną maturę z biologii, miała poprawkę (za drugim razem zdała bez problemu), a wtedy zaczynały się już egzaminy na studia.

Po drugie: była zakochana, nie chciała zostawić chłopaka w Gdyni, nie wyobrażała sobie rozstania z nim.

Po trzecie: czuła, że skoro wpadła pod skrzydła Piwowarskiego, to może poszczęści się jej bez dyplomu, „przecież on ma dobrą rękę”<sup>[24]</sup>.

W skrócie: Przybylska stawia na dziką kartę.

W pierwszym wariantcie jej rola w *Złotopolskich* jest pomyślana jako epizodyczna. Ania to tylko jedna z aktorek, które przewiną się przez komisariat, może w nim zostanie, a może nie. Powie trzy słowa, wyjdzie na peron – wszystko na zasadzie „zobaczymy, jak jej pójdzie”. Ale wątek Marylki szybko się rozrasta.

Niewiele później scenariusz pisze się już głównie pod nią.

## Ranga uczelni

Kiedy Ania ma już za sobą pierwsze zdjęcia na planie *Złotopolskich*, zostaje przyjęta na studia w Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni. Kierunek – pedagogika obronna. Na dziennych już na pierwszym roku dostaje się stopień marynarza. Jednak na zaocznych, gdzie studiuje Przybylska, nie ma żadnych stopni, na zajęcia przychodzi się w cywilnych ubraniach. Choć do wojskowych wykładowców trzeba mówić „komandorze”, a nie „profesorze”. Podczas zajęć Ania może się dowiedzieć między innymi, na czym polega wychowanie obronne i co dzieje się z marynarzem podczas dwudziestu ośmiu dni zanurzenia. Wystarczy, żeby zostać nauczycielem przysposobienia obronnego albo instruktorem w gminnym czy powiatowym centrum kryzysowym. Ale studencka przygoda, również z powodu udziału w serialu, nie trwa długo – Ani udaje się zaliczyć tylko pierwszy rok. Potem zaczyna się od problemów z informatyką, kolejnych niezaliczonych ćwiczeń, zaległości na uczelni stają się coraz większe, aż w końcu, na drugim roku, Przybylska rezygnuje. Sobie i innym tłumaczy: „Na naukę przyjdzie jeszcze czas. Najpierw się ustawię, potem będę się uczyła”. I rzeczywiście, jest moment, że chce wrócić, ale jej nie wychodzi. Przekłada to i przekłada.

Kiedy Ania jeszcze studiuje, jej mama chodzi na uczelnię, żeby za nią płacić, bo to przecież studia zaoczne. Panie w sekretariacie za każdym razem dziwią się, że matka musi płacić za córkę – „przecież ona gra w serialu, jest w telewizji, zarabia”. A Krystyna zawsze odpowiada: „No zarabia. Ale chcę, żeby dziecko się uczyło, więc jej to zasponsoruję”. Potem, gdy Ania już definitywnie rezygnuje, a w mediach dalej podają, że Marylka studiuje na gdyńskiej akademii, Krystyna spotyka na jednej z imprez szefa kadr uczelni.

– Pani Krysiu, jeśli piszą, to niech piszą – przekonuje ją kadrowy. – Po co prostować? Pani wie, jak to ładnie wygląda, jak to podnosi rangę uczelni?





## A co u Marylki?

Ania wraca z kuzynem Pawłem z Berlina do Gdyni. Jest już ciemno, późno, a do Trójmiasta jeszcze daleko. Paweł prowadzi, chcą być jak najszybciej w domu. Policja zatrzymuje ich, kiedy jadą sto czterdzieści kilometrów na godzinę na odcinku, gdzie można pięćdziesiąt. Dzisiaj Paweł miałby już po prawie jazdy, ale i wtedy nie jest za wesoło. Żadnych możliwości, żeby z tego wybrnąć.

Policjanci zapraszają Pawła do swojego samochodu. Musi najpierw założyć buty, bo lubi prowadzić boso. W radiowozie nie ma dyskusji, w ogóle żadnej rozmowy: automatycznie sześć punktów i kilkaset złotych mandatu. I tak mogło być gorzej.

– No to pięknie, policja policję złapała – rzuca w końcu zrezygnowany Paweł.

– Jak to?

– No, ja z Marylką jadę.

– Z Marylką?

– Tą ze *Złotopolskich*.

Policjanci nie chcą wierzyć, więc tym razem to Paweł zaprasza ich do samochodu. Rzeczywiście – Marylka! Rozmawiają chwilę, policjanci biorą autografy. W Gdyni trwa akurat festiwal filmowy, więc Ania i Paweł zaczynają tłumaczyć, że to na pokaz konkursowy tak się spieszą. To nieprawda, bo Ania wtedy na żaden festiwal zaproszona nie jest. Koniec końców Paweł nie dostaje mandatu, policjanci gratulują mu tylko szybkiej jazdy i jeszcze ostrzegają, gdzie na trasie do Gdyni mogą stać ich koledzy.



Zdjęcie wykonane na planie *Złotopolskich* w lutym 1999 roku

Paweł, dziękując policjantom, obiecuje, że już nie będzie szarżował, choć za godzinę muszą być w Gdyni.

- Jak za godzinę? Przecież to jeszcze ze sto czterdzieści kilometrów.
- Za dwie godziny – szybko poprawia Ania.

•

Kiedy gra w *Złotopolskich*, wszyscy mówią o niej Marylka. Nawet kiedy rodzina czy znajomi dzwonią do mamy, zawsze pytają: „A co tam u twojej Marylki?”. Krystyna ma dla nich tę samą odpowiedź: „U Ani, a nie Marylki. A poza tym to ja mam dwie córki”



Na planie *Złotopolskich* z Agnieszką Sitek, styczeń 2001 roku. Aktorkom ostatnich wskazówek udziela Janusz Dymek, reżyser tego odcinka

Z powodu Marylki mniej zorientowani ciekawscy oblegają też posterunek policji na Dworcu Centralnym w Warszawie. Są przekonani, że spotkają tam sierżant Bakę.

Rudowska: – Ani ta Marylka kompletnie nie przeszkadzała. Mogła być zła, że została zasufladkowana, że wszyscy tak do niej mówią, mogła chcieć zniknąć z serialu, poprosić o scenariusz, w którym zginie pod kartonami. Ale nie. Ona była z tą Marylką dobrze zakolegowana.

Kiedy jednak znajomi podkreślają, że sierżant Baka w *Złotopolskich* to przecież cała Przybylska, ona sama prostuje w wywiadach: „Może jednak nie do końca. Oddaję tej postaci wiele moich cech, gestów, nie jestem jednak taka pokorna i dobroduszna jak ona. Kiedy ktoś mnie zdenerwuje, potrafię być niesympatyczna, a nawet kąśliwa”<sup>[25]</sup>.

Krystyna Przybylska: – Był taki okres, że kiedy dzwoniłiśmy

po taksówkę i podawaliśmy adres, słyszeliśmy w słuchawce: „Aha, do Marylki jedziemy”. Albo w drugą stronę – wracamy z imprezy, wsiadamy do taksówki, rzucamy adres i znów: „O, to do Marylki”. Wszędzie ta Marylka i Marylka.

Na taksówki Ania wydaje zresztą fortunę. Kiedy nie ma jeszcze swojego auta, nie chce jeździć autobusami (wiadomo – Marylka), więc zostaje taksą.

Raz Ania wpada do taksówki i mówi, że za pół godziny musi być na lotnisku, bo inaczej spóźni się na samolot. Taksówkarz tłumaczy, że tak się nie da, że są korki, że o tej porze na lotnisko to minimum czterdzieści pięć minut. Na to Przybylska tak na niego wsiada, oczywiście z odpowiednim wdziękiem, że po niespełna trzydziestu są już na miejscu.

Zresztą na lotnisku też ją znają. Siostra: – Kiedyś odwołali jej lot, próbowała się dostać na inny, ale przedstawicielka linii jej tłumaczy, że niestety nie ma już wolnych miejsc. A Anka na to z tupetem: „Halo, ale koło pilota to chyba jest?”

I miejsce najczęściej się znajduje. Nie tylko dlatego, że chodzi o Annę Przybylską. Ania potem lata już tak często, że zna niemal całą obsługę na różnych lotniskach i z każdym potrafi porozmawiać: „Dzień dobry, a jak tam pani syn? Już lepiej? A jak pani zdrowko?”

Elżbieta Janowska: – *Złotopolskich* oglądała regularnie cała Polska, to był serial na topie, a mi się podobało, że choć lata mijały, nie zmieniała się czołówka. Ania – choć w życiu dorastała i dojrzewała – cały czas była w niej młodziutka.

Popularność Ani i Marylki szybko rośnie, błyskawicznie powiększa się też grono rzekomych przyjaciół, znajomych, koleżanek, koleżanek tych koleżanek, najdalsze kuzynki stają się momentalnie tymi najbliższymi. Wszyscy chcą wszystko wiedzieć. Ludzie przychodzą do Agnieszki do pracy i pytają: „To pani jest jej siostrą?” A ona odpowiada: „Nie, to ona jest moją, bo to ja byłam pierwsza”.

Marylka dostaje propozycję od pisma „Beverly”. Do redakcji będą przychodzić listy w ramach rubryki *Napisz do Ani* i Ania na najciekawsze z nich ma odpowiadać. Oczywiście na łamach. No to odpowiada, a konkretnie robi to jej kuzyn.

Paweł: – Podpisywałem się jako Anna Przybylska. To była niezła

fucha.

Nawet w redakcji o tym nie wiedzą. Najgorzej, kiedy redaktorzy domagają się od Ani, żeby odpisywała „tak po ludzku”, wspierała się historiami z życia, opisywała także swoje doświadczenia. Paweł pisze więc na przykład: „Mój chłopak miał na imię Szymon. Poszłam z nim do kina. Szymon miał zapłacić za bilety, ale nie miał pieniędzy...”

Więcej problemów ma, gdy musi odpowiadać na trudne pytania: „Czy stosując zabezpieczenie w formie tamponu, mogę zejść w ciążę?”

Paweł wspomina, jak Ania przyjechała na jego osiemnastkę, którą organizował wspólnie z przyjaciółką. Imprezę zaplanowano na osiemdziesiąt osób, ale rodzice solenizantów nie zgadzają się, aby przyjęcie organizować w lokalu ani w domu. W końcu staje na ogródkach działkowych, gdzie nawet jest odpowiedni budynek – taki na większe spotkania czy zebrania kółka różańcowego. W dniu imprezy pogoda nie dopisuje, leje i żeby dotrzeć do budynku na działkach, trzeba pokonać drogę pełną błota i kałuż. Ania przyjeżdża na urodziny z Jackiem, swoim chłopakiem. Od wejścia jest wściekła, bo po pięknych półbucikach nie ma już śladu, oboje są ubrudzeni błotem dosłownie po kolana. Ale goście Pawła i jego przyjaciółki nie zwracają na to uwagi. Od razu otaczają Marylkę i zasypują ją gradem pytań. Rozmowa jest zresztą dobrym pomysłem na przetrwanie tej imprezy, bo w jej trakcie wysiadają głośniki i potem udaje się podłączyć tylko miniaturki od komputera. Muzyki właściwie nie słychać.

Przybylska wspomina w wywiadzie, że chyba tylko raz ktoś w jej obecności pobił popularnością sierżant Bakę: „Kiedyś w kinie, w Poznaniu, w pewnym momencie słyszę za plecami, że nadlatuje grupa nastolatków z głośnym okrzykiem uwielbienia. Myślę – oho, lecą – poprawiam włosy, wyjmuję już długopis. Ale ta grupa przebiega koło mnie i leci dalej. Do kogo? Do Gulczasa i Manueli z *Big Brothera* (...)”<sup>[26]</sup>.

Inna historia: „Idę na zakupy, spieszę się, bo trzeba mężowi śniadanie zrobić, a tu taka cyczata prosto spod solarium drze się do swojego faceta: »Patrz, patrz! To ta z *Trzynastego posterunku*«”<sup>[27]</sup>.



Na planie *Złotopolskich*, rok 2001. Ania z Piotrem Szwedese

Przybylską oczywiście uwielbiają policjanci. Zresztą korzystają z tego nie tylko Ania czy jej kuzyn Paweł. Nawet mąż Rudowskiej wozi w samochodzie pocztówki z sierżant Baką i jeśli tylko go zatrzymują, to natychmiast po nie sięga – proszę, panowie, prezent od Marylki, nawet z autografem. Zazwyczaj działa.

Ale raz Ania trafia na służbistę. Jedzie z siostrą, wjeżdżają w ulicę Morską w Gdyni. Na sygnalizatorze jest już późny pomarańczowy, bardzo późny, mimo to przejeżdżają i wtedy zatrzymuje je policja. Oczywiście mandat, punkty karne. To Ania prowadzi. Do gry, jak zwykle, wkracza Marylka: „Ale ja się spieszę na lotnisko, na zdjęcia lecę, do *Złotopolskich*, sierżant Baka”. Ten jeden jedyny raz to nie działa, nie ma mowy. Kara to kara. Ania jest zaskoczona, a zarazem wściekła. Rzuca tylko do siostry: „Kurwa, nie poznał mnie! A może tylko udawał?”

„Zawsze, kiedy zatrzymywała mnie policja, miło sobie

porozmawialiśmy, pośmialiśmy się, kary udało mi się uniknąć. Tylko ten jeden raz – nic nie zadziało. On nawet zdania ze mną nie zamienił, wlepił tylko mandat i pozwolił jechać dalej”<sup>[28]</sup>.

•

Bywa, że Ania bawi się z Pawłem w Sopocie zdecydowanie za mocno. Na tyle mocno, że aż boją się wracać do domów. Mają już ponad dwadzieścia lat, niby dorośli ludzie, ale Paweł oznajmia, że do niego na pewno nie wracają, bo mu „matka nogi z tyłka powyrywa”. Ania podobnie: „Do mnie też nie jedziemy”. Wieczór kończą więc w Hotelu Nadmorskim w Gdyni, po drodze jeszcze kupują alkohol. W hotelu poznają Marylkę, meldują się zresztą na jej nazwisko. Po wejściu do pokoju na ekranie telewizora pojawia się duży napis: „Witamy panią Annę Przybylską”. Rozpoznali, nie rozpoznali, ale im się śpiewać chce. Zawsze im się wydaje, że są bardzo utalentowani muzycznie, a już zwłaszcza, kiedy wracają prosto z imprezy. Problem w tym, że jest już po trzeciej. Zaczynają śpiewać w pokoju, ale błyskotliwie uznają, że po innych pokojach i całym hotelu musi się nieść straszne echo. Zwłaszcza w środku nocy. Mają rację, bo już po chwili zaczyna się stukanie w ściany. Postanawiają więc, że wyjdą na zewnątrz. Ale nie drzwiami, tylko oknem.

– To było chyba pierwsze piętro, kiedy otworzyło się okno, zaraz za nim był akurat taki fajny daszek. I to na tym daszku kontynuowaliśmy nocny koncert – głównie Perfect, na pewno też Kombi. Same szlagiery. Aż dziwne, że nikt wtedy po nas nie przyszedł. A siedzieliśmy na tym daszku dobrą godzinę – wspomina Paweł.

# Jak słyszę „Ania Przybylska”, to zawsze się śmieję

Ania wraca do Gdyni ze zdjęć w Warszawie, wbiega z hukiem do domu i wrzeszczy od wejścia: „Całowałam się z Piaskiem! Całowałam się z Piaskiem!”

•

– Tak naprawdę dopiero dużo później dowiedziałem się, że aktorzy pocałunki tylko udają – wspomina Andrzej Piaseczny, wokalista, młodzieżowy idol, który w *Złotopolskich* gra Kacpra Górniaka. Bo Kacper, chociaż jest wciąż wpadającą w kryminalne i uczuciowe kłopoty gwiazdą pop, zakochuje się w policjantce z Dworca Centralnego.

– Nie byliśmy przecież zawodowcami. Owszem, grałem już wtedy koncerty, występowałem w teledyskach, Ania była po pierwszym filmie. Jakiś kontakt z kamerą już mieliśmy. Ale z tym pocałunkiem to na serio nie wiedziałem, że wcale nie trzeba aż tak bardzo naprawdę. I Ania raczej też nie wiedziała.

– Jak się okazało, że mam się z nim całować, nie mogłam spać z emocji. A Piasek całuje genialnie! – wspominała Ania w jednym z wywiadów<sup>[29]</sup>.

Piwowarski: – Teraz Andrzej to supergwiazda, ale wtedy to był taki chłopczyk, który dopiero wchodził w biznes. Nie mogłem zrozumieć, jak on może śpiewać czy być aktorem, kiedy tak bardzo... sepleni. Zawsze mówiłem: „Andrzej, co ty mówisz? Powiedz jeszcze raz”. A on próbuje: „No, jak pójdziemy tam...” „Kurwa, że jak?”





Ania i Andrzej Piaseczny. Na ten moment czekali widzowie *Złotopolskich*. Młodych aktorów długo zęrały nerwy, ujęcie trzeba było powtarzać

Dla Przybylskiej wspólna scena z Piasecznym to wielkie przeżycie. Bo wokalista jest idolem również dla niej. W jej pokoju na ścianach wiszą jego plakaty. A do tego pocałunek Kacpra z Marylką trzeba powtórzyć kilka razy.

– Radek Piwowarski powtarzał tylko, że już jest nieźle, niemal dobrze, ale jeszcze powtóreczka – wspomina Piaseczny. – Ostatecznie nasz pocałunek rzeczywiście wyszedł bardzo realistycznie, zresztą dlaczego miałyby wyjść inaczej? Pamiętam, że potem przez długi czas zabronili się nam całować. Że to było niby za mocne. Nawet nie pozwolili, żeby nasz romans się rozwinął, później co najwyżej nosiłem Marylce kwiaty. Aż w końcu, czego zawsze żałowałem, rozłączono nas. No, ale *Złotopolscy* lecieli już wtedy w niedzielę w porze obiadu.

Piwowarski: – To nieprawda, że im mówiłem, że jest nieźle. Jak oni

się wtedy bali... Andrzej był totalnie wystraszony, zresztą Anka nie wyglądała lepiej, choć przecież pokazała już więcej w *Ciemnej stronie Wenus*. Ale tu blokada, kompletnie nic. Praca musi iść do przodu, wszyscy czekają, a oni nie chcą się pocałować. Wiedzą, że muszą, że nie ma dyskusji, że ich zaraz reżyser opierdzieli... Ale nic. A jeszcze chwilę wcześniej, kiedy rozmawiałem z nimi osobno o tej scenie, oboje zgrywali chojraka, nic po sobie nie dawali poznać.

Przybylska zaczyna udawać, że but jej się rozwiązał, Piaseczny wymyśla, że światło jest źle ustawione i musi się trochę cofnąć. W końcu się do siebie zbliżają, ale gdzie tam – tylko się ocierają. Za mało. Pierwszy dubel, drugi, trzeci...

– W pewnym momencie zrobiło się to nawet wzruszające – wspomina Piwowarski. – Już nie wiedziałem, czy oni naprawdę tak się mają ku sobie i to ich dodatkowo zawstydzą? Rzadko mi się coś takiego zdarza.

Pocałunek młodych aktorów jest sensacją. Następnego dnia w instytucie, w którym pracuje siostra Ani, drzwi właściwie się nie zamykają. Wszyscy przychodzą na radiologię i wzdychają: „Jezu, co to był za odcinek?” A kobiety dodają: „Boże, pani Agnieszko, jak ja jej zazdroszczę...”

Ania zwierza się potem Małgorzacie Raszek-Zaliwskiej, drugiej reżyserce *Złotopolskich*, że to były jej najpiękniejsze zdjęcia. Z kolei Piaseczny swoją przygodę z Przybylską na planie *Złotopolskich* będzie porównywał do współpracy, już na scenie, z Sewerynem Krajewskim:

– Są takie osoby, które po prostu wchodzi na scenę i są. Niczego nie muszą robić. W *Złotopolskich* wiele scen było ustawianych właśnie pod Anię. Piwowarski sprytnie wykorzystywał jej naturalne walory, innych trzeba było tylko jakoś dookoła rozmieścić. Kiedy Ania wchodziła na plan, wszystko rozgrywało się jakby na jej osi. Jeden człowiek pojawiał się na scenie, a cała aranżacja biegła dookoła niego.

Piaseczny kojarzy Przybylską z roli Suczki w *Ciemnej stronie Wenus*. Piwowarski zaprasza go nawet na premierę tego filmu. To tam wokalista poznaje Anię osobiście, to ich pierwsze spotkanie.

– Odniosłem takie wrażenie, i to nie wtedy, kiedy już się poznaliśmy, ale po obejrzeniu filmu, że to pewnie niezła łobuziara. Taka, która może z człowiekiem zrobić wszystko, wystarczy, żeby się uśmiechnęła. I to,

kiedy już potem pracowaliśmy razem na planie, się potwierdziło.

– Andrzej zawsze był delikatnym człowiekiem i świat filmu nieco go przerażał – mówi ze śmiechem Piwowarski. – Co innego Przybylska. Przyszedł, rozumiesz, taki szczeniak i od razu był ze wszystkimi na „ty”. Już po chwili opowiadała kawały, z których żaden, naprawdę żaden, nie nadaje się do druku. Ale była w tym świetna. W polskim kinie, jeśli chodzi o świńskie kawały, na pierwszym miejscu był zawsze Gustaw Holoubek, na drugim Marek Kondrat, a potem jest walka o trzecie miejsce. Ale jednym z faworytów do trzeciej pozycji mogła być właśnie Anka. Przy niej ludzie zawsze się śmiali. I to nie tylko z jej dowcipów. Ania przynosiła z sobą radość.

Kiedy po latach Piwowarski spotyka się z Danutą Szaflarską, żeby ją zaprosić na premierę, opowiada, kto na pewno przyjdzie. Wymienia między innymi Przybylską. I w tym momencie Szaflarska zaczyna się śmiać. Tak po prostu. Piwowarski pyta: „Tosiu, co się stało?” A ona mówi: „Jak słyszę »Ania Przybylska«, to zawsze się śmieję”.

## Mieć to i to

Na planie *Złotopolskich* Ania podkochuje się w Piasecznym, a w pięknej Przybylskiej podkochują się członkowie ekipy, a także młodszy aktorzy. Na posterunku z Przybylską pracują Maciej Makowski, Arkadiusz Janiczek czy Janusz Onufrowicz. Tych ostatnich łatwo rozpoznać, bo skalą ich zadurzenia jest najczęściej siła nieśmiałości – im bardziej nieśmiały, tym Przybylska bardziej mu się podoba. Ale to działa również w drugą stronę – Przybylska najbardziej skrupowana jest w scenach z najbardziej przystojnymi mężczyznami.

Członkowie ekipy wspominają szczególnie współpracę Przybylskiej z Onufrowiczem. Widać, że strasznie trudno przychodzi im gra blisko siebie, wychodzi to strasznie drętwo, a Onufrowicz ma się nawet Przybylskiej bać.

Marylka ma adoratorów na planie, ale jej najbardziej oddany fan jest poza ekipą. To jeden z fotoreporterów, który regularnie odwiedza bazę *Złotopolskich*, bo rzekomo ma ciągle zlecenia na zdjęcia z planu. Upodobał sobie właśnie Przybylską, która nie za każdym razem leci zmieniać kostium w garderobie, często robi to na szybko za kulisami. I właśnie tam, gdzie przebiera się Przybylska, operuje wpatrzony w nią fotoreporter. Początkowo Ania traktuje go z przymrużeniem oka, ale z czasem staje się coraz bardziej namolny, do tego stopnia, że zaczyna Przybylską najzwyczajniej podglądać. W końcu Ania nie wytrzymuje – tak się na niego wydziera, że od tej pory paparazzi, zanim zrobi jakiegokolwiek zdjęcie, zawsze pyta grzecznie o zgodę.

Zresztą Przybylska w ogóle nie lubi zdjęć przy pracy, nawet kiedy wykonuje je oficjalny fotograf serialu.

Ale na planie *Złotopolskich* z Przybylską są też kłopoty. Zwłaszcza na początku, kiedy młoda dziewczyna zachłystuje się sławą i popularnością. To okres imprez i dyskotek w Trójmieście czy Warszawie. Zdarza się, że Ania przychodzi na plan z wargami jeszcze sinymi od czerwonego wina.

Któregoś dnia Przybylska pojawia się „totalnie na lewą stronę”, błada jak ściana, przyznaje się nawet Wawrzeckiemu, że zaraz „będzie strącać” i „musi dać jej chwilę”. A to już problem. Przekładać zdjęcia, nie przekładać? Przecież wszystko ustalone, czas płynie, kto za to zapłaci? Ania tłumaczy potem w wywiadach, że do matury była wychowywana twardą ręką, więc potem, kiedy uznała, że „już może”, postanowiła trochę „poimprezować”. Zaczęły się „sobotnie balangi”, wyjazdy na weekendy.

Słabsza forma zdarza się zresztą nie tylko jej. Jeśli stan wymaga lekkiej korekty, koledzy tłumaczą, że kogoś rozboleła głowa, żeby zamienić sceny, że za chwilę to dogramy. Ale są też poważniejsze sytuacje. Na przykład – cytując jednego z aktorów – „ktoś dał tak strasznie w torbę”, że nie można z nim pracować.

– Kiedy Anka ten jeden jedyny raz przyszła tak naprawdę zmęczona, straszny jej dałem „opeer” – wspomina Wawrzecki. – „Brawo”, mówię. „Spójrz na siebie. Przecież ty tu przyjechałaś do roboty, a nie ze swoim kołosem na imprezę. Nie możesz tak”. Poprosiłem ekipę, żeby nakręciła najpierw inne materiały, a jej zrobiłem kawę, kazałem się położyć i trochę odrestaurować. Na szczęście szybko do siebie doszła, pozbierała się i jeszcze tego samego dnia dała jakoś radę. A potem, nagle, zrobiła się cholernie rodzinna, dojrzała i odpowiedzialna. Że ona to wszystko ogarniała? Praca, dom, dzieci, wyjazdy. Chciała żyć, chciała mieć wszystko, i to, i to. A w tym zawodzie, który uważała za piękny, nie tak łatwo nad wszystkim zapanować.



Ania z Andrzejem Piasecznym na planie *Złotopolskich*



Kolejne ujęcie z Pawłem Wawrzeckim, 15 stycznia 2007 roku. Tym razem na plan *Złotopolskich* Ania przyleciała z Turcji

•

Podróżująca ciągle pociągami Ania często jest na planie niewyspana, zaszywa się gdzieś wśród dekoracji i próbuje podsypiać, jak tylko ma wolną chwilę. Potrafi zasnąć w okamgnieniu. Kończy zdjęcia w komisariacie, wie, że ma przerwę, więc idzie się zaszyć do sąsiednich pokoi. Najczęściej do mieszkania Gabrielów – w hali zdjęciowej to dwa pomieszczenia za komisariatem – bo tam jest łóżek od groma. Jak nie w łóżku Gabrielów, to „w Złotopolicach”. Drzemka trwa jakieś pół godziny. Ania nie nastawia sobie budzika. Chrapie, więc wie, że kiedy

będzie potrzebna, i tak ją znajdą.

– Potrafię zasnąć w każdym miejscu i o każdej porze – opowiada. – Ale też szybko się regeneruję. Gadam, gadam i nagle, gdy bateria mi się wyczerpie, po prostu zasypiam. Wystarczy mi jednak kilka minut snu i znów jestem nakręcona<sup>[30]</sup>.

•

Na plan *Złotopolskich* z samego rana przyjeżdżają świeże bułki, a właściwie gotowe kanapki. Produkcja jest skromna, nie ma busów z cateringiem i dwa wiadra bułek muszą wystarczyć. Piwowarski, mocą urzędu reżysera, zabrania jednak, aby dzień rozpoczął się od śniadania. Najpierw kręcimy, przynajmniej jedną scenę, i dopiero wtedy wchodzi herbata i bułki. Przybylska dostaje zawsze najlepsze, a przynajmniej jej ulubione – z pasztetem. Kiedy powstaje pierwsza poranna scena, rekwizytorzy przeszukują na zapleczu wiadra z bułkami, żeby odłożyć te dla Ani. A czasami robi to sam Piwowarski. Ręka do wiadra, odwijasz papier i sprawdzasz. Jeśli ser lub szynka – wkładasz z powrotem. Jeśli pasztet – odkładasz dla Przybylskiej.

Piwowarski: – Na jednym z naszych pierwszych spotkań Anka wyjechała nagle z tekstem, który tylko raz słyszałem w ustach kobiety: „Reżyserze, u mnie w życiu na pierwszym miejscu to jest garmażerka”



## Zeszyt wydatków

W trakcie zdjęć do *Złotopolskich*, kiedy Ania jest cały czas w związku z Jackiem, jej relacje z Gosią Rudowską stają się coraz mniej zażyłe. Małgosia rezygnuje w końcu z agencji Perfect Studio, zaczyna pracę w radiu, wreszcie jej kontakt z Anią urywa się zupełnie.

Siostra Ani: – To była nieprzyjemna i niezręczna sytuacja, w grę wchodziły kwestie finansowe. Bo te wszystkie Twarze Roku i *Ciemna strona Venus* były tak naprawdę dzięki Gosi, a potem Ania zupełnie zapomniała jej za to podziękować. Mamie kupiła wtedy przynajmniej wyciskarkę do soków, a Gosia? Mama próbowała nawet Ani tłumaczyć: „Słuchaj, dzięki komuś zostałeś tak wypromowana, ktoś cię tam zawiózł, ktoś się tobą opiekował. Może powinnaś się z Gosią jakoś rozliczyć?”. Ale to i tak się potem jakoś rozeszło.

Rudowska: – Nawet tego dobrze nie pamiętam. Przed startem w Twarzy Roku podpisałam umowę z Anią, a właściwie z jej rodzicami, potem była *Ciemna strona Venus*. Nic z tego nie miałam, ale też się nie dopominałam. A na pewno nie to spowodowało, że nasz kontakt się urwał. Ja zajęłam się po prostu swoją nową pracą, Ania była mocno zaangażowana w związek z Jackiem.

Ania i Jacek są już nawet zaręczeni. On zrywa kwiaty, klęka przed nią i pyta, czy zostanie jego żoną. Ona odpowiada: „Ależ oczywiście!”. Choć potem nie zdążą nawet zaplanować daty ślubu.

Po długich miesiącach bez kontaktu, może minął nawet rok, Rudowska i Przybylska wpadają na siebie na ulicy w Gdyni. Gosia zaprasza ją do domu, oczywiście z Jackiem. Kiedy przychodzą ją odwiedzić, rozmawiają bardzo ogólnie, na zasadzie: „Co tam słytać?”. Ale kiedy w pewnym momencie Jacek wychodzi z pokoju, Ania zdradza Gosi coś, co totalnie zaskakuje Rudowską. Opowiada, że miała propozycję zagrania w filmie *Chłopaki nie płaczą*. Ale musiała odmówić, bo Jackowi się nie podobało, nie popierał tego pomysłu. Rudowska jest w szoku. Na szczęście Ania zaraz dodaje, że właśnie teraz

ma propozycję do *Sezonu na leszcza* Bogusława Lindy. A Rudowska już dobrze wie, co z tym zrobić. Najpierw ją porządnie ochrzania, mówi, że jest po prostu głupia, że z powodu faceta odrzuca propozycję gry w filmie. Zwłaszcza że Ania w tym samym czasie stara się o pracę... w Pizzy Hut w Gdyni. Chce w ten sposób sobie dorobić i dołożyć do utrzymywania wspólnego domu.

– Dobrze chociaż, że jej do tej Pizzy Hut nie przyjęli – wspomina Rudowska.

Gosia mówi do Ani: „Dziewczyno, to jest twoja kariera, twoje życie, twoja przyszłość”. I każe jej jechać na spotkanie w sprawie *Sezonu na leszcza*. Nawet jeśli ma to zrobić po kryjomu.

Przybylska dostaje u Lindy rolę Laski, młodej złodziejki, która wraz z bratem ucieka przed beznadzieją w gangsterkę, a potem, po nie do końca udanym napadzie na bank, chce zwać za granicę z trzyletnim brzdącem, który spał smacznie w ukradzionym przez rodzeństwo mercedesie. Sam Linda gra policjanta po przejściach, którego los rozstrzygnie spotkanie z Laską i jej bratem.

„Tarantino po polsku” – będą pisać krytycy. Nie zawsze przychylnie.

Właśnie w trakcie zdjęć do tego filmu, kiedy Ania wyjeżdża na plan pod Wrocław, zaczyna się psuć w jej związku z Jackiem. Niedługo potem wraca do domu – do mamy i siostry.

Krystyna Przybylska: – Pokazała mi taki zeszyt wydatków, który prowadziła w ich wspólnym mieszkaniu. Niemal identyczny, jaki ja prowadziłam w naszym domu – był zrobiony na wzór. Żaliła się wtedy, że to ona dawała większość środków. Myślę, że kwestie finansowe też odegrały tam istotną rolę i przelały czarę goryczy.

A sama Przybylska ostro komentuje w wywiadzie: – Pierwszy raz w życiu to ja tworzyłam komuś dom. A byłam przecież nastolatką. Ale to był fatalny związek. Ten facet to zazdrośnik, który niczego w życiu nie osiągnął. Ja szłam w górę, zaczynałam grać w filmach, a on nie mógł tego znieść. Ciągłe mi powtarzał: »Nie będziesz tego robiła, nie zgadzam się«. Przez niego odrzuciłam rolę w dwóch filmach. Kiedy zaproszono mnie na zdjęcia do *Sezonu na leszcza*, nie wiedziałam, co wymyślić, by mnie puścić. Wymyśliłam więc, że jadę na dokrętkę do *Złotopolskich*. Pojechałam na dwa miesiące do Wrocławia. Byłam

najszczęśliwsza na świecie, że mogłam się od niego uwolnić<sup>[31]</sup>.

Tuż po rozstaniu z Jackiem Przybylska przychodzi do Rudowskiej i proponuje jej wznowienie współpracy. Mówi, że zaczyna dostawać coraz więcej propozycji i chce, żeby ktoś się tym zajął. Rudowska nie jest przekonana, poza tym ma już swoją pracę, która zabiera jej sporo czasu. Ale wtedy Ania używa ostatecznego argumentu: „Moi rodzice ci kiedyś zaufali, ja też tobie zaufałam. I mimo ostatnich miesięcy nadal ufam. A tym ludziom z Warszawy, którzy teraz do mnie ciągle dzwonią, zupełnie nie”

Gosia musi się zgodzić. Uprzedza tylko, że nie zna się na kinie, świecie filmu. To właśnie wtedy się dzieją: Rudowska bierze na siebie kontrakty reklamowe i współpracę z mediami, Ania deklaruje, że sama zajmie się propozycjami filmowymi, choć wszystkie umowy sprawdza jeszcze Gosia.

## Koniec amatorki

Bogusław Linda, reżyser *Sezonu na leszcza* (rok 2000): – Trochę dostała ode mnie w tyłek, ale to było nieuniknione, bo na początku nie do końca potrafiła wyjść z serialu, nie wiedziała, jak się odnaleźć w filmie. Wychodził z niej brak skupienia, a nawet takie „serialowe lenistwo”. To zawsze kłopot z aktorami serialowymi – myślą, że wszystko im wolno, że tak naprawdę to wystarczy dużo mówić, a jak trzeba – doimprowizować. A w filmie tak nie jest.

•

Ania bardzo się boi przed rozpoczęciem zdjęć, w końcu to „ten Linda” z *Przypadku Kieślowskiego*, *Taty Ślesickiego*, a dla młodej dziewczyny w tym okresie chyba przede wszystkim, co tu ukrywać – Franz Maurer z *Psów* Pasikowskiego. Potem jednak opowiada: „Można powiedzieć, że [Bogusław Linda] niejako »stworzył mnie« na nowo. Powiedział, jak mam być uczesana, ubrana. Przegadaliśmy wiele godzin. Jestem mu za to bardzo wdzięczna”<sup>[32]</sup>.

Mówi też: „*Sezon na leszcza* kręciliśmy w polu kukurydzy. W czasie przerw Bogusław Linda drzemał w leżaku, operator Łukasz Kośmicki odbijał nogą zośkę, a ja robiłam konkurs na liczbę ziaren w kolbie. Magia kina. Wszyscy wsuwamy kanapsony z worka, czyli kanapki z torebki, scenografowie na dwóch linkach przeciągają model boeinga 737, a kobieta ze wsi ryczy: »Panie Lynda, chodź pan na kluski!«”<sup>[33]</sup>.

– Do roli Laski nie robiliśmy castingu, nie mieliśmy żadnych wątpliwości co do obsadzenia w niej Ani. Ona była już po *Ciemnej stronie Wenus*, widzieliśmy ją również w *Złotopolskich*. Szukaliśmy dziewczyny łobuza, a Anka, przy tym swoim niskim, chrapliwym głose i przy tej anielskiej twarzyczce, spełniała wszystkie kryteria. Była

wyszczekana, nie bała się mówić tego, co myśli, taka chuliganka. Idealnie nam to pasowało – wspomina Bogusław Linda, który osobiście zaprowadził Przybylską do fryzjera, aby dopilnować jej stylizacji przed rozpoczęciem zdjęć. – Chodziło nam o to, aby odciąć się od *Złotopolskich*, to była podstawowa zasada, żeby nasza Anka nie była kojarzona z policjantką z serialu. Zresztą potem Ania przyjęła ten wizerunek także w prywatnym życiu, spodobał jej się, chodziła nawet potem ubrana tak, jak przygotowaliśmy ją do roli w filmie.

Kiedy Przybylska zgadza się zagrać w *Sezonie na leszcza*, rozpoczynają się poszukiwania jej partnerów – brata Laski ostatecznie gra popularny wówczas muzyk Gabriel Fleszar, a chłopca, którego zabiera ze sobą rodzeństwo uciekające po napadzie na bank, Dawid Łepkowski. To ta trójka tworzy jeden z dwóch głównych wątków filmu. Drugi rozgrywa się z udziałem Lindy, Mariana Dziędziela (policjanci) i Edyty Olszówki (żona, która odchodzi od bohatera granego przez Lindę).

Linda przyznaje, że praca z początkującą aktorką (Przybylska), piosenkarzem (Fleszar) i kilkuletnim dzieckiem (Łepkowski) była dla całej ekipy dużym wyzwaniem, a nawet „ciężkim zapieprzem”.

Bogusław Linda: – Anka była zdecydowanie najsilniejsza, najbardziej twarda z całej tej grupy. W duecie z Fleszarem to ona nosiła spodnie, on był znacznie słabszy, także fizycznie. Nie dawał rady. Na przykład szybko wysiadały mu nogi – musiał się w tym filmie trochę nabiegać, ale już po piętnastu metrach wołał, że więcej nie może. Choć największe kłopoty i tak były, oczywiście, z dzieckiem. Tam szło już przekupstwo na wielką skalę – żeby tylko zachęcić go do grania, żeby zrobił to, czego potrzebujemy. Codziennie wydawaliśmy więc kasę na cukierki albo plastikowe żołnierzyki, zawsze musieliśmy coś dla niego mieć.



Koniec zdjęć do *Sezonu na leszcza*. Szampana otworzył Bogusław Linda. Obok Ani Gabriel Fleszar

Trudno w to uwierzyć, gdy ogląda się film – Łepkowski jest świetny, zdaniem wielu momentami kradnie show pozostałym aktorom.

Rola w *Sezonie na leszcza* odbiega od późniejszego emploi Ani – to rola dramatyczna. Historia młodych, bardzo pogubionych ludzi, którzy biorą udział w nieudanym napadzie na bank. Poszukiwani przez policję jadą na drugi koniec Polski, by zdążyć na samolot, którym mają uciec z kraju. Pierwsze przestępstwo pociąga za sobą kolejne. Ale oglądając film, trudno im nie współczuć.

– Ale zagrała bardzo fajnie, sama się zresztą dziwiła, że tak jej to wyszło – wspomina Linda. – Na naszych oczach przemieniała się z amatorki w dojrzałą aktorkę, kombinowała na planie, próbowała coś dodawać od siebie. Zresztą scenariusz napisał Wojtek Smarzowski, więc nie było zmiłuj. Nie za dużo w nim dialogu, trzeba było grać emocjami.

Jak Linda wyzwał u Przybylskiej skrajne emocje? Na przykład kiedy

musiała zacząć płakać?



Ania z Gabrielem Fleszarem, kadr z filmu *Sezon na leszcza*

– Trochę mnie to kosztowało, momentami te emocje musiałem z niej dosłownie wyduszać. Jakie to były sposoby? Ogólnie odpowiem tak: nieprzyjemne. Takie, żeby – kiedy było to konieczne – doprowadzić ją do płaczu, uderzyć w uczucia, naprawdę mocno zdenerwować albo wręcz przestraszyć. Ale powiem wam, że w scenie w kostnicy była niezwykle dzielna – podkreśla Linda.

To ostatnia sekwencja filmu – na ekranie widzimy zwłoki Laski, a z rozmowy lekarzy dowiadujemy się, jak zginęła i co działo się z nią w ostatnich miesiącach, kiedy została prostytutką.

Linda: – Ze względów oszczędnościowych kręciliśmy to w prawdziwym prosektorium. Kiedy Ania leżała tam na stole, ledwo co zdjęli z niego prawdziwego trupa. Ktoś tam jeszcze płakał za drzwiami.

W jednej ze scen na włosy Przybylskiej spadły płonące banknoty. W innej samochód, którym jechali z Fleszarem, wypadł do rowu.

– Kłopoty wynikały z tego, że spora część filmu dzieje się na drodze, zdjęcia są w samochodzie, ale ani Ania, ani Gabriel nie mieli prawa jazdy – mówi Linda. – Prowadzili na zmianę, próbowaliśmy raz z nią, raz z nim, ale w efekcie najpierw rozbili jeden samochód, potem drugi, a przy jednym z tych wypadków wyładowali nawet w rowie.

Dla Ani *Sezon na leszcza* był ważnym doświadczeniem. Nie tylko zawodowym. W 2013 roku mówiła: – To był mój drugi poważny film i w ogóle taki przełomowy rok w moim życiu. Spotkałam na planie charakteryzatorkę Marysię Dziewulską. Spędziłyśmy wiele godzin na rozmowach i ona mi nakładła do głowy dużo mądrych rzeczy. Z jednej strony mi matkowała, z drugiej traktowała po koleżeńsku, choć to była dużo starsza kobieta. Cały czas ją widzę w okularach spuszczonej na czubek nosa, z twarzą zanurzoną w gęstych włosach, zaśmiewającą się i opowiadającą mi jakieś historie. Bardzo mi wtedy pomogła. Przeżywałam pierwszą poważną miłość, to był mój pierwszy facet, z którym mieszkałam. I ona mi tłumaczyła, że można mężczyznę kochać, ale też grać w filmach, pracować. Że kobieta musi mieć swój świat, a prawdziwa miłość wcale nie polega na tym, żeby wszystko jej poświęcić. Wiele mądrych rzeczy od niej usłyszałam. Okropnie mnie rąbnęło, kiedy się dowiedziałam, że Marysia nie żyje<sup>[34]</sup>.



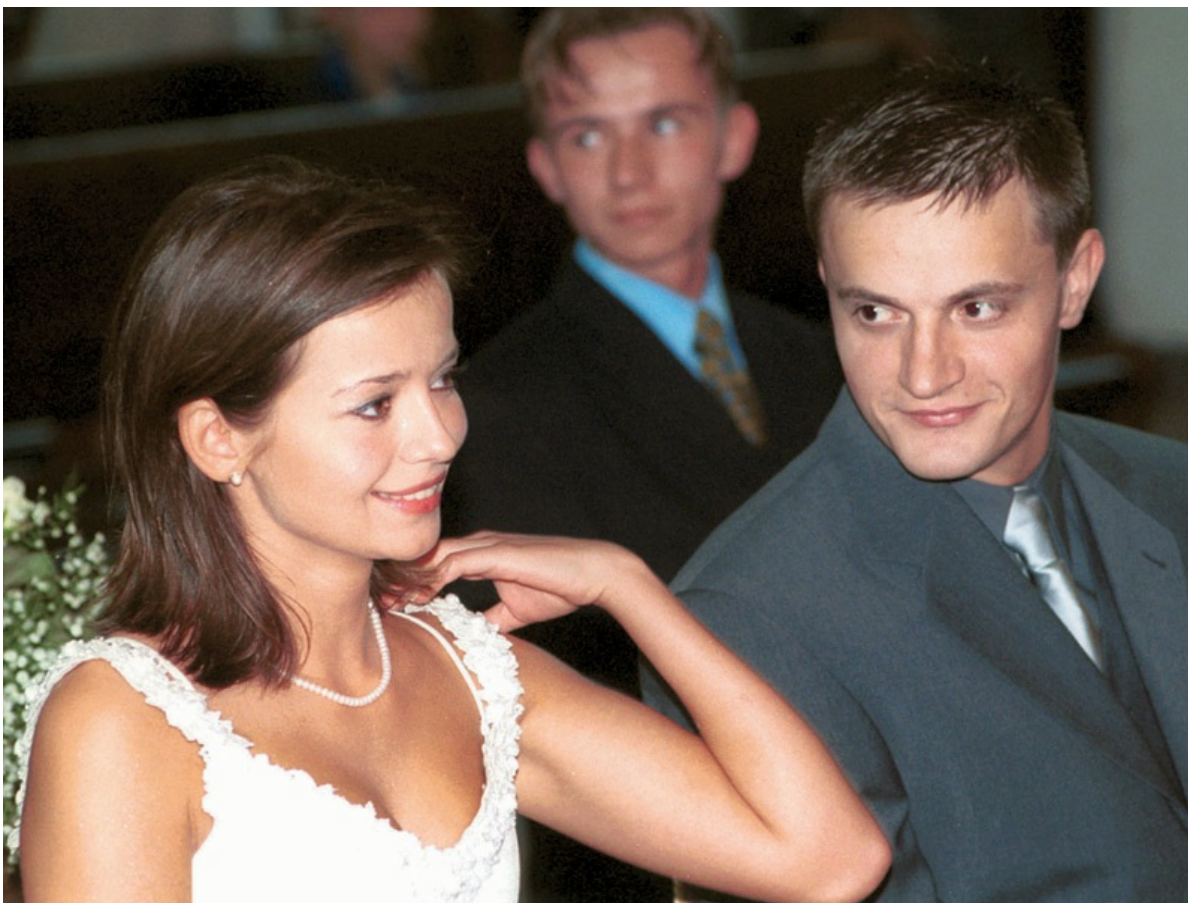
## Chcesz srebra?

Ślub odbywa się 24 czerwca 2000 roku w kościele pw. Ducha Świętego przy ulicy Zielonej na Oksywiu w Gdyni. Młodzi są ze sobą od około dziewięciu miesięcy. To wtedy po raz pierwszy przy Ani pojawiają się paparazzi, którym później wypowie wojnę. Do kościoła przychodzą tłumy, dorośli i dzieci, kobiety i mężczyźni, wszyscy chcą zobaczyć Marylkę w białej sukni. Nawet ministrantów jest rekordowa liczba, każdy chce służyć akurat podczas tej mszy. Dzieciaki mają ze sobą oczywiście karteczki i długopisy – nawet w takim momencie, tuż przed ślubem, liczą na autograf.

Kiedy przed kościół podjeżdża czarny terenowy lincoln z przyciemnionymi tylnymi szybami, z auta najpierw wysiada Dominik, a potem Ania. Jest ubrana w długą białą suknię na fiszbinach i ozdobny gorset sznurowany na plecach. Nie ma welonu czy kwiatów na głowie. Wiązanek białych róż trzyma w dłoni. Najmłodszy fani nie wytrzymują i podbiegają. Ania nie wie początkowo, jak się zachować, ale w końcu zaczyna podpisywać kartki. Przerzywa jej dopiero ksiądz, który oznajmia, że trzeba zaczynać. Świadkami są siostra pana młodego Katarzyna i brat cioteczny Ani, Paweł.

Ksiądz mówi w kościele: – Tak oto zaczął się pierwszy odcinek nowego serialu. Ale pamiętajcie, że teraz kameruje Pan Bóg.

Po ślubie jest przyjęcie, a właściwie kameralny obiad, w trzygwiazdkowym hotelu Faltom w Rumi. Zaproszono na niego dwadzieścia pięć osób, samych najbliższych. Kosztami przyjęcia rodzice dzielą się po połowie.



Ślub Ani z Dominikiem Zygrą, na drugim planie jeden ze świadków – kuzyn Ani, Paweł. 24 czerwca 2000 roku

– Od początku uprzedzałam, że nie stać nas na wystawne wesela, a raczej skromny obiad dla rodziny. Bez żadnych tańców, hulanek i swawoli – mówi Krystyna.

Po oficjalnym spotkaniu w Faltomie młodzi jadą jeszcze do Sopotu, kończą na imprezie w popularnym Non Stopie, ulubionym klubie Przybylskiej w Trójmieście, gdzie ludzie zachowują się różnie – jedni udają, że jej nie poznają, inni nachalnie się podlizują, jeszcze kolejni reagują na nią fochem: „Patrzcie, gwiazdka przyszła!”

Ania przyjmuje po ślubie nazwisko męża: Zygra, „Przybylska” jest w czasie ich małżeństwa pseudonimem artystycznym. Szybko uczy się mówić o Dominiku per „mąż”, ale gdy przychodzi jej się podpisać, często się zapomina.

W podróż poślubną młodzi lecą na tunezyjską Dżerbę.

•

Dominik Zygra, biznesmen z branży budowlanej i tenisista z Trójmiasta, pojawił się w życiu Ani w tym samym czasie, gdy wróciła do współpracy z Gosią Rudowską. On też – jak wcześniej Jacek – jest od niej o cztery lata starszy. Również w tym związku Ania postanawia działać szybko.

Dominik opowiada potem w prasie: „Mieliśmy wspólnych znajomych, ale to w niczym nie ułatwiało mi sytuacji. Wydawało mi się niemożliwe, że zwróci na mnie uwagę. Taka dziewczyna, w dodatku aktorka. (...) Któregoś dnia zobaczyłem Anię u naszej wspólnej znajomej. Stała w drzwiach, ubrana w długą niebieską suknię. To był dla mnie ten moment”<sup>[35]</sup>.

Ania: „Kiedy poszliśmy ze znajomymi na dyskotekę, zostawiłam plecak w samochodzie Dominika. Wyszliśmy więc razem, Dominik najpierw podał mi rękę, potem się objęliśmy. Pożegnałam się z nim pocałunkiem w policzek, wróciłam taksówką, ale zostawiłam mu swój numer telefonu”<sup>[36]</sup>.

Kiedy Ania jest akurat na zdjęciach w Warszawie, dzwoni jej telefon. To Dominik. Ania próbuje sobie szybko przypomnieć – „Jaki Dominik? Jakiś dziennikarz?”, ale w końcu się orientuje, o kogo chodzi. Już kilka dni później Dominik idzie za ciosem i proponuje Ani wspólny wyjazd na narty. Ania się zgadza.

Na pierwszą randkę umawiają się jednak u Przybylskich w domu.

„Postanowiłam go przywitać bez makijażu, niech zobaczy, jak wyglądam naprawdę” – żartuje potem Ania. „Przyjęłam go w łazience, powiedziałam, że teraz będę się malować, a on ma mówić, czego właściwie ode mnie chce. Spodziewałam się ostrego czarowania, ale Dominik był wrażliwy, a nawet nieśmiały. Kiedy w pewnym momencie poprosiłam go do tańca, tam w tej łazience, on zmieszany sięgnął do kieszeni i wyciągnął... dwie paczki tic taców: „wolisz miętowego czy owocowego?” Ale potem tańczyliśmy w tej łazience. Jeszcze gorzej było na drugiej randce, też u mnie. Dominik wszedł wtedy przed wejściem

w... psią kupę i rozniósł ją po całym domu”<sup>[37]</sup>.

•

Ania akurat się kąpie, gdy jej siostra Agnieszka na szafce w przedpokoju znajduje obrączkę ślubną. Totalnie ją zatyka, schodzi na dół i mówi tylko: „Mamo, Anka wyszła chyba za męża” „Jak to wyszła za męża?!” I wtedy Agnieszka pokazuje mamie, co przed chwilą znalazła. Mama biegnie na górę. Ania wychodzi akurat z łazienki, stoi przed nią zawinięta w szlafrok w kratę. Mama pyta: „Co to jest? Co to za obrączka?” A Ania na to: „No właśnie... Chciałam z tobą o czymś porozmawiać. Bo wiesz, taki mój kolega, Dominik...” „Jaki kolega? Jaki Dominik?” – Krystyna jeszcze teraz podnosi głos, kiedy wspomina tamtą sytuację.

– Taki kolega, że dopiero co zaczęli się spotykać, byli razem może dwa miesiące. Raptem ze dwa razy był u nas w domu. To brzmiało tak, jakby totalnie postradali rozumy – dodaje Agnieszka.

Siostra dopytuje Anię, czy może jest w ciąży, ale ta zaprzecza. Mówi tylko, że chcą zamieszkać razem, planują nawet zakup mieszkania na kredyt. A kiedy Agnieszka ją pyta, jak ona to sobie wyobraża, przecież właściwie nie zna chłopaka, Ania odpowiada, że to jest ten jedyny, wymarzony, że ona to czuje i wie.

Agnieszka: – Patrzyłam na nią jak na kosmitkę, jak na nieokrzesanego dzieciaka. Ale to była cała Anka – łatwowierna i w gorącej wodzie kąpana. Szybciej coś zrobiła, aniżeli pomyślała.

Ania w wywiadzie: „Znaliśmy się króciutko, ale już po dwóch rozmowach wiedzieliśmy, że musimy być razem. Przynajmniej ja cały czas chciałam go widzieć, być przy nim, trzymać go za rękę, rozmawiać. Nie mogliśmy się od siebie oderwać i wciąż łapaliśmy się na niesamowitych podobieństwach. Tak jakbyśmy w poprzednim życiu byli rodzeństwem. Kiedyś wybieraliśmy prezent dla jego cici, weszliśmy do sklepu z – jak ja to mówię – pizdryliczkami: kubeczki, świeczniczki, szklaneczki. Ja na prawo, Dominik na lewo. W pewnym momencie zobaczyłam śliczną filiżankę – Dominik wyszedł z drugiej

strony sklepu z taką samą w ręku”<sup>[38]</sup>.

Zapytana, czy jest zazdrosna o przystojnego Dominika, odpowiada: „Pewnie, że tak, ale nie chorobliwie. Wierzę mu. Kiedy przestanę, będzie to znak, że pora się nad nim zastanowić”.

Inny wywiad: „Dominik nosił mnie na rękach, na głównej ulicy w Sopocie klękał i wręczał bukiet róż. Dziennie wysyłał mi SMS-y i cały czas wisieliśmy na telefonie. Dominik dostał nawet w firmie reprymendę za skandalicznie wysokie rachunki telefoniczne. (...) Strasznie za sobą tęsknimy. Po pracy w Warszawie, zamiast siedzieć w pustym pokoju hotelowym, wsiadam w samolot do Gdańska, żeby spędzić noc w domu. Rano, kiedy Dominik jeszcze śpi, lecę z powrotem na plan. Na szczęście mam studencką zniżkę na bilety”<sup>[39]</sup>.

Okazuje się, że znaleziona na szafce w przedpokoju obrączka nie jest jeszcze ślubna, choć już zaręczynowa. Kilka dni później do domu Przybylskich rzeczywiście przyjeżdża Dominik i wspólnie z Anią oznajmiają, że chcą się pobrać, że rodzice Dominika już wiedzą, nie mają nic przeciwko i chcieliby przyjść z wizytą, aby uzgodnić szczegóły przygotowań do ślubu. Siostra próbuje jeszcze odwieść Anię od tego pomysłu, przypomina jej, że już jedną taką przygodę miała. I to całkiem niedawno. Ale Ania nadaje jak nakręcona, że tym razem to nie pomyłka, że to ten jedyny, że weźmie ślub z Dominikiem, choćby się waliło i paliło. Ma wtedy dwadzieścia lat.

Dominik opowiada w wywiadzie, że choć to on poderwał Anię, później ona oświadczyła się jemu. Jechali samochodem, kiedy Ania rzuciła od niechcienia: „A może fajnie byłoby wziąć ślub, urządzić mieszkanie, kupować meble. Co ty na wspólne życie, na dobre i na złe?”. Dominik zapytał wtedy, czy mówi serio, a ona odpowiedziała z pełną powagą: „Serio”. Tego dnia Ania miała w Sopocie sesję fotograficzną, a kiedy skończyła, Dominik czekał już na nią z obrączkami<sup>[40]</sup>. Dopiero później, podczas oficjalnego spotkania z rodzicami, pojawił się pierścienek zaręczynowy. „Jak w harlequinie” – komentuje Przybylska<sup>[41]</sup>.

Do spotkania dwóch rodzin dochodzi trzy dni przed Wigilią Bożego Narodzenia. Dominik wręcza Krystynie Przybylskiej bukiet róż, a jego

ojciec – wielki płat łososa norweskiego. Do tego szampan, zapakowany w specjalne pudełko, a wraz z nim dwa kieliszki z wyrytą w szkłe datą – „2000”. Choć związek Ani i Dominika trwa od jesieni 1999 roku, młodzi chcą początkowo, aby ślub odbył się... do końca roku. Rodzice stanowczo protestują, więc Ania z Dominikiem proponują Wielkanoc. Dłużej nie chcą czekać. Kończy się jednak na czerwcu, kiedy Krystyna wróci już z trzytygodniowych wczasów w Grecji, na które leci z siostrą i które mają już wykupione.

– Już wtedy wiedziałam, że ten związek to będzie niewypał. Bo kto o zdrowych zmysłach planuje ślub zaledwie dwa miesiące od zawarcia bliższej znajomości? – mama Ani kręci głową.

– Poza tym oni, już czekając na ten ślub, dość często się kłócili. I to dosłownie o wszystko, o najmniejsze bzdury. To nie miało racji bytu, absolutnie – dodaje Agnieszka.

Jeszcze przed ślubem Przybylscy zostają zaproszeni na kolację do domu Dominika. Krystyna wspomina to do dziś.

Przed wyjściem Ania zwraca mamie uwagę, że to szczególna rodzina, która przywiązuje dużą wagę do jedzenia, podaje je na porcelanie i je tylko sztućcami ze srebra. Krystyna słucha i czuje, że ją zaraz szlag trafi. Z domu wyniosła skromność, zawsze zwraca na to uwagę swoim dzieciom, a kiedy słucha wtedy Ani, tego jej tonu i akcentu, to aż ją ściska.

– Na kolacji rzeczywiście były srebra, podniosła atmosfera. Gdy wróciliśmy już do domu, mama nie wytrzymała, dostała białej gorączki – wspomina Agnieszka. – Krzyczała: „Chcesz srebra? To ja ci zaraz pokażę”. I zaczęła wyciągać z szaf jedną walizkę, drugą, trzecią...

Krystyna Przybylska: – Wszystkie walizki ze sztućcami, które dostałam, jak wychodziłam za mąż. Do tej pory używaliśmy ich tylko od święta, ale tylko do tej pory. Powyciągałam te walizki, pozbierałam jednocześnie wszystkie sztućce, które mieliśmy w szufladzie i których używaliśmy na co dzień. I powiedziałam: „Od teraz wy też będziecie jeść srebrami”

## Pewnie za grosze

Pierwszy numer „Playboya” ukazał się w USA w 1953 roku i był jednym z symptomów nadciągającej rewolucji obyczajowej. Odważne – bardzo odważne – sesje, ale też opowiadania wybitnych pisarzy. Ogień i woda. A jednak to działa. Szczyty popularności „Playboy” osiągnął, gdy rewolucja stała się faktem. W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku każdy numer miesięcznika rozchodził się w ponad pięciu milionach egzemplarzy. Pojawiają się kolejne lokalne edycje. Wszędzie są przyczółkiem zmian.

Polska edycja „Playboya” zadebiutowała w 1992 roku. Pierwszym redaktorem naczelnym jest popularny krytyk filmowy i telewizyjny showman Tomasz Raczek. Nie jest więc obciachem w nim publikować. Więcej: to nobilitacja, dowód przynależności do lepszego, „zachodniego” świata. Raczkowi udaje się namówić do współpracy między innymi Zygmunta Kałużyńskiego, Wojciecha Manną, Marka Niedźwieckiego czy Marcina Kydryńskiego. Nie jest obciachem również rozbierać się dla „Playboya”. Okładka w nim to niejako pieczęć potwierdzająca status gwiazdy. Poza tym w tym czasie „Playboya” stać na naprawdę gwiazdorskie stawki.

Rok 1994. W „Playboyu” można zobaczyć rozebraną Katarzynę Figurę i Edytę Górniak.

1995. Naga Katarzyna Skrzynecka.

1996. Anita Lipnicka, Renata Dancewicz i Kayah.

1997. Justyna Steczkowska.

# PLAYBOY

MĘSKI PUNKT WIDZENIA

Nr 11 (96)  
LISTOPAD 2000  
8,95 zł

Marylka  
ze „Złotopolskich”  
bez munduru

**ANIA**  
PRZYBYLSKA

**Cameron  
Diaz**

NAGA W BASENIE

**Jennifer  
Lopez**

WYWIAD

**Cała prawda  
o punkcie G**

SEKS

**CITY GUIDE**  
**Sztokholm**







Promocja „Playboya” z Anią – Marylką Baką na okładce, 5 listopada 2000 roku.  
Aktorka z mamą Krystyną

1998. Agnieszka Wagner i Iwona Petry.

1999. Joanna Brodzik i Renata Gabryjelska.

2000. Shazza, Edyta Olszówka i Agnieszka Włodarczyk. Oraz Ania Przybylska.

To numer listopadowy. Na okładce, nawiązującej oczywiście do sierżant Baki, Ania stoi na czerwonym tle, w czarnych majtkach, a piersi zasłaniają jej pistolet oraz kabura na broń. Tytuł na okładce: „Marylka ze *Złotopolskich* bez munduru”. W środku są bardziej odważne zdjęcia – z pomponami cheerleaderki, z garderoby, z balonami i wystawionym językiem.

Rola Marylki w *Złotopolskich* rozrasta się, popularność Przybylskiej błyskawicznie rośnie, w końcu chcą ją mieć na okładce wszystkie magazyny. Również „Playboy”. Przybylska się zgadza, choć niecały rok wcześniej mówiła jeszcze, że „na razie jest na to za młoda”. Teraz właściwie nie ma wątpliwości, że może i chce się pokazać. Oczywiście zastrzega sobie prawo do autoryzacji każdego zdjęcia. Bo kiedy ma to zrobić, jak nie w młodości, gdy ma piękne ciało – przekonują się nawzajem z Gosią. To jest ten moment.

– Wtedy w „Playboyu” pokazywały się wybitne aktorki i artystki. W końcu sięgnęli po Przybylską i to właśnie numer z Anią na okładce sprzedał się rekordowo, to był hit. Widząc te wyniki, w redakcji śmiali się potem, że najchętniej to by ją do każdego numeru brali – przypomina Rudowska. – Pamiętam, że przy tym pierwszym „Playboyu” bardzo się starałam, żeby Ania podpisała jak najkorzystniejszą umowę. Znalazłam prawnika w Sopocie, musieliśmy wszystko dobrze zabezpieczyć, mówiłam do Ani: „A jak będziesz kiedyś pierwszą damą i ci te zdjęcia wszyscy powyciągają?”

Ania, przy pomocy prawnika i Rudowskiej, wywalcza sobie w kontrakcie kwotę gwarantowaną plus prowizję od sprzedanych egzemplarzy. Potem się okazuje, że dzięki rekordowej popularności tego numeru prowizja podwaja podstawę wynagrodzenia. W sumie zarabia na tym kontrakcie pieniądze, za które można by kupić kawalerkę w Trójmieście.

Ania podkreśla potem, że choć pokazała się już w filmie i grała w popularnym serialu, to dopiero przy tym „Playboyu” poczuła, że naprawdę konkretnie zarobiła. W Trójmieście jednak nie brakuje głosów, że „ta Przybylska się rozebrała, i to pewnie za grosze”

•

Piwowarski jedzie nad morze do swoich Dębek, sunie obwodnicą koło Trójmiasta, a tu nagle wyskakuje mu wielki billboard z Przybylską – reklama gołej sesji w „Playboyu”. Reżyser mówi do siedzącej obok żony:

„Zobacz, moja aktorka na golasa”

– Coś mnie wtedy tknęło, byłem ciekaw, jaki jest efekt takiej kampanii i w ogóle sesji w „Playboyu”. Zadzwoiłem do Anki. A ta ryczy mi do słuchawki, że właśnie jest po konkretnej awanturze, bo jej mąż też już taki billboard zobaczył. A wiadomo, że jeśli on go widział albo ja, to znaczy, że wszyscy się już na Przybylską gapią – opowiada Piwowarski.

W niewielkim tekście, który towarzyszy sesji, pada pytanie, czy w przyszłości aktorka jeszcze raz zgodziłaby się na takie zdjęcia. Ania odpowiada: „Śmiało mogłabym je powtórzyć. (...) Myślę, że w życiu kobiety jest wiele momentów, które warto uwiecznić. Z każdego ciała można wydobyć piękno. A poza tym było bardzo śmiesznie”

Na kolejną sesję nie trzeba będzie długo czekać.

# Everywoman

„Żeby dobrze wyglądać na planie, muszę przestrzegać wielu zasad – ćwiczę, chodzę na basen... Ale jest coś, czemu nie potrafię się oprzeć. Coś bardzo pysznego. A jednocześnie naprawdę lekkiego. To princessa. Hmmm... Wspaniała” – mówi Przybylska w swoim pierwszym, trwającym 33 sekundy nagraniu reklamowym.

•

„Playboy” z Przybylską na okładce przynosi jej nie tylko sukces sprzedażowy i finansowy. Na Anię zaczynają sypać się propozycje reklamowe. I to lawinowo.

Telefon się urywa, a ona siada z Rudowską i zastanawiają się, jaką strategię przyjąć. Na pewno nie biorą wszystkiego. Po pierwsze, jest tego za dużo. A po drugie... Farby do ścian? Pasztet? Reklama telewizora tylko za to, że Ania dostanie do domu ogromną plazmę? Bez przesady. Oczywiście niemal każda propozycja wiąże się z dobrymi pieniędzmi, ale one od początku wiedzą, że muszą być ostrożne. Mają świadomość wizerunku Ani. Liczy się cierpliwość.

W końcu przychodzi propozycja, która pasuje i Ani, i jej menedżerce. To wafelki Princessa, oferta od firmy Nestlé. Duży koncern, dobry budżet na kampanię reklamową, musi wypaść dobrze. Kiedy umowa zostaje podpisana, Ania i Gosia podjeżdżają pod dom menedżerki, a Przybylska już na podjeździe zaczyna krzyczeć do jej mamy: „Pani Elu, pani Elu, będziemy bogate!” Oczywiście skaczą przy tym jak głupie, ale mają powody: umowa jest od razu trzyletnia, choć z opcją jej przerwania po roku. Ale to nie nastąpi, obie strony są zadowolone.



**MNIEJ** 

**niż 9 g** 

**CUKRU**

**na porcję\*** 



**...w pysznych  
płatkach  
NESTLÉ.**

**Dzieci je uwielbiają!**

*Anna Przybylska*  
ANNA PRZYBYLSKA

Odwiń nas na [www.polneziarno.nestle.pl](http://www.polneziarno.nestle.pl)  
i dowiedz się więcej o Deklaracji NESTLÉ.

\*Przeciętna zawartość cukru w 30-gramowej porcji bez dodatku mleka.  
Więcej informacji znajdziesz w tabeli wartości odżywczych.

Jedna z reklam płatków Nesquik z Anną Przybylską w roli głównej

YouTube



Szukaj

Przeglądaj

## Anna Przybylska w reklamie drobiu

marketingprzykawie

Filmy: 833



Subskrybuj



Kadr z reklamy, w której Ania ze swoim partnerem Jarosławem Bieniukiem zachęcali do jedzenia kurczaków, „bo to smaczne i zdrowe”

Kręcąc reklamę, Ania musi co chwila zajadać wafelki. Po powrocie do domu mówi do siostry: – Tak się objadłam, że teraz długo już żadnego nie tknę, zwłaszcza kokosowego.

Współpraca z Nestlé nie kończy się na wafelkach. Później są płatki śniadaniowe Nesquik, a po kilku latach Princessa wraca pod postacią lodów.

Z czasem Ania ma już listę osób, z którymi chce pracować przy kolejnych zleceniach: fotografa, makijażystkę czy fryzjera, których zna, którym ufa, którzy dokładnie wiedzą, czego potrzebuje. I zawsze wyciąga ją podczas rozmów o warunkach kontraktu. Razem z Rudowską pilnują też, aby produkt, który Ania ma reklamować, nie trafiał tylko

do wąskiej grupy odbiorców, nie był luksusowy. Zależy im, by docierać „do mas”, do większości Polaków. Tak, aby ludzie zawsze mogli pomyśleć o Ani: „Stać mnie na to, co reklamuje Przybylska”

Będzie jeszcze reklamowała kosmetyki, sklepy internetowe, słodycze, ubrania, buty, swoje rodzinne miasto. Kiedy już trafiła do świata reklamy, nigdy nie miała przestojów. To raczej chętni czekają na nią.

Najkrócej trwa jej współpraca z... Krajową Radą Drobiarstwa. Umowa zostaje podpisana tylko na miesiąc. Ania występuje w tej reklamie razem ze swoim ostatnim partnerem, piłkarzem Jarosławem Bieniukiem. Zachęcają wspólnie Polaków do sięgania po mięso z kurczaka, tłumacząc, że jest smaczne i zdrowe. Kampania nie ma dobrego odbioru, ale aktorka liczy po cichu, że nie zostanie też szczególnie zauważona. Ale zostaje. A szczególnie rola Bieniuka, który chwali się w reklamie: „Świetnie mi ten kurczak wyszedł”

## Półtora roku

Kiedy Ania i Dominik są narzeczeństwem, wprowadzają się do domu, gdzie mieszkają mama Przybylskiej i jej siostra z mężem. To ma być tymczasowe rozwiązanie – dopóki z Dominikiem nie kupią na kredyt własnego mieszkania. W dwupiętrowym domu mama zostaje na dole, a Ania z Dominikiem i Agnieszka z Grzegorzem zajmują pokoje na piętrze. Agnieszka, jako starsza siostra, dostaje z mężem dwa, Ania z Dominikiem – jako lokatorzy tymczasowi – jeden. Ich sypialnie dzielą dosłownie trzy kroki.

Krystyna Przybylska: – Od początku umówiliśmy się, że wszystkie opłaty dzielimy na pięć części – dwie Agnieszka z Grzegorzem, dwie Ania z Dominikiem i piątą ja. Agnieszka i Grzegorz wywiązywali się bez problemów, zawsze na czas. Ania i Dominik najczęściej nie. A to akurat nie mieli, a to Ania pojechała na zdjęcia i Dominik mówił, że z opłatami muszą poczekać do jej powrotu, a to jeszcze co innego stało na przeszkodzie. Zawsze coś. A jednocześnie sprawiało mi przykrość, gdy widziałam, że wychodzą na jakieś imprezy, na to zawsze mieli czas i pieniądze. Z tymi imprezami był zresztą problem. Kilka razy musiałam im przypominać, że dom to nie hotel, że Grzegorz, który śpi zaraz obok, wstaje o czwartej do pracy, że skoro zdecydowali się tu zamieszkać, to muszą się dopasować.

– Nie kłóciliśmy się, ale dało się wyczuć napięcie – dodaje Agnieszka.  
– My z mężem byliśmy tacy: praca od-do, potem ewentualnie jakieś wyjście albo i nie. A u nich praca przemieszana z wyjazdami, do tego wieczorne wyjścia, bo oni prowadzili raczej nocne życie. Bywało tak, że my kładliśmy się spać załóżmy o dziesiątej wieczorem, a oni dopiero zaczynali dzień, szykowali się gdzieś na imprezę. I potem wracali po trzeciej w nocy, hałasowali, robili kolację, puszczaali wodę w łazience, jakieś kąpiele i śmichy-chichy na cały dom. Czasami to był koszmar. Budzę się rano, muszę szybko lecieć do pacjentów, a tam brama wjazdowa zastawiona, bo oni zaparkowali byle gdzie. I od rana akcja:



„Dominik, gdzie są kluczyki?” „Zaraz, golę się.” „Ale ja mam pięć minut, pacjenci czekają!” „No już, zaraz. Kluczyki są w spodniach. Albo nie – w bluzie.” A w tym czasie dzwonili jeszcze z firmy Dominika – gdzie on jest, dlaczego nie ma go jeszcze w pracy, powinien już być od dwudziestu minut. Momentami można było zwariować.

W końcu Krystyna nie wytrzymuje i oznajmia, że nie na tym polega wspólne życie. Ania z mężem mają dostosować się do pozostałych domowników. Wtedy Ania prosi mamę, żeby poszła z nią do banku i pomogła załatwić kredyt na mieszkanie. Pierwsza wpłata ma pójść z części wynagrodzenia za pierwszą sesję w „Playboyu” oraz z książeczek mieszkaniowych, które założyła Ani i Agnieszce babcia Danusia. Starsza siostra ceduje swoją książeczkę na młodszą, skoro sama zostaje w domu na Oksywiu.

Agnieszka: – Kiedy się wyprowadzali, cieszyłam się, że każdy zacznie w końcu żyć swoim życiem. Ale z drugiej strony się bałam. Skoro już tutaj momentami był dramat, to co dopiero zacznie się tam?

„Dominik jest bardzo opiekuńczy” – wyznaje Ania w wywiadzie. Nie pozwala mi siedzieć przy otwartym oknie, narzuca ciepły sweter, kiedy jest zimno. Myślę, że sama jego obecność działa na mnie jak lekarstwo. Któregoś dnia w południe dostałam wysokiej gorączki, pod wieczór miałam się wybrać do lekarza. Kiedy przyjechał Dominik i chwilę ze mną porozmawiał, poczułam, że spadła mi temperatura i czuję się znacznie lepiej”

I dalej: „Wiem, że on ma w sobie coś, co przyciąga uwagę innych dziewczyn. Podobno nie ma miłości bez zazdrości, ale my nie dajemy sobie powodów do tego uczucia, które może zatruć życie”<sup>[42]</sup>.

•

Dwupokojowe mieszkanie w gdańskiej dzielnicy Osowa, w bloku, na parterze, wybiera Dominik. Ania zajmuje się z kolei jego urządzeniem, bardzo się w to angażuje, wszyscy goście podziwiają finalny efekt. Wiele rzeczy jest w mieszkaniu ekologicznych – drewniane żaluzje, szafki, a nawet talerze.

Do swojego nowego domu małżeństwo wprowadza się w lutym 2001 roku.

Ale już w maju Ania wraca do domu rodzinnego. Czar prysł, Przybylska chce rozwodu.

Zjawia się w domu pokorna, z podkulonym ogonem. Wygląda tak, jakby zderzyła się z murem.

Rudowska: – W pewnym momencie zaczęło się to, co w poprzednim związku – ingerencja partnera w karierę Ani, w jej rozwój, możliwości. Pamiętam, jak kiedyś Ania miała jechać do Warszawy na premierę filmu, w którym grała, ale przyleciała do mnie z płaczem, że chyba nie pojedzie, bo mąż się nie zgadza. Akurat była u mnie moja mama, która najpierw narobiła Ani frytek, a potem powiedziała: „Słuchaj, dziecko, musisz jechać na tę premierę, cokolwiek by się nie działo”. I Ania oczywiście pojechała.

Rozwód trwa niemal tyle co samo małżeństwo. Około półtora roku. Punktem spornym jest między innym wspólne mieszkanie, bo małżeństwo nie ma intercyzy. Przybylska chce je sprzedać. W końcu znajduje się kupiec. Jest zachwycony i deklaruje, że weźmie je pod warunkiem, że wszystko zostanie w nim bez zmian. Tak, jak urządziła Ania.

– Zabrałyśmy jedynie elektryczny grill, prezent ode mnie – mówi Rudowska.

Mama Ani: – W trakcie tego ciągnącego się rozwodu znów wróciłam do niej z rozmową i mądrościami o szacunku do pieniądza. Powiedziałam, że nikt nic od niej nie chce, że ja pracuję, Agnieszka z mężem też, żeby zaczęła w końcu myśleć o sobie. Znów mówiłam, że warto zainwestować w mieszkanie, samochód, może złoto. A jeśli to możliwe, a w jej przypadku było, to jeszcze odłożyć parę groszy, bo nikt z nas nie wie, co go dalej w życiu czeka. I wtedy reagowała już zupełnie inaczej, nie buntowała się, jakby w końcu zrozumiała. Już nie opowiadała o srebrach, porcelanie i markowych ciuchach.

Sprawa rozwodowa przeciąga się również dlatego, że już kilka miesięcy po rozstaniu z Dominikiem Ania zaczyna spotykać się z Jarosławem Bieniukiem, pochodzącym z Trójmiasta piłkarzem, który akurat wtedy jest zawodnikiem Amiki Wronki. Dominik dąży więc do tego, aby osądzić rozwód z winy Przybylskiej. Wcześniej umawiali

się inaczej.

– Zaczęła się wojna – wspomina Rudowska. – Choć to przecież nie Jarek był przyczyną rozpadu ich związku, on pojawił się później. W trakcie rozpraw druga strona próbowała wyciągać artykuły z mediów – że Przybylska spotyka się z kimś, choć nadal ma męża. Tak, zaczęła się spotykać z kimś innym, ale dopiero po tym, jak rozstała się z Dominikiem.

Ostatecznie rozwód odbywa się bez orzekania o winie. Gdy zapada wyrok, Ania jest już w ciąży z Jarkiem – na świat ma przyjść Oliwia.

## Szybko, byle szybciej

Ania nie ma szczęścia w pierwszych związkach, nie ma szczęścia w miłości.

„Może byłam zbyt ufna” – zastanawia się w wywiadzie. „Ale przecież jak kupuję towar w sklepie i biorę go do ręki, to na pierwszy rzut oka wygląda solidnie. Dopiero później może się okazać, że w środku jest zgnilizna. Tak właśnie było z moim małżeństwem. Dostałam mocno po dupie. Ale się podniosłam. Dużo zawdzięczam mamie, siostrze i przyjacielom”<sup>[43]</sup>.

Rudowska: – Zawsze wszystko chciała mieć szybko. Szybki związek, wyprowadzka z domu, ślub, dzieci, najlepiej od razu cała gromadka. Jednym z nieporozumień z Dominikiem było właśnie to, że ona chciała mieć dziecko, tu i teraz, a on jeszcze nie był na to gotowy.

Siostra Agnieszka: – Spieszyła się momentami tak, jakby czuła, że to wszystko może zbyt długo nie potrwać. Jakby wiedziała, że szybko musi zawierać związek, zakładać rodzinę, urodzić dzieci, by zdążyć się jeszcze tym wszystkim nacieszyć.

Ania: „Szybka decyzja o ślubie mogła wynikać z tego, że bałam się, że już nigdy nie znajdę faceta. W moim pierwszym poważnym związku dostałam po głowie, więc na siłę szukałam prawdziwej miłości. Ale za wcześnie był ten ślub. Byliśmy oboje za młodzi i za dużo nam się wydawało. (...) Od początku widać było, jak bardzo się różnimy. Byłoby głupio to ciągnąć”<sup>[44]</sup>.

Krystyna Przybylska: – Mnie nigdy tego nie powiedziała, nie przyznała się do błędu, ale gdy jeździła do cici do Warszawy, to pytała: „Powiedz, ciciu, skąd mama wiedziała, że to małżeństwo nie wypali?”

Ania: „Bardzo przeżyłam rozwód, wstyd mi było przyznać się mamie, że to jednak nie jest to. Ona wiedziała o tym od początku, czekała, kiedy sama to sobie uświadomię”<sup>[45]</sup>.

Agnieszka: – Przecież nie była głupią dziewczyną. Tylko te dwa

pierwsze pomysły na związek miała słabe. Ale skąd się to wzięło? Nie wiem.

Ania: „Decyzja o szybkim ślubie nie była dojrzała, głupota jakaś. Byłam niepokładaną dziewczyną, emocjonalnie trochę rozchwianą. Wbiłam sobie do głowy, że szybko muszę mieć dziecko. Wcześniej straciłam ojca, może dlatego sama chciałam być szybko rodzicem, bo nawet jak zachoruję – myślałam – to dzieci będą już duże i sobie poradzą”<sup>[46]</sup>.

Ta ostatnia wypowiedź pochodzi ze stycznia 2013 roku.

## Rzecz kobieca

Jak poznali się Ania i Jarek? Oboje pochodzą z Trójmiasta, oboje są sławni – ona aktorka, on piłkarz – wysoki (192 cm), obiecujący obrońca ekstraklasowej Amiki Wronki, dokąd przeszedł z gdańskiej Lechii. Gra w reprezentacjach młodzieżowych, w pierwszej reprezentacji wystąpi osiem razy, strzelił jedną bramkę – Malcie. Ania w wywiadach przyznawała, że zauważyła go wcześniej, wiedziała, kim jest, podobał jej się. Ale przecież stąd jeszcze daleka droga do pierwszej randki.

Prawdopodobnie po raz pierwszy spotykają się w sylwestra 2000 roku w Jastrzębiej Górze. Imprezę organizuje Gosia Rudowska. Ania przychodzi jeszcze z Dominikiem, Jarek jest w swoim towarzystwie.

– Od razu między nimi zaiskrzyło – opowiada Rudowska. – No bo co tu dużo mówić: ona ładna, on ładny, jakoś tak wizualnie do siebie pasowali. Ale żadnego „tematu” wówczas oczywiście nie było.

Wkrótce w Trójmieście robi się głośno o rozstaniu Ani z Dominikiem. Jest lato, Jarek ma akurat przerwę w rozgrywkach. Spotykają się z Przybylską na imprezie.

„Najlepszym lekarstwem na porażkę uczuciową jest klin, czyli następny mężczyzna” – mówi Ania w wywiadzie<sup>[47]</sup>.





Pierwsza randka Ani i Jarka – w Berlinie. Zdjęcia robił im kuzyn Ani, Paweł, który zabawił się w paparazziego



W tym samym wywiadzie Jarek nie kryje jednak, że miał wątpliwości: „Była jak zakazany owoc. Żona kolegi (...) Sam sobie mówiłem: »Stary, uspokój się, ona nie jest dla ciebie«. Ale co włączyłem telewizor, to widziałem Anię. Jakby mnie prześladowała. A potem, gdy zaczęła bywać sama na imprezach i słyszałem od znajomych, że w jej małżeństwie źle się dzieje, zacząłem traktować to jak jakieś ważne sygnały. (...) I w pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że jestem zwyczajnie zakochany”

•

Zaraz na początku ich związku Bieniuk wyznaje Ani coś bardzo poważnego: mówi jej, że jest dla niego... asekualna. Bardzo specyficznie rozumie to słowo.

Ania: „Jarek nigdy nie miał problemu z kobietami – było ich dużo, traktował je przedmiotowo. Mówiąc, że jestem asekualna, chciał mi zakomunikować, że nie jestem dla niego panienką na wyrwanie, na jeden raz. Spędzaliśmy razem popołudnie, wydawało się, że wszystko fajnie, ja odstawiłam, robię słodkie minki, a on nagle wyskakuje z tą moją asekualnością. Powiedział: »Ty jesteś taką babką, w której mogę się zakochać«. Nie chciał się przyznać, że już jest zakochany. Bał się mnie zrazić”<sup>[48]</sup>.

Sytuacja rozwija się szybko. Paweł, któremu zdarza się grać rolę szofera Ani, pomaga w zorganizowaniu ich pierwszej randki – w Berlinie. Jarek był tam akurat na zgrupowaniu swojego klubu. – Ania tęskniła za Jarkiem, ciągle powtarzała, że muszą się spotkać – opowiada Paweł. – Rzuciłem nawet pewnego dnia, że przecież możemy pojechać do tego Berlina. Ania początkowo nie podjęła tematu, ale musiała być w kontakcie z Jarkiem, coś tam zaczęli planować. No i budzi mnie w nocy i pyta: „Paweł, masz paszport?”

Zaspany odpowiada, że nie rozumie, o co jej chodzi, a ona: „No, do Berlina jedziemy”

„Daj spokój, przecież jest czwarta rano” „No to mamy pięć godzin, o 9 będziemy w Berlinie” – ona na to. Okazało się, że mamy jechać astrą

Jarka, którą jeszcze po drodze musieliśmy odebrać od jego rodziców w Sopocie. Podróż przebiegła bez przeszkód, tylko dopiero przed samą granicą dostaliśmy od Gosi Rudowskiej SMS-a z nazwą hotelu w Berlinie [Kima – red.] i informacją, jak do niego dojechać – to jeszcze nie były czasy GPS-ów. W dodatku po chwili zmienił się roaming, coś tam się poprzestawiało i potem tego samego SMS-a dostaliśmy jeszcze sto trzydzieści razy. Co chwilę odpisywaliśmy: „Gośka, ale my już wiemy, jak dojechać, już naprawdę wiemy”. To była pierwsza randka Ani i Jarka. Żartowaliśmy sobie pod hotelem – ja udawałem paparazziego, robiłem im z ukrycia zdjęcia. To znaczy udawałem paparazziego, bo zdjęcia robiłem naprawdę. Potem zostawiłem przyszlých państwa Bieniuków, zaparkowałem samochód i poszedłem z bagażami do hotelu. Gdy wróciłem, za szybą był mandat. Pojechałem na kolację i wieczorem zaparkowałem już w innym miejscu. Tylko że rano okazało się, że dostałem kolejny mandat. Gdzieś pewnie do dziś są tam w ewidencji, niezapłacone. Wracając, zajechaliśmy jeszcze do Wronek i razem ruszyliśmy do Trójmiasta. Przygoda zakończyła się dość pechowo, bo już na zjeździe z trójmiejskiej obwodnicy siadła nam pompa paliwa. Musieliśmy w nocy wzywać taksówkę, w domu byliśmy po drugiej w nocy.

W drodze powrotnej po raz pierwszy pada „to magiczne słowo”. Ania: – Nigdy tego nie zapomnę. Wracaliśmy z Berlina, kuzyn prowadził. Zaczęliśmy żartować, ogarnęła nas taka głupawka. I nagle mówię: „Jarek, o Jezu, jaki ty kochany jesteś”. I ugryzłam się w język, jakiego słowa użyłam. Ale Jarek jest facetem, który nie wstydy się takich słów<sup>[49]</sup>.

„Tak jak intensywne było to uczucie, tak intensywny przeszedłam kurs tego, jak wygląda życie dziewczyny piłkarza” – wspomina po latach Ania w jednym z wywiadów. „Trzeba się wysypiać, zdrowo jeść, ćwiczyć, no i nie można się spotykać z kobietami w trakcie zgrupowań narodowej reprezentacji młodzieżowej w piłce nożnej. I to jest naprawdę kategoryczny zakaz. Można za to w sekundę wylecieć z kadry. (...) Nic nas to nie obchodziło. Nie mogliśmy znieść rozłąki, więc oczywiście permanentnie łamaliśmy wszelkie przepisy. Najgorzej, że w hotelu, w którym kadra miała zgrupowanie, pokój Bieniuka był naprzeciwko pokoju trenerów. Więc ja – pełna konspiracja – przyjeżdżałam w nocy,

z walizką przemykałam przez hol, tam mnie przejmowała recepcjonistka i przemycała do pokoju, a skoro świt wypuszczała tylnym wyjściem. Nie zapomnę, jak kiedyś dziennikarze sportowi Mateusz Borek i Mariusz Lewandowski wpadli do Jarka do pokoju, a tam na kanapie... Marylka ze *Złotopolskich*. Ich miny – bezcenne (*śmiech*)”<sup>[50]</sup>.

Wiele osób odradza Ani ten związek – raz, że piłkarz, a „taki, to wiadomo”. Dwa – gra we Wronkach, a stamtąd wszędzie daleko. Choćby do pracy do Warszawy – na plan *Złotopolskich*. Ale Ania wciąż potrafi być uparta. No i jest zakochana. Jarek dużo czyta, myśli o przyszłości – to jej imponuje. Mimo młodego wieku jest poukładany. Nie boi się rozmawiać o przyszłości, o dzieciach, tak jak ona myśli o dużej rodzinie. Zastanawia się, jak ulokować pieniądze, w co zainwestować. Ania czuje, że jest z facetem, którego nie musi utrzymywać i przy którym nie musi się spinać. O swoich oczekiwaniach opowiada tak: „Nie mogłabym być w związku, w którym bym dominowała. Gdy mam przy sobie odpowiedzialnego mężczyznę, chętnie się podporządkowuję. Trzeba trochę nade mną popracować, czasem trochę poprzytulać, a kiedy trzeba – zganić i strofować. Głową rodziny powinien być mężczyzna. To musi być ostoja, opoka. Musi zapewnić mi wikt i opierunek”<sup>[51]</sup>.

## Jak mam mu to powiedzieć?

Kiedy Ania odwiedza Jarka we Wronkach, z reguły jeździ tam razem z kuzynem.

Paweł Tamberg: – Dojechaliśmy do Wronek, Jarek jeszcze nie wrócił z treningu. Ania wysłała mnie po zakupy. Kupiłem, co chciała, i nie wiem, co mi wpadło do głowy – dokupiłem też test ciążowy. Wiedziałem, że Ania chce mieć z Jarkiem dziecko, i tak mi coś głupiego wpadło do głowy. To jeszcze było okej, gorzej że ten test otworzyłem i... domalowałem długopisem kreskę – że niby test wypadł pozytywnie. Pokazałem Ance, jej się żart spodobał i, niewiele myśląc, wkręciła Jarka. A on to kupił. Jak już się zaczęło, poszło na całego. Pamiętam, że Jarek wieczorem obdzwonił całą rodzinę i przyjaciół z wiadomością, że będzie ojcem. Wszyscy szczęśliwi, gratulacje. Poszliśmy spać. Rano drzwi do mojego pokoju się otwierają, Ania mnie szturcha i syczy: „Paweł, wstawaj!” „Co jest?!” „Jak ja mam mu teraz powiedzieć, że on ojcem nie będzie?”

•

Ania bardzo szybko decyduje się na potomstwo. Namawiała wcześniej pierwszego męża, ale jeszcze nie chciał, uważał, że „jeszcze nie teraz”. Dla Ani „teraz” jest już od dawna. Szczerze marzy o licznej rodzinie, w rozmowach z przyjaciółmi często pół żartem wspomina o czwórce dzieci. I nie chce czekać.

– Mój tato zmarł, kiedy miałam szesnaście lat – był o dziesięć lat starszy od mojej mamy – ja sobie wtedy poprzysięgam, że nigdy nie będę starym rodzicem – opowiada w wywiadzie. – Wiedziałam z książek, z gazet, że dobrze jest urodzić dziecko przed dwudziestym piątym rokiem życia. Do tego przyszedł Jarek, no i już. Zaskoczył zegar

biologiczny, zaczęłam zaglądać do wózków. Kiedy moja siostra w Wigilię 2001 roku oznajmiła, że spodziewa się dziecka, nastąpiło u mnie apogeum tego pragnienia. Parę tygodni później sama byłam w ciąży<sup>[52]</sup>.

Jesienią 2001 roku już na dobre przeprowadza się do Wronek, do mieszkania Jarka. Dwa pokoje z malutką łazienką w bloku z widokiem na zakład karny. Tam zaczyna poznawać prawdziwe domowe życie: codziennie sprzątanie, gotowanie – dopiero się tego uczy, a poprzeczka od razu wisi wysoko: Jarek jako sportowiec musi bardzo uważać na to, co je. Ania porzuca więc zamiłowanie do „garmażerki” i uczy się gotować przede wszystkim zdrowo.

– Pierwsze obiady gotowałam we Wronkach. Było słabo. Danie popisowe – parówki z cebulą. Jarek nie dał rady. „Ania, co to jest?” – mówi w wywiadzie<sup>[53]</sup>.

Ale fascynuje ją to spokojne, poukładane życie we Wronkach. Chociażby niedzielne wyjścia do kościoła. Opowiada siostrze ze śmiechem: „Ja nigdy nie chodziłam do kościoła tyle, ile we Wronkach”

Jest pod wrażeniem życzliwości ludzi w tej małej miejscowości. Zdarza się, że na kłamce mieszkania znajduje rano torbę ze świeżymi bułkami. Lubi codzienne niezobowiązujące rozmowy z sąsiadami. Nie przeszkadza jej nawet to, że musi dojeżdżać do pracy do Warszawy. Jedzie samochodem do Poznania, wsiada w pociąg i po trzech godzinach jest w Warszawie. Wszystko można zaplanować.

Na początku 2002 roku zachodzi w ciążę. Jest przeszczęśliwa. Tylko Jarek przez kilka dni nie chce jej uwierzyć. Myśli, że znowu go wkręcają.

## Weź coś zrób

W październiku 2001 roku rozpoczynają się zdjęcia do *Kariery Nikosia Dyzmy* według Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, z Cezarym Pazurą w roli tytułowej. Misja prawie niemożliwa: trzeba się zmierzyć z legendarnym serialem z Romanem Wilhelmim w roli głównej. Reżyser filmu, Jacek Bromski, ucieka od porównań z wersją Jana Rybkowskiego, między innymi przenosząc akcję do współczesnej Polski. Nikoś w jego wersji jest grabarzem, który przez przypadek trafia na polityczne salony.

„Tym, co różni poprzednich Dyzmów od współczesnego, jest otoczenie, w jakim obraca się bohater. Dawniej brylował wśród arystokratów i absolwentów Oksfordu, dzisiaj jego „patronem” jest nuworysz z wykształceniem podstawowym. Kiliński (nie Jan!) zbił majątek na sprzedaży zagęszczacza spożywczego (czytaj: żelatyny), co – rzecz jasna – kojarzy się nam jednoznacznie. Bromski zdegradował nawet kochankę i przyszłą żonę Dyzmy – przedtem była hrabianką, teraz jest kociakiem, który z wiejskiej stodoły trafił na salony” – pisała Justyna Kobus<sup>[54]</sup>.

Owego kociaka gra Ania Przybylska. To jej przypada główna rola kobieca – Jadzi, żony ministra Jaszubińskiego, w której z wzajemnością zakochuje się Nikoś.

Początki współpracy Przybylskiej i Pazury na planie są dość oryginalne.

– Pierwszego dnia wspólnych zdjęć, zaraz na początku mieliśmy kręcić scenę, w której się całujemy – opowiada odtwórca głównej roli. – Scena jak scena, ale patrzę: Ania ma opryszczkę. A jak na złość, niedawno przeczytałem gdzieś, że opryszcзки mogą się przenosić. No to zacząłem kombinować, że może bez pocałunku, jakoś inaczej. A ona wtedy: „Pazur, zwariowałeś? Jesteś pierwszym facetem w tym kraju, który nie chce się całować z Przybylską.”

Ania znów ma się rozebrać przed kamerą, ale tym razem opiera się jeszcze bardziej. W scenie basenowej nago mają być wszystkie

dziewczyny. Taka jest koncepcja reżysera – nawiązanie do pamiętnej sceny z telewizyjnej wersji *Kariery* w reżyserii Jana Rybkowskiego i Marka Nowickiego, gdy bohatera uwodzą zakochane w nim kobiety. Ale Ania zapowiada, że goła tego nie zagra. I faktycznie – jest jedyną ubraną kobietą w całej scenie.



Anna Przybylska, Krzysztof Globisz i Cezary Pazura na planie *Kariery Nikosia Dyzmy*



Anna Przybylska i Cezary Pazura, kadr z filmu *Kariera Nikosia Dyzmy*

Cezary Pazura: – Akurat była na początku związku z Jarkiem. Mówi do mnie: „Słuchaj, ten mój jest cywilem, on nic nie kuma i jest zazdrosny”. Dla aktorów to naprawdę nie są komfortowe, łatwe sceny, ale podchodzimy do nich na chłodno, profesjonalnie. A ktoś z zewnątrz – wiadomo, normalna reakcja. Sam rozmawiałem z Jarkiem, tłumaczyłem mu, że to sprawy zawodowe, trzeba to oddzielać. Rozumiał, ale ja też rozumiem, że mogło mu być nieswojo. W każdym razie w scenie, kiedy leżymy w łóżku i pochylam się nad nią, Ania była bardzo speszona. „Leżę tak z tymi cyckami na wierzchu, weź coś zrób”. To ja wtedy patrzę na nią z miłością, coś tam mówię i przy okazji ręką jej biust zasłaniam. Na początku nawet przeszło, bo reżyser Jacek Bromski akurat musiał gdzieś wyjść, został tylko operator Arek Tomiak. Wrócił reżyser: „Zrobiliście to?” „Tak” „No dobra, to jedziemy dalej”. Ale jak potem zobaczył materiał, to się wściekł. „Czyś ty zwariował, Pazura? Co ty robisz? To ja po to Przybylską zatrudniam, żeby ludzie na piękną kobietę popatrzeli, a ty jej cycki przykrywasz?”. No i musieliśmy jeszcze dograć scenę, jak jej usta przed lustrem malują. I wtedy już niczego nie



zakrywam. Ania bardzo przeżywała tę część swojego zawodu. To, że jest seksbombą, obiektem pożądania, bardzo jej wtedy przeszkadzało, zwłaszcza na początku związku z Jarkiem. Bała się, że coś między nimi zepsuje.

## Czas

Pierwszy rok związku z Jarkiem to jednocześnie pracowity czas w karierze. Ania gra w *Złotopolskich*, w *Karierze Nikosia Dyzmy*, potem w *Rób swoje, ryzyko jest twoje*, wreszcie, już będąc w ciąży, w *Superprodukcji* Juliusza Machulskiego.

Nie ma co ukrywać. Filmy spotykają się z co najwyżej przeciętnym przyjęciem krytyki.

Tak o *Karierze Nikosia Dyzmy* pisała Ewelina Nasiadko na Filmwebie<sup>[55]</sup>:

„Wydaje mi się, że mimo wszystko dla większości widzów ten film pozostanie tylko lekką, łatwą i przyjemną rozrywką, dodatkowo niekoniecznie bardzo wyszukaną. Twórcy, obsadzając w roli Dyzmy idola polskiej publiki, Cezarego Pazurę (swoją drogą znakomitego w tym filmie), chcieli przyciągnąć do kin młodych ludzi. Żeby ich jeszcze bardziej zachęcić, wybrali do roli jego partnerki ponętą Anię Przybylską. Jakby tego nie było dość, uraczyli widzów potężną dawką nagich kobiecych biustów. Nie przypuszczam, by były to elementy skłaniające kogokolwiek do refleksji nad życiem społeczno-politycznym kraju. Nie jest to jednak zły film. Szczerze, spodziewałam się przygłupiej komedii, a tymczasem zostałam nawet mile zaskoczona. Z drugiej strony, daleko obrazowi do arcydzieła, ale tego akurat nikt chyba nie oczekiwał!”

O *Superprodukcji* na Filmwebie<sup>[56]</sup> napisał Dominik Kubacki: „Juliusz Machulski przyzwyczył nas do wysokiego poziomu swoich filmów. *Seksmisja* czy *Vabank* to obrazy, które przeszły już do historii rodzimej kinematografii i uzyskały status kultowych. Stąd też oczekiwania wobec kolejnych produkcji firmowanych nazwiskiem Machulskiego są zawsze ogromne. I może dlatego moje wrażenia po obejrzeniu *Superprodukcji* są takie, że jest to film zabawny i mający ogromny potencjał, ale jak na Machulskiego raczej średni. (...) W *Superprodukcji* najlepiej wypadają aktorzy drugoplanowi

i epizodyczni. Przeważające kreacje stworzyli Krzysztof Globisz (reżyser Wypychowski), Janusz Rewiński (producent Niedzielski), Anna Przybylska (Donata), Marek Kondrat (Folksdojcz) oraz Krystyna Janda w roli... samej siebie!”



Z Janem Machulskim na planie *Superprodukcji*

Ten sam recenzent o *Rób swoje, ryzyko jest twoje*<sup>[57]</sup>: „To film, którego największym atutem jest obsada. Marianowi Terleckiemu, producentowi, który przypominał się po kilku latach jako reżyser, udało się na planie zgromadzić plejadę znakomitych aktorów, którzy dokładają wszelkich starań, żeby wzbudzić w nas wesołość. Co z tego, kiedy scenariusz im na to nie pozwala. *Rób swoje* należy bowiem do komedii z cyklu »mało śmiesznych«, której nie są w stanie uratować nawet brawurowe kreacje aktorskie”

Wróćmy jednak do *Superprodukcji*. To opowieść o ostrym,

bezkompromisowym krytyku Yanku Drzazdze (Rafał Królikowski). Reżyserzy boją się jego recenzji, gdyż w przypadku niskiej oceny – jak mówi jeden z bohaterów komedii – „nawet szkoły nie pójdą.” Ale pewnego dnia Drzazga zostaje zmuszony przez gangstera Jędrzeja Koniecpolskiego (gra go Piotr Fronczewski) do napisania scenariusza filmowego mającego zagwarantować sukces planowanej produkcji. Yanek ma też film wyreżyserować, a główną rolę dostaje narzeczona Koniecpolskiego – Donata.

„W *Superprodukcji* dostało się wszystkim – aktorom, sponsorom, miłości, damom” – tak Janusz Rewiński komentował film w jednym z wywiadów z twórcami, które stanowią dodatek do wydania DVD.



Ania z Juluszem Machulskim, reżyserem *Superprodukcji*, podczas gdańskiej prapremiery w kinie Krewetka



Na warszawską prapremierę *Superprodukcji* w Sadyba Best Mall Ania przysła w towarzystwie Jarka Bieniuka

– Pisząc scenariusz, od razu wiedziałem, że Donatę – nierozgarniętą dziewczynę Koniecpolskiego – powinna zagrać właśnie Przybylska – opowiada Juliusz Machulski. – Ta postać jej się spodobała, bo Ania mogła pokazać dystans do siebie. Ona naprawdę musiała być już bardzo świadomą aktorką, żeby zagrać taką rolę. Głupka może zagrać tylko bardzo inteligentny aktor. Odwrotnie to nie działa – głupek nie zagra intelektualisty. Ania zawsze była na czas, perfekcyjnie przygotowana, skupiona. Nie było z nią żadnego problemu na planie. No, może poza tym, że zdarzało się jej spieszyc na pociąg do domu. Staraliśmy się nawet pójść jej na rękę, jak było można, zmieniając plany kręcenia ujęć. Jej trudno się było oprzeć. Ona była urodzoną aktorką, takim wyjątkiem potwierdzającym regułę, że każdy aktor musi przejść formalną edukację aktorską. Oczywiście, gdyby chciała grać w teatrze –

do tego potrzebny jest określony warsztat, nie wiem, jak by się znalazła w takiej sytuacji. Ale film... Ona go miała we krwi. Gdy wchodziła Ania, zapalało się jakieś światło. Tak było w każdym filmie z jej udziałem.

Gdy reżyser spotkał się z Przybylską, by sfinalizować jej udział w filmie, rzucił na koniec: „Teraz żebyś tylko w ciążę nie zaszła.”

Ania brała udział w zdjęciach w piątym miesiącu.

– No cóż, dla mnie ciąża to żaden kłopot, Ania nie była pierwszą aktorką, która wystąpiła w moim filmie w ciąży – mówi z uśmiechem Machulski. – Kasia Figura, Ela Zającówna, Hania Mikuć... Ania była czwarta.

Każda z nich zagrała u niego więcej niż raz – ale nie Przybylska.

Machulski: – Potem jakoś nie miałem dla niej roli. Jesteśmy w końcu małą kinematografią, więcej mamy dobrych aktorów niż ról dla nich. Zresztą ona też na jakiś czas prawie zupełnie zniknęła, gdy wyjechali z Jarkiem do Turcji. No i pojawiały się kolejne dzieci. Pewnie, że bardzo żałuję. Kiedy spotykaliśmy się, zawsze deklarowaliśmy, że musimy coś wspólnie zrobić, że już wkrótce. Myślałem sobie: młoda dziewczyna, ma czas. Człowiek czasem jest naiwny...

## Macierzyństwo

Choć Ania tak bardzo lubi swoje życie we Wronkach, kiedy zachodzi w ciążę, postanawiają z Jarkiem przenieść się do Poznania. Ania woli być bliżej lekarzy. Boi się o dziecko, ale już na pewno nie o to, że za mocno utyje czy wypadnie z obiegu.

– Wychodziła z założenia, że ciąża po to jest, to taki urlop dla niej – wspomina jej siostra. „A ja teraz mogę sobie porządnie zjeść, pospać” – mówiła.

Przybylska: „Ciążę wspominam fantastycznie, bo kiedy hormony we mnie buzowały, ładnie wyglądałam, dobrze się czułam i miałam dobry nastrój. Pierwsze pięć miesięcy, do czerwca, pracowałam na planie *Złotopolskich* i grałam w filmie Juliusza Machulskiego *Superprodukcja*. Latem, kiedy byliśmy z Jarkiem na urlopie w Chorwacji, chodziłam po górach i nieźle sobie radziłam”<sup>[58]</sup>.



Ania we wrześniu 2002 roku na 27. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.  
Za miesiąc urodzi się Oliwka



Prowadzą z Jarkiem bardzo wesołe życie. Piękni, młodzi, rozpoznawani wszędzie, gdzie się pojawiają. „Polscy Beckhamowie”, jak ochrzciła ich prasa. Ania się z tych porównań śmieje. Za to Jarek zapytany kiedyś przez dziennikarza odparowuje: „Ja nie jestem tak dobrym piłkarzem jak Beckham, a Victoria nie jest tak dobrą aktorką i piękną kobietą jak Ania.” W czerwcu 2002 roku, gdy zbliża się mundial w Korei i Japonii, Przybylska znów pojawia się na okładce „Playboya” – w czerwonych stringach, które przesłania futbolówką, białej koszulce piłkarskiej z orłem i numerem sześć oraz z prześwitującymi piersiami. Towarzyszą jej dwa napisy: „Ania gol (ł) a!” i „Ania Przybylska z piłeczką i bez...” Na tych zdjęciach jest już w trzecim miesiącu ciąży.

•

Oliwia przychodzi na świat 18 października 2002 roku. Dwa lata później Ania wspomina: „Poród rodzinny? To był chyba bardziej pomysł Jarka niż mój. Zawsze mi się wydawało, że on sobie z tym nie poradzi. A on powiedział, że nie wybaczyłby sobie do końca życia, gdyby nie był przy porodzie swojego pierwszego dziecka. Ja też się przekonałam, że to fantastyczna rzecz, kiedy twój mężczyzna trzyma cię w takiej chwili za rękę, coś do ciebie mówi, głaszcze cię. To bardzo zbliża. Jarek jest bardzo dumny, że tak sobie świetnie poradziłam. Zawsze ze mnie szydził – bo jestem mało odporna na ból, a tu proszę – raz, dwa i po krzyku. Nic mi w życiu tak nie wyszło jak poród, córka i to, jak dalej sobie radzimy”<sup>[59]</sup>.

Pierwsze godziny po porodzie są jednak bardzo trudne. Ania: „Nie opuszczało mnie przerażenie i strach o Oliwię. Przez pierwsze trzy dni nie miałam laktacji. Oliwia płakała, a ja – z żalu, że nie mam pokarmu – chlipałam razem z nią. Przez dwa tygodnie cierpiałam na bezsenność, miałam oczy na zapałkach, siedziałam przy łóżeczku Oliwii i cały czas wsłuchiwałam się, czy oddycha. Miałam obsesję na punkcie bakterii, więc przez pierwszy miesiąc nikomu poza Jarkiem nie pozwalałam jej

dotknąć”<sup>[60]</sup>.

Ania bardzo przeżywa swoje macierzyństwo. Wobec Oliwki bardzo szybko staje się aż nadopiekuńcza. Ciągła walka z bakteriami, wyparzanie buteleczek, „nie zbliżaj się do małej, najpierw ogrzej ręce”. Poza tym prasowanie pieluszek, kaftaników. Dwa dni nienoszone – to trzeba znowu do pralki, a potem prasowanie. Przesada? Ania znowu wie lepiej. Zatraca się w macierzyństwie, uwielbia być mamą. Przebija to z prawie wszystkich wywiadów, których udziela, gdy mieszka w Poznaniu: „Mam po prostu więcej siły niż przeciętny człowiek, żeby spędzić pół dnia na planie, trzy godziny w podróży, potem dziecko, kolacja, pranie, prasowanie, a może jeszcze pójść poćwiczyć (...)”<sup>[61]</sup>.

Wyszukuje coraz to nowe zalety macierzyństwa: „Zaczęłam grać w filmach w wieku siedemnastu lat, wszyscy obchodzili się ze mną jak z dzieckiem: »Ania, zjedz, Ania, okryj się«. Ale w dniu narodzin mojego dziecka to wszystko się skończyło. Co więcej, ludzie rozumieją, że na pierwszym miejscu jest dla mnie teraz Oliwia. Nie pojedę do Pierdyszewa Dolnego na gościnne występy, jeżeli koliduje to z wychowaniem mojego dziecka. Kiedyś w takich sytuacjach mówili: »A tam, coś pani wykombinuje«, i wiadomo – nadęta. A teraz: »Pani Aniu, szanujemy to«, i to jest strasznie fajne. Jak chcesz być traktowany poważnie, zrób sobie dziecko”<sup>[62]</sup>.



19 września 2003 roku. Na tym festiwalu filmowym w Gdyni Ania zjawiała się już z Oliwką. Z prawej – mama Krystyna

W jeszcze innym wywiadzie: „Wcale się tego nie wstydzę, ale jestem typową mamuszką: siedzę w domu, gotuję, sprzątam, piore, czytam prasę. Albo biorę wolne od codzienności, stroję się, nie gotuję, palę papierosy mentolowe, jestem damą, robię paznokcie i fryzurę. A potem znowu pranie, sprzątanie, gotowanie. Ale ja to kocham. Dziś już inaczej podchodzę do życia. Kiedyś było mi wszystkiego za mało. A teraz za każdy dzień dziękuję Bogu. Że byliśmy na fajnym filmie, że moja córeczka dobrze zjadła, dobrze spała, nie miała kolki. Uwielbiam takie tygodnie, gdy jestem tylko w domu z rodziną, ale może dlatego, że wiem, że zaraz potem pojedę na plan filmowy do ciężkiej pracy. W życiu potrzebna jest równowaga. Wracam więc z planu filmowego w domowe pielesze i znowu jestem szczęśliwa<sup>[63]</sup>.

Gdy Oliwia ma dziewięć miesięcy, Ania się zwierza: „Dziecko mam. Teraz szanuję czas i nie marnuję go. Mój dom ma być domem, a nie

zwariowanym miejscem jakiejś latającej aktoreczki. Dziecko to naprawdę pierwszy krok w dorosłość, a macierzyństwo to najfantastyczniejsza rzecz na świecie. (...) Zanim [moja córka] się pojawiła, żyłam z dnia na dzień. Praca, wyjazd, szkoła, którą zaczęłam, potem rzuciłam. Nie wiem, o co mi właściwie chodziło”<sup>[64]</sup>.

O swoim partnerze mówi: „Całe nasze życie podporządkowane jest jego grze – zdrowe jedzenie, wysypianie się. To ja wstaję w nocy do Oliwii – on jest sportowcem, musi mieć dobrą kondycję, niech się skupi na meczu, niech sobie pośpi do tej jedenastej. Ja wyjdę o dziesiątej na spacer z Oliwią, niech będzie cisza i spokój w domu. Nie ciosam mu kołków na głowie – jestem spełniona zawodowo i dlatego nie ma między nami konfliktów. Lubię, jak mężczyzna jest mężczyzną, nawet trochę despotą. (...) Baba zawsze musi iść na kompromis, musi zacisnąć zęby: »Kochanie, co dziś zjesz na śniadanie?« – »Nienawidzę go«. »Jajecznikę? Proszę bardzo!« – »Uduszę go«. Tak jest skonstruowany ten świat. Nie możesz założyć, że facet będzie cię nosił na rękach. On cię będzie nosił, ale do czasu”<sup>[65]</sup>.

# Sny

„Ania: Jak się rodzi dziecko, to człowiek zaczyna myśleć tylko o przyszłości. I o śmierci.

Dziennikarz: O śmierci? Przecież masz dwadzieścia pięć lat!

Ania: Ktoś kiedyś powiedział, że ze śmiercią zaznajamiamy się w dniu naszych urodzin. Ja boję się upływu czasu, starości”<sup>[66]</sup>.

•

„Prorocze sny miały moja mama, babcia, mam ja. Śnią mi się plany filmowe, które potem stają się rzeczywistością – za kilka dni ktoś dzwoni i proponuje mi rolę. Kiedyś przyśniło mi się, że jestem w ciąży, i rzeczywiście tak się stało. Ale dręczą mnie też wyjątkowo obrzydliwe przeczucia. Przyśniła mi się śmierć ojca i mój tato niebawem zmarł. Żyję w strachu, bo boję się, że młodo umrę. Panicznie boję się śmierci! Chciałabym być wiecznie mamą dla mojego dziecka. Pocieszam się jednak tym, że kobiety w mojej rodzinie żyją długo. Przeżywają swoich mężów. Chcę być babcią, doczekać się tuzina wnuków”<sup>[67]</sup>.

# Nudne życie

Któregoś dnia na planie *Rób swoje, ryzyko jest twoje* Ania spotyka o sześć lat starszą aktorkę Katarzynę Bujakiewicz.

Nowa znajoma mieszka w Poznaniu. Wkrótce dziewczyny stają się bliskimi przyjaciółkami.

– Pamiętam moment, gdy Anka wpadła do garderoby przy okazji jakiejś naszej wspólnej produkcji – wspomina Bujakiewicz. – Już po chwili zdałam sobie sprawę, że w końcu mam poważną konkurencję, jeśli chodzi o temperament. Powiedzmy sobie szczerze: gdy Ania i Jarek przeprowadzili się do Poznania, to stałam się ich domownikiem. Jarek ciągle albo na treningach, albo wyjeżdżał na mecze, zgrupowania, więc zorganizowałam Ani życie w Poznaniu. Rano szłyśmy na siłownię, trzy razy w tygodniu na spinning, potem jeszcze jakaś mała siłownia, sauna – zresztą zwykle w większym towarzystwie, bo żony piłkarzy Lecha i Amiki trzymały się w grupie i wiele rzeczy robiły razem. I jechałyśmy do niej, Ania gotowała, ja jadłam. Takie nudne, zwyczajne, poznańskie życie.

Dziewczyny potrafią spędzić ze sobą nawet walentynki.

Bujakiewicz: – Jarek akurat wyjechał na jakiś mecz. Zadzwoiłam z pociągu z Warszawy, że wracam. Ania: „Wpadaj koniecznie, czekam”. Po drodze przypomniało mi się, że przecież są walentynki, zaszłam więc do kwiaciarni. Panowie przede mną brali po jednym kwiatku, a ja mówię: „Poproszę ten największy bukiet”. Pukam do drzwi, Ania otwiera, patrzy na mnie i mówi: „Wiedziałam, Bujakiewicz, że coś odpierdolisz... Też się przygotowałam”. Wchodzę, a tam w salonie przygotowana kolacja przy świecach, szampan. I zrobiłyśmy sobie romantyczny wieczór.



Kadr z filmu *Rób swoje, ryzyko jest twoje*

Przyjaciółka szybko docenia to, jak Ania prowadzi dom, ale zwraca też uwagę na jej chorobliwe zamiłowanie do porządku. Czy Ania jest pedantką?

Paweł Tamberg: – Powiedziałbym wręcz, że potworną.

Kasia Bujakiewicz: – Budzę się rano u Ani i Jarka w mieszkaniu po jakiejś imprezie, mało jeszcze przytomna. Patrząc na zegarek: siódma. Słyszę, że coś nieznośnie warczy. Krzyczę: „Co tam się dzieje?!”. I słyszę Jarka: „Jak to co, Ania odkurza”. Nie miała litości, od rana jechała na szmacie.

Gosia Rudowska: – Pedantyzm wpędził kiedyś Anię w tarapaty. Dostała od Jarka brylantowe kolczyki. Przed zdjęciami musiała oczywiście zdejmować swoją biżuterię. I zawinęła te kolczyki w folijkę od paczki papierosów i schowała do torebki. A że miała manię sprzątnięcia, porządkując torebkę, machinalnie wywaliła pakuneczek z kolczykami. Uznała, że Jarek w życiu nie może się o tym dowiedzieć, poszła więc do sklepu – to był Kruk bodajże – i kupiła identyczne

kolczyki.







Nierozłączne. Kasia Bujakiewicz i Ania Przybylska, na górnym zdjęciu z Oliwką

Przybylska i Bieniuk deklarują, że porządek jest przyczyną ich kłótni.

„Ania: Kłócimy się jak włoska rodzina – jesteśmy krzykliwi, głośni i impulsywni. Potrafię zatrajkotać człowieka na śmierć. Bywam upierdliwa, bo jestem strasznie pedantyczna.

Jarek: W domu się wyłączam, funkcjonuję na półobrotu. Ania natomiast – żywe srebro, tu zadzwoni, tam zagada. Położę się na kanapie albo odpalę komputer, a Ania cały czas ode mnie czegoś wymaga. »Jarek, idź tu, załatw tamto«.

Ania: Nie znoszę beczynnego siedzenia. Krzyczę więc na niego, on mi odpowiada i kłótnia gotowa. Potem biorę ścierkę i w nerwach wycieram kurze”<sup>[68]</sup>.

Pewnego razu, gdy Jarek wraca z jakiegoś meczu wyjazdowego, Ania oświadcza poważnym tonem: „Musimy skończyć z przeklinaniem w domu.” On zdziwiony: „Ale dlaczego?” „Bo Oliwia [miała wtedy może

trzy lata] chodzi po salonie i mówi, że ona chce »kurew«

Przez kilka godzin oboje stropieni obserwują córkę uważniej niż zwykle. Aż się nie okazuje, że Oliwce chodzi o to, by włączyć jej bajkę „Król lew”.

Czy ta przykładna matka i pedantyczna pani domu jest aby na pewno tą samą skłonną do wygłupów chuliganką, którą pośród stu pięćdziesięciu kandydatek do roli Suczki wypatrzył Piwowarski?

Paweł Tamberg: – Jechaliśmy z kilkumiesięczną Oliwką z Poznania do Gdyni i zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej. Gdy już wróciliśmy na trasę, akurat zadzwoniła mama Anki. Pytała, czy jesteśmy w drodze, jak się jedzie. W końcu zapytała, jak tam Oliwka. A Ania na to, z refleksem: „Oliwka? O kurwa, na stacji została!” Ciocia dostała ataku hysterii. Najgorsze, że zanim wytłumaczyliśmy, że to żart, rzuciła słuchawką i potem nie odbierała przez kilka minut. Oj, dostało nam się wtedy, dostało.

## Nie będziemy grały

Po urodzeniu Oliwki i urlopie macierzyńskim na własnych zasadach Ania wraca na plan. W lipcu 2003 roku zaczynają się zdjęcia do *Królowej chmur* – kameralnego filmu z telewizyjnego cyklu TVP *Święta polskie*. Partneruje Danucie Szaflarskiej i Wojciechowi Malajkatowi.

Ale najważniejsze, że wraca do reżysera, który ją odkrył i uwielbia – Radosława Piwowarskiego. Ten jednak musi przeforsować kandydaturę Przybylskiej do roli naiwnej Kasi, dziewczyny, w której kocha się bohater grany przez Malajkata, odwożący swoją przybraną matkę (Szaflarska) do domu spokojnej starości.

– Producenci zgłosili wątpliwości. Zawołali nas – kierownika zespołu Kubę Morgensterna i mnie – i od razu: „Co to za obsada, kto to jest, tak nie może być” – unosi się Piwowarski jeszcze dziś. – Wściekłem się, bo przecież to była genialna obsada. Kuba dał mi znak, żebyśmy wyszli na chwilę, i mówi: „Proszę cię, zgódź się na zdjęcia próbne, bo nie dostaniemy kasy i filmu nie będzie.” No i co miałem zrobić? Wracamy i pytam, kto budzi wątpliwości. No, ta młoda. Okej, to już byłem spokojny. Poprosiłem o propozycje nazwisk do zdjęć próbnych, dostałem z dziesięć. Zrobiliśmy zdjęcia, wiedząc, że przecież to nie miało sensu, wiadomo było, że Anka jest w innej lidze. Pokazałem producentom i pytam, co myślą. „No dobra, niech będzie tamta, jak jej tam, Przybylska” – usłyszałem.



Kadr z filmu *Królowa chmur*. Ania z Wojciechem Malajkatem

Z resztą obsady idzie łatwo – nikt nie ma wątpliwości co do Danuty Szaflarskiej i Wojciecha Malajkata. Gdy Piwowarski dzwoni do osiemdziesięcioośmioletniej wówczas Szaflarskiej, ta pyta tylko: „Proszę pana, czy to kolejny film, w którym mam umierać?” Piwowarski: „Pani Danuto, wręcz przeciwnie, tu ma pani być zwariowana.” „Och, to kocham pana, oczywiście gram”

Dla Ani spotkanie na planie legendy polskiego kina jest ogromnym przeżyciem.

Piwowarski: – Zawsze bardzo mi zależało, by młodzi aktorzy mieli odpowiedni szacunek do starszych. Jestem zwolennikiem relacji uczeń-mistrz. Szacunek trzeba mieć. Pamiętam, jak na plan *Złotopolskich* przychodził Stanisław Mikulski świętej pamięci – wiadomo, Kloss. Nie muszę mówić, że zjawiał się zawsze co do sekundy, tekst na blachę wyuczony, siadał w korytarzu i czekał. Wystarczyło kamerę włączyć. No to zwracałem się do ekipy tak: „Słuchajcie, popatrzcie, to jest pan Stanisław Mikulski, żebyście wnukom się chwalili, z kim pracowaliście? Przed zdjęciami do *Królowej chmur* wziąłem Ankę na bok i mówię:

„To jest historia kina. Ona widziała rzeczy, o których ty nie masz pojęcia, bo o nich w encyklopediach nie piszą. Ona grała w *Skarbie, Zakazanych piosenkach*. To jest naprawdę Ktoś przez bardzo duże K. Twoich rodziców na świecie nie było, a ona już grała.” Pewnie nie musiałem jej tego wszystkiego mówić, bo Anka i tak zawsze miała ogromny szacunek do starszych. Film kręciliśmy bardzo szybko – wiadomo, budżet niewielki, mało dni zdjęciowych. Szaflarska zawsze była bardzo otwarta, miła, nie miała problemów w kontaktach z ekipą. Sama sporo już w życiu widziała, przyglądała się Ani tak przez pół dnia. Tyle wystarczyło i pani Danusia była już kupiona. Zobaczyła, że ma do czynienia z bardzo dobrą aktorką. No i dziewczyną fajną – wiecie, jaka Anka była. Miały ze sobą kilka przepięknych scen. Choćby tę, w której bohater grany przez Wojciecha Malajkata przedstawia sobie obydwie panie:

Malajkat: – To jest Mimi, Królowa Chmur.

Przybylska: – A, Królowa Chmur, super...



Na planie *Królowej chmur*. Między Anną Przybylską i Radosławem Piwowskim – Danuta Szaflarska

Malajkat: – A to jest Kasia, naturystka.

Szaflarska: – Bardzo mi miło poznać koleżankę, naturystę. Ja w zasadzie jestem abstrakcjonistką, ale na plenerach też jestem naturystka. Maluję chmury. A pani co najchętniej maluje?

Przybylska: – Paznokcie... Królowo, proszę mi mówić Kaśka.

Szaflarska: – A ty mi mów Mimi.

Piwowski: – Ósmego dnia zdjęć – a wszystkich dni zdjęciowych było zaledwie dziewięć – patrzę, a Anka siedzi w polu i płacze. Zdenerwowałem się, podbiegam i mówię: „Mów, kto ci co zrobił!” „Nie, nie, reżyserze, to nie to!” „A co się stało?” „Pani Szaflarska zaproponowała, żebyśmy na ty przeszły. Ja się wzbraniałam, no jak to? A ona: »Przecież my koleżanki aktorki jesteśmy. Danuśka jestem«”

Ania odpowiedziała pani Danucie, że nigdy w życiu nie powie do niej po imieniu. A ona wtedy na to: „No to nie będziemy grały”



## Sprawy ważniejsze

Ania i Jarek chcą mieć więcej dzieci. Ania deklaruje czasami, że czwórkę. Niestety, dwukrotnie dopada ją tragedia – poronienia. Za pierwszym razem ciąża jest już mocno zaawansowana – piąty miesiąc. Ania bardzo straty przeżywa i bardzo się boi o następne ciążę. Postanawia, że na ich czas zawsze będzie robiła sobie przerwę w pracy. Staje się to zasadą, o której wszyscy wiedzą: Przybylska nie pracuje w ciąży, nie ma sensu dzwonić.

Rudowska: – Trzeba było przekładać zdjęcia filmowe i do reklamówek. Ale są sprawy ważne i ważniejsze. Ania po prostu zniknęła na jakiś czas.

Przybylska: „Jedyna rzecz, której było mi szkoda, to gdy będąc w ciąży [z Szymonem], dostałam propozycję poprowadzenia XXX Festiwalu Filmowego w Gdyni. To było dla mnie ważne. Uznałam, że zostałam zaproszona do grona wielkich aktorów”<sup>[69]</sup>.

•

Program zdjęciowy przygotowywany dla aktorów w takim przedsięwzięciu jak telenowela jest mocno skomplikowany. W *Złotopolskich* jego przygotowywaniem zajmuje się Małgorzata Raszek-Zaliwska, druga reżyserka. Nie ma łatwo, na przykład w pewnym momencie w serialu gra siedmioro aktorów z jednego teatru. Jej praca polega więc między innymi na koordynacji ich pracy w telenoweli z pozaserialowymi zadaniami. Zaczyna się walka, żeby wszystko połączyć, żeby pogodzić interesy artystów i serialu. Zwłaszcza że niektórzy aktorzy próbują jeszcze wydębić jak najwięcej wolnego czasu. A nie zawsze można ulec.





Na planie *Złotopolskich* w 2002 roku – Henryk Machalica, Anna Przybylska, Andrzej Piaseczny i Leon Niemczyk



Posterunek policji na Dworcu Centralnym – Janusz Onufrowicz, Anna Przybylska, Arkadiusz Janiczek i Paweł Wawrzecki. 26 lutego 2003 roku

Kiedy Raszek-Zaliwska czyta pierwszą wersję scenariusza, notuje, kto z kim i gdzie w scenariuszu się spotyka. Kiedy jest więcej Andrzeja Piasecznego, Ani Przybylskiej czy Pawła Wawrzeckiego, całą układankę zaczyna od nich, potem są osoby, które grają z nimi najwięcej, oraz ci, których jest mało i których sceny można przenieść w inne miejsce niż scenariuszowe założenie. A wszystko tak, żeby zdjęcia zrealizować w określonych terminach i nie polec finansowo.

W *Złotopolskich* spory problem pojawia się, kiedy w 2003 roku Przybylska zachodzi w ciążę i lekarz każe jej przerwać pracę. W serialu nie tylko trzeba wtedy zmienić plany zdjęciowe, ale także scenariusz. Niestety, po kilku tygodniach i tak dochodzi do poronienia. Ania potrzebuje jakiegoś zajęcia, by poradzić sobie z traumą. Zgłasza więc gotowość szybszego powrotu do pracy. Scenarzysta – Jan Purzycki – przywraca jej rolę.

Ilekroć Ania znika z powodu ciąży albo zdrowia, sierżant Baka wyjeżdża z Warszawy do Londynu, by szkolić się w brygadzie

antyterrorystycznej.

## Nienauczalne

Krzysztof Jaroszyński: – Kochałem ją w tym serialu do tego stopnia, że gdy oświadczyła mi, że przez prawie rok nie będzie grała, bo jedzie za swoim mężem do Turcji, to znalazłem dziewczynę, która z tyłu wyglądała dokładnie jak Anka, pozbierałem dialogi z poprzednich sezonów i... poradziłem sobie. W szerokich ujęciach tyłem do kamery stała dublerka i rozmawiała z partnerem. W bliskich była Ania w kompilacji z poprzednich odcinków. Sklejałem niemal słowo po słowie ze starych materiałów i montowaliśmy tak, aby wszyscy myśleli, że to cały czas Przybylska.

•

Najważniejszym po *Złotopolskich* serialem w karierze Ani staje się od 2003 roku *Daleko od noszy* Krzysztofa Jaroszyńskiego, sitcom o życiu szpitala, w którym za żadne skarby świata nikt nie chciałby się znaleźć.

– Paweł Wawrzecki, który grał z nią w *Złotopolskich*, opowiadał, że Anka czasami robi rzeczy dziwne. Takie zupełnie nie do telenoweli. Po prostu roznosi ją na planie. Mnie się to bardzo podobało i pomyślałem sobie: „O, to coś dla *Noszy*” – relacjonuje Jaroszyński. – Poprosiłem Pawła, żeby umówił nas na spotkanie. Powiedziałem jej: „Słuchaj, czasem cię roznosi w tych *Złotopolskich*, ty byś robiła zupełnie inaczej”. „No tak”. „To ja mam dla ciebie film, gdzie może cię roznieść i nic się nie stanie”. Spodobało jej się.



Paweł Waurzecki (doktor Kidler) i Anna Przybylska (stażystka Karina) na planie *Daleko od noszy*, 23 marca 2005 roku

W „Gazecie Wyborczej Trójmiasto” reżyser opowiadał potem: – Pierwszy jej dialog w *Noszach* pamiętam do dziś. Ordynator [grany przez Krzysztofa Kowalewskiego]: „Potrafi pani gipsować?” Doktor Karinka, czyli Ania, tym swoim zachrypniętym basikiem: „Znaczy... mówić językiem więziennym?”

*Daleko od noszy* ze swoim specyficznym poczuciem humoru raczej nie dla czytelników poezji Wisławy Szymborskiej – z przerysowanymi postaciami i śmiechem z offu – jest szalenie trudnym materiałem do grania, choć osobom postronnym czasem wydaje się, że nie ma nic prostszego, niż „robić z siebie głupka”

– Nic bardziej mylnego, a dla Ani praca przy tym serialu była bardzo dobrą nauką – komentuje Paweł Wawrzecki, odtwórca roli doktora Kidlera. – Musisz przybrać maskę. To naprawdę ciężka robota, wymagająca maksymalnego skupienia, profesjonalnego podejścia. Do tego długie monologi i wszystko musi być trafione w punkt, powiedziane dokładnie tak, jak wymyślił to Krzysiek. Całość trzeba zagrać dokładnie tak, a nie inaczej. To do tej kamery, tamto do tamtej. I potem dubel, dokładnie tak samo, bo inaczej nie da się tego potem skleić w montażu.

– Czy Ania była wielką aktorką? – pyta sam siebie Krzysztof Jaroszyński. – I tu pada odpowiedź: wolę, jak aktorką wielką się bywa, niż jest. A ona bywała wielką aktorką. To, że nie była aktorką zawodową, nie miała papierów, pozwalało jej robić rzeczy, których aktorka zawodowa nie miałaby prawa robić. I na tym polegała jej odrębność, fajność, skuteczność.

Co robiła inaczej? – Potrafiła mówić źle po polsku, co mi szalenie odpowiadało. Ale to świadczyło o jej swobodzie – tak jak nie trzymała się reguł gry aktorskiej, tak samo reguł wymowy polskiej. W zawodzie aktorki poprawność jest oczywiście bardzo ważna, ale są inne rzeczy, które działają na widzów bardziej. Na przykład wdzięk. A to jest nienauczalne, po prostu nienauczalne.



Na planie *Daleko od noszy*

– Była niebywale posłuszna, chciała się uczyć – podkreśla Jaroszyński.  
– I potrafiła się skupić na tym, co ma zrobić. Zachichotała nagle, a Paweł mówił: „Anka, ale to nie jest śmieszne!” I już nie było. Albo podchodziłem do niej i mówiłem: Aniu, tu jest takie zdanie: „Ten gość nie ma prawa umrzeć!” I nie ma ani jednego uśmiechu w tym zdaniu, dobra? I nie było sprawy. Była plastyczna, bardzo plastyczna.

– Z drugiej strony Ania często nie mogła grać ze mną – gotowała się po prostu i wybuchwała śmiechem – opowiada Wawrzecki. – No dobra, to jeszcze raz. Skupienie, koncentracja i ruszamy. I ona znów wpada w śmiech, bębni pięściami i wrzeszczy: zabiję cię. Czasem już mnie szlag trafiał, już nie miałem siły grać. Ja tam szaleję jako doktor Kidler, a w pewnym momencie ta znowu rechocze. W końcu przerwę musieliśmy robić. Z drugiej strony – na końcu każdego odcinka były tak

zwane gagi z planu, sceny, które nie wyszły, bo ktoś się pomylił albo roześmiał. Jak grała Ania, przynajmniej nie mieliśmy problemów ze znalezieniem takich scen, było ich mnóstwo.

– Myśmy ją kochali, cała ekipa. Prosta sprawa – deklaruje Krzysztof Jaroszyński. – Od ziewania na planie raz dwa potrafiła dochodzić do aktorskich szczytów. Czasem przypadkowo, ale stąd było to takie piękne.

Inne aktorki na planie? – Lubiły ją, wszystkie.

Żadnej rywalizacji, zazdrości? – W ogóle. Kolejny znak, jak była niezwykła.



## Nigdy więcej!

Kiedy Przybylska wychodzi na scenę Teatru Polskiego w Warszawie, wszyscy się o nią boją – że nie wyda z siebie nawet jednego dźwięku, a przecież trwa nagranie. Ale podchodzi do niej Andrzej Piaseczny, staje tuż obok, a nawet ją czule obejmuje. I dopiero wtedy jakoś idzie.

– Żeby było jasne, wybitną wokalistką nie była – śmieje się Piaseczny.  
– Jeśli ktoś mnie zapyta, jak śpiewała Anna Przybylska, odpowiem zawsze tak samo i zawsze szczerze: fatalnie. Ale dobrze, ja też nie śpiewałem wtedy najlepiej. Zapamiętałem jednak tę scenę głównie dlatego, że to był chyba jedyny moment, kiedy to nie Ania dominowała.

Po tym występie i wspólnym śpiewaniu Przybylska już za kulisami ma tylko powiedzieć: Nigdy więcej!

•

Piaseczny, który utrzymuje kontakt z Anią także poza planem *Złotopolskich*, zaprasza ją na swój koncert, ma z nim nawet zaśpiewać. Impreza organizowana jest w Teatrze Polskim, telewizyjny koncert *Piasek i Przyjaciele* odbywa się w ramach promocji jego nowego albumu *Popers*. Choć Przybylska nie daje po sobie tego poznać, jest to dla niej ogromny stres.

– Dla niej nie było rzeczy niemożliwych. Gdyby ktoś jej zaproponował: Idziemy na Mount Everest? Odpowiedziałyby: Idziemy! Albo gdyby ktoś zapytał, czy wchodzimy na scenę i gramy Szekspira, to ona, proszę bardzo – weszłaby i grała. Wiadomo, że ocieramy się tu o szlifowanie warsztatu i umiejętności, ale na pewno by się nie bała. A jednak wtedy, w teatrze, Ania była naprawdę przerażona. A właściwie już wcześniej – wspomina wokalista.



Ania i Andrzej – koncert *Piasek i Przyjaciele* w Teatrze Polskim, 20 maja 2000 roku

Koncert został podzielony na dwie części. W pierwszej Piaseczny występował sam, w drugiej – z zaproszonymi przez siebie gośćmi. Wśród nich Jan Borysewicz, Reni Jusis czy właśnie Przybylska, która oczywiście chętnie się na to godzi. Jak zawsze. Zwłaszcza że zadanie wydaje się dość łatwe – Ania ma zaśpiewać z Piasecznym piosenkę *Pogodniej (Złoty środek)*, tę ze *Złotopolskich*.

Wszystko przebiega sprawnie. Wokalista i jego goście dostają na próby studio na Woronicza, mają do dyspozycji duży zespół orkiestrowy, całe towarzystwo zjechało się na pierwszą próbę. Na tym próbowaniu pojawiają się kolejne osoby, aż w końcu przychodzi kolej na Anię i jej piosenkę. Ale zaraz... Gdzie ona jest? Przecież przed chwilą tu była.

Poszukiwania Przybylskiej trochę trwają. W końcu Piaseczny znajduje ją w studiach radiowych, schowaną za ruchomymi, drewnianymi

ściankami. A właściwie w drewnianej budce przeznaczonej do nagrywania zbyt głośnych instrumentów. Ania trzęsie się jak w febrze.

Próba *Pogodniej (Złoty środek)* w końcu się odbywa, ale to jest dopiero ten pierwszy, łatwiejszy krok. Na duet Piaseczny – Przybylska czeka jeszcze oficjalny koncert w Teatrze Polskim.

– Te dwie sceny, na próbie i zwłaszcza potem, już w teatrze, to były jedyne w życiu sytuacje, kiedy widziałem Anię naprawdę przerażoną. Trzęsła się jak galareta. Jakby nagle odcięło jej połowę możliwości, percepcji, czegokolwiek. To był jedyny raz, kiedy okazało się, że mierzy się z pomysłem, z którym nie jest w stanie wygrać – opowiada Piaseczny.

Próbuje jej tłumaczyć, jakoś ją ośmielić, aż w końcu nie wytrzymuje: „Ania, olej to. Przecież to nie chodzi o to, jak pięknie zaśpiewasz, nikt na to nie czeka, nie będzie tego oceniał. Po prostu wyjdź i zagraj, jakbyś śpiewała.” I dopiero to działa. Do Ani dociera, że nie ma się co spinać, że powinna odpuścić. Że podobnie jak to robi przed kamerą, wcale nie musi być doskonała. Ważne, żeby była wiarygodna.

Piaseczny, już w Teatrze Polskim: „Słuchajcie, musimy wzmóc jeszcze troszkę brawa, bo chciałbym wam przedstawić kolejnego gościa, który nie jest w ogóle muzykiem. To jest aktorka. (...) Dzisiaj mamy taką małą »Szansę na sukces« dla niej. Na drugi sukces, bo sukces wielki już odniosła – jako aktorka. Przywitajmy ją gorąco, naprawdę gorąco, bo wiecie, jak to jest trudno stanąć na scenie i zaśpiewać. Naprawdę. Ania Przybylska!”

Ania wchodzi na scenę ubrana w złotą bluzkę i złote spodnie. „Chodź, dziewczyno” – mówi Piaseczny i całuje Anię w policzek. „Będziemy śpiewać.” Słysząc muzykę, Ania rytmicznie kiwa się na boki. Piaseczny od razu mocno ją obejmuje i żartuje do publiczności: „Každy by tak chciał, nie?” Ania zaczyna: „Czasem ślepy los z nieba zsyła ci, dobre myśli, a potem gorzkie łyty...” Nie brzmi to dobrze. Potem – na szczęście – włącza się Piaseczny. Kiedy kończą, Piaseczny woła: „Ania Przybylska! Udało się, prawda? Udało się!” Całuje Anię w rękę, mówi „dziękuję”, a na koniec mocno przytula.

# Ania

Ania nikogo nie udaje.

Ania jest taka sama jak ja.

Ania stawia na dzieci i rodzinę.

Ania jest zwykłym człowiekiem, jest jak dziewczyna z sąsiedztwa.

Ania osiąga sukces, udowadnia, że pozostając sobą, można się znaleźć w innym, lepszym miejscu, niż jest się dzisiaj.

•

Największą, najważniejszą i najdłuższą umowę reklamową Przybylska podpisuje w 2003 roku z firmą Coty. Ma być twarzą marki Astor.

Kiedy przedstawiciele Coty dzwonią do Rudowskiej po raz pierwszy, na początku dziwią się, że mieszka i pracuje w Trójmieście. Jak zresztą niemal wszyscy – „przecież pani jest od Przybylskiej, to pewnie Warszawka, biuro w atrakcyjnej lokalizacji i cały dzień na telefonie, żeby tylko gdzieś wcisnąć swoją klientkę”. A tu nie – Trójmiasto, normalne życie, praca i co jakiś czas telefon z propozycją dla Ani.

Coty od razu wykłada karty na stół – czego oczekują, w jakiej formie, ile to zajmie czasu. Od razu uprzedzają również, że stworzyli sobie krótką listę gwiazd, kandydatek do reklamy. I że czekają na równie konkretną wycenę oczekiwań, które przedstawili. W pierwszym okresie współpracy szukają twarzy, która będzie polecała ich produkty – tusz do rzęs czy inny kosmetyk. Wtedy jeszcze bez telewizji i szerokiej reklamy w prasie, tylko „poleca Anna Przybylska” lub inna gwiazda. Ważnym elementem negocjacji, i to dla obu stron, jest też fakt, że rozmowy dotyczą od razu długotrwałej współpracy.

Rudowska przedstawia oczywiście Przybylskiej tę propozycję, obie są mocno zainteresowane. Coty to potężny gracz, współpracuje już między

innymi z Kylie Minogue, Kate Moss czy Victorią i Davidem Beckhamami. Wysyłają więc wycenę, co nigdy nie jest łatwe, bo nie znasz stawek konkurentek, a nawet ich nazwisk. Możesz przeszarżować, ale też założyć, że żądasz za mało. Tego nie wiesz nigdy. Wspierasz się pocztą pantoflową, znajomościami w agencjach reklamowych i nie tylko w nich, musisz uważać na fałszywe sygnały konkurencji. Nigdy nie masz pewności. Łatwiej, kiedy klient sam od razu określa – na tę kampanię mam tyle i tyle. Wtedy możesz ewentualnie trochę negocjować. Albo i nie. Z wyceną jest trudniej, choć Rudowska podkreśla, że z tego powodu Ani nigdy nie przeszła koło nosa reklama czy propozycja, na której bardzo by jej zależało, której by później żałowała. Tak samo jak nigdy nie zdecydowała się reklamować czegoś, czego nie lubiła i do czego nie była przekonana.

Po kilku tygodniach okazuje się, że w przypadku Coty propozycja Przybylskiej też jest trafiona – Ania wygrywa, firma wybiera właśnie ją. I ta wycena jest już sporo wyższa niż gaża za pierwszą sesję w „Playboyu” czy nawet współpracę z firmą Nestlé.

Dorota Sekulska z firmy Coty: – Decydując się na twarz naszej marki w Polsce, naszego ambasadora, zależało nam na tym, aby była to kobieta piękna, ale nie chodziło nam tylko o wygląd zewnętrzny. To miał być „piękny umysł”, zmysłowy charakter, kobieta, która świetnie radzi sobie w życiu i z którą inni chętnie się utożsamiają, chcieliby żyć tak jak ona. Ten aspekt bliskości był dla nas kluczowy i to w nim Ania, odbierana przez Polki jako dziewczyna z sąsiedztwa, pobiła na głowę inne kandydatki – mówi. Kiedy firma podpisuje umowę z Anią, Sekulska jest w niej szefem do spraw mediów i *public relations* w oddziale w Warszawie. Później wyjeżdża do Stanów, do dziś pracuje w centrali firmy.



Spotkanie z Anną Przybylską, ambasadorką marki Astor, 22 czerwca 2006 roku



Reklama Astora

Badania popularności i „bliskości” kandydatek Astor prowadzi wspólnie z koncernem SMG/KRC (obecnie Millward Brown). Chodzi nie tylko o to, aby ludzie na szybko wskazali, kto im najbardziej pasuje do reklamy danego produktu. Przy wyborze twarzy marki znacznie ważniejsze jest kolejne pytanie: dlaczego tak uważają?

– Chcieliśmy jak najlepiej zrozumieć, co jest dla ludzi ważne, co doceniają najbardziej w kandydatkach, na które wskazują – wyjaśnia Sekulska.

Jeden argument jest taki, że ludzie, opisując Przybylską, czują się komfortowo, nie są spięci. Ale to, co robi wrażenie najbardziej, to fakt, że spośród kilkunastu kandydatek, głównie aktorek, ludzie tylko jedną z nich nazywają zdrobniale. Nikt nie mówi „Anna Przybylska.” Wszyscy mówią: „Ania.”

## Drogie życie nasze

Zimą 2004 roku poznański kabaret Afera szuka aktorki do swojego programu. Proponują rolę Kasi Bujakiewicz. Ale Kasia ma swoje zobowiązania, nie może. Poleca przyjaciółkę.

– Powiedziała za to, że Ania Przybylska mieszka w Poznaniu i ma czas – opowiada Rafał Piechota z Afery. – Nam coś takiego nawet nie przyszło do głowy. Nie mieliśmy śmiałości. Ale skoro przyjaźniły się z Kasią, wziąłem jej numer telefonu i zadzwoniłem. Umówiliśmy się na kawę w Starym Browarze. Okazało się, że nie tylko świetnie się z nią rozmawia, ale jeszcze bardzo chce spróbować sił na scenie kabaretowej.

Ania była szczęśliwa. Już wtedy, jeszcze nieśmiało, marzyła o teatrze, a program kabaretowy – grany na żywo, przed publicznością – mógł być niezłą wprawką. I był.

Od pierwszych prób widać było, że Ania ma ogromny talent komediowy. A do tego zapął do kabaretowej zabawy. I jak na planie *Złotopolskich* znacznie lepiej niż próby wychodziły jej spektakle, bezpośrednie konfrontacje z publicznością.

– Ale była zawsze do dyspozycji, gotowa na próby – wspomina Rafał Piechota. – Miała tylko ograniczenia czasowe: musiała skończyć próbę na czas, żeby móc przejąć opiekę nad dzieckiem. To było święte.

Nowy program Afery nosił tytuł *Drogie życie nasze, czyli show na bank*.

„Tylko w tym programie: Piosenki są na kredyt, bis jest gratis, a na koncie braw pojawia się debet. I wreszcie tylko w tym programie »Afera« goni »Aferę«, ale płaci za to wyłącznie widz”. W ten sposób poznańscy kabareciarze reklamowali swój show. Ania wystąpiła w kilku skeczach. W jednym z nich jest... partyzantem. Tylko dość wyjątkowym. Wraz z grupą współczesnej młodzieży została przeniesiona w czasy okupacji. Gdy się okazuje, że potyczka ma zacząć się o szóstej rano, członkowie oddziału zaczynają marudzić – że to za wcześnie, że „można się z Niemcami zdzwonić i umówić na dziesiątą”.



– Chociaż debiutowała na scenie, świetnie dawała sobie radę. Łatwo nawiązywała kontakt z publicznością – zapewnia Rafał Piechota. – Szybko okazało się, że przy niej możemy robić tylko za sympatyczne tło. Wiedzieliśmy dobrze, że to ona jest magnesem, który przyciągał publiczność na nasze spektakle.

Ania nie tylko grała w skeczach, ale też śpiewała.

– Może nie miała wielkiego talentu wokalnego, ale naprawdę wychodziło to smacznie. Zaśpiewała nawet – „wbrew warunkom” – piosenkę starej, nieurodziwej panny. Oczywiście żeby Anię w nią zmienić, trzeba było poważnej charakteryzacji. Ona śpiewała zwrotki, a my – trzyosobowy chórek męski – „wchodziliśmy” na refreny. Ale najważniejsze, że mieliśmy w kabarecie Anię, której wcześniej nikt nie znał i nikt nie widział – Anię śpiewającą.



Poznań, Scena na Piętrze. Ania gościnnie w programie kabaretu Afera



Fragment spektaklu *Drogi życie nasze* kabaretu Afera. Od lewej stoją: Sławomir Stawny (kabaret Afera), Przemysław Koczorowski (kabaret Afera), Anna Przybylska, Rafał Piechota (kabaret Afera) i występujący w tym programie gościnnie Radosław Elis, aktor Teatru Nowego w Poznaniu

Ania zagrała z Aferą jedynie osiem spektakli. – Planowaliśmy wznowienie występów, ale nigdy nie udało nam się zgrać terminów – wspomina Rafał Piechota. – Ania tylko raz przyjechała do nas do Poznania, by ponownie zagrać w *Drogim życiu*. Ale wtedy mieszkała już w Gdyni.

## Teletubisie mówią pa, pa

W 2005 roku Ania gra główną kobiecą rolę w filmie *Rh+* Jarosława Żamojdy.

„Z Jarkiem Żamojdą spotkałam się wcześniej w sprawie zupełnie innego projektu – opowiadała. – Pofatygował się z producentem tamtego filmu do mnie do domu, do Poznania. Chciał poznać mnie bliżej. Próbował spojrzeć na mnie z zupełnie innej strony, bo – jak wiadomo – moja twarz kojarzy się szerszej publiczności wyłącznie z rolami komediowymi. Jarek chciał zobaczyć, jaka jestem na co dzień – w domu, z dzieckiem, rodziną. Po jakimś czasie zadzwonił do mnie i zapytał, czy nie spróbowałabym, ale już w innym projekcie, właśnie w filmie *Rh+*. Powiedział, że prześle mi scenariusz. I tak się stało”<sup>[70]</sup>.

Grupa przyjaciół wyjeżdża na weekend do domu nad jeziorem. Idylla zamienia się w dreszczowiec, gdy okazuje się, że niektórzy z nich są uwikłani w kontakty z gangiem handlującym organami. Mroczna historia, ale nie dla Ani, która znów może pracować z Kasią Bujakiewicz.

– Na planie atmosfera była cudowna – mówi Kasia. – Jarek Żamojda nas wszystkich bardzo nakręcił, przekonał do tego projektu i cały czas bardzo koncentrował się na swojej pracy. Pokochałam ten film, zresztą podobnie jak Anka. Potem zawsze broniłyśmy go zażarcie, gdy *Rh+* zjechały media. Dla nas był fantastyczny i kropka.

Dziewczyny grają w filmie przyjaciółki, więc miały sporo wspólnych scen.



Z Szymonem Małeckim. Kadr z filmu *Rh+*

Bujakiewicz: – W pewnym momencie wchodzimy do jeziora w piankach. Anka wymyśliła nagle, byśmy zaczęły udawać teletubisie. Byłyśmy posikane z tego pomysłu. Włazimy do wody, odwracamy się i mówimy: „Teletubisie mówią pa, pa”. I tak zostało na filmie. Jest też scena, którą włączam sobie, gdy tęsknię za Anią. Trwa impreza, w łazience całuję się z Michałem Figurskim, na to wchodzi Anka, odwraca się i wybuchta takim autentycznym, swoim śmiechem.

Sama Ania tak wspominała swój udział w filmie: „Przez kilka kolejnych nocy grałam w koszulce i krótkich spodenkach, polewana zimną wodą, a było osiem stopni. Musiałam udawać, że jest mi ciepło i świetnie się czuję... Pobiłam wtedy swój życiowy rekord – siedemnaście godzin grania! Kończyliśmy zdjęcia o świcie. Ale takie przestawienie dnia z nocą to dla mnie jak wyprawa za ocean, przygoda, w której chętnie biorę udział”. W tym samym wywiadzie mówiła: „Mam cholernie dużo szczęścia w życiu. Czuję się, jakbym ciągle trafiała szóstki w totka. Doceniam to, szanuję i marzę, by wszystko tak dalej się

toczyło. Wiem, że nie można zawsze tylko wygrywać, czasem dostaje się ciągi. Muszę być na to przygotowana. Wolę jednak nie myśleć, kiedy to może nastąpić”<sup>[71]</sup>.

W związku z tym, że jednym z producentów *Rh+* był Polak z amerykańskim paszportem, udział w tej produkcji wiązał się dla aktorów z dwutygodniowym wyjazdem do Nowego Jorku i Chicago, by film promować wśród tamtejszej Polonii.

– Przed nami były naprawdę bardzo eleganckie premiery w Nowym Jorku i Chicago. Traktowano nas jak prawdziwe gwiazdy. Czerwone dywany, limuzyny, bankiety – opowiada Kasia Bujakiewicz. – Byłam wtedy taką pańcią, przebierałam się, malowałam. A Anka często w dresach, najczęściej zielonych. No, chyba że akurat była oficjalna uroczystość – w kontraktach miałyśmy zastrzeżenie, że musimy być w sukniach wieczorowych.



## Ania z mamą podczas trasy promocyjnej filmu *Rh+* w USA

Po oficjalnych imprezach gospodarze zabierali nas na zwiedzanie Nowego Jorku – wszystkich najważniejszych miejsc: Times Square, 5th Avenue, Rockefeller Center. Nic to, że był akurat ciężki atak zimy, przełom stycznia i lutego, z minus dwadzieścia na dworze, większość z nas jeździła i dobrze się bawiła. Ale Ania rzadko się z nami zabierała, zwykle była już zmęczona, wołała zostać w hotelu. „Ja się już nie ruszam, wolę się na kanapie położyć. Ale kiedyś musimy tu jeszcze same przyjechać”, mówiła. Kilka lat później dostałam od niej MMS-a z Times Square i z tekstem „No zobacz, a nie chciałam z Tobą pójść”

Na promocję filmu *Rh+* Ania zabiera do USA mamę. Robi jej prezent: po prostu kupuje bilet na samolot. Na miejscu Krystyna Przybylska mieszka z całą ekipą. I przeżywa chwile grozy.

– Byłam z wszystkimi na konferencji prasowej. Po niej miała być jeszcze impreza, ale mówię do Ani: „Zmęczona już jestem, pojechałabym do hotelu, a wy się bawcie”. No i faktycznie wróciłam do pokoju w hotelu. Tam wystarczy drzwi zatrzasnąć i już. Ania miała swoją kartę do pokoju, to by spokojnie weszła. Ale ja się jakoś tak tych wszystkich zamachów terrorystycznych wystraszyłam chyba, że drzwi zamknęłam jeszcze od środka. I mocno zasnęłam.



Promocyjne tournée z *Rh+* po Stanach. Spotkanie z publicznością po projekcji filmu







To była wyjątkowo mroźna zima w USA

Długo mi w głowie kołatało, jakby Anka krzyczała gdzieś z daleka: „Mamo, mamo, otwórz drzwi, mamo!” W końcu się przebudziłam i pierwsza myśl, jak to się czasem zdarza w nocy: „Gdzie ja jestem?”. Chwilę później usłyszałam, że ktoś przy zamku majstruje. Przestraszyłam się nie na żarty, ale co tu robić. Podchodzę, otwieram, a tam ktoś z obsługi, a za nim Ania i reszta ekipy. Pamiętam jeszcze, że Michał Figurski zawołał: „O Jezu, jaka pani ładna, jak moja babcia!”

## „Oj, jakaś niesympatyczna pani”

Anna Przybylska: „Gramy w Kłodzku, teren jest ogrodzony, pilnuje nas policja. A kilku takich uwiesi się na płocie i krzyczy, bełkocząc: »Hej, Marylka, niech pani podejdzie!«. Mówię im: »Sorry, ale mam 40 minut przerwy na 12 godzin pracy. Mogę wypić kawę?«. A tu tekst: »Wiesz, kurwa, myślałem, że sympatyczniejsza jesteś«. Ręce ci opadają, bo chcesz być sympatyczna, ale niektórych rzeczy nie przeskoczysz. Kiszka jest głównie wtedy, gdy zaczepia cię siedmiu dresiarzy. Ja to mogę odpyskować, ale gorzej, jak jestem z kimś. Bywało, że jeszcze chwila, a byłaby urka-burka”<sup>[72]</sup>.

•

Wchodziła do kawiarni i dostawała za darmo ciastko.

Kawę też.

Gdzie indziej – wejściówki. Ale i bez wejściówek nikt nie zatrzyma na bramce gwiazdy.

Frajda? Szybko okazuje się, że to żadna frajda.

„Byłam adorowana przez większość mężczyzn – często nie dlatego, że się im podobam, ale ponieważ jestem znana i popularna” – wspominała Ania<sup>[73]</sup>.

Popularność Marylki ze *Złotopolskich* i uwielbienie Polaków stają się dla niej coraz większym ciężarem. Nie może się przyzwycząić, że kiedy idzie ulicą, ludzie pokazują ją sobie palcami. Nawet w kościele – kiedy idzie na mszę, zamiast na księdza wszyscy gapią się na nią.

Ale na zdjęcia do Warszawy długo jeździ drugą klasą. Współpasażerowie coraz natarczywiej zaczepiają ją, domagają się autografów, wspólnego zdjęcia, nawet kieliszeczka i brudzia. Chowanie się w kącie przedziału pod kurtką przestaje pomagać. A poza tym

dlaczego miałyby jeździć z kurtką na głowie? Albo udawać, że to pomyłka, że wcale nie jest Anią?

Nawet przed wagonową toaletą czeka na nią kolejka po autograf.

Czasami jest tak zmęczona, że zasypia w przedziale. Kiedy śpi, otwiera usta. Z kącika wypływa wstążka śliny. A potem budzi się i widzi, że jakiś facet z naprzeciwka wpatruje się w nią intensywnie. Nie wie, co sobie o niej myśli, ale i tak ma mdłości.

Zaczyna się wymykać. Do innego przedziału albo wagonu. Zdarza się, że w pośpiechu zostawia scenariusz albo drobiazgi osobiste.

W końcu nie wytrzymuje. Prosi kierowniczkę produkcji, Halinę Cichomską, czy może na stałe przenieść się do pierwszej klasy, a najlepiej – przynajmniej raz na jakiś czas – przylatywać na plan *Złotopolskich* samolotem. Decyzja nie jest łatwa, budżet serialu nie jest z gumy, nie tylko Przybylskiej trzeba opłacić podróż, ktoś domaga się akurat podwyżki. Trzeba więc zapytać producenta. Ania dostaje w końcu zgodę. Nawet na samolot.

Choć fani już wcześniej dziwią się, że taką Przybylską to można spotkać w pociągu, tak po prostu, i to w drugiej klasie. Są przekonani, że lata własnym samolotem, a potem przesiada się do luksusowej limuzyny. A w ogóle, skoro występuje w tak popularnym serialu, to pewnie jest bogata, nadęta i infantylna.

Nie jest. Ale czasami nie ma już siły tego udowadniać.

W „Machinie” wspominała: „Kiedyś w centrum handlowym w Trójmieście podeszła do mnie baba z rozpieszczoną córką i od razu – zobacz, zobacz! Kulturalnie się uśmiechnęłam, ale byłam prywatnie, z mężem, więc dalej oglądałam biżuterię na wystawie. Na co ta baba do dzieciaka: „Oj, jakaś niesympatyczna ta pani?” Sorry, ale we mnie się w takich sytuacjach gotuje. Miałam klęknąć i stopy jej całować za to, że mnie rozpoznała?”<sup>[74]</sup>.

„Można mnie zaczepiać, zagadywać, odpowiadam, podpisuję, kto co chce – tłumaczyła w „Vivie”. Niestety, nie wszyscy potrafią się zachować z wyczuciem. Nie rozumieją, że jestem zwykłym człowiekiem i też mogę mieć gorszy dzień – wytykają palcami, komentują, a jak próbuję ich przywołać do porządku, obrażają się: myślałem, że jest pani fajniejsza” – próbowała się tłumaczyć. A zwłaszcza kobiety, wiadomo,

bywają zawistne. No więc sprawdzi taka, czy rzeczywiście mam tak długie rzęsy, a jaki wzrost, jak trzeba, to mi nawet pod stolik zajrzy”<sup>[75]</sup>.

Przyznaje jednak, że był taki moment, kiedy sława ją oślepiła. Nie była w stanie poradzić sobie z gwałtownie rosnącą popularnością. I świadomością, że aktorstwo oznacza również ciągłe stanie przed podniesioną kurtyną, za którą nie da się już ukryć życia prywatnego. Nie potrafiła budować wokół siebie muru. „Nie mogłam się z tym pogodzić, robiłam awanturki w redakcjach i nie żałowałam języka, aby wykrzyknąć, co sądzę o wścibskich dziennikarzach” – przyznawała Ania. „Po pierwszych odcinkach *Złotopolskich*, kiedy poczułam tę popularność, stałam się na moment nieznośna, kapryśna, wiecznie niezadowolona, stroiłam fochy”<sup>[76]</sup>.

W tamtym czasie od Przybylskiej można usłyszeć – to nie tak, tamto inaczej, za ciepło, za zimno, głodna jestem, tym pociągami nie jadę, a w ogóle weźcie się wszyscy ode mnie odczepcie. Teraz, we wspomnieniach przyjaciół i znajomych, nikt już nie pamięta takiej rozkapryśzonej i marudzącej Ani. Być może dlatego, że taka poza nie trwała długo. Ale ona sama przyznawała w wywiadach, że kiedy jej kariera nabrała nagłego przyspieszenia, pojawiły się pieniądze, nauszniki z komplementów i popularność, zachowywała się „jak gówniara, cudowne dziecko, któremu wszyscy powinni ustępować”. Mówiła też, że już tylko mama i siostra potrafiły szybko ściągnąć ją z chmur. „Zwłaszcza mama. Nigdy jakoś specjalnie mnie nie chwaliła, nie zachwycała się wszystkim, co robię”<sup>[77]</sup>.

– Uczyłam ją skromności, którą sama wyniosłam z domu. Mówiłam jej: „Dziecko, a w czym ty jesteś lepsza od innych? Masz swoje zalety i atuty, ale inni też je mają, choć może są dobrzy w czymś innym. Pokora, dziecko, dużo pokory” – wspomina pani Krystyna.



Zdjęcia z imprezy urodzinowej Radosława Piwowarskiego (luty 2003 roku)

w warszawskim Lotosie do dziś wiszą w restauracji

Kiedy jest już bardzo popularna, dostaje kolejne oferty zagrania w filmie, serialu czy lawinowo w reklamie, kiedy o okładkę z Przybylską zabijają się kolejne magazyny, Ania otrzymuje propozycję zagrania w filmie bardzo znanego reżysera. Problem w tym, że telefon z zaproszeniem na spotkanie na godzinę szesnastą dostaje dopiero o piętnastej pięć tego samego dnia, a o siedemnastej ma samolot do Gdańska. Mimo że nazwisko reżysera robi wrażenie, musi przeprosić i poprosić o telefon w innym terminie. Gdy cała sytuacja wychodzi na jaw, w filmowym środowisku wrze – „ona jest potargana, zwariowała, palma jej odbiła”, „przecież to nie jest w porządku”, „jak można mu było odmówić?”

Ale to by nie była Przybylska. Ona ma swój porządek i kurczowo się go trzyma. To już jest Ania, która jasno określiła sobie w życiu priorytety – owszem, kariera jest ważna, z tego ma pieniądze, ale nie najważniejsza. Na pierwszym miejscu jest rodzina, zwłaszcza dzieci, to pod rodzinę trzeba ustawić karierę, a nie odwrotnie. Być może z tego powodu traci największą szansę na zwrot w karierze, być może przechodzi jej koło nosa rola życia, ale chrzanić to. Nie to jest numerem jeden. Nic nie może się odbywać kosztem rodziny, burzyć domowych planów i zasad, to to jest dla niej priorytetem. Rodzinny świat i jego spokój.

Kiedy tylko kończą się zdjęcia, Ania gna do domu. Zwłaszcza gdy jest już mamą. Opuszcza nawet coroczne bankiety, organizowane z okazji kolejnych rocznic *Złotopolskich*. Nigdy też nie godzi się, żeby pracować w weekendy.

Choć na planie *Złotopolskich* Przybylska jest otwarta i w bliskim, bezpośrednim kontakcie nie tylko z Piwowarskim, Wawrzeckim i innymi aktorami, ale też z kierowniczką produkcji czy sprzątaczką na korytarzu w hali zdjęciowej, w ciągu kilkunastu lat tylko raz bierze udział w imprezie w Warszawie, na której są też koleżanki i koledzy z planu *Złotopolskich*. To pięćdziesiąte piąte urodziny Piwowarskiego (luty 2003), które świętuje w restauracji Lotos.

– Przyjechała wtedy tylko dla Sławka [Piwowarski ma na imię



Radosław, ale znajomi mówią o nim Sławek] – wspomina Raszek-Zaliwska. – Ten Lotos to takie stare filmowe klimaty.

Żadnych luksusów, wystrój jak z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, za to zimna wódka i świetna golonka, którą pałaszowały całe pokolenia filmowców.

Raszek-Zaliwska: – Dla Ani to był inny, obcy świat. Dlatego dostała od nas specjalne zadanie. Ubraliśmy ją w ciemną spódniczkę, białą bluzkę i czerwony krawat, takie ZMP w stylu radkowego *Yesterday*. Miała siedzieć przy wejściu i wpuszczać tylko tych gości, którzy są na liście. Takie tam żarty.

– Urodziny urządziła mi żona, motywem była „komuna”, wszyscy dostawali przy wejściu kartki na wódkę, co pasowało idealnie do wystroju lokalu – przypomina sobie Radosław Piwowarski. – Anka siedziała w szatni, miała taką listę i jak ktoś otwierał drzwi, to krzyczała od wejścia: „Nazwisko?” „Wawrzecki” „Wawrzecki, Wawrzecki... Dobra, jest, masz tu kartki, możesz wchodzić” Świetny show robiła na tej bramce.

W Lotosie, w pierwszej sali, na samym środku do tej pory wiszą zdjęcia z tamtej imprezy – jubilat Piwowarski, a obok Ania.

## Przybylską słycać z daleka

Ubrany w kowbojski kapelusz Leon Niemczyk puka do drzwi. Z drugiej strony zbliża się do nich Przybylska. Do głowy przyczepiony ma tłuczek do mięsa, w dłoniach trzyma dwa widelce. Wygląda jak karykatura kowboja. Otwiera drzwi kopniakiem. Najazd na twarz Niemczyka: odpada z niej zamocowany na drucie sztuczny nos. Oboje wybuchają śmiechem. Zresztą nie tylko oni. Całują się na powitanie, scena toczy się dalej.

– Jak numery, to tylko z Anią – mawiał Leon Niemczyk.

•

Na planie *Złotopolskich* ma do czynienia z aktorskimi legendami.

Jerzy Turek, mistrz komediowego epizodu. Słynny Wacław Jarząbek, trener drugiej klasy w klubie sportowym Tęcza z *Misia*. Grywał węglarzy, szwoleżerów, furmanów, milicjantów, filatelistów, no i – tak jak w *Złotopolskich* – listonoszów.

Mówiono o nim „dwustuprocentowa rzetelność”. Kiedy wchodził do wytwórni, już był listonoszem Józefem Garlińskim.

– Z nim nic się nie mogło wywalić. Trzeba mu było tylko dolepić wąsa i reżyser mógł już iść na wódkę – śmieje się Piwowarski.

Matkę Wieśka, Eleonorę, grała Alina Janowska, która karierę zaczynała jeszcze w *Zakazanych piosenkach*. Wcześniej była więźniarką na Pawiaku. Cudem uniknęła wywózki do Auschwitz. W Powstaniu Warszawskim była łączniczką batalionu Kiliński. Zarabiała na życie występami w wojennych teatrzykach. Zapowiadał ją Jerzy Waldorff, a akompaniowali Witold Lutosławski i Andrzej Panufnik. Po wojnie grała między innymi w *Ostatnim etapie* Wandy Jakubowskiej, *Samsonie* Wajdy, *Dzięciole* Jerzego Gruzy. Legenda. Ale nigdy nie

lekceważyła pracy w telewizyjnym serialu. Przeciwnie: była zawsze przygotowana i zaangażowana – w każde ujęcie.

W *Złotopolskich* grał też Leon Niemczyk, któremu za cały aktorski życiorys wystarczyłaby rola w legendarnym *Nożu w wodzie* Romana Polańskiego. A przecież był najczęściej obsadzonym polskim aktorem. Wystąpił w czterystu polskich produkcjach i niemal stu pięćdziesięciu zagranicznych. Ekipa *Złotopolskich* zapamiętała go z tego, że jeśli w wytwórni przy Chełmskiej pojawiał się o godzinie jedenastej, to do reżysera na plan docierał dopiero czterdzieści pięć minut później. Tyle ma po drodze do opowiedzenia znajomym aktorom, reżyserom, scenografom, asystentom – wszystkim znajomym, których spotkał po drodze. Stare anegdoty, najświeższe plotki, opowieści o swoich sześciu małżeństwach, plany na kolejny tydzień... Nikomu nie przepuścił.

– Kiedy krzyczałem, gdzie jest Leon, w odpowiedzi słyszałem tylko: „Idzie, idzie, jest gdzieś na wysokości produkcji” – śmieje się Radosław Piwowarski. – Ale to był po prostu wielki aktor, który miał już do wszystkiego równie wielki dystans.

I w tym świecie wielkich nazwisk pojawia się Ania Przybylska. „Numerantka” – jak ją nazywają.

– Od razu została ulubienicą ekipy, która szybko ją zaakceptowała. Taką otwartą, wyluzowaną, czasami nawet bezczelną, skracającą dystans od pierwszego spotkania. Jej zachowanie sprawiało, że nie było mowy o jakiegokolwiek barierze między jej amatorstwem i profesjonalizmem „starych wyjadaczy”. A przecież często taka bariera się pojawia – podkreśla Piwowarski.

Zawsze słyhać z daleka, kiedy Przybylska się zbliża, bo biegnąc korytarzem, klnie jak szewc.

– To dziwne z tym jej przeklinaniem. Ale do niej to naprawdę pasowało – uważa Piwowarski. – A już na pewno nikomu z ekipy to nie przeszkadzało.

Na planie *Złotopolskich* Ania zdecydowanie różni się od innych aktorów – nie tylko tym, że jest amatorką, a jej doświadczenie przed kamerą jest jeszcze nikłe. Ona również prawie nigdy nie czyta scenariusza! Oczywiście aktorzy serialowi święci nie są i często uczą się swoich kwestii tuż przed ujęciem. A czytanie całego scenariusza

odcinka? Henryk Machalica i Jerzy Turek zawsze czytali jednak cały tekst od deski do deski, a swoje role mieli wykute na blachę. Przybylska – przeciwnie.

Grzegorz Okrasa, jeden z reżyserów, który odpowiadał za przygotowanie aktorów do kolejnych scen, mógł więc omijać Machalicę i Turka. Za to podchodził na planie do wszystkich pozostałych aktorów. Wyjaśniał, o czym jest kolejna scena, jaką rolę w niej mają, jakie emocje powinni uruchomić. Z biegiem lat Ani trzeba było opowiadać coraz więcej. Bywało, że najwyżej raz, jeszcze w domu, rzucała okiem na swoje sceny, a potem spiesząc się na samolot, zostawiała scenariusz na stole. Albo wyrwała kilka kartek ze scenariusza, leciała z nimi załatwiać swoje sprawy i gubiła je po drodze. A czasami w ogóle nie miała szansy, żeby zapoznać się z rolą. Zwłaszcza w pierwszych latach swojej przygody ze *Złotopolskimi*. Wszystko odbywało się wtedy w dzikim pędzie. Teksty od scenarzystów trafiały do działu produkcji, stamtąd szły do druku, jeszcze ciepłe pakowano do koperty i słano do Gdyni. Mail? Jeszcze nie było maili. Czasami zanim scenariusz dotarł, Ania siedziała już w pociągu do Warszawy. I gdzieś w okolicach Nasielska dzwoniła do mamy albo siostry, dopytując, czy coś do niej nie przyszło.

– Do dziś zostały mi scenariusze, z którymi Ania się mijała – śmieje się Agnieszka. – A nawet jak tekst ją doganiał, przeglądała go najwyżej. Ale żeby wykuwać, to już nie. W *Złotopolskich* było w jej grze naprawdę dużo improwizacji. Za to przy filmach kinowych, kiedy już trzeba było serio przygotować się do roli, nauka tekstu szła jej błyskawicznie.

Zdarza się też, że na planie *Złotopolskich* Ania wyraca wszystko do góry nogami. Spóźnia się na samolot, raz – bez wcześniejszego wyjaśnienia – nie dociera nawet na zdjęcia i cała produkcja staje. Ale Ani nawet takie wpadki szybko się wybacza. Tym bardziej, że zwykle nie były to wielkie kataklizmy, ale małe rewolucje.

– Czasami Ania po prostu wszystko w naszych scenach zmieniała. Teksty, gesty, sytuacje – wspomina Andrzej Piaseczny. – I nie widziałem w tym nic złego. Po prostu na planie to ona nosiła spodnie. Ja ustępowałem. Taki mam charakter. Kiedy widzę, że ktoś skupia na sobie uwagę bardziej niż ja, bez cienia zazdrości odpuszczam. Z Anią to było

nagminne.

Radosław Piwowarski wybaczał jej wszystko. Niewykute kwestie, majstrowanie w przebiegu scen, żarty na planie. Ale nie za piękne oczy.

– Trzeba pamiętać, że serial to nie jest film, najczęściej nie masz co zagrać. Przychodzisz, klepiesz swoją rolę z odrobiną aktorskiej interpretacji i wychodzisz. Ale Anka miała naprawdę momenty świetnej gry. Wyczyniała cuda.

Przykład? Bardzo proszę:

Marylka siedzi w barze i spotyka w nim księdza. Ksiądz jest niemal po cywilnemu. Marylka nie od razu zauważa jego koloratkę. I zaczyna go kokietować. Dopiero po chwili dostrzega, że rozmawia z księdzem. W końcu dostrzega koloratkę. A może to jednak nie jest koloratka? Rozgląda się, szuka potwierdzenia.

– To było rewelacyjnie zagrane. Bez prób, bez wyjaśniania. Po prostu usiadła i to zagrała tak, że na planie zrobiła się zupełna cisza. Bo kiedy Ania miała szansę coś naprawdę zagrać, robiła to pięknie – mówi Piwowarski.

Ale z czasem praca na planie *Złotopolskich* coraz bardziej przypomina harówkę w fabryce. Wchodzisz, grasz, wychodzisz. Te same dekoracje, ciągnące się wątki, powtarzalne sytuacje i gagi. Plastik i sztampa. Choć Jan Purzycki wciąż jest chwalony za scenariusz serialu, siłą rzeczy aktorzy zaczynają się zastanawiać: czy myśmy już tego przypadkiem nie grali? Wtedy Piwowarski pozwala aktorom na większą swobodę, nie muszą się sztywno trzymać scenariusza, nieważne jest to, czego nauczyli się w domu. Mogą improwizować. Prym wiodą w tym Ewa Ziętek, Paweł Wawrzecki i Ania. Ona to kocha, zawsze jest pierwsza do „pisania na scenie”

Marylka siedzi w domu. Do jej drzwi puka Leon Niemczyk, jej wuj. Puk, puk, kto tam, wujek – standard. Ania otwiera. „Ach, wujku”, wpuszcza go do środka. Serialowy banał. Piwowarski też jest znudzony, mówi, żeby zagrali to inaczej, wykręcili jakiś numer. Nie wiem – wujek jest z Ameryki, to niech Ania, na powitanie, przebierze się może za kowboja czy Indianina?

Oboje się nakręcili. Uwaga! Gramy!



Anna Przybylska i Leon Niemczyk na planie *Złotopolskich*, maj 2000 roku

•

„Uwielbiam plan *Złotopolskich*, to rosnące napięcie przed ujęciem, kiedy wszyscy się na siebie wydzierają” – opowiadała Ania. „Kiedy wpadała charakteryzatorka z puszką do pudru, Paweł Wawrzecki zawsze wołał: »Uwaga, Elżbieta z kocią łapą«. I wszyscy pękali ze śmiechu. Albo jak Paweł próbował ze swoją serialową żoną, czyli Ewą Ziętek. On do niej w czasie próby: »Ty kocmołuchu, życie mi zmarnowałeś«. A już po chwili, kiedy kręcimy tę scenę, mówi inaczej: »Marto, jak mogłaś zdradzić mnie z Wonsem?«. Bo to tak było w scenariuszu”<sup>[78]</sup>.

Przybylska najlepiej czuje się na planie, kiedy reżyserem jest właśnie Piwowarski.

– Z innymi reżyserami serialu Ania dogadywała się bez burzy, ale to Sławek stworzył jej postać, narysował wszystkie detale. To, co powiedział, było dla Ani najważniejsze. Traktował Ankę jak córkę,

wychowanekę, ona ufała mu jak ojcu – podkreśla Raszek-Zaliwska.

To on zabiera ją do baru Klaps na Chełmskiej i pokazuje zdjęcie Jerzego Hoffmana. „Jak on ci kiedyś zaproponuje rolę, to skacz dla niej nawet przez okno” – mówi. Ale Przybylska u Hoffmana nigdy nie gra. Choć raz jest już blisko. Mają się spotkać na planie jego ekranizacji *Starej baśni*. Ale Ania nie „skacze dla tej roli przez okno”. Musi odmówić. Jest w ciąży z pierwszym dzieckiem – Oliwią.

Jej ulubieńcem, podobnie zresztą jak reszty ekipy aktorskiej ze *Złotopolskich*, nie jest za to z pewnością reżyser Maciej Dutkiewicz. Zdjęcia z nim oznaczają, że nigdy nie skończą zgodnie z harmonogramem. Kręcą nawet do osiemnastej, choć wielu aktorów musi pędzić potem do swoich teatrów. Spektakle zaczynają się przecież o dziewiętnastej. Co innego Piwowarski – z nim jest szybko i konkretnie.

– Między nim a Anią to była niepospolita więź – zauważa Raszek-Zaliwska. Z nią też łączą Przybylską wyjątkowe relacje, choć nigdy nie przeszły nawet na „ty”

– Mówiła do mnie „pani Małgoniu”, a ja „Anulka”, „Ania” albo – na planie – „Szcypiorek”

To właśnie drugiemu reżyserowi *Złotopolskich* Przybylska zawdzięcza to przezwisko. – „Szcypiorek” z racji swojej radości wobec świata i roześmianej buzi, jak szcypiorek na wiosnę. Ale chodziło też o jej nowość, świeżość, przecież ona była taka... zielona. Ani bardzo się spodobało to przezwisko – tłumaczy Raszek-Zaliwska. Myślała, że ten „Szcypiorek” się nie przyjmie, aż kiedyś weszła do hali zdjęciowej, a wszyscy szukali akurat Przybylskiej. I mikrofoniarz Grzegorz Szkarłat wołał: „Szcypior, gdzie jesteś?”

•

W 2002 roku na planie *Złotopolskich* pojawia się Anna Dereszowska. Jest jeszcze studentką Akademii Teatralnej w Warszawie. Ma zastąpić Anię, która musi zrobić sobie przerwę. Jest w ciąży. W serialu Marylka Baka wyjeżdża wtedy na zagraniczne szkolenie.

– Gdyby nie ciążyła Ani i wakacje kobiet na posterunku Dworca Centralnego, w ogóle nie trafiłabym pewnie do tego serialu – mówi Dereszowska, która obawiała się pracy na planie *Złotopolskich*, czuła niepokój, nie wiedziała, jak zostanie przyjęta. – Przecież miałam zapełnić lukę po kimś, kto był absolutnie kochany przez widzów i ekipę, oczko w głowie, promyk słońca na planie tej produkcji. To był czas, kiedy myślałaś *Złotopolscy* i mówiłaś – Marylka Baka. Bałam się, że wejście w jej miejsce to zadanie niewykonalne, że wszyscy będą mnie traktowali jak piąte koło u wozu – przychodzi młoda siksa i chce tu nam zastąpić Anię Przybylską...

Kiedy po trwającej półtora roku przerwie Ania wraca do serialu, zostaje w nim również druga Ania. Od tego momentu na dworcowym posterunku są już dwie policjantki – Marylka Baka i Kalina Fatalna, która też wrosła w produkcję. To pole do popisu dla scenarzysty, który może budować sceny zazdrości czy konflikty między pięknymi młodymi policjantkami. Z jednej strony – Marylka Baka, wcielone dobro. Z drugiej – intrygantka Kalina Fatalna.

– Tworzyły niezły duet – opowiada Radosław Piwowarski. – Obie zgrabne, obie śliczne. Jak one się cudownie ścigały – na miny, na seksowność, na wszystko. Choć nigdy nie było w tym złośliwości, niezdrowej zazdrości, lubiły się. Kiedy wołałam: „Ania”, obie od razu leciały. Albo gramy scenę i mówię do Dereszowskiej: „Przechył się tak bardziej po ten długopis, to pokażemy, że masz ładne nogi”. Dereszowska się oczywiście schyla, na co natychmiast odzywa się druga Ania, ubrana w krótką spódniczkę: „To może ja wejdę na drabinę?”. Od razu – numer za numer.

To Dereszowska, z racji specyficznego charakteru granej przez siebie postaci, dostaje dłuższe kwestie do nauczenia, trudniejsze wyrazy do powtórzenia. Przybylska cieszy się, że to nie ona, a jednocześnie potrafi dokuczyć koleżance. Kiedy ta uczy się kwestii, właśnie takiej dłuższej, okazuje się, że nauczyła się nie tego, co akurat trzeba, bo Przybylska... podmieniła jej kartki z rolą.

– Podszczypywałyśmy się, jedna drugą, ale nie przekładało się to na nasze relacje, wręcz miałyśmy z tego niezły ubaw. Wszystko ze śmiechem, na żarty, z nicią silnego porozumienia – podkreśla Dereszowska. I dodaje ważną rzecz: – Na planie *Złotopolskich* nigdy



nie czułam się zdyskredytowana, a przecież Ania mogła się o to w każdej chwili postarać. Wystarczyło, żeby kiwnęła palcem. Taką miała pozycję w tym serialu.

Dereszowskiej przepowiadano od dziecka, że będzie aktorką najwyższej klasy, gwiazdą. Już na czwartym roku Akademii Teatralnej w Warszawie ma zapewniony angaż w Teatrze Dramatycznym. Jeszcze przed *Złotopolskimi* zadebiutowała na jego deskach rolą w *Rewizorze* Gogola.

Piękna, zdolna Ślązaczka z Mikołowa, prawdziwa i świetna aktorka, ma wszystko, co trzeba, by zrobić karierę w teatrze i kinie. Z drugiej strony jest ta dziewczyna z Gdyni, która wchodząc do obsady *Złotopolskich*, ma za sobą ledwie dziesięć dni zdjęciowych. Niezłe zderzenie.

Raszek-Zaliwska: – Między obiema Aniami była fajna zdrowa rywalizacja. Bo przecież to zupełnie różne osobowości. To było widać, kiedy obsadzano je w filmach. Dereszowska zagrała kilka dużych i dobrych ról. Zwykle były to ostre, dynamiczne kobiety. Z kolei Anka grywała często pierwsze naiwne. Myślicie, że łatwo jest zagrać kogoś takiego? Przeciwnie!

Kiedy dwie policjantki mają wspólnie zagrać scenę, Dereszowska od razu rzuca: „No dobrze, jestem gotowa, próbujemy”. Ale Przybylska się miga – a to, że coś się jej z butem stało, a to, że coś nie tak ze światłem. Dereszowska swoje: „Dobra, to od którego miejsca zaczynamy?”. A Przybylska zauważyła na planie akurat kogoś, z kim musi porozmawiać, choć szybko okazuje się, że nie ma do niego żadnej sprawy. Piwowarski siedzi z boku i widzi, że Ania robi wszystko, by nie próbować. Nie umie, boi się, nie chce się zderzyć z profesjonalizmem Dereszowskiej. W końcu reżyser postanawia: „Dobra, zostawmy to, kręcimy od razu”. Dereszowska na to: „Ale jak kręcimy? Przecież próby nie było. A uwagi od reżysera?”. Przybylska tylko na to czeka: „Co się boisz, nie pękaj, gramy”. Kamera idzie i Ania już jest pewna siebie. Przed kamerą może być sobą.

– Anię nudziły próby i kolejne duble, nawet się przy nich denerwowała. Miała potworną energię, ale nie chciała jej tracić na powtarzanie w kółko tych samych scen, chciała iść do przodu, nagrywać dalej, niecierpliwiła się – mówi Dereszowska. – Ona

za każdym razem tę samą scenę mogła zagrać inaczej i dla grającego z nią zawodowego aktora była to niezła gimnastyka. Bo ona była nieprzewidywalna. Ale miała przy tym dar od Boga. Zdawała sobie sprawę ze swoich ograniczeń, ale jednocześnie nigdy nie było to problemem – ani dla niej, ani dla innych.

Ania nie lubi nie tylko prób, ale również wizyt w garderobie i ciągłego przebierania się. Najchętniej nie zdejmowałaby munduru sierżant Baki. Ale rola Marylki rozrasta się, scen jest coraz więcej, ich otoczenie się zmienia. Ania wspominała w jednym z wywiadów, jak posprzeczła się z ekipą, kiedy w domowej scenie chciano ją przebrać w skąpą piżamę. Ona wolała coś bardziej tradycyjnego. Wygrała.

Ania uwielbia za to grać boso. Kiedy tylko kadr na to pozwala, zrzuca swoje buty.

– To było utrapienie, zwłaszcza dla tych biednych dziewczyn z garderoby – śmieje się Piwowarski. – One zakładały jej buty, Anka wchodziła na plan, zrzucała je i latała na bosaka. A potem panie garderobiane musiały tych butów szukać po wszystkich zakamarkach. Bo się okazywało, że w następnej scenie mamy szeroki plan i Anka znów musi je włożyć.

Najbardziej nie cierpi obcasów. Już kiedy pracowała w agencji Rudowskiej i musiała na różnych pokazach czy akcjach promocyjnych paradować w szpilach, przeklinała to po swojemu.

– Na obcasach grać nie lubiła, ale za to na imprezach po pracy nawet tańczenie w nich wychodziło jej świetnie – śmieje się Rudowska.

– Królowa przerw śniadaniowych i rozmów w naszej aktorskiej kanciapie – wtóruje Paweł Wawrzecki. – Zawsze rozgadana, wesoła, bezpruderyjna, jak to Anka. Jak się trzeba było szybko przebrać, nie miała problemu: „I tak mnie już wszyscy widzieliście”



Anie Dereszowska i Przybylska na planie *Złotopolskich*, 9 maja 2006 roku

# Odpinamy nartę

13 stycznia 2006 roku przychodzi na świat Szymon. Cięża jest zagrożona, dziecko jeszcze w łonie matki choruje na zapalenie płuc. Po porodzie trafia od razu do inkubatora. Wszyscy drżą, by znów nie powtórzyła się tragedia. Ania nie może przytulić Szymka. Jest zrozpaczona.

Stan małego jest bardzo poważny, tkwi w inkubatorze kolejny dzień, kiedy w szpitalu zjawia się Kasia Bujakiewicz. Właśnie wraca z gór. W rękę trzyma wielką czekoladę w kształcie narty.

– Nie bez powodu z nartą – opowiada aktorka. – Bo kiedy Ania chciała, żebym wyluzowała, mówiła zawsze: „Bujakiewicz, odpinamy nartę”. Dlatego pomyślałam, że to dobry prezent. Ale sytuacja nie była wesoła. Szymon wciąż na neonatologii, ma kłopoty z oddychaniem, Ania zmęczona, przejęta, jeszcze w pokrwawionych ciuchach z porodu, a tu nagle otwierają się drzwi i wpada jakaś kobieta. Zaczyna pstrykać zdjęcia. Była do tego stopnia bezczelna, że zostawiła jeszcze wizytówkę – bo chciałyby jeszcze z Anią porozmawiać. Ania się poryczała i pogoniła ją.

To było pierwsze ostre starcie Ani z paparazzimi, którzy będą ją prześladować do końca życia. Tym razem zdjęcia nigdzie się nie ukazały. Kasia Bujakiewicz: – To Poznań, poza tym 2006 rok, jeszcze inne czasy. Pani po prostu dostała informację, że jeśli jej zdjęcia gdziekolwiek się ukążą, ona już nigdy więcej w Poznaniu żadnego materiału nie zrobi. Wtedy jeszcze to wystarczyło.

Kilka dni później Ania może w końcu przytulić Szymona.

# Zameężna

W Antalyi to Jarek jest bardziej popularny. W restauracjach, na ulicach, w sklepach ludzie często go rozpoznają – podchodzą, witają się. Słyszą: „Bieniuk, Polonia, Bieniuk”

Ani bardzo odpowiada ta zamiana ról.

•

W 2006 roku, pół roku po narodzinach Szymona, Jarek podpisuje kontrakt z tureckim klubem Antalyaspor.

Antalya to piękna turystyczna miejscowość, z międzynarodowym lotniskiem. To ważny argument – z Turcji do Warszawy można dolecieć w trzy godziny. Można więc zawsze wpaść do Polski na krótszą lub dłuższą chwilę i załatwić sprawy zawodowe. Ale kiedy Ania próbuje użyć tego argumentu, rozmawiając z Radosławem Piwowarskim, zupełnie nie działa. Reżyser tłumaczy jej, że producenci w tym czasie wybiorą słabszego aktora z Warszawy zamiast dobrego z Gdańska. Bo trzeba go przywieźć, zapewnić hotel, potem odesłać. A do tego jest ryzyko, że coś się stanie po drodze, że nie dojedzie na zdjęcia. A co dopiero, kiedy aktor ma dojechać z Turcji. Nawet jeśli jest nim Przybylska.

Próbuje ją przekonać, że to najlepszy okres na prawdziwy start kariery, że nie powinna tak po prostu zniknąć.

Paweł Wawrzecki też odradzał jej przerwę. – Strasznie pędziła, by mieć rodzinę. Jeden mężczyzna, drugi, potem Jarek, jedno dziecko, drugie. A potem ten rodzinny wyjazd do Turcji – mówi aktor. – Namawiałem ją, żeby spróbowała to sobie spokojniej poukładać. Przecież nie tylko ona jedna miała dzieci. Inni w ekipie też mają rodziny, dzieci, mnóstwo różnych zajęć, plany kolejnych filmów, teatr.

A jednak udaje się im jakoś wszystko zaplanować, ustawić harmonogram tak, żeby wszystkim pasowało. Na to trzeba tylko trochę czasu. I spokojnego pomyślenia. Ale ona była w gorącej wodzie kąpana, nie chciała słuchać.

Wyjazd Ani był również zaskoczeniem dla Cezarego Pazury. – Myślałem: ale jak? Do Turcji za mężem? Czyja kariera jest ważniejsza? Wydawało mi się, że takie dylematy muszą prowadzić do konfliktu. No bo jak? Ja mam swoją karierę, kochanie, ty masz swoją. To są sprzeczne interesy. Więc albo znajdziemy jakiś kompromis, albo... Ale Ania nie. Dziś myślę, że ona po prostu dosłownie rozumiała słowo „zameżna”. Zawsze szła za swoim mężem. To dziś niekoniecznie musi się podobać. Ale dla Anki to było naturalne. Kurczę, partnerstwo partnerstwem, ale chyba każdy facet marzy o takiej kobiecie, która zawsze będzie przy nim, prawda? Ale my mówimy przecież o dziewczynie, której pożądał cały kraj – zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Boże, jak to musiało dowartościowywać jej faceta. „Kim ja jestem, skoro ktoś taki idzie właśnie za mną?” Kosmos, co? To się właśnie nazywa miłość.

Znajomi Ani podkreślają, że z całą pewnością udałoby się jej przekonać Jarka do pozostania w Polsce. Ale wiedziała też, że byłoby to źródłem jego frustracji. Rozumiała go, jego potrzebę spełniania się jako faceta. Poza tym kariera piłkarza nie trwa długo. Więc skoro w jego karierze nastąpił punkt zwrotny, nie chciała mówić: stop, jest jeszcze moja praca, mój rozwój. Być może w jej głowie decyzja miała charakter niewypowiedzianego partnerskiego kompromisu: „OK, teraz jest twój czas, twoja praca liczy się najbardziej. Ale w przyszłości być może role się odwrócą i wtedy ty pójdziesz za mną”.

Ania w swojej decyzji nie chciała widzieć dylematu: rodzina czy kariera. Na pierwszym miejscu i tak zawsze stawiała tę pierwszą. Wierzyła, że z resztą sobie poradzi. Była gotowa na poświęcenia – podróże na plan filmowy do Polski. „Przecież to tylko trzy godziny lotu” – mówiła. Chociaż oczywiście ryzykowała – wcale nie miała pewności, że producenci serialu zgodzą się na jej przerwę, a potem na układanie grafiku dni zdjęciowych specjalnie dla niej. Ale udało się. Widzowie zbyt kochali Marylkę.

Została zatem logistyką...

Jarek w lipcu wyjechał, bo zaczął się obóz przygotowawczy przed

nowym sezonem. Ania musi spakować rodzinę i pozamykać wszystkie sprawy w Poznaniu. Część mebli wędruje do kontenerów, w których popłyną do Turcji. Ania już wie, gdzie staną w ich nowym mieszkaniu w Antalyi. Reszta trafi do Trójmiasta, do rodziny – na przechowanie.

Musi jeszcze załatwić rzecz najważniejszą: opiekę do dzieci, gdy będzie musiała na kilka dni polecieć do Polski. – Zapytała mnie: „Mamuś, a czy w razie czego mogłabym liczyć na twoją pomoc?” – uśmiecha się pani Krystyna. – No pewnie, że mogła, musiałyśmy tylko wszystko uzgadniać w trójkę – także z Agnieszką, bo ona miała już swojego Miłosza, więc babcia też była jej potrzebna.

– I rzeczywiście udawało nam się dogadać – dodaje Agnieszka. – Ustawiałyśmy mamie grafik: kiedy może być w Turcji, a kiedy musi zostać w Gdyni. Prawdę mówiąc, mama prawie nie miała wtedy życia prywatnego.

– Ania dzwoniła do mojego drugiego męża i mówiła: „Benuś, zabieram ci mamę na trochę”. „Dobra, dobra, weź, to ja trochę odpocznę” – odpowiadał. A innym razem zadzwoniła: „Wiesz co, mamę oddasz mi też na święta?”

Mama Ani krąży więc nieustannie między Polską i Turcją. A w podróży dochodzi czasem do zabawnych sytuacji.

– Pani Krysia była pierwszą osobą, która odkryła mój związek z Edytą, dziś moją żoną – wspomina Cezary Pazura. – Byliśmy wtedy na początku związku, nie chcieliśmy, by paparazzi robili nam zdjęcia, ukrywaliśmy się, żeby to się nie rozniosło. A że miałem znajomego hotelarza w Turcji, wymyśliłem, że pojedziemy tam na urlop. Incognito. Ale ledwo zajęliśmy miejsca w samolocie, a tu pochyła się nade mną pani Krysia. „Cześć, Czarek, co, na wakacje leccie?” Przedstawiłem jej Edytkę, a już kilka godzin później dzwoni Anka. „No, Pazur” – mówi. – „Mam cię”. „Ale Ania, wiesz, to na razie jest top secret.” A Anka, jak to Anka: „Ryćkacie się, co? Ale Pazur, żeby to nie było tylko ryćkanie, wiesz”. Ona bardzo poważnie podchodziła do takich spraw. „Nie, nie, to jest miłość, naprawdę” – zapewniałem. Przypomnieliśmy to sobie parę lat później na plaży w Sopocie. Spotkaliśmy się przypadkiem, Ania szła z małym Jasiem, ja akurat czekałem na Edytkę i mojego Antka. Ania chciała zobaczyć mojego synka, ale jak na złość nie wziąłem telefonu, żeby do nich zadzwonić. Powiedzieliśmy sobie wtedy „następnym

razem.” Szkoda. Wtedy widziałem ją po raz ostatni.

•

Ania i Jarek mieszkają w Antalyi na zamkniętym osiedlu, w ekskluzywnej dzielnicy Lara. Piętnastopiętrowy wieżowiec w kolorze pistacjowym stoi na klifie, tuż nad morzem. Apartament ma ponad sto czterdzieści metrów. Na środku sypialni stoi ogromne łóżko – cztery metry szerokości, cztery długości. Śpią na nim zwykle całą rodziną – we czwórkę. Mieszkają na drugim piętrze. Wystarczy zbiec albo zjechać windą i są obok odkrytego basenu tylko dla mieszkańców. Dzieci uwielbiają spędzać w nim długie godziny. Oliwia już umie pływać. Dzieci całą dobę chodziły w pływakach. Nie opłacało się ich zdejmować.

Ania doskonale czuje się w Turcji. Będzie potem wspominać, że to najlepszy okres w jej życiu. Na ulicach pozostaje anonimowa – Antalya to wprawdzie kurort, do którego tłumnie zjeżdżają również Polacy, ale nie mieszkają przecież w turystycznej części miasta. Z nią łączy Anię jedynie karta członkowska w jednym z nadmorskich hoteli, gdzie chodzi na siłownię, na ulubione sushi albo po prostu położyć się na leżaku na hotelowym tarasie i w spokoju poczytać.

W wywiadach teraz ciągle musi odpowiadać na pytanie, czy nie brakuje jej popularności.

– Nawet się cieszę, że jestem traktowana jak każdy zwyczajny człowiek. Miejscowi nie robią mi zdjęć, kiedy jestem z Oliwią i Szymonem na spacerze albo gdy robię zakupy. Antalya (...) jest turystyczną atrakcją. Zdarzają się wycieczki z Polski. Już kilkakrotnie zrobiono mi zdjęcia bez pytania. Ale na co dzień jestem anonimowa, to duży plus mieszkania w Turcji – opowiadała Ania<sup>[79]</sup>.

W Antalyi może rankiem, kiedy dzieci jeszcze śpią, ze słuchawkami na uszach biegać nadmorskimi promenadami. Potem długie spacerzy z Oliwką i Szymonem. Nudno?

Jarek Bieniuk w ostatnim (maj 2017 roku) wywiadzie dla „Vivy”: – Kiedy Ania próbowała mnie wyciągać na spacer, buntowałem się.



Chodzenie z wózkiem przez półtorej godziny wokół osiedla doprowadzało mnie do furii. Zwłaszcza gdy byłem poobijany po meczu. Ale chodziłem, bo wiedziałem, że Ania wtedy czuje się szczęśliwa<sup>[80]</sup>.

– Ania zadzwoniła do mnie kiedyś: „Nie jestem w stanie prowadzić dwóch wózków równocześnie, musisz przyjechać, bo nie mam z kim spacerować” – opowiada Kasia Bujakiewicz. – Spakowałam więc do walizek jak najwięcej... mięsa, bo w Turcji ciężko było o wołowinę, wyszukałam charter i poleciałam. Na miejscu okazało się, że faktycznie poradzić sobie z dwoma wózkami niełatwo. A tak, we dwie, urządzałyśmy sobie wielokilometrowe spacerunki. Ania to kochała, musiała się wyżyć. Najczęściej wychodziliśmy wcześniej rano, Jarek jeszcze spał przed treningiem. Ale później było tam strasznie gorąco. Mówiąc szczerze, trudno było mi wytrzymać nawet w ich klimatyzowanym apartamencie. Wolę zimę. Ale Ania czuła się w Turcji jak ryba w wodzie. Kochała ciepło.

– Nawet jak przyjeżdżałam popilnować dzieci, a Ania wyjeżdżała gdzieś na zdjęcia, i tak zawsze spędzałyśmy ze sobą kilka dni – opowiada pani Krystyna. – Uwielbiała chodzić na targ po winogrona, brzoskwinie, pomidory – tak czerwonych u nas nie ma.

– Warzywa i owoce! Gdy dojrzewają na takim słońcu, smak mają niesamowity. Pietrucha – cudna, aż gryzie w język. A rukola ma niewiarygodnie wielkie kruche liście. Na bazarze kupuję jufkę, naleśnik, który można zwijać w „cygara”, zrobić chrupki z nadzieniem, albo byrek, placek zapiekany na blasze z mięsem i białym serem – opowiadała Ania w wywiadzie<sup>[81]</sup>. Bo w Turcji nie stała się nagle prywatną osobą. Odwiedzają ją dziennikarze i fotoreporterzy. Dziennikarka „Twojego Stylu” jest zaskoczona, że po roku pobytu całkiem nieźle radzi sobie z tureckim. W każdym razie na tyle, by bez problemu złożyć zamówienie w restauracji.

– Turecki jest trudny i do niczego niepodobny – tłumaczyła się Ania niezadowolona z siebie, bo wciąż uważała, że za słabo zna miejscowy język. – Chciałam kupić gałkę muszkatołową, ale się nagimnastykowałam! Nie było jej w moim słowniku, musiałam zdobyć niemiecko-turecki i przebijać się przez podwójne tłumaczenie<sup>[82]</sup>.



Ania nad tureckim morzem

Jest jeszcze coś, co sprawia, że w Turcji czuje się szczególnie dobrze. Dzieci są tam traktowane jak dobro narodowe. Zawsze są najważniejsze, wybacza się im wszystko i wszyscy się o nie troszczą. Ania przekonuje się o tym na lotnisku, choć sytuacja do przyjemnych zdecydowanie nie należy.

Jarek wyjechał akurat na jakiś mecz, mama przyleciała żeby opiekować się dziećmi, a Ania wybiera się do Polski. Ale podczas kontroli paszportowej zamieszanie. Okazuje się, że Ania w dokumencie ma wpisanego Szymona – w Polsce to zwykła formalność, gdy małe dzieci podróżują z rodzicami. Ale nie w Turcji. Urzędnicy szybko sprawdzają, że przyleciała z nim do Antalyi. Jak zatem to możliwe, że teraz wylatuje sama? Całkiem na poważnie pojawia się podejrzenie, że... sprzedała dziecko. Ania zostaje zatrzymana, ucieka jej samolot,

a do tego musi się jeszcze tłumaczyć, że mieszka tu z partnerem, który jest piłkarzem, ona leci do pracy, a dziecku nic złego się nie dzieje, jest pod opieką babci. Zamieszanie trwa dobrych kilka godzin, bo Turcy muszą sprawdzić, czy Ania mówi prawdę. W końcu sprawa się wyjaśnia i Ania odlatuje do Polski.

– Ania i Jarek pokazywali mi Turcję inną niż ta, z którą mają do czynienia turyści, bardziej swojską, codzienną – opowiada Kasia Bujakiewicz. – W wielu restauracjach jest do dyspozycji niania, która zajmuje się dziećmi, gdy rodzice spokojnie jedzą kolację. Dziecko nigdy nie jest traktowane jak intruz – wszędzie może wejść, wszystkiego dotknąć. I trzeba się przyzwyczaić, że twoje dziecko w każdej chwili ktoś może przytulić, pogłaskać, wziąć na ręce, szczerze pozachwycać się nim chwilę. To wszystko buduje fantastyczną atmosferę. Pod tym względem Turcja jest naprawdę wspaniała.

Gdy Ania wylatuje do pracy, a Jarek wyjeżdża na mecz albo zgrupowanie, z dziećmi zostaje pani Krysia i Jeter – Turczynka zatrudniona do pomocy w prowadzeniu domu. Jakoś się dogadują, chociaż mama Ani śmieje się, że po całym dniu takich „rozmów” ręce ją bardzo bolą.

Na ścianie w kuchni wiszą karteczki z podstawowymi zwrotami po turecku, bo Ania stara się jak najwięcej mówić z Jeter w jej języku. Jeter zajmuje się sprzątaniami, prasowaniem, pomaga przy dzieciach. Ale dzień zaczyna ze wszystkimi domownikami od śniadania, które przygotowuje Ania. Ania czasem śmieje się z niej, że nie porzuca swoich przyzwyczajzeń nawet w ramadan – wszak muzułmanie nie mogą w czasie postu jeść od wschodu do zachodu słońca – ale Jeter odpowiada niezmiennie: – Mam problemy z żołądkiem, Allah mi wybaczy.

– Turcja? To był piękny okres w życiu Ani – mówi jej mama. – Pogoda, słońce, inna kultura. Każdy kraj ma swój styl, ale ten emanował spokojem, nigdzie nie trzeba się było spieszyć. To było wspaniałe.

Tak, jest szczęśliwa. Ale jednocześnie tęskni za przyjaciółmi i rodziną. Nie rozstaje się z telefonem komórkowym. Godzinami wydzwania do mamy, siostry, koleżanek.

– Miałem rację – śmieje się Paweł Wawrzecki. – Szybko okazało się, że Ania chce wrócić do *Złotopolskich*.



## Jeden dzień, dwie serie

Na planie *Złotopolskich* aktorzy widzą, że jeśli zaplanowane są zdjęcia z Przybylską, lepiej nie wpisywać do kalendarza żadnych dodatkowych zajęć. Spóźnią się i będzie kłopot. Bo Ance ciągle się spieszy. Do domu, do rodziny, do dzieci. Bez względu na to, czy czekają na nią w Gdyni, Poznaniu czy w Turcji. Więc na plan, akcja, cięcie, koniec i Anka znika. Jedna seria *Złotopolskich* liczy osiem odcinków. To trzynaścietczternaście dni zdjęciowych (w początkach kręcenia serialu było ich nawet dziewiętnaście). Kiedy Ania mieszka w Turcji, przylatuje na maksimum trzy dni zdjęciowe. Dlatego kiedy już się zjawia, chce w kilka dni nakręcić jak najwięcej scen. Ekipie też na tym zależy. Bywa i tak, że jednego dnia nagrywane są sytuacje do aktualnie kręconej serii *Złotopolskich* i już do kolejnej. To wyzwanie dla scenarzystów, którzy musieli wykańczać sceny z Anią, choć scenariusze odcinków kolejnej serii były jeszcze w proszku.

Raszek-Zaliwska: – Dobrze, że praca w serialu daje sporo wolności w konstruowaniu historii. Kiedy więc spieszyliśmy się, trzeba było kombinować, jak tu nagrać w tej samej scenografii kolejną scenę, choć w scenariuszu powinna działać się zupełnie gdzie indziej. Ale zawsze znajdowało się rozwiązanie. Przecież Anka, zamiast przychodzić do kogoś, żeby pogadać – a przecież na tym polegają seriale, ciągle ktoś idzie się z kimś spotkać i pogadać – czekała, aż ten ktoś przyjdzie do niej.



Na planie *Złotopolskich* z Maciejem Gąsiorkiem, Januszem Onufrowiczem i Arkadiuszem Janiczkiem. Rok 2007

Takie zabiegi są jednak zupełnie niezauważalne dla widzów, kręcenie kilkunastu scen w krótkim czasie nie powoduje też, że Przybylskiej jest w serialu znacznie mniej niż wcześniej. Nadal jest jego gwiazdą, twarzą *Złotopolskich*, wciąż jest niezwykle popularna. Zresztą nie tylko w tym serialu – cały czas pojawia się w filmie, dostaje kolejne propozycje ze świata reklamy. Nie wszyscy zauważyli, że nie ma jej w kraju.

## Żwirek

W książce *Każdy szczyt ma swój Czubaszek* Artur Andrus prosi Marię Czubaszek, aby stworzyła swój ranking najpiękniejszych kobiet i mężczyzn. „Poza wszelką konkurencją, i to w ramach obu płci, jest Woody Allen – odpowiada. – Ale poza nim, jeśli chodzi o kobiety: najseksowniejszą kobietą świata była Marilyn Monroe, ze współczesnych Monica Bellucci, a z Polek – Ania Przybylska. Ania oprócz świetnego wszystkiego, czyli włosów, oczu, ust, uszu, nosa i tak dalej, ma rewelacyjny głos. Niedawno robiłam z nią wywiad i ten temat się pojawił. Mówi, że ten głos, jak to nazwała – »żwirek«, zawsze był sensacją. Kiedy była malutką dziewczynką, ludzie zachwycali się jej pięknymi dużymi oczami, ale kiedy się odezwała, sami robili duże oczy.”

# Jak pięknie być sobą

Nieves Alvarez, Eva Padberg i Anna Przybylska – trzy ambasadorki marki Astor spotykają się na planie reklamówki, która powstaje w Barcelonie. Przy stutrzydziestosześcioletniej wieży Torre Telefonica w kompleksie olimpijskim na wzgórzu Montjuïc. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym tydzień wcześniej Justin Timberlake kręcił teledysk do piosenki *SexyBack*.

Jak wtedy, kiedy jechały na casting do *Ciemnej strony Wenus*, Ania żali się Gosi: „Zobacz, jestem z nich najniższa, a do tego najgrubsza. One takie wysokie, szczupłe...”

– Ale ja byłam z niej dumna, bo kiedy szły razem, jak Aniołki Charliego, i tak było widać, która z nich jest najpiękniejsza – opowiada menedżerka Ani.

Ania szła zawsze przodem, bo rzeczywiście jest najniższa. Na dodatek styliści jako jedyną ubierają ją w czarne getry, żeby optycznie wyszczuplić jej łydki i uda. Ale to zbędne. Ona i tak robi zdecydowanie największe wrażenie.

•

Pojawienie się Ani Przybylskiej w spotach telewizyjnych i na billboardach okazuje się dla marki gigantycznym sukcesem.

Obie strony są bardzo zadowolone ze współpracy. Umowa zostaje przedłużona i w 2006 roku Ania podpisuje kontrakt międzynarodowy. Na czas nieokreślony. Za bardzo dobre pieniądze, płatne raz w roku. Kontrakt mogła podpisać już rok wcześniej, ale sama poprosiła o przesunięcie terminu rozpoczęcia umowy. Była wtedy w ciąży z Szymonem.





Nieves Alvarez, Anna Przybylska i Eva Padberg w reklamie Astora

Światowi szefowie Coty widzą, co się dzieje w Polsce, obserwują, jak słupki sprzedaży szybują w górę. Chcą ten fenomen wykorzystać. Dla Ani to kontrakt życia. I nie chodzi tylko o pieniądze. Najpierw Jarek dostał kontrakt w Turcji, teraz to ona wchodzi do międzynarodowego obiegu. A to oznacza słynnych fotografów, światowe media, sesje w różnych zakątkach Europy. Paryż, Barcelona, Praga, Bukareszt... Ania cieszy się, bo finansowy zastrzyk raz w roku daje jej poczucie finansowego bezpieczeństwa. Przecież wiadomo, jak jest z aktorstwem: raz praca jest, innym razem miesiącami nikt nie dzwoni z propozycjami.

– Ale jest jeszcze jeden powód do zadowolenia: która z kobiet pracujących w branży nie chciałaby reklamować kosmetyków? – uśmiecha się Małgosia Rudowska.

Współpracę z Coty Ania zaczyna od pojawiania się na konferencjach prasowych, opowiada o tym, że używa Astora, robi piękne sesje zdjęciowe, które pokazują się potem w gazetach, przy okazji wywiadów z Anią, w których opowiada, „jak pięknie być sobą”.

– Motto naszej marki, które wymyśliliśmy już przed współpracą z Anią, idealnie do niej pasowało. Przecież ono trafiało w punkt i podkreślało największy atut Ani – jej naturalność. Ania mówi: „Jak pięknie być sobą.” To musiało zadziałać – podkreśla Dorota Sekulska z Coty.

– Nie jestem ekspertem od reklamy, ale to chyba oczywiste: kiedy do czegoś przekonuje nas przepiękna dziewczyna, świetna aktorka, która ma trójkę dzieci i jest szczęśliwa, kiedy opowiada o rodzinie, nie sposób jej nie zaufać – uważa Cezary Pazura.

– Po tych wszystkich akcjach z Anią robiliśmy badania i wyraźnie było widać, jak zmienia się postrzeganie marki Astor – opowiada Sekulska. – Stawała się coraz bliższa coraz większej grupie kobiet. Jak Ania. Słupki sprzedażowe nie szybowały może jeszcze wtedy niebotycznie w górę, ale byliśmy przekonani, że warto iść za ciosem i zrobić coś więcej. Najlepiej reklamę telewizyjną z udziałem Ani.

Ale przekonanie centrali w Nowym Jorku do telewizyjnej kampanii z Anią w roli głównej nie jest wcale łatwe. Międzynarodowe marki starają się centralizować, co się da – przysyłają gotowe rozwiązania i schematy, nie chcą w reklamach swoich produktów lokalnych twarzy. Nie po to podpisują megakontrakty z megamodelkami i aktorkami popularnymi na całym świecie. Ale za Anią przemówiły twarde dane o sprzedaży i wzroście Astora w Polsce. Coty postanawia więc spróbować. I się nie zawodzi.

– Efekt był piorunujący – opowiada Sekulska. – Sprzedaż rosła niemal z dnia na dzień.

Później firma wykorzysta doświadczenia ze współpracy z Anią w innych krajach – poszukiwania lokalnej twarzy marki rozpoczynają się także w Niemczech czy Hiszpanii.

– Ale tam efekty nie były tak piorunujące jak w Polsce – zaznacza Sekulska.

W 2006 roku Ania zostaje jedną z trzech ambasaderek marki w Europie. Dwie kolejne to światowe top modelki – Hiszpanka Nieves

Alvarez i Niemka Eva Padberg. Alvarez, rocznik 1972, wzrost 180 cm, to brunetka o ostrych hiszpańskich rysach, nadająca się do filmu Pedro Almodóvara. Trafiła nawet na okładkę francuskiego „Vogue’a”. W 1999 roku wyznała, że przez sześć lat chorowała na anoreksję, później swoje doświadczenie opisała w książce *Pokonałam anoreksję*. Padberg, rocznik 1980, wzrost 180 cm, to z kolei niebieskooka blondynka, z okrągłą buzią, często uśmiechnięta. Można powiedzieć, że jest w typie Ani.

Każda z nich „odpowiada” za konkretne produkty – jedna za *make up*, druga za rzęsy, trzecia – kosmetyki do ust. Zazwyczaj raz do roku następuje zmiana. Ale Ania i tak zwykle jest ambasadorką produktów do *make up-u*. W Coty są zachwyceni jej piękną cerą.

Zdjęcia do reklamy tuszu do rzęs 3Style, w której mają wziąć udział wszystkie trzy europejskie ambasadorki marki, przeciągają się. Na plan w Barcelonie wjechał już wóz z cateringiem. Dziewczyny coraz łapczywiej spoglądają w jego stronę. Zresztą cała ekipa jest głodna. Kiedy w końcu zdjęcia się kończą, Hiszpanka i Niemka rzucają się w stronę jedzenia. Choć nie są najszybsze, inni ustępują im miejsca. Do wyścigu staje też Małgosia Rudowska, ale Ania łapie ją za rękę: „Zaczekajmy. Niech najpierw zjedzą techniczni. No i te modelki” – Ania pokazuje na Alvarez i Padberg przeciskające się wśród innych wygłodniałych członków ekipy. „Techniczni byli tu najwcześniej i to oni najciężej pracują. A my przecież właściwie tylko wypoczywamy” – śmiała się Przybylska.

– Pamiętam bardzo podobną sytuację – dodaje siostra Agnieszka. – Przerwa na lunch, wszyscy biegną, a Ania tłumaczy mi, dlaczego wciąż stoimy: „Słuchaj, ja tu jestem od szóstej, a oni od czwartej. Ja wyjdę o 12, a oni pewnie dopiero przed 15. Poza tym wiesz, oni mają swoje kłopoty. Tamta dziewczyna ma chore dziecko, mąż tamtej ostro pije...” Wiedziała niemal wszystko o ludziach, z którymi pracowała.

To właśnie po sesji w Barcelonie w polskiej telewizji pojawiają się pierwsze reklamówki Astora z Przybylską. Wspólnie z Alvarez i Padberg reklamuje maskarę do oczu. Dziewczyny idą po wybiegu niczym Aniołki Charliego. Alvarez zachęca: „Przyciągnij jego uwagę”. Przybylska dodaje: „Oczaruj go”, a Padberg kończy: „Spojrzeniem zniewalaj”. Wszystkie trzy puentują: „Jak pięknie być sobą”.

Nie wymagała specjalnego traktowania. W Londynie, kiedy Ania kręci reklamę dla CCC, podczas przerw siedzi z całą ekipą w wielkim kamperze. Kiedy musi się przebrać do kolejnego ujęcia, znika po prostu za parawanami. Po jedzeniu swoim zwyczajem rozpina guzik w spodniach, wyciąga nogi na stół. To jest czas, żeby wspólnie się pośmiać.

– To, co nas między innymi połączyło z Anią, to szacunek do ludzi, który wyniosłyśmy z domów. Do wszystkich, bez względu na wygląd, status, zawód, kasę – mówi Małgosia Rudowska. – Od garderobianej po największą panią. Ania zawsze witała się z każdym na planie, z każdym pogadała, po zdjęciach każdemu podziękowała. Nieważne, czy to był fotograf, czy pan, który nosił kable – podkreśla Rudowska. – To nie była wystudiowana strategia, metoda na to, by wszyscy ją lubili. W tym również była absolutnie naturalna.

# Latynoska

Ania z coraz większą determinacją próbuje chronić swoją prywatność. Nie jest już tą spontaniczną dziewczyną, która ze szczerością debiutantki opowiada o swoich uczuciach i związkach. Sesje z dzieckiem? Wywiady o tym, jaką to jest wspaniałą matką? Nie ma mowy. W 2006 roku zaczyna działać w sieci pierwszy plotkarski serwis Pudelek.pl. Trzy lata wcześniej zaczyna w Polsce wychodzić tabloid „Fakt”. Wkrótce Edyta Górniak tak będzie opowiadać o swojej wojnie z jego dziennikarzami:

„Każdy ma prawo komentować moje dokonania artystyczne. Ale nie życzę sobie, żeby w nocy nachodzili mój dom i po kryjomu robili zdjęcia przez okno. Ludzie chcieliby zainstalować mi kamerę w żołądku i patrzeć, jak trawię. Ale czy media powinny dostarczać im tej karmy? Prawda jest taka, że dziennikarze kłamią. Piszą, co chcą, i do mojego nazwiska dopisywali dowolne historie. Jak ja mogę odkręcić piętnaście lat kłamstw? (...) Mówię o dziennikarzach »Super Expressu« i »Faktu«. To osobny, agresywny gatunek. Wartością dla nich jest to, że coś wyrwą komuś z gardła. Myślą, że są detektywami i odkrywają niebywałe historie.

Dla obu tych gazet stałam się kukiełką marketingową. Gdy jedna o mnie napisała agresywnie, druga musiała to przebić. Chcieli nawet zdobyć zdjęcie naszego dziecka na sali porodowej. Nie pozwoliliśmy im na to”<sup>[83]</sup>.

Potem walczą z tabloidami – nawet w sądzie – między innymi Anna Mucha, Joanna Brodzik, Justyna Steczkowska, Kayah. Wydawcy płacą gwiazdom odszkodowania, ale obiektywy paparazzich ani na chwilę nie przestają ich śledzić.

Ania staje się jedną z ich „ulubienic”. Dlatego coraz bardziej ukrywa przed fotoreporterami i dziennikarzami swoje życie, a przede wszystkim swoje dzieci. A dziennikarze i paparazzi stają się coraz bardziej natarczywi.

Ale pewnego dnia dziecko Ani samo wskoczyło na scenę.

•

Na jedną z sesji do Paryża Ania jedzie „odrobinę za mocno muśnięta słońcem” – jak mówi Gosia Rudowska. To nie podoba się fotografom ani makijażystkom. Za to zawsze podoba się Ani, która kocha słońce. A słońce kocha ją, więc opala ją szybko i na piękny złotobrązowy odcień. Nie zawsze wystarczą daszek na głowie czy kremy ochronne na twarz, by uchronić ją przed opalenizną. Tym bardziej, że Ania niechętnie ucieka przed słońcem.

Na temat nadmiernej opalenizny Ani dyskusje z Coty toczą się latami. Po pobycie na słońcu karnacja Ani staje się bardzo ciemna i nie odzwierciedla typu urody przeciętnej Polki. Dlatego firma prosi, by Ania, wychodząc na słońce, używała kremów z filtrem. W końcu Coty wpisuje jej do kontraktu punkt, który mówi, że Ania nie może przyjeżdżać na zdjęcia mocno opalona. Dostaje nawet listę kosmetyków, których musi używać, wychodząc na słońce. Co więcej – gotowe zestawy kosmetyków, z odpowiednimi filtrami, trafiają w paczkach przysyłanych jej do domu. Reklamy z jej udziałem wyświetlane są m.in. w Niemczech, Hiszpanii, Czechach, Bułgarii, Rumunii. Nie chodzi przecież o to, żeby pokazać, jak pięknie wygląda podkład na twarzy pięknej Latynoski.

Sekulska wspomina, że kiedy dowiedziała się o wyjeździe Ani do Turcji, omal nie dostała zawału. Przecież to oznacza, że Ania będzie nieustannie opalona. Ale ostatecznie to właśnie dzięki opaleniznie przywiezionej z Turcji Ania ląduje we wrześniu 2009 roku na okładce amerykańskiego „Cosmopolitan” – jego edycji dla Latynosek.

Ale zakaz opalania to niejedyne obostrzenie, które pojawia się z czasem w kontrakcie Ani z firmą Coty.



Ania na okładce latynoskiego wydania miesięcznika „Cosmopolitan”

Kiedy Ania jest już w Turcji, tak ustawia sobie pracę, żeby lecieć na sesję czy na plan dopiero wtedy, gdy w Turcji jest już jej mama. Ania uwielbia organizować te specyficzne operacje powietrzno-desantowe. Wyszukiwanie biletów, szukanie najwygodniejszych połączeń staje się jej hobby. Jej bliscy śmieją się, że zmieniła się w najlepszą na świecie wyszukiwarkę lotów. Niemal codziennie śledzi strony z połączeniami. Kiedy wybiera się w podróż, do ostatniej chwili kombinuje, co tu by jeszcze przebukować, żeby jak najszybciej, bez marnowania czasu na lotniskach, dotrzeć na miejsce. Przebukowuje, szuka dalej, znowu zmienia rezerwację. Na ogół wszystko się udaje po jej myśli. Do czasu.

Zbliża się czas ważnej sesji dla Astora. Termin jest umówiony, agencja jak zwykle proponuje, że zarezerwuje jej bilety, ale jak zwykle Ania odmawia. W ostatniej chwili postanawia „przesiąść” się do tanich linii. Nie chodzi o pieniądze.

– Nieważne, jakimi liniami leci, nieważne, jaki jest komfort podróży. Zawsze chodziło tylko o to, by jak najdłużej być w domu, z dziećmi. Wylecieć jak najpóźniej, wrócić jak najszybciej – podkreśla Rudowska.

I tym razem Ania obliczyła sobie, że dzięki tanim liniom będzie mogła dłużej zostać w domu. Tanie linie jednak zawodzą i Ania w ogóle nie wylatuje z Turcji. Tymczasem w Polsce plan jest przygotowany, wszyscy czekają tylko na nią. Ale Przybylskiej nie ma.

Efekt? Na prośbę Rudowskiej w umowie pojawia się kolejny zapis – od tej pory Ania ma zakaz rezerwowania biletów na własną rękę. Od tej pory zajmują się tym wyłącznie ludzie z firmy. Żadnych tanich linii czy czarterów, tylko pewne połączenia. Tydzień przed podróżą, oczywiście jeśli nie dzieje się nic nadzwyczajnego, Ania już nic nie może zmieniać.

Innym razem, choć Ania zgodnie z planem dociera na coroczną konferencję Astora w Warszawie i spotkanie z dziennikarzami, pojawia się nowy problem. Tym razem Ania musiała zabrać ze sobą córkę. Ale Oliwia za nic nie chce zostać w hotelu z opiekunką. Wciąż płacze, więc Ania postanawia, że tym razem wbrew swoim zasadom weźmie ją ze sobą. Astor wprowadzał właśnie na rynek nowy podkład, Przybylska jest oczywiście przygotowana na pytania, ale też jak zwykle myśli, co by tu dodać od siebie.



– Kiedy podjechałam po Anię pod hotel i zobaczyłam, jak wychodzi z Oliwią, zbladłam – wspomina Sekulska. – Ania zawsze oddzielała życie prywatne od służbowego, dom od pracy. Nawet zastrzegła sobie w kontrakcie, że nie będzie wolno wykorzystywać jej prywatnych historii, robić zdjęć jej dzieciom i tak dalej. A tu wybiega z hotelu z córką na rękach. Przecież na konferencji spodziewaliśmy się tłumu dziennikarzy. Jak ja upilnuję, żeby nikt nie zrobił zdjęcia dziecku?

Już na miejscu, podczas próby przed konferencją, pojawia się pomysł, że na czas spotkania z dziennikarzami Oliwia zostanie w garderobie i poczeka na mamę. Opiekować się nią będzie jedna z pracowniczek agencji. Zgłasza się na ochotnika, ma dziecko w podobnym wieku. Ale garderoba jest tylko prowizoryczna – to sala na antresoli. Próba przebiega sprawnie, Oliwia w tym czasie świetnie się bawi.

Zaczyna się konferencja. Ania odpowiada na kolejne pytania. Nagle drzwi sali na antresoli otwierają się i staje w nich Oliwka ze smoczkiem w ustach. Jak gdyby nigdy nic schodzi powoli po schodach, przechodzi przez salę jak największa gwiazda, a na koniec podbiega przytulić się do mamy, która bierze ją na kolana.

Już nic nie można było poradzić: zdjęcia Oliwii po raz pierwszy pojawiają się w gazetach.

– Nie planowaliśmy tego, próbowaliśmy uniknąć, ale wyszło uroczo – śmieje się Sekulska. – Właśnie z tej konferencji opublikowano rekordową liczbę zdjęć. Ale czy mogło być inaczej?

W kontrakcie Przybylskiej z Coty, oprócz spraw związanych z opalenizną, lotami czy prywatnością gwiazdy, są też inne nadzwyczajne zapisy. A więc Ani nie wolno – bez wcześniejszej akceptacji:

- zmienić koloru włosów,
- drastycznie zmienić fryzury,
- zrobić sobie tatuażu w okolicach twarzy.

Wizerunek ambasadorki marki musi być trwały i spójny. Nie może być tak, że w reklamie Ania ma piękne długie, ciemne włosy, a po emisji reklamy w przerwie jakiegoś talk-show pojawia się na żywo jako krótko obcięta blondynka.

Ania, w przypadku kolejnych restrykcji, nie protestuje, w tym przypadku nie próbuje być rebeliantką. Wie, że firma, która ją zatrudnia,

ma prawo do takich zapisów w kontrakcie, a poza tym nie są one przecież wydumane.

Ale nie zawsze jest grzeczna.



Ania z Oliwką podczas promocji nowego kosmetyku marki Astor – Air Mousse

## Ritz

Thien La, światowej sławy fotograf gwiazd, jest zadowolony ze zdjęć, które zrobił Ani w Paryżu. Po sesji podchodzi do niej, mówi, że niedługo będzie miał wystawę swoich prac, pyta, czy mógłby na niej pokazać jedno ze zdjęć Ani. „Zastanowię się” – odpowiada Przybylska ze sztyletami w oczach. Jak to? Prosi ją ulubiony fotograf Moniki Bellucci, który tydzień wcześniej w tym samym studiu robił zdjęcia Umie Thurman, a ona się waha?

Ania jest jednak na niego cięta i tyle.

•

Mocna opalenizna, na nogach conversy, walizka Samsonite, uśmiech, który nawet na chwilę nie znika z twarzy... Nie tak wyobrażają sobie w Paryżu top modelkę. „Jakoś dziwnie na mnie patrzą. Jak na porypaną” – rzuca pod nosem Ania i obie z Gosią Rudowską wybuchają głośnym śmiechem.

Jadą do luksusowego apartamentu w hotelu Ritz przy placu Vendôme przebitym kolumną odlaną z dział zdobytych przez Napoleona pod Austerlitz. Dookoła placu sklepy najsztylniejszych jubilerów. A sam hotel? Legenda. To tu przez wiele lat rezydowała Coco Chanel, a w czasie wojny Herman Goering. Stałym gościem Ritza był Pablo Picasso, a Ernest Hemingway pobił rekord, zamawiając jednego wieczoru 73 martini w hotelowym barze. W apartamencie królewskim księżna Diana i Dodi Al-Fayed jedli kolację tuż przed swoją tragiczną śmiercią.

Ale Ania niespecjalnie przejmuje się przeszłością hotelu. Dookoła niej krążą ludzie z centrali Coty, ale ona jeszcze w trakcie ekskluzywnej kolacji wstaje od stołu, mówi „dziękuję” i idzie na spacer. Wędruje ze swoją menedżerką po luksusowej Rue Saint Honoré, Rue de Rivoli,

po ogrodzie Tuileries. Wiedzą, że powinny wrócić na oficjalne spotkanie z kierownictwem firmy, ale przemykają niezauważone do hotelowego pokoju. I dopiero tam urządzą sobie imprezę. Zamawiają do pokoju szampana, puszcza sobie muzykę z YouTube'a. Najlepiej taką z przeszłości. Kiedy jeszcze Ania była po prostu Anią i mogła opalać się do woli, zmieniać fryzurę choćby i codziennie, nie chować się przed natrętami pod kapeluszem i ciemnymi okularami.

„A pamiętasz to?” – pyta Ania po kilku kieliszkach szampana i puszcza *Survivor*, kawałek dziewczyn z Destiny's Child. Jeden z hymnów ich młodości.

*Teraz, kiedy wyniosłeś się już z mojego życia, jest mi znacznie lepiej Myślałeś, że będę słaba bez ciebie, ale jestem silniejsza Myślałeś, że bez ciebie zbankrutuję, ale jestem bogatsza Myślałeś, że będę smutniejsza bez ciebie, lecz śmieję się weselej Myślałeś, że bez ciebie się nie rozwinę, teraz jestem rozsądniejsza Myślałeś, że bez ciebie będę bezradna, ale jestem bystrzejsza Myślałeś, że bez ciebie będę zestresowana, tymczasem jestem wyluzowana Myślałeś, że bez ciebie nie będę sprzedawać, tymczasem sprzedawałam miliony...*

– Często żartowałyśmy sobie z tego, że my, dziewczyny z Gdyni, siedzimy sobie na łóżku w Ritzu, najbardziej snobistycznym hotelu w całym Paryżu, i popijamy szampana. Śmiałyśmy się jak dzikie, bo nie mogłyśmy uwierzyć, że udało nam się tutaj dojść, a właściwie dobiec, bo przecież od castingu do *Ciemnej strony Wenus* minęło tylko dziesięć lat. Ania nie lubiła celebrować swojej popularności, korzystać ze sławy. Miała ogromny dystans do całego zamieszania, które trwało wokół niej. A uciekanie z różnego rodzaju oficjałek weszło jej w krew.

To był ich stały rytuał: Ania szła do siebie, Małgosia do siebie. Po chwili – już w szlafroku i kapciach – jedna pukała do pokoju drugiej. I wtedy zaczynała się impreza. Ale z euforią pod kontrolą. Przecież rano trzeba iść do pracy.

A praca to makijażyści, garderobiane, fryzjerzy... Wszyscy ze światowej

czołówki. Od ósmej rano zajmują się przygotowaniem Ani do sesji. Kiedy trafia w ręce pochodzącej z Australii fryzjerki, ta na chwilę traci głos. I nie chodzi wcale o „zbyt mocne muśnięcie słońcem.” Raczej o kolor włosów, które jej zdaniem są „zbyt rude.” „Słuchaj” – mówi do Przybylskiej. „Przecież dostałam wcześniej twoje zdjęcie, miałaś na nim inne włosy. Ciemne, ale w nieco innej tonacji!” Na nic zdają się tłumaczenia, że to dokładnie ten sam kolor co na zdjęciach.



Paryska sesja u Thiena La (*backstage*)

„To co robimy?” – pyta Ania.

„Trzeba natychmiast przefarbować!”

Ania znosi wszystko cierpliwie. To jedna z jej pierwszych zagranicznych sesji. A poza tym jej zdaniem nowy kolor niemal nie różni się od poprzedniego.

Farbowanie trochę trwa, ale kiedy Ania wraca na plan, fotografa wciąż nie ma. Tylko asystent i cały sztab ludzi, którzy zajmują się nie

wiadomo czym, kręcą się po studiu. Ale Ania nie lubi marnować czasu, więc zaczyna irytować ją czekanie.

Dobrze, włosy zrobione, ale trzeba jeszcze poprawić *make-up*. Zabiera się za to jakiś facet – nietypowo, bo zaczyna nie od kładzenia pudru, ale od makijażu oczu.

– Siedziałam obok jak zahipnotyzowana, bo facet naprawdę był artystą – wspomina Rudowska. – W pewnym momencie przerwał i rzucił do mnie: „Jesteś lesbijką, przyjechałaś za ukochaną do Paryża?”. „Nie, nie jestem”. „Bo tak się patrzysz, jakbyś była”

Później nie dawał się przekonać, że Anna Przybylska jest modelką z Polski, a nie z Brazylii. Ale ze swoją opalenizną Ania rzeczywiście wyglądała mało słowiańsko.

Mijają godziny.

Nagle, a jest już koło czternastej, na planie daje się zauważyć poruszenie. Ludzie zaczynają szybciej krążyć po studiu, a nawet biegać. Momentami zachowują się wręcz nienaturalnie. Powód? W końcu przyjechał fotograf, słynny Thien La, syn emigrantów z Wietnamu, którzy trafili do Los Angeles. Chłopak znikąd, który stał się gwiazdą w świecie fotografów gwiazd. To on jest teraz w centrum uwagi, wszyscy zaczynają wokół niego skakać, sztucznie się uśmiechać, brakuje tylko, żeby ktoś rozwijał przed nim czerwony dywan. Ale Thien jest znanym fotografem, ulubieńcem Oscara de la Renty, jego zdjęcia często trafiają na okładki magazynu „Harper’s Bazaar”. I domaga się znacznie więcej uwagi niż Ania czy inne gwiazdy, które fotografuje.

Kiedy sesja ma się już zacząć, Wietnamczyk przypomina sobie, że czas na lunch. Znika w korytarzach, a Ania zostaje na sali zdjęciowej i nie wie, co ma ze sobą zrobić. Robi się coraz bardziej nerwowa. Po lunchu Thien włącza muzykę operową, głośno, stanowczo zbyt głośno. Poza tym nie robi właściwie nic. Asystent przygotował mu całe oświetlenie i sprzęt. Modelka też jest gotowa, choć coraz bardziej wkurzona. I wtedy Thien wpada na dziki pomysł: każe przynieść sobie taśmę i... przykleić Anię do ściany. Za włosy. Uznaje, że dzięki temu modelka będzie stała nieruchomo.

Ania jest na granicy szału. Złości się, a Thien krzyczy, że woli pracować z modelkami niż aktorkami. Modelki się nie wiercą. I robią dokładnie to, co im każe.

– Dla Ani ta cała sesja była jak tortury – wspomina Rudowska. – Była wkurzona, a jednocześnie niemal we łzach. Bałam się, że za chwilę wybuchnie i naskoczy na tego faceta.

Po sesji okazuje się, że cała psychodrama, którą Thien urządził w studiu, to ściema. Że prowokowanie modelek, wywoływanie emocji, które chce mieć na fotografii, jest stałą metodą jego pracy. Tak, on chciał Anię zezłościć, wzbudzić w niej agresję. Chciał zedrzeć z jej twarzy jej naturalny uśmiech, jej wieczne rozradowanie. On potrzebuje konkretnej miny czy pozy, konkretnych emocji, które wymyślił do zdjęć. A jeszcze odruchowo wciąga do zdjęć policzki Ani. To przez jedną z koleżanek, która powiedziała jej, że najbardziej seksownie wygląda, kiedy zasysa policzki. Ania wzięła to sobie do serca i obojętnie, czy ma zdjęcia w Paryżu czy Warszawie, z Thieniem czy Piotrem Porębskim lub Jackiem Poremką, z uśmiechem czy bez – zawsze zaczyna sesję z wciągniętymi policzkami. Zmagali się z tym niemal wszyscy fotografowie, z którymi miała do czynienia. Ale współpraca z Thieniem była szczególnie wyboista. Pierwszą zaplanowaną sesję u Thiena musiała przełożyć. Powód? Jest już wtedy w ciąży z Szymonem, nie czuje się najlepiej, obawia się podróży samolotem. To ryzykowna decyzja. Przecież Ania dopiero co została międzynarodową twarzą marki. Dopiero ma kręcić reklamę, która zostanie wyemitowana w kilku krajach. Żadna inna polska gwiazda nie ma w tym czasie podobnego kontraktu. Nikt nie jest twarzą międzynarodowego koncernu. Ale Ania nie zamierza z tego powodu zmieniać swoich priorytetów.

Jest w ciąży. Dziecko jest najważniejsze.

Sekulska: – Byliśmy wtedy gotowi zrobić jej zdjęcia na miejscu, w Polsce. Też nie chcieliśmy, by Ania ryzykowała. Ale centrala się nie zgodziła. Powiedzieli, że poczekają. Zależało im, aby zachować standardy: ten sam fotograf dla wszystkich gwiazd promujących markę, to samo studio. Ale z drugiej strony centrala zawsze podchodziła do naszej współpracy na zasadzie partnerstwa. Nigdy niczego nie forsowali na siłę, nie kazali przyjeżdżać na swoje zawołanie, bo jesteś zobowiązana kontraktem. Dyscyplina była ważna, zapisów w umowie trzeba było przestrzegać, ale zawsze można się było dogadać.

Ostatecznie na sesję w Paryżu Ania pojechała dopiero po narodzinach Szymona. A Thien La? Ania współpracowała z nim jeszcze kilkukrotnie.



Nigdy się jednak do niego nie przekonała.



Przed konferencją prasową. W tle pierwsze zdjęcie Ani autorstwa Thiena La

# Blask

Nie znosi Photoshopa.

Tłumaczy jej, że to prawda, nie potrzeba poprawiać jej urody, ale komputerowy retusz to zabieg techniczny, konieczny zwłaszcza w przypadku reklam wielkoformatowych, które zawisną na billboardach. Albo całostronicowych reklam w glamourowych magazynach. Ania nie chce zrozumieć, że bez poprawek portrety robione na wielkim zbliżeniu, a potem powiększane do dwunastu metrów kwadratowych albo i więcej, nie wyglądają dobrze. Najmniejsza skaza staje się kraterem, zmarszczka – uskokiem tektonicznym, przebarwienie – plamą na słońcu. Zdarza się czasami, że kłóci się z fotografami, ludźmi z redakcji i agencji reklamowych.

– Ładnych obrazków można zrobić tysiące, ale już zrobić piękny portret – to jest sztuka – opowiada Marlena Bielińska, jedna z ulubionych fotografek nie tylko polskich gwiazd. Zaczynała karierę w Nowym Jorku jako modelka prestiżowej agencji Elite. Potem zaczęła fotografować swoje koleżanki i tak już zostało. W portfolio ma zdjęcia Kate Winslet, Weroniki Rosati, Magdaleny Boczarskiej, Anji Rubik, dla „Vogue’a”, „Playboya”, „Elle”, „Glamour”, „Sports Illustrated”, „GQ”... – Sama uroda i piękno to za mało, to często pusty wysiłek dla fotografa. Potrzebny jest jeszcze wdzięk, urok osobisty i takie wewnętrzne, a nie zewnętrzne, światło. Ania miała to wszystko. Harmonijne rysy, wyjątkową urodę – to oczywiste. Ale przy tym nieoczywisty koloryt, wielowarstwowość, wewnętrzny blask.

Numer 92540  
Wiosna 2017  
ISSN 0667-9026

# Twój STYL

Cena z filmem DVD  
11 zł 85 gr  
[w tym 8% VAT]  
Tel. 22 71 11 11  
www.styl.pl

**RAPORT**  
**MATKI ANIOŁKÓW**  
KIEDY KOBIETA  
TRACI CIĄŻĘ

CO WYPADA  
CO ODPADA  
**12** TRENDÓW  
NA NOWY SEZON

PANNA MŁODA  
KOCHA INNEGO

NA OKŁADCE  
**ANNA PRZYBYLSKA**  
MIŁOŚĆ TO ŁÓŻKO,  
PRZYWIĄZANIE  
I KUMPLSTWO

## SEKRETY I KŁAMSTWA

Psychoterapia w internecie. Sprawdzamy i ostrzegamy  
Seriale medyczne. Po pierwsze nie szkodzą  
Podrabiane kosmetyki. Wynik testu: do kosza



Okładkowe zdjęcia autorstwa Marleny Bielińskiej. – Sama uroda i piękno to za mało (...). Potrzebny jest jeszcze wdzięk, urok osobisty i takie wewnętrzne, a nie zewnętrzne, światło. Ania miała to wszystko – wspomina fotografka

Jak się pracowało z Anią?

– W czasie sesji często przejmowała inicjatywę. Nie musiałam nic wymyślać, kombinować, ustawiać jej. Tak, jakby ktoś odbierał mi pracę. Ona nie pozwalała się tylko fotografować, ale budowała też nastrój sesji, narzucała emocje. I jak wszystko, przychodziło to jej naturalnie.

A jej oczy? Wszyscy zwracali uwagę na jej oczy.

– Były wielkie i piękne. Ale nie tylko o to chodzi. W nich odbijał się jakiś wewnętrzny konflikt. Momentami, kiedy patrzyłam na nią przez obiektyw, wydawały mi się zbolące, czułam to. W tych oczach było widać nadmiar wrażliwości, który Ania starała się przykryć wulkaniczną energią i wyjątkową ekspresją. No i tym, że klęła jak szewc.

## Gdzie jest moje auto?

Roześmiana Ania jeździ po hali wielkiego magazynu wózkiem widłowym. Szuka palety z towarem do wysyłki. W końcu – jest! Ściąga paletę z towarem, zawozi na miejsce. Przerwa.

Czy to upadek gwiazdy? Upiorny sen? Nie. To jedno z jej ulubionych wspomnień.

•

Chce być perfekcyjna we wszystkim, co robi – powtarzają przyjaciele. Przy okazji wyjazdów na kolejne zagraniczne sesje szlifuje swój angielski. Nawet kiedy jeszcze nie zna go na wrywki, i tak świetnie potrafi się w nim komunikować – oczywiście mocno przy tym gestykulując. Zresztą nawet kiedy mówi po polsku, jej ręce są ciągle w ruchu. A jeśli chodzi o angielski, zawsze może też liczyć na wsparcie swojego kuzyna Pawła.

– Ania dzwoniła do mnie najczęściej tylko po to, żeby błysnąć jakimś zwrotem, sprawdzić jego wymowę, by lepiej zabrzmieć w towarzystwie. Bo ona już taka była – albo robiła coś perfekcyjnie, albo nie robiła wcale. Angielskiego też nie chciała kaleczyć, męczyć się podczas konferencji czy wywiadu. Skoro zdecydowała się na występ w obcym języku, chciała być doskonale przygotowana – tłumaczy Paweł.



Ania podczas wizyty w nowym centrum logistycznym Coty w Bielsku-Białej, lipiec 2007 roku

Jej angielski może błyszczeć między innymi podczas dorocznego spotkania firmowego Coty, które odbywa się akurat nad jeziorem Garda we Włoszech. Lazurowa, gładka powierzchnia wody, zapierający dech górski krajobraz wokół, bajkowe wille i pałace na brzegu. Na spotkania przyjeżdżają szefowie Coty z poszczególnych krajów oraz ludzie z nowojorskiej centrali. Ania jedzie tam jako twarz i gwiazda marki. Trochę to nudne, bo w trakcie takiego zjazdu menedżerowie opowiadają o planach rozwoju, chwalą się sukcesami. Dyrektor generalny polskiego oddziału opowiada o owocnej współpracy z Przybylską, pokazuje pnące się stromo w górę wykresy z wynikami sprzedaży, a potem wszyscy najważniejsi w firmie mogą sobie obejrzeć na żywo źródło jego sukcesu.

Potem są pochwały, komplementy, bankiety i w końcu można iść spać. Ale dla szefa polskiego oddziału marki to nieprzespana noc. Późnym wieczorem dostaje od Przybylskiej wyjątkowo dwuznacznego SMS-a. Nie wie, jak go rozumieć, co zrobić.

To była pomyłka. SMS-a miał dostać partner Ani, Jarek. Ale dyrektor



Coty dowie się o tym dopiero rano, przy śniadaniu.

Podczas innego firmowego zjazdu, już w Polsce, Ania patrzy, jak najlepsi menedżerowie firmy odbierają premie i kluczyki do samochodów. W końcu sama wchodzi na scenę.

– Byłam tam razem z nią. Miałyśmy przeprowadzić krótką rozmowę o tym, jaki był dla niej ubiegły rok w firmie, o wrażeniach z sesji, współpracy i takie tam – wspomina Dorota Sekulska. – Ale zanim zdążyłam się przywitać i zadać pierwsze pytanie, Ania chwyciła za mikrofon. „Czekajcie, bo ja tu czegoś nie rozumiem. Dorota mi powtarza, że ja też właściwie jestem pracownikiem firmy. A teraz słyszę, że wy tu sobie rozdajecie nowe samochody, ekstrapremie. To ja się pytam – a gdzie jest mój samochód, gdzie moja premia?”

Cała sala ryknęła śmiechem.

To jednak nie wyjazdy nad jezioro Garda Ania wspominała najcieplej. Nawet nie sesje w Paryżu czy Barcelonie, współpracę z największymi fotografami, noce w najlepszych hotelach czy kolacje w najdroższych restauracjach.

– Kiedy Ania była już chora i przyleciała do mnie do Stanów, rozmawialiśmy o tym, co najfajniejszego przytrafiło się jej w czasie dziesięciu lat naszej współpracy – wspomina Sekulska. – I Ania powiedziała mi wtedy, że najbardziej zapamiętała wyjazd do Bielska-Białej. Że to był ten najbardziej wyjątkowy moment.

Na otwarciu supernowoczesnego międzynarodowego centrum logistycznego w Bielsku-Białej w lipcu 2007 roku zaproszono Anię. Jako twarz marki miała przeciąć wstęgę, pokroić tort, spotkać się z załogą, która widywała ją na co dzień w tysiącach odbić, bo chwilę wcześniej wizerunek Ani trafił na opakowania produktów Astora. Kolejna decyzja, dzięki której sprzedaż wystrzeliła w górę.

Ania kroi więc tort (w kształcie opakowania pudru marki Astor), mówi kilka zdań na oficjalnej konferencji, potem wędruje do głównej sali magazynu, gdzie może oglądać półki zapełnione produktami z jej twarzą na opakowaniach. Ania składa kolejne autografy, ale jednocześnie wypytuje o wszystko: jak przebiega procedura przyjmowania i wydawania towaru, kto za co odpowiada, co tam wyświetla się na ekranach komputerów. W końcu orientuje się, że tego nie da się opowiedzieć. Więc sama chce przejść cały proces – przyjąć towar,

odpowiednio go opakować, ułożyć na właściwej półce, a następnie przygotować do wysyłki. Jej życzenie zostaje spełnione, a punktem kulminacyjnym jest moment, kiedy Przybylska przy aplauzie pracowników kręci po hali kółka wózkiem widłowym.

Po triumfalnym przejeździe zaczyna się bankiet. Jedzenie przywozi do Bielska-Białej renomowana restauracja z Krakowa. Ale kiedy Ania dowiaduje się, że lunch zaplanowano tylko dla wąskiego grona menedżerów i gości, w niedużym pomieszczeniu koło gabinetu dyrektora, stanowczo protestuje. „A ci ludzie, to co? Gdzie będą jedli?” – pyta, wskazując na załogę magazynu. „Pracownicy mają swoją kantynę”. No to koniec zamkniętego bankietu. Ania decyduje, że zje razem z robotnikami. Impreza przenosi się do stołówki.

Od stu trzydziestu pracowników bielskiego centrum logistycznego Ania dostała maskotkę kota, zaprojektowaną przez dzieci pracowników firmy.

– Anna Przybylska zawsze robiła na mnie wrażenie, kiedy widziałam ją na ekranie, ale nigdy nie przypuszczałam, że spotkam ją w pracy – komentowała na [www.bielsko.biala.pl](http://www.bielsko.biala.pl) Anna Pietrak, która oprowadzała wtedy gwiazdę.

## Gdzie jest Woody Allen?

W 2008 roku Ania gra drugoplanową rolę w filmie *Limousine* (w polskiej wersji *Kierowca*). To międzynarodowa produkcja o dziewczynie (gra ją Agnieszka Grochowska), która dorabia sobie, prowadząc nocą luksusową limuzynę do wynajęcia i pakuje się swoim mercedesem w nie lada kryminalne i emocjonalne kłopoty. Przybylska gra luksusową *call girl* i partneruje – po angielsku – między innymi Christopherowi Lambertowi, któremu sławę przyniosła rola w *Nieśmiertelnym*. Jedna z producentek obserwuje Anię, a potem namawia ją, by spróbowała wystartować w wyścigu do roli dziewczyny Bonda. Ania traktuje pomysł pół żartem, pół serio. Ale ostatecznie jej „promo” trafia do producentów bondowskiej serii. Niestety, to nie jest dobry moment, niedawno do kin weszło *Quantum of Solace*, na *Skyfall* trzeba będzie czekać cztery lata. Więc z pomysłu, że Ania zagra u boku Daniela Craiga, nic nie wychodzi.

•

– Ania? Połączenie wdzięku Audrey Hepburn z talentem Elżbiety Czyżewskiej – uważa Olaf Lubaszenko.

– Kiedy zobaczyłem ją w *Ciemnej stronie Wenus*, owszem, zrobiła na mnie wrażenie ta małolata znikąd – wspomina Cezary Pazura. – Ale myślałem, że będzie jak zwykle: zagra może w jeszcze jednym filmie i słuch o niej zaginie. Ona jednak nie dała o sobie zapomnieć. Ania miała wrodzoną umiejętność bycia naturalną na planie. A to jest właśnie tajemnica filmowego grania: musisz umieć przed kamerą zagrać naturalność. Nie interpretować, nie modulować głosu, nie zagrywać się spojrzeniem – a taki jest aktorski odruch. No i miała taką urodę, którą kocha kamera. Nie oszukujmy się, czy myśmy mieli w historii aż tak

urodziwe aktorki? Bez obrazy, ale raczej były to kontrowersyjne typy urody. Z nielicznymi wyjątkami – ale już dawno temu. A tu nagle objawiła się piękność! I jeszcze umie grać! To rzadkie połączenie, naprawdę. Ten kraj ma czterdzieści milionów obywateli, ale nie było takiej drugiej. To niesamowite, ale każda propozycja, każda rola do niej pasowała.

Tylko że Ania nie miała szczęścia do „swojego filmu”. Narzekała, że nie dostają się jej główne role i że w kinie „wpadła do szuflady”. Zwykle ma grać seksbombę, najlepiej niezbyt mądrą. Albo prostytutkę. Coraz bardziej zaczyna ją to uwierać. Wyczekuje na ciekawsze propozycje. Ale przychodzą takie jak zwykle. Przy kolejnej mówi swojej menedżerce: „Patrz, znowu rozbierane. Kiedy wreszcie ktoś zaproponuje mi coś serio?”

Fajnie byłoby zagrać w filmie kostiumowym – marzy Ania, ale nie czeka nerwowo na telefony od reżyserów. I tak wciąż dzwonią. Tylko że ich propozycje w niczym jej nie zaskakują.

Zdarza się, że nie przyjmuje roli. Nie wystąpiła w *Starej baśni Hoffmana*, bo była w ciąży. Wcześniej nie przyjęła roli w *Chłopaki nie płaczą* Olafa Lubaszenki, bo jej chłopak był zazdrosny.

Czasami przegrywa wyścig. Tak było z rolą Niani w popularnym serialu pod tym tytułem. Ania dostała propozycję, by wziąć udział w castingu, ale ostatecznie producenci stawiają na Agnieszkę Dygant. Zdecydowanie sprawdziła się w tej roli, ale przecież i Ania idealnie by się w niej sprawdziła. Ten sam temperament i nawet głos podobny do Fran Drescher, aktorki grającej Nianię w amerykańskim pierwowzorze serialu. Ostatecznie Ania zagrała gościnnie w jednym z odcinków.

Czasami Ania miała zwyczajnego pecha. Marek Koterski zaprosił ją, żeby wystąpiła we *Wszyscy jesteśmy Chrystusami*. Ale sceny z jej udziałem nie znalazły się w ostatecznej wersji filmu.

Paweł Wawrzecki: – Potrzebowała swojego Woody’ego Allena. Gdyby on ją zobaczył, mogłaby się stać dla niego kimś takim jak Scarlett Johansson. Naprawdę nie przesadzam.



Gościnny występ w *Niani*, lipiec 2007 roku. Na zdjęciu z Agnieszką Dygant



Odcisk dłoni Ani Przybylskiej w Alei Gwiazd w Międzyzdrojach

Ale aktorskie szczęście trzeba wychodzić, a choć aktorstwo jest największą pasją Ani, na pierwszym miejscu zawsze stawia rodzinę. Gdy propozycja wymaga zbyt długiego zaangażowania – odmawia. Jest w ciąży – znika z życia zawodowego. I wciąż czeka na koniec kariery Jarka. „Wtedy to ja wypłynę na szerokie wody” – mawia często. Taką mają umowę – dopóki Jarek gra, zawsze, kiedy pojawia się kolizja w kalendarzu, Ania ustępuje. Gdy jednak w końcu Jarek zawiesi buty na kołku, sytuacja ma się odwrócić.

Jest jeszcze jeden kłopot. Choć jest aktorką z pokaźną filmografią, wciąż pozostaje – na papierze, a właściwie z powodu braku papieru – amatorką.

– Myśleliśmy nawet, żeby Ani urządzić eksternistyczny egzamin – opowiada Paweł Wawrzecki. – Kombinowaliśmy, że może zagra

w jakiejś sztuce w Teatrze Kwadrat, zaliczyłoby się to jej do dorobku, a komisja mogłaby na podstawie tej roli wydać jej papiery. Ale jakoś nigdy nie udało się tego zorganizować.

Brak szkoły mocno Anię uwiera, budzi niepewność. Ale ma to jednak i zalety: nikt nie stłumił jej naturalnego wdzięku i swobody.

– Anna Przybylska przyniosła przełom w myśleniu o zawodzie aktora, a zwłaszcza o ludziach, którzy nie mają papierów, a wykonują ten zawód – uważa Cezary Pazura. – Kiedyś bardzo trudno było obsadzić amatora w jakiegokolwiek roli. Jeśli reżyser się upierał, proponowano kursy, egzamin eksternistyczny. Jeszcze Olaf Lubaszenko zdawał taki egzamin. A wcześniej Daniel Olbrychski, który musiał rzucić szkołę, by zagrać w *Popiołach* Wajdy, a potem *Potopie* Hoffmana. I wyobrażacie sobie, że taki Olbrychski, megagwiazda przecież, gra przed komisją złożoną z kolegów, którzy mogą tylko pomarzyć o jego rolach. I na koniec słyszy: „No dobrze, cztery plus”. Dziwnie się można poczuć, nie? I nagle Anna Przybylska swoim talentem uświadomiła wielu ludziom, że przyroda zna takie wypadki, że człowiek nie musi kończyć szkoły, a umie. Owszem, szkoła uczy rzemiosła, ale to, czy masz talent, nie zależy już od profesora, ale od Pana Boga. Czy w Stanach pytają aktora, jaką szkołę kończył? Jakie to ma znaczenie? Albo jesteś dobry, albo cię nie ma.

## Dziewczyna i chłopak

Naprawdę ciekawa propozycja pojawia się w 2008 roku. Rok później na ekrany wchodzi *Złoty środek*, który był bodaj najtrudniejszym wyzwaniem w aktorskiej karierze Ani Przybylskiej. W filmie Olafa Lubaszenki gra podwójną rolę – kobiety i mężczyzny.

Mirka to dziewczyna zakochana w warszawskiej Pradze. Tam się wychowała. Kończy studia i zaczyna pracę w prawniczej korporacji, którą podejrzewa o nieczne plany wobec kamienicy, w której od lat mieszka z ojcem (Pazura) i dziadkiem (Edward Lubaszenko). Mirka zatrudnia się jako Mirosław, gdyż owa korporacja nie przyjmuje do pracy kobiet. Codziennie rano jej wujek fryzjer (Paweł Wilczak) pomaga jej przeistoczyć się w mężczyznę.

Olaf Lubaszenko: – Zobaczyłem ją – pewnie jak wszyscy – w *Ciemnej stronie Wenus*, ale wpadliśmy na siebie dopiero w filmie Mariana Terleckiego *Rób swoje, ryzyko jest twoje*. Zupełnie się nie spodziewałem, że kogoś takiego spotkam w życiu. Ona rozsadzała ekran swoją osobowością i energią. Wcześniej nie miałem pojęcia, że tacy ludzie chodzą po ziemi. Owszem: niezwykła energia, poczucie humoru, uroda, inteligencja, wdzięk, naiwność dużego dziecka – to wszystko się zdarza. Ale nie w jednej osobie! Do tego te wielkie oczy, rozbrajający uśmiech i nagłe chwile wielkiej powagi. Od razu zrozumiałem, że jest – jakby to ująć? – bardzo wartościowym człowiekiem. To się po prostu wie, czy na twojej drodze stoi ktoś prawy czy zepsuty, szczerzy i otwarty czy cyniczny i dwulicowy. Ania niewątpliwie była po jasnej stronie mocy.

Film spotkał się z bardzo różnymi recenzjami.





Dwie twarze Ani z filmu *Złoty środek*. U góry w towarzystwie Szymona Bobrowskiego jako Mirka, poniżej z reżyserem Olafem Lubaszenką jako Mirosław



Na planie *Złotego środka* m.in. z Olafem Lubaszenką, Robertem Gonerą i Szymonem Bobrowskim

Dziennik.pl napisał na przykład: „To zaskakujące, ale jest zwyczajnie zabawnie. W prościutką fabułę, która obroniłaby się nawet w kinie przedwojennym, Lubaszenko wplótł sporo świeżego humoru, udane skecze, odrobinę sentymentalizmu”<sup>[84]</sup>.

Michał Walkiewicz na Filmweb.pl był dużo bardziej krytyczny: „Nie wiem, komu przyszło do głowy, żeby Annę Przybylską przebrać za faceta. Eufemistycznie mówiąc, nie był to najlepszy pomysł. W swoim męskim wcieleniu ta piękna aktorka wygląda jak krzyżówka zblazowanej wiewiórki z załężnionym sześciolatkiem”<sup>[85]</sup>.

Z kolei Emil Sowiński na Filmowo.net widział to inaczej: „Charakteryzatorzy wykonali dobrą robotę, świetnie zrobili z Anny Przybylskiej faceta, równie dobrze postarzyli Czarka Pazurę”<sup>[86]</sup>.

Z dzisiejszej perspektywy trudno jednak nie zauważyć,

że przynajmniej temat filmu – przekręty przy reprivatyzacji, los lokatorów kamienic – okazał się prekursorski.

A Ania?

– Zagrała świetnie. Za to ja popełniłem pewien błąd. Założyłem – jak się okazało fałszywie – że pozostali bohaterowie uwierzą w tę mistyfikację, nie domyślą się, że to piękna dziewczyna – mówi Lubaszenko.

„Charakteryzacja za każdym razem zajmowała dwie godziny – wspominała Ania. – Najgorsze było jej zdejmowanie. Gdy odczepiano brodę zrobioną z kępek włosów, czułam się, jakby wbijano mi w twarz setki igieł. Peruka też była sztywna, niewygodna i kłująca. Ale dla reżysera Olafa Lubaszenki warto było pocierpieć. On jest wspomniałym filmowcem i moim przyjacielem”<sup>[87]</sup>.

Na planie Ania znów spotyka się z Cezarym Pazurą, który tym razem gra jej ojca.

– Brzuch mi dorobili sztuczny, bo nie miałem własnego – uśmiecha się Pazura i opowiada o przygodach twórców filmu ze sponsorami i tak zwanym „lokowaniem produktów”

– Ania nawet się trochę buntowała przeciwko obecności *product placement* – relacjonuje Cezary Pazura. – „Dlaczego ja mam chwalić jakąś przyprawę do kurczaków? Co to w ogóle jest? To film czy reklama? Przecież ja nic z tego nie mam” – krzyczała. Cóż, takie były czasy. Wkrótce miało się to zmienić. Na polskie filmy znów zaczęły chodzić miliony widzów. Ale jeszcze dziesięć lat temu, jeśli chciałeś robić film, musiałeś iść na ustępstwa. Wszystko było szczegółowo zapisane: logo sponsora musi się pojawić w kadrze nie krócej niż przez sześć sekund, marka ma się iks razy pojawić w dialogach. Czasami trzeba było wymyślić scenę, żeby można było pokazać jakiś produkt. W *Złotym środku* to było na granicy przegięcia. Przygotowuję kurczaka, niby nic trudnego: zawijam udko w woreczku, do którego wsypuję przyprawę, wrzucam do piekarnika, po chwili wyciągam i już. Wnoszę gotowe danie do pokoju, w którym czekają Ania – moja córka, i Edward Lubaszenko – mój filmowy ojciec. Potem, już po obiedzie, Ania puentuje: „Soczysty był ten kurczak. Ulubione danie mamy. I moje też”. No i nakręciliśmy to. Ale pojawił się problem, bo do tej sceny ubrali mnie

w żółty podkoszulek i zdaje się zielone spodnie. Więc my się zwijamy do domu, a tu wpada przedstawicielka sponsora i upiera się, że scenę trzeba nakręcić jeszcze raz. „Dlaczego?” „Bo pan Pazura nosi kolory naszej konkurencji” No żeż. Anka też się wściekła: „Nie ma mowy, na pociąg do domu nie zdążę” Poleciało i parę ostrzejszych słów, jak to u Anki. Ale co było robić, robiliśmy tego kurczaka od nowa.

## Łódzki spleen

Kiedy zaczynają się zdjęcia do *Złotego środka*, Jarek Bieniuk ma kłopoty ze swoim tureckim klubem. Już wcześniej pod względem sportowym było różnie. W pierwszym sezonie jego klub spadł z najwyższej klasy rozgrywek, ale po roku do niej wrócił. Tyle że Jarek wypadł z pierwszego składu. Do tego doszły problemy finansowe. Antalyaspor nie wypłaca mu od dłuższego czasu pensji ani premii, więc pod koniec 2008 roku Bieniuk postanawia zerwać umowę. Pół roku przed wygaśnięciem kontraktu.

Jeszcze przez chwilę Ania i Jarek sądzą, że nie wrócą do Polski, ale wylądują na Cyprze. Bieniuk otrzymuje ofertę z klubu Omonia Nikozja. Podpisuje już nawet kontrakt i zaczyna się z Anią urządzać na Wyspie Afrodyty. Wybierają dom, zamawiają meble w Ikea. Ania cieszy się, że będzie jej ciepło jak w Turcji, a odległość do Polski jest mniej więcej taka sama. Ale znowu pojawia się problem: turecki klub Jarka zwleka z wydaniem jego piłkarskiego certyfikatu. A bez niego – bo ten dokument to coś w rodzaju „paszportu piłkarza” – nie może podjąć pracy w nowym klubie. W końcu Cypryjczycy tracą cierpliwość i z transferu nici. Na szczęście przynajmniej w Ikea przyjmują z powrotem zbędne Jarkowi i Ani meble.

Ostatecznie Jarek trafia do Widzewa Łódź. Kontrakt podpisuje w lutym 2009 roku. Ani nie podoba się wizja powrotu. Przez pierwszych kilka miesięcy Jarek mieszka w kawalerce wynajętej przez klub. Ania z dziećmi wraca do mieszkania na gdyńskim Fikakowie, które Jarek kupił wiele lat wcześniej, jeszcze zanim związał się z Anią. Ma blisko do mamy i siostry. Oliwka w połowie roku szkolnego idzie do zerówki. Nie ma sensu po kilku tygodniach fundować jej kolejnego stresu związanego z przeprowadzką.

Jarek wiezie zatem życie słomianego wdowca. Rozmawiając z osiedlowym ochroniarzem, przyznaje, że nie bardzo sobie radzi, przydałaby się jakaś pani, która „ogarnęłaby mieszkancko”. Informacja

„idzie w miasto” pocztą pantoflową.

I tu na scenę wkracza Barbara Jankowska, która z czasem stanie się bliską przyjaciółką i powierniczką Ani.

– Od znajomej dowiedziałam się o poszukiwaniach prowadzonych przez Jarka, miałam już klientów w tej okolicy – wspomina. – „Nagrywam ci pracę u Jarka Bieniuka.” Nie skojarzyłam nazwiska, niespecjalnie interesuję się sportem. „No wiesz, to ten partner Ani Przybylskiej.” To teraz już wiedziałam. Ale pierwsza moja reakcja: nigdzie nie idę. Nie bardzo widziałam się w świecie celebrytów – ona aktorka, on piłkarz, peszyło mnie to. Ale wszyscy namawiali: idź, taka szansa. Zadzwoiłam do Jarka, umówiliśmy się o dziewiątej rano, otworzył jeszcze w piżamie. Zaczęłam wtedy od razu: pranie, prasowanie, sprzątanie. Jak to w kawalerskim mieszkaniu.

Ania do Łodzi przyjeżdża w tym czasie tylko w weekendy – sama albo z dziećmi. Pani Basia zna więc tylko jej nogi. W soboty sprząta w innym mieszkaniu Na Nawrocie i widuje wystające z balkonu mieszkania Jarka stopy opalającej się dziewczyny.

– Jarek czasem uprzedzał, że Ania przyjeżdża. Wiedziałam: to znaczy, że wszystko musi być na tip-top. „Ania zawsze panią sprawdza, paluszkami przeciera” – ostrzegał ją. Ale po weekendzie dodawał: „Ania znowu powiedziała, że dobrze pani sprząta.”

W ustach Ani, wirtuozki odkurzacza, mopa i ścierki, był to najwyższy dowód uznania.

– Potem sama się przekonałam, jak niesamowicie była pedantyczna – mówi pani Basia.

Kiedy zapada decyzja o przeprowadzce do Łodzi, Ania, Jarek i dzieci zajmują najpierw mieszkanie przy ulicy Tymienieckiego, w bloku na zupełnie nowym, strzeżonym osiedlu. Trzy pokoje, jakieś sześćdziesiąt metrów kwadratowych. Salon z kuchnią, sypialnia, pokój dzieci, dwie łazienki. W bloku sporo jeszcze wolnych mieszkań. Mają tam ciszę i spokój.



Ania i Jarek z dziećmi, Oliwką i Szymonem, na stadionie Widzewa, 25 lipca 2009 roku

– Ale jeszcze Na Nawrocie Jarek powiedział, że Ania chce mnie poznać – wspomina pani Basia. – Denerwowałam się strasznie. Wiadomo – gwiazda. Skąd miałam wiedzieć, jaka jest prywatnie? Spodziewałam się kogoś wyniosłego, zamkniętego w sobie. A tymczasem Ania otworzyła mi drzwi z uśmiechem od ucha do ucha. Akurat rozmawiała przez komórkę, więc gestem zaprosiła mnie do środka, przeprosiła na moment. Potem zaczęłyśmy rozmawiać. Ona była taka... normalna. Chciała, żebym nadal im pomagała trzy razy w tygodniu. Zgodziłam się od razu.

Barbara Jankowska jest starsza od Ani tylko o dwa lata. Również dzięki temu dystans szybko znika i pani Basia staje się kimś znacznie więcej niż pomocą domową. Sprząta, gotuje, „ogarnia logistycznie”, pociesza, a kiedy trzeba – ochrzania. Kiedy Ania wyjeżdża na plan na dłużej niż jeden dzień i nie ma z kim zostawić dzieci, pani Basia bierze je do siebie – pod Łodzią ma z mężem piękną działkę letniskową. Tam Oliwka i Szymon bawią się z dziećmi państwa Jankowskich –

Pauliną i Szymonem.

Ania nazywa czasem Basię swoją siostrą, ale najczęściej mówi po prostu Barbara. „A teraz, Barbara, zrobimy sobie kawę i odpoczniemy”

Sjeste kończy zwykle pani Basia: – No to po odpoczynku. Do roboty.

– Nie odważyłam się mówić do Ani po imieniu, chociaż proponowała. Jakoś nie przechodziło mi to przez gardło. W końcu tam pracowałam.

Pani Basia pomaga w prowadzeniu domu, opiece nad dziećmi, ale gotowanie pozostaje domeną Ani. – Kiedy przychodziłam rano, dzieci zwykle były już w szkole i przedszkolu. Najpierw piłyśmy kawę, Ania jadła śniadanie i szykowała coś dla Jarka, bo on, jeżeli nie miał z samego rana treningu, spał dłużej. A potem Ania zabierała się za zmywanie po śniadaniu. Sama chciałam to robić, przecież po to przychodziłam do pracy, ale nigdy się nie zgadzała. „Nie będziesz po mnie zmywać” – mówiła oburzona i kazała zająć się prasowaniem albo sprzątaniem.

Ania gotuje świetnie – podkreślają to wszyscy, którzy kiedykolwiek zostali przez nią nakarmieni. Smacznie i bardzo zdrowo. Posiłki w pierwszej kolejności były podporządkowane sportowej diecie Jarka. Ale bez przesady, to nie był bezglutenowy reżim Anny Lewandowskiej. Zresztą wtedy jeszcze o bezglutenowej diecie mało kto słyszał.

Pani Basia: – Czasem nie miała po prostu czasu i wtedy wychodzili wszyscy do restauracji. Ale jak już coś przyrządzała, to naprawdę ze smakiem, głową i gustem.

W kuchni królują makarony – bo to i zdrowo, i dzieci bardzo lubią. – No i ryby – dodaje pani Basia. – Ryby w każdej postaci. Szczególnie tuńczyk. Ania mogłaby go dodawać do każdego dania, to był dla niej kluczowy składnik.

Ania pilnuje, by dzieci nie jadły za dużo słodczy. *Fast food?* Najwyżej raz w tygodniu.

Na Tymienieckiego rodzina Bieniuków mieszka mniej więcej rok. W tym czasie marzy im się dom – kawałek ogródka, gdzie dzieci mogą się bawić na zewnątrz, miejsce na grilla. W końcu Jarek znajduje odpowiedni dom na Julianowie, przy ulicy Jaskrowej, tuż przy parku. Duży, dwupiętrowy, z podpiwniczeniem. Na górze dwie sypialnie i łazienka, na parterze kuchnia z ogromną jadalnią. Obok duży pokój z kominkiem, z wyjściem na taras, przy którym rośnie olbrzymia



czereśnia.

Starszy, ale niedawno odrestaurowany budynek ma jednak kilka słabości – problemy z ciepłą wodą, która długo „dociera” na piętro, ale przede wszystkim wilgoć w ścianach, która daje o sobie znać zwłaszcza jesienią. W pokojach czuć tę wilgoć, pomalowane na ciemne kolory ściany wydają się puchnąć. Ania narzeka. Martwi się o zdrowie dzieci.

Łódź to trudny okres w jej życiu. Ma na głowie dom, wkrótce pojawi się trzecie dziecko, musi sobie radzić z opieką nad całą gromadką, a tymczasem jej kariera jeszcze bardziej przyspiesza. Gdy Ania nie jest akurat na planie zdjęciowym, dzieci do szkoły i przedszkola odwozi najczęściej sama.

Po porannych podróżach wraca do domu i ma trochę czasu dla siebie. Jarek wstaje, je śniadanie i jedzie na trening – Ania zawsze bardzo pilnuje, by mógł się wysypiać, bo przecież trenuje, musi być wypoczęty. Jak przyjaciele dzwonią rano do Ani, często syczy im do słuchawki: „Ciiicho, Bieniuk śpi, zadzwoń później”. Zawsze tak mówi o Jarku w rozmowach z przyjaciółmi – po nazwisku, które z czasem brzmi już jak „ksywka” – Bieniuk to, Bieniuk tamto. Zresztą Ania lubi zwracać się do bliskich „po nazwisku” – „Bujakiewicz” czy „Rudowska” są na porządku dziennym.

Po kawie i śniadaniu może poczytać scenariusz, pouczyć się roli, wybrać się na jogging do parku albo wsiąść na rower. Czasami jednak woli po prostu zostać w domu. To tylko chwila spokoju, bo przecież ma na głowie przygotowanie obiadu, a potem szybko przychodzi czas, gdy trzeba odbierać dzieci. To też zwykle robi Ania, chyba że Jarek akurat wraca z zajęć w klubie.

Potem obiad, a dalej to już rutynowa codzienność. Przede wszystkim lekcje, które odrabia z Oliwką (Szymon jest jeszcze przedszkolakiem). – Bardzo tego pilnowała, starała się córkę mobilizować, zachęcać – komentuje pani Basia, która obserwowała te codzienne „zmagania”. – I bardzo chciała, żeby Oliwka czytała książki. To nie była matka typu: „idźcie, zajmijcie się sobą, pooglądajcie telewizję czy coś”. Owszem, telewizję można było pooglądać, ale nie za długo. I dopiero po odrobieniu lekcji.

– Mówiła mi: „Kasia, przedszkole to jest bajka – wspomina Kasia Bujakiewicz. – Teraz, jak Oliwia poszła do szkoły, zaczęła się ciężka

robota – z lekcjami, ze wszystkim.” I dodawała: „Ja teraz nie mam czasu na jakieś seriale czy coś tam. Absolutnie, Oliwka mnie teraz potrzebuje.”

Na zewnątrz jest wciąż tą samą wesołą, wiecznie zawadiacko uśmiechniętą Anią. Najbliżsi widzą jednak zmęczenie, którego nie ma kiedy odespać, stres. Dziś mówią: to mogły być początki depresji. Ani zdarza się wybuchać nagłym płaczem. „Boże, jutro Warszawa, i to na trzy dni. Mamo, proszę, przyjedź, ja już nie mogę” – szlocha przez telefon.

– Często narzekała, że boli ją kręgosłup – wspomina mama Ani. – A że sama mam kłopoty z kręgosłupem, to powtarzałam jej: „Musisz się zbadać, nie można tego lekceważyć, bo później będziesz miała takie problemy jak ja.” To nie pomagało, choć Ania często musiała po prostu leżeć, bo nękały ją również bóle brzucha. I ciągle narzekała na ten swój kręgosłup. A ja ją wtedy rugałam: „To weź jeszcze dwie walizki”, „To weź jeszcze jedno dziecko na plecy”. Dziś myślę, że to były po prostu pierwsze objawy jej choroby.

Przy sobie, w torebce, ma zawsze potężne ilości natki pietruszki. Podgryza, kiedy ją boli żołądek. „Wiesz – zwierza się przyjaciółce – natka mi pomaga.”

– Ewidentnie coś było nie tak. Naprawdę z bliska było widać, że coś jej leży na sercu, smutno było na to patrzeć – komentuje bliska przyjaciółka. – Czytałam, że nowotwór trzustki we wstępnym stadium może dawać objawy depresyjne. Może wtedy to się zaczynało? Nigdy się tego nie dowiemy. Przecież miała na głowie tyle codziennych obowiązków, że to wystarczało, żeby czuć nieustanne zmęczenie. A chwilami mieć wszystkiego dość, prawda?

W pewnym momencie problemem staje się wyjście z domu. Ale kiedy już udaje jej się wsiąść do samochodu i pojechać na plan, odzyskuje wigor. Przed kamerą znów jest tą „zwykłą niezwykłą” Anią. Wieczorem jednak, choćby późnym, gdy tylko może, wraca do domu, często samolotem. By choć na chwilę pobyc z dziećmi, zasnąć obok nich.

– Czasem wracała o pierwszej, drugiej w nocy – opowiada pani Basia.  
– Kiedy Jarek był na zgrupowaniach, to ja zostawałam z dziećmi. Przepraszała mnie, że tak późno. Odpowiadałam: wszystko jest OK, niech pani idzie spać. Strasznie była zapracowana.



Z Szymonem Bobrowskim na planie filmu *Bokser*

– Była dziwnie zmęczona, to się wyczuwa – wspomina mama Ani. – A ja byłam przerażona. Gdy przyjeżdżałam do niej, wieczorami robiła sobie długie kąpiele. Bałam się, że zasłabnie, więc czekałam zawsze, aż skończy, i dopiero wtedy kładłam się spać. Wychodziła w końcu z tej łazienki i pytała: „Mamusiu, a ty jeszcze nie śpisz?”

•

W rozmowach z mediami rzadko pokazuje swoją zmęczoną, sfrustrowaną twarz. Jest jeden wyjątek. Gala ze stycznia 2013 roku: „Mam takie momenty, że kiedy dziecko cały dzień dawało czadu, a Jarek akurat jest w domu, pozwalałam sobie na intensywny wieczorny spacer. Bo zdarza mi się, że po prostu płaczę z bezsilności i zmęczenia. A nie chcę robić tego przy nich. Przez ponad rok przy trzecim dziecku nie przespałam ani jednej nocy. Myślałam, że zwariuję, wyglądałam jak chodzące zombie”<sup>[88]</sup>.

W 2012 roku Ania dostaje rolę w telewizyjnym filmie *Bokser*. Oparty jest na prawdziwej historii rodziny Przemka Salety. Warto streścić tę historię, żeby zrozumieć, dlaczego tak mocno przyciągnęła Anię:

Przemek (Szymon Bobrowski) jest skłonny do każdych poświęceń, żeby osiągnąć cel – tytuł mistrza świata w kick-boxingu. Podporządkowuje życie reżimowi ćwiczeń, pod okiem oddanego mu bezgranicznie trenera (Krzysztof Kiersznowski). Upór się opłaca. W dniu walki o swój pierwszy pas mistrzowski Przemek czuje, że ma świat u swoich stóp. Szczęście potęguje wiadomość, że jego świeżo poślubiona żona Ewa (Anna Przybylska) właśnie urodziła córkę. Przemek od razu po skończonej zwycięstwem walce jedzie do szpitala. Czuje, że jest panem świata i nie dopuszcza myśli, że kiedyś może to wszystko stracić. Kariera Przemka zaczyna przybierać zawrotne tempo. Interesuje się nim amerykański menedżer – Gary Michalsky (Marek Probosz), który proponuje mu przejście na boks zawodowy. Wiąże się to ze znacznie większym prestiżem i dużymi pieniędzmi. Warunek jest tylko jeden – musi wyjechać do USA. Zostawić żonę i małą córeczkę, a także porzucić starego trenera. Decyzja wydaje się Przemkowi oczywista. Mijają kolejne lata. Bohater z każdym miesiącem jest coraz bliżej szczytu... i coraz dalej od swoich najbliższych. Kiedy przylatuje do kraju, aby walczyć o mistrzostwo Europy, żona składa pozew o rozwód. I rozpoczyna walkę znacznie trudniejszą – o życie ich córki (Emilia Stachurska). Niewydolność nerek, której pierwsze objawy zostają zbagatelizowane, czyni coraz większe spustoszenie w organizmie dziewczynki. Opuszczony przez żonę Przemek rzuca się w wir przypadkowych romansów i zatracą w świecie telewizyjnego blichtru. Refleksja przychodzi na kilka chwil przed upadkiem na samo dno. Dzięki

Kasi (Katarzyna Maciąg) – nowej narzeczonej, która wierzy w niego, i staremu trenerowi, który daje mu kolejną szansę, bokser znów wraca na ring. W tym czasie stan jego córki bardzo się pogarsza. Przeszczep staje się koniecznością. Lekarze wciąż szukają dawcy, ale czasu jest coraz mniej. Ostatnią nadzieją jest Przemek.

Ania gra rolę żony głównego bohatera. Nie kontaktuje się z pierwowzorem tej postaci, żoną Przemka Salety, nie chce. Pragnie tę historię opowiedzieć po swoim.

– Moim zdaniem to jeden z najważniejszych filmów w karierze Ani – uważa jej siostra. – Jakby chciała tą rolę coś wszystkim powiedzieć o sobie, wykrzyzczyć całą ogarniającą ją frustrację. Pokazać inną twarz niż ta, z którą wszyscy ją kojarzyliśmy – wiecznie uśmiechniętej, szalonej Anki. Kiedy oglądałam niektóre sceny, widziałam dokładnie Anię z tamtego czasu. Ona tam niczego nie grała.

„Im mniej mnie jest, tym więcej mnie chcą. Nie muszę chodzić na bankiety, żeby dostać rolę – opowiadała Ania. – Telefon dzwoni u mnie nieustannie, uwierz mi. Musi być naprawdę coś wyjątkowego, żeby mnie skusić. Takim przełomem był dla mnie film *Bokser*. Byłam tam przepiękną kobietą i grałam główną rolę, nie Szymon Bobrowski, tylko właśnie ja. To była pięknie napisana postać. Dlatego się zdecydowałam”<sup>[89]</sup>.

## Koniec *Złotopolskich*

Ostatni sezon zdjęć na planie *Złotopolskich* rozpoczyna się 15 maja 2010 roku i trwa równo miesiąc – do 15 czerwca. Po ostatnim klapsie na planie serialu nie ma oficjalnych przemów ani pożegnań. Ekipa jeszcze nie wie, że są to jej ostatnie zdjęcia i ujęcia. Co prawda już wcześniej krążą plotki, że TVP2 może chcieć zdjąć *Złotopolskich* z anteny, jednak oficjalnie nikt tej informacji nie potwierdza. Dopiero w wakacje 2010 roku rozpoczynają się decydujące dyskusje – kontynuować serial czy nie. We wrześniu zapada decyzja: rozbieramy halę zdjęciową *Złotopolskich*, więcej odcinków serialu nie powstanie. Powód? Coraz niższe wyniki oglądalności. Z dzisiejszej perspektywy brzmi to dziwnie. Odcinki ostatniej serii *Złotopolskich* ogląda niespełna trzy miliony widzów. To oczywiście znacznie mniej w porównaniu z rokiem 2001 i ośmioma milionami. Z drugiej strony, dziś taki wynik byłby powodem do dumy. Jedną z flagowych produkcji TVP2 ostatnich lat – *Barwy szczęścia* – w 2016 roku oglądało średnio około dwa i pół miliona osób, co uznano za sukces dziewiątego sezonu tego serialu.

Ostatni odcinek *Złotopolskich* – tysiąc sto dwudziesty pierwszy – zostaje wyemitowany w pierwszy dzień świąt 25 grudnia. Wiele wątków pozostanie niedokończonych i nierozstrzygniętych. Również ten związany z Marylką Baką. Właśnie przeżywa kryzys małżeński. Jej mąż Tomasz Gabriel (gra go Piotr Szwedec) wiąże się z detektyw Bertą Stockman (Paulina Chruściel). Kochanka Tomka spodziewa się dziecka. Marylka jest załamana, chce rozwodu, jednak w sądzie niespodziewanie zmienia zdanie.

Marylka po raz ostatni pojawia się w tysiąc sto osiemnastym odcinku *Złotopolskich*. Rozmawia w pubie z wikarym Franciszkiem Wysockim, którego gra Leszek Zduń.

- To znaczy mąż?
- Wyobraża to sobie ksiądz?

- Rozumiem.
  - Nie... No co ksiądz może rozumieć?
  - No przecież jestem takim samym człowiekiem jak pani. Dużo potrafię zrozumieć.
  - Ehe. Takie gadanie-kojenie.
  - Ale też potrzebne. Ja naprawdę wiem, co to jest miłość. Zwłaszcza nieszczęśliwa.
  - A to ksiądz też będzie mieć dziecko?
  - Nie, nie, nie, nie, nie. My się nie znamy. Dlatego pani to powiem. Bo ja... Ja zawsze uważałem, i do tej pory tak uważam, że moje powołanie jest najważniejsze, tak? A dzisiaj przyjechałem do Warszawy, żeby się zgubić w wielkim mieście.
  - Udało się? (...) Przepraszam.
  - Żeby nie spotkać pewnej dziewczyny.
  - To ksiądz też jest zakochany.
- To jest ostatnia kwestia kultowej Marylki ze *Złotopolskich*.

•

Widzowie w opiniach internetowych nie mogli pogodzić się z decyzją o zakończeniu serialu.

Paul: Szkoda. To była najlepsza polska komedia od czasów *Samych swoich*.

Maria: Wielka strata. To był najlepszy polski serial ostatnich lat. Całą rodziną co niedziela oglądaliśmy kolejne odcinki.

Fanka: *Złotopolskich* krytykują ci, którzy albo nie oglądali serialu, albo których mentalność i inteligencja (założę się, że większość z komentujących nie wie, kim jest Ernest Bryll, kierownik literacki *Złotopolskich*) nie były w stanie zrozumieć przedstawianego tam humoru.



Z Pawłem Wawrzeckim w *Złotopolskich*, tym razem w roku 2010



H.korzeb: A ja kocham *Złotopolskich*. 13 lat z tym sympatycznym serialem to kawał czasu, przybyło nam lat i dlatego oglądam go z sentymentem. Po prostu zżyłam się z postaciami i aktorami.

Pereszczako: Za to, że Dwójka zniosła *Złotopolskich*, jej decydenci będą się smażyć na wolnym ogniu w piekle. Może się znajdzie inny kanał, który wznowi ten wspaniały serial?

Rudowska: – Anka miała wielki sentyment do ludzi z planu *Złotopolskich*, traktowała ich jak rodzinę. Kiedy zapadła decyzja o zakończeniu produkcji serialu, nie mogła tego przeżyć. Ale nie martwiła się o siebie, ale że tylu ludzi, jej koleżanek i kolegów, straci nagle pracę.

Sama Przybylska mówiła o *Złotopolskich*: „To kawał mojego życia, na planie tego serialu spędziłam przecież większość swoich dorosłych lat. Sama postać Marylki była niezwykle barwna i świetnie napisana przez Janka Purzyckiego. Ale nawet abstrahując od roli, to są jeszcze ludzie z ekipy, z którymi bardzo się zżyłam. Rosłam przy nich, dzieliłam z nimi moje radości i smutki. Uczestniczyłam w ich życiu. Widziałam, jak im się rodzą dzieci, ale też przeżyłam śmierć wybitnych aktorów, z którymi pracowaliśmy. To wszystko miało olbrzymi wpływ na mnie”<sup>[90]</sup>.

Dodaje też: „Moja popularność to zasługa *Złotopolskich*. Byli dla mnie najlepszą szkołą aktorską. To tam uczyłam się nawiązywania kontaktu z innymi postaciami, tekstem, kamerą. Poznawałam tajniki warsztatu. A znakomici aktorzy pokazywali mi, co to znaczy mieć szacunek do wykonywanego zawodu i widza”<sup>[91]</sup>.

Pod koniec zdjęć do ostatnich odcinków *Złotopolskich* Ania i Piotr Szwedes, mąż posterunkowej Baki, planują razem... dzieci. Szwedes opowiada Ani, że ma już dwie córki, ale chciałby mieć jeszcze jedno dziecko, a już najbardziej syna. Ania ucieszyła się: „Ja też chciałabym jeszcze jedno dziecko”. Plany zmieniają się w rzeczywistość. Wkrótce Ania orientuje się, że jest w ciąży.



Z Radosławem Piwowarskim i Ewą Ziętek na planie *Złotopolskich*, 28 maja 2010 roku

Ciąża z trzecim dzieckiem przebiega spokojnie – przynajmniej w porównaniu z poprzednią. Ania jak zwykle robi sobie urlop. – W pierwszym trymestrze wzięła jeszcze udział w zaplanowanych sesjach reklamowych, kilka innych udało się przyspieszyć i znowu próbowała zniknąć na kilka miesięcy – relacjonuje Gosia Rudowska. – I udałoby się, gdyby nie paparazzi. Ale sam dzień porodu udało się nam przed nimi ukryć.

Pani Basia: – 21 marca, to był piątek, pojechałam po zakupy. Jestem w sklepie, a tu dzwoni Jarek: „Pani Basiu, gdzie pani jest, Ani wody odeszły?” Ania z Jarkiem pojechali do szpitala, a ja zostałam z dziećmi. Jarek wrócił w sobotę rano z informacją, że wszystko w porządku, urodził się Jaś, śliczny i zdrowy, a Ania odpoczywa. Pamiętam, że Szymon wpadł w czarną rozpacz, kiedy zobaczył pierwsze zdjęcie braciszka. Bo wszyscy mu wcześniej mówili, że będzie miał partnera do piłki. A on tak w swojej główce to sobie wymyślił, że od razu

ze szpitala zabierze brata na boisko. A tu zobaczył maleństwo i w ryk: „Jak on będzie ze mną w piłkę grał!?” Oliwka płakała wcześniej, kiedy USG pokazało, że nie będzie miała siostry. Takie małe dramaty, jak to w rodzinie.

Dosłownie kilka dni po narodzinach Jasia na świat przychodzi oczekiwany syn Piotra Szwedesa.

# Guma

Era *Złotopolskich* się kończy, ale nie kończy się popularność. Kiedy zimą 2011 roku Ania jest w ciąży, paparazzi nie odstępują jej na krok. Czuje się coraz bardziej osaczona. Pewnego dnia wraca do domu z zakupów, lekko prószy śnieg, na ulicach jest ślisko. Rusza ze sklepowego parkingu. W lusterku swojego auta dostrzega samochód jednego z paparazzich. Zwykle w takich sytuacjach stara się uciec. I tym razem przyspiesza, ale nagle autem zarzuca, wpada w poślizg. Na szczęście ulica jest pusta, po chwili Ani udaje się opanować samochód. Ale nie zatrzymuje się. Nie chce być obfotografowana. Za cenę zniszczonej felgi udaje się jej „na flaku” dojechać do domu.

Dopiero gdy udaje się jej ochłonać, zdaje sobie sprawę, że sytuacja na drodze była co najmniej dziwna. Pewnie, że zawsze można złapać gumę. Ale Ania złapała ją akurat wtedy, gdy jechał za nią paparazzi. Może chciał zrobić zdjęcie, jak Przybylska w ciąży zmienia koło, i sam przedziurawił oponę? Albo zniszczył tak, że zrobiła się w niej dziura krótko po tym, jak samochód ruszył?

Roztrzęsiona Ania zastanawiała się, czy nie popada w paranoję, ale w końcu zgłasza sprawę na policję. Podaje numery rejestracyjne samochodu, który jechał za nią. Nic to nie daje, sprawa nie ma dalszego ciągu.



Ania podczas jednego z gdyńskich festiwali filmowych. 2001 rok

– Wtedy takie wojny z paparazzimi to wciąż była jeszcze nowość – uważa menedżerka Ani. – Może uznali, że Przybylska przesadza? Ale nam do śmiechu nie było. Wszyscy chyba pamiętają, jak i dlaczego zginęła księżna Diana. Zastanawialiśmy się nawet, czy nie zatrudnić ochroniarzy, przynajmniej na czas tuż przed porodem i podczas samej akcji. Wszyscy baliśmy się cyrku – że za jadącą do szpitala Anią rzucą się faceci uzbrojeni w obiektywy. Mieliśmy już przecież przygodę w Poznaniu, z fotoreporterką czyhającą na Anię i Szymona bezpośrednio po porodzie. Ostatecznie poradziliśmy sobie bez bodyguardów.

W Łodzi kłopoty z paparazzimi zaczynają się właśnie wtedy, gdy pojawia się wiadomość, że Przybylska jest w ciąży. Ania źle znosiła ich wystawanie pod domem, codzienne zaczepki podczas spacerów, a zwłaszcza czatowanie pod szkołą, gdy przyjeżdża odebrać dzieci.

Jeszcze przez chwilę panowie z aparatami pytają: „Pani Aniu, czy możemy zrobić zdjęcie?” Ale z miesiąca na miesiąc ich zaczepki stają się coraz bardziej natarczywe, a oni sami coraz bardziej bezczelni. Ania im nie pomaga. Nie zamierza być miła ani godzić się na „ustawki” – umówi

się na zdjęcia, a oni dadzą jej potem spokój. Przecież to jasne, że nie dadzą. Paparazzi zrobią wszystko, żeby „złapać Przybylską z brzuchem”

– Ania pokazywała mi przez okno: „Patrz, znów stoi” – opowiada pani Basia. – Ja bym nie zwróciła uwagi, ale ona już ich wszystkich znała. Potem, jak od niej wychodziłam, potrafili i mnie zaczepiać: „A kiedy Ania wyjdzie?”

Czasem zachowują się dziwnie. Pewnego dnia, gdy pada śnieg, przed samą furtką lepią bałwana. Może myślą, że dzieci Ani wyjdą i zaczną się nim bawić?

To i tak niewinne zachowanie, bo coraz częściej prowokują Anię, obrażają. Pewnie liczą, że Ania, jak to Ania, odpysknie, a oni to sfotografują albo nagrają. Zdjęcie wściekłej aktorki dobrze się sprzedaje. A co dopiero filmik, na którym śle w stronę obiektywu soczystą wiązanekę.



Festiwal Gwiazd w Międzyzdrojach, 6 lipca 2012 roku. Ania potrzebuje kilku chwil wytchnienia



# Ucieczki

Są miejsca, gdzie udaje się zachować anonimowość. Na przykład na stoku. Nie dość, że Livigno to włoski kurort, Polaków nie przyjeżdża tu zbyt wielu, to jeszcze jesteś przecież w kurtce, na głowie masz kask, na twarzy gogle. Nawet jak znasz Przybylską z kina albo reklam, możesz przejechać obok i wcale jej nie zauważysz.

Ale zdarzają się i zabawne incydenty. Wyciąg dwuosobowy, obok Ani siada nieznajomy snowboardzista, cudzoziemiec. Nie rozpoznaje polskiej aktorki. Ale nie musi – i tak robi przecież wrażenie na facetach. Ten zaczyna się chwalić, że był niedawno na okładce pisma dla snowboardzistów. „A ty co robisz?” – pyta. „Ja byłam na okładce »Playboya«” – odpowiada Ania. Nieznajomy nie odzywa się już więcej.

•

Uwielbia snowboard. Właśnie snowboard – nie narty. Pokochała go, gdy była jeszcze żoną Dominika. Wspólnie wyjechali zimą do Czech – i tam złapała bakcyła, choć nauka szła jej dość opornie. Wszyscy na nartach szusują po wszelkich możliwych trasach, a Ania gania po jednym stoku góra – dół z tą deską.

– Kiedy prezentowała swoje „trofea” po powrocie, wyglądało to dość dramatycznie – uśmiecha się siostra Ani. – Jeden wielki fiolet. Bolało, tabletki łykała garściami. Ale jak zwykle była uparta i w końcu się nauczyła.

Z Jarkiem jeżdżą zimą w góry tak często, jak się da. On na desce radzi sobie świetnie, choć gdyby szefowie jego klubów widzieli go na stoku, nie byłiby zachwyceni. Łatwo tu o kontuzję. Najpierw jeździli do Austrii, potem Ania zakochuje się we włoskim Livigno. To duży ośrodek narciarski w Lombardii, który ma aż trzydzieści jeden wyciągów



narciarskich i trasy o łącznej długości sto piętnaście kilometrów. Śnieg utrzymuje się tu nawet do połowy maja.

Podróż samochodem trwa dwa dni. Dzieci, jak to dzieci, źle znoszą długą jazdę. Poza tym w pierwszych latach XXI wieku podróż przez Polskę to wciąż jeszcze droga przez mękę. Dlatego po drodze zatrzymują się zwykle na noc w Berlinie albo jego okolicach.

– Kilka razy byłam tam z nimi, zajmowałam się dziećmi – opowiada mama Ani. – Przepiękne miejsce, wspaniałe góry, życzliwi ludzie i sielska atmosfera. Ania kochała zwłaszcza hotel Sonne. Budynek w klasycznym alpejskim stylu. Właściciele nastawieni na zdrową żywność, pokoje całe wyłożone drewnem, najwyższy standard, bajka.

Gdy wyjeżdżają w większym gronie, czasem wynajmują domki – dwu-, trzyrodzinne. Bywa, że jeździ razem pięć-sześć zaprzyjaźnionych rodzin. Posiłki przyrządzane na własną rękę, wspólne sprzątanie (z Anią inaczej być nie mogło). Rano świeże bułeczki, szybka kawa i... na stok, do wieczora. Ania ma swój ulubiony błękitny kombinezon, który pamięta jeszcze jej trudne snowboardowe początki. Nigdy się bez niego nie rusza, choć z sezonu na sezon jest coraz bardziej sfatygowany.

Po porannej dawce zjeżdżania zupa gulaszowa smakowała jak nic na świecie. A wieczorem kolacja. Dzieci – w końcu to wakacje – prawie codziennie burgery albo pizza. Po posiłku babcia zabiera najmłodszych do domku, a dorośli zaczynają imprezę. Tańce na stołach to jeden z „efektów ubocznych” dużej ilości bombardini, popularnego wśród narciarzy koktajlu z ajerkoniaku, whisky, kawy i bitej śmietany.

– Pamiętajcie, że 26 grudnia przypadały Ani urodziny, więc zwykle świętowaliśmy w górach, tuż po przyjeździe na miejsce – opowiada Kasia Bujakiewicz. – Zabawa trwała do rana. Po jednym z takich przyjęć nie znalazłam już *skipassa* wykupionego na cały tydzień. Zdarzyło się też, że rano dostaliśmy listy od innych gości hotelu, skarżących się na bezsenną noc z powodu hałasu. Ale właściciel hotelu specjalnie dla nas otwierał na całą noc pizzerię, żebyśmy mieli gdzie się bawić. Ale bez względu na to, czy impreza kończyła się o trzeciej, szóstej czy siódmej rano, o ósmej była pobudka – Jarek bez litości chodził po pokojach z gongiem, więc nie można było nie wstać. I nieprzytomnych ciągnął nas wszystkich na stok.



Na snowboardzie w Mezzana (Włochy)



Na dole: w Livigno z synem



Ania z przyjaciółką i menedżerką Małgosią Rudowską na Open'erze, 6 lipca 2013 roku



„Czekoladowa Ania” na tym samym Open’erze

Zimą – narty, a latem? Ania stara się tak organizować swoją pracę, żeby latem, kiedy Jarek kończy sezon, mieć czas tylko dla rodziny. W czerwcu mogą wyjechać gdzieś wszyscy razem, bo już w lipcu Jarek zwykle wyjeżdża na zgrupowanie przed nowym sezonem. Ale dzieci mają wakacje, więc Ania chce zagospodarować im czas. Czasem jeżdżą po Europie, lubią też wpadać do Turcji, odwiedzać dobrze znane miejsca.

Najlepiej w większym gronie, z przyjaciółmi.

Na pytanie: „Masz jedną najważniejszą osobę, której się zwierzasz?”, Ania w „Gali” odpowiada: „Małgosię, moją menedżerkę, moją przyjaciółkę. Jest mądrą kobietą, to mój psychoanalityk – pięć lat starsza, wiele w życiu przeżyła, wiele nas łączy. Obie straciłyśmy ojców, mamy dzieci, ona też żyje w nieformalnym związku. Jest pięć lat do przodu i wie, co za chwilę mnie spotka, co będzie”<sup>[92]</sup>.

– Na czterdzieste urodziny zrobiła mi prezent. „Nie będę ci głupot kupować, polecimy z tej okazji same z dziećmi do Turcji” – powiedziała. Ona z trójką dzieci, ja z moją dwójką. Tym razem zamieniłyśmy się rolami, to ona była menedżerką – opowiada Gosia Rudowska. – Była tam wtedy ostatni raz. Mogłam się przekonać, jak kocha to miejsce.

Czasem wyjeżdża do Francji, innym razem do Pragi. Ale zdarza się też i tak, że po prostu przyjeżdżają z rodziną do Gdyni, a Ania całe dni spędza z dziećmi na trójmiejskich plażach, budząc zwykle sensację i z trudem opędzając się od paparazzich, którzy latem już wtedy tłumnie zjeżdżają zwłaszcza do Sopotu. Potem w kolorowych gazetach można zobaczyć jej zdjęcia, jak w dwuczęściowym kostiumie opala się na leżaku albo spaceruje po plaży z Szymonem i Oliwką u boku i z Jaśkiem na rękę.

Ania uwielbia wracać do Gdyni, tu naprawdę wypoczywa, choć nie ma szans na anonimowość. – Miała też sentyment do Helu – wspomina siostra Agnieszka. – Zawsze obowiązkowo musieliśmy całymi rodzinami zaliczyć rejs na półwysep. Śmialiśmy się czasami: „No ileż można?”

Gosia Rudowska: – Co roku musiała być też na Open’erze. Uwielbiała ten festiwal. Ja też. Ostatni raz poszłyśmy na Babie Doły w roku, kiedy ona zachorowała. Od tamtej pory nie byłam na Open’erze ani razu.

Podczas zdjęć do *Królowej chmur* zachwyca ją zamek w Książu. – W Wałbrzychu mieszka moja teściowa, więc znam ten zamek bardzo dobrze – opowiada siostra Agnieszka. – Obiecowałyśmy sobie, że kiedyś musimy tam pojechać razem, na spokojnie. Już się nie udało...

# Pierogi

Narty nartami, ale...

Zawsze bardzo czeka na Wigilię. Cieszy się nią jak dziecko. Na święta Bożego Narodzenia zjeżdżają zwykle do domu – obojętnie, czy uroczystość odbywa się w ich mieszkaniu na Fikakowie, u mamy czy u teściów. Po prostu jest u siebie. Z drugiej strony – Wigilia musi jej wystarczyć, bo przecież już pierwszego dnia świąt zwykle wyruszają z Jarkiem i dziećmi na narty.

Za to przygotowania do Wigilii zaczyna dużo wcześniej. I z rozmachem. Zawsze bardzo dba o dekoracje, jeździ po koralikowe ozdoby na poręcze, girlandy, światełka, białe gwiazdy betlejemskie (nigdy czerwone – uwielbiała biały kolor). Potem kwiaty całymi koszami ustawia na schodach, parapetach, na stole. Do tego doniczka musi być srebrna, do tamtego biała. Żadnej przypadkowości.

No i świąteczne jedzenie. Przede wszystkim muszą być pierogi – z kapustą i grzybami. Koniecznie własnej roboty.

– Bywało, że mówiłam: „Ty chyba jesteś nienormalna. Przecież można zamówić. Albo poprosić babcię Lidzię [mama Jarka], ona jest mistrzynią w lepieniu pierogów” – wspomina siostra Agnieszka. – A Ania na to: „Co to jest te sto pięćdziesiąt pierogów ulepić, zrób mi tylko farsz”. I robiłam, a ona potem te pierogi lepiła. Była w swoim żywiole.

Oprócz pierogów? Barszcz niekoniecznie. Za to śledzie – dużo i w każdej postaci. Pani Agnieszka: – Znalazła przepis na śledzie w oleju lnianym – trochę zresztą z czasem sama go udoskonaliła. To był hit, dziś nikt nie potrafi tego powtórzyć – ani mama, ani ja. Perfekcyjnie robiła te śledzie: wymoczyła, wypieściła, poukładała, cebulę sparzyła, gorczycę dodawała, coś tam jeszcze i zalewała olejem lnianym.

Mama Krystyna: – Mówiła: „Babcia Danusia nie żyje, więc już takich pasztecików, po wileńsku, nie zjemy. Ani takich pierogów. Ale musimy coś innego wymyślić”

Siostra: – Łosoś, bo zawsze musiał być łosoś, dzieci się nim zajadały.

Mama: – I oczywiście mieszkanie musiało być wręcz wylizane do czysta. Uwielbiała te przedświąteczne porządki.

Potem jest już jak w każdym domu: opłatek, wieczerza, krótkie śpiewanie kolęd. Po jednej zwrotce, bo dzieci nie mogą się już doczekać prezentów. Późnym wieczorem Ania z Jarkiem ruszają zwykle na pasterkę. Muszą mieć zapas czasu, bo po drodze spotykają dawno niewidzianych znajomych, wpadają więc do nich w drodze do i z kościoła. A potem spać. Jutro czeka ich podróż w góry.



## Kulturalna i taktowny

Wrzesień 2011 roku, kawiarnia na warszawskim Starym Mieście. Przy stoliku Anna Przybylska i Michał Żebrowski (rocznik 1972), jeden z najwyżej notowanych polskich aktorów. Już jako student warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej dostawał role w filmie i teatrze. Szerokiej publiczności znany jest między innymi jako Jan Skrzetuski w *Ogniem i mieczem* Jerzego Hoffmana, Tadeusz Soplica w *Panu Tadeuszu* Andrzeja Wajdy czy Geralt z Rivii w nieudanej, niestety, adaptacji *Wiedźmina* Andrzeja Sapkowskiego. Ale także autor ironicznych wypowiedzi o aktorach amatorach. Jeszcze kilka miesięcy temu powinni sobie w takiej sytuacji skakać do oczu, a tu grzecznie siedzą i miło rozmawiają. Są w trakcie zdjęć do thrillera *Sęp*. Żebrowski proponuje Przybylskiej, żeby zagrała monodram w Teatrze 6. Piętro, który założył w marcu 2010 roku z Eugeniuszem Korinem. Ania jest bardzo zainteresowana, szczęśliwa, choć i lekko przestraszona. Ustalają pierwsze szczegóły, gdy dzwoni telefon. – Przepraszam, Jarek się źle czuje. Muszę wracać do Łodzi – rzuca Ania i wybiega, by zdążyć na najbliższy pociąg. Zdezorientowany Żebrowski zostaje w pół zdania.

•

W 2011 roku Ania gra w bardzo ważnym dla niej, dobrze przyjętym przez krytykę dreszczowcu *Sęp* (premiera: styczeń 2013 roku), w reżyserii Eugeniusza Korina, z Michałem Żebrowskim w roli głównej. To historia genialnego policjanta, pracującego nad wielowątkowym śledztwem w sprawie porwań groźnych przestępców z polskich więzień.



Zdjęcia do *Sępa*. Za Michałem Żebrowskim i Anną Przybylską stoi Eugeniusz Korin, reżyser

Rok 2013 to początek bardzo dobrych lat polskiego kina. Polacy wracają do kin, żeby oglądać polskie filmy, które – także dzięki temu, że Państwowy Instytut Sztuki Filmowej zasila milionami rodzimą kinematografię – konkurują liczbą widzów z hollywoodzkimi hitami. Kończą się czasy chałupniczych produkcji, mogących wszystko wcisnąć do filmu sponsorów, szemranych producentów.

Polskimi hitami roku 2013 są *Drogówka* Wojciecha Smarzowskiego z 1 milionem 15 tysiącami widzów, *Wałęsa* Andrzeja Wajdy, który przyciąga do kin 956 tysięcy osób, i właśnie *Sęp*. Obejrzało go ponad 650 tysięcy widzów. To zupełnie inna epoka niż czasy, kiedy Ania debiutowała w *Ciemnej stronie Wenus*.

Film Korina zwykle podoba się również krytykom. Marek Kuprowski na Gazeta.pl: „Sępy nad *Sępem* zleciały się dość wcześnie. Plotkowano,

że może to być piękna katastrofa. Sępy będą musiały jednak obejść się smakiem, bo takie thrillery sensacyjne zdarzają się nam niezwykle rzadko”<sup>[93]</sup>.

Ania załapała się tylko na początek tych nowych, dobrych czasów polskiego kina. Jednak nie doczekała jego triumfów – kilka miesięcy po jej śmierci *Ida*, też ze śliczną dziewczyną bez dyplomu – Agatą Trzebuchowską – w roli tytułowej, dostała Oscara.

Ania w 2013 roku chyba też miała poczucie, że to może być przełomowy dla niej moment, produkcja z prawdziwego zdarzenia. Tak mówiła o grze w tym filmie w wywiadzie dla „Gali”: „Wiedziałam, że chcę to zrobić i w trzecim tygodniu po porodzie pojechałam na zdjęcia próbne. Ja – matka Polka. I nie miało dla mnie znaczenia, kiedy ten film będą robić, czy on będzie w wakacje, czy w roku szkolnym. Bo był doskonały scenariusz. Nie widziałam w ostatnich latach, mówię o tych latach po komunizmie, dobrego kina sensacyjnego w Polsce, w którym bym chciała zagrać. No dobrze, *Psy* były dla mnie takim filmem. Ale potem właściwie długo, długo nic. Aż do *Sępa*”<sup>[94]</sup>.



Ania jako Natasza McCormack, kadr z filmu *Sęp*

Scenariusz napisał Eugeniusz Korin, znany reżyser teatralny. On również wyreżyserował film. Wyjątkowo udaną ścieżkę dźwiękową tworzą utwory popularnego – choć jego muzyka jest wyjątkowo mroczna – angielskiego zespołu Archive. Fantastycznie do *Sępa* wpasowuje się zwłaszcza kawałek *Lights* – trzeba go posłuchać.

Na planie spotkali się sami dobrzy znajomi. Korin i Żebrowski założyli razem Teatr 6. Piętro. Na jego deskach grywa większość obsady filmu: od Daniela Olbrychskiego, przez Andrzeja Grabowskiego, po grającą maleńki epizod Jolanę Fraszyńską. Inna gwiazda *Sępa* – Andrzej Seweryn – zaprosił Żebrowskiego do zagrania głównej roli w swoim reżyserskim debiucie filmowym *Kto nigdy nie żył...* Ania jest spoza tego świata.

– Znaleźć aktora, który pasuje do roli – to często decyduje o powodzeniu filmu – opowiada Eugeniusz Korin. – Często idzie się na łatwiznę. Michała Żebrowskiego najłatwiej obsadzić w roli kochanka,

bo każda kobieta w Polsce chce go oglądać w takim wcieleniu. Ale Michał ma też potencjał, by zagrać zupełnie inne postaci. Tak samo było z Anią. Była prześliczną kobietą, miała zupełnie wyjątkową, fotogeniczną urodę, fenomenalne poczucie humoru. Ale przekonałem się także w pracy nad *Sępem*, że była wybitną aktorką. Ona wszystkiego uczyła się na planach filmów, które robiła: przy jej rzadkim poczuciu prawdy scenicznej, bezbłędnym psychofizycznych warunkach i wybitnej aktorskiej intuicji, to doświadczenie dało jej więcej niż najlepsza szkoła. Ze swoją niespożytą energią, szczerością temperamentu i ludzkim ciepłem była zdolna do tworzenia wspaniałych ról. Na pewno byłoby ich wiele, gdyby miała szansę pracować dłużej...



Matka karmiąca...



Anna Przybylska i Michał Żebrowski, czyli filmowi Natasza McCormack i Aleksander Wolin

W zdjęciach próbnych do *Sępa* Ania bierze udział kilka tygodni po urodzeniu Jasia. Karmi go piersią, nie chce zostawiać samego nawet na jeden dzień, więc do Warszawy jadą z panią Basią i jej córką Pauliną. – Zostawiła Jasia tylko na te kilka godzin, kiedy miała zdjęcia próbne – opowiada pani Basia. – Ale akurat wtedy mały się obudził i w krzyk. Na szczęście nie trwało to długo. Po pięciu minutach Ania stanęła w drzwiach i nakarmiła Jaśka. A potem w pociąg i z powrotem do Łodzi.

– Ale to nie był żaden casting – podkreśla Michał Żebrowski. – Reżyser szukał kobiety, dla której widz może stracić głowę. A Anka była

nie tylko piękna, ale miała też charyzmę i ciepło. Do tego była bardzo niejednoznaczna – ten jej głos kontrastujący z urodą. Naprawdę miała wszystkie atrybuty dobrej aktorki. Żeby się na nią zdecydować, nie trzeba było castingu.

Grana przez Przybylską Natasza McCormack jest instruktorką sztuk walki, szkolącą między innymi policjantów. Przygotowując się do roli, Ania wzięła kilka lekcji kick-boxingu. Na potrzeby *Sępa* to wystarczyło.

– Trudno ze mnie zrobić w krótkim czasie mistrzynię kick-boxingu, ale jest magia kina, montaż i wierzę, że to jakoś ładnie posklejają – opowiadała.

W Nataszy zakochuje się bohater grany przez Żebrowskiego. Sceną łóżkową tych dwojga jeszcze przed premierą żyły portale plotkarskie.

•

Ale trening na macie i gorące sceny erotyczne to nie był jedyny problem, z którym musiała się zmierzyć Ania w związku ze swoją rolą w *Sępie*. Problemem był sam Michał Żebrowski. A dokładniej wywiad, w którym lekceważąco mówił o gwiazdach telenowel i seriali bez wykształcenia aktorskiego. Stwierdził w „Playboyu”: „Nie poradzą sobie z Szekspirem, ale tak jak Anna Przybylska są piękne, seksowne i gdy pojawią się na billboardzie, robi się miło. Niech każdy robi to, co potrafi”<sup>[95]</sup>.

Na odpowiedź Ani nie trzeba było długo czekać. Odpowiedziała, też w „Playboyu”: „Dla mnie to protekcyjne, przykryte kompleksami hasło: »Pisarze do piór, a operatorzy do kamer«. Nie znam faceta, ale jak przeczytałam cały wywiad, w którym opluwa swoje środowisko, opowiada, że się izoluje, i twierdzi, że nie gra w serialach, bo grać w nich nie potrafi, to ręce mi opadły. Zresztą nie tylko mnie, bo czytaliśmy ten tekst na planie i cała ekipa była zażenowana. Dżentelmen nie mówi takich rzeczy kobiecie. Kompleksy, po prostu kompleksy... On jest chyba jedyną osobą w branży, która ma problem z aktorami bez szkoły aktorskiej”<sup>[96]</sup>.

Po takim wzajemnym ostrzale można się było obawiać eksplozji



na planie.

– Byłam z Anią w Warszawie, gdy mieli się spotkać po raz pierwszy – opowiada mama Krystyna. – Z Jasiem w wózku odprowadzałam Anię do studia. Pytam ją trochę zdenerwowana: „Córuś, jak będzie?“, bo wiedziałam, że stresuje ją to spotkanie. Anka, jak to Anka, odpowiedziała: „Zobaczymy, najwyżej wiesz, na pięcie się zakręcę i wychodzę”. Wieczorem Ania wraca, pytam „No i jak?”. A ona: „Mamo, to jest zajebisty facet”.

Michał Żebrowski: – Na pierwszym spotkaniu Ania nie dawała po sobie poznać, że chowa jakąkolwiek urazę. Była bardzo pewna siebie. A poza tym ona była kulturalna, a ja taktowny, więc nie wracaliśmy już do tematu. Czasami się mówi za dużo albo głupio, w poczuciu, że jest się niezwykle mądrym. Ale człowiek nie krowa, może zmieniać poglądy. Ja je zmieniłem, dzięki Ance.

Ania szybko przekonuje się do swojego filmowego partnera. „Wcześniej nie miałam okazji go poznać, wydawał mi się osobą dość zamkniętą, niedostępną, co po pewnym czasie okazało się nieprawdą. Michał jest szalenie otwarty, szalenie dowcipny i osobiście miałam wrażenie, że jest nam razem dobrze” – mówi o nim w wywiadzie dla Onetu.

Żebrowski mówi dziś o Ani z niezwykłą atencją i ciepłem. – Kiedy się spotkaliśmy, byłem trochę speszony. To było jednak spotkanie dwóch aktorskich światów. Ona nie miała dyplomu, ale miała naturalność nie do podrobienia. Tymczasem ja jestem mózgowiec, zastanawiam się nad rolą, analizuję, jak z różnych klocków skleić postać. A ona po prostu wychodziła przed kamerę i grała.

Grała i karmiła – na zmianę.

– Ania występowała w *Sępie* z dzieckiem przy cycu – wspomina Żebrowski. – Kończymy ujęcie, a ona już biegnie do kampera nakarmić dziecko. Wraca, całuje się ze mną na planie, i znów idzie karmić. Nieprawdopodobne. Zrozumiałem, że całe to jej aktorstwo było tylko dodatkiem do jej głównej pasji. Do rodziny.

Michałowi Żebrowskiemu jedna scena ze wspólnej gry z Anią utkwiła w pamięci szczególnie. To ich rozmowa w mieszkaniu Aleksandra Wolina (w tej roli Żebrowski), do którego policjant zaprasza na kolację trenerkę kick-boxingu. Robi się coraz bardziej intymnie. McCormack

przeogląda bibliotekę Wolina.

– „Komety. Geneza powstania”, „Wielki wybuch”, „Zakrzywienie czasoprzestrzeni” – przegląda tytuły. – Nie czytasz nic innego?

– Na przykład?

– Na przykład kryminałów.

– W tych książkach jest tyle zagadek, że starczyłoby na wszystkie kryminały świata.

Natasza dostrzega teleskop.

– A teleskop oczywiście nie jest dekoracją?

– W podstawówce zamęczałem ojca, czym jest nieskończoność. Pewnego wieczoru przynosi go i mówi: „Siadaj, patrz”. Siadam, patrzę... I to jest piękne. A ojciec: „Widzisz, i to jest właśnie nieskończoność. Czas, który nigdy się nie kończy, czas, który jest zawsze”

– Mogę ją zobaczyć?

– Tylko uważaj, bo to uzależnia.

Natasza spogląda przez teleskop. – A skąd w tym wszystkim wzięła się policja?

– Zło jest podobne do czarnych dziur. Pochłania wszystko w jego polu grawitacji. Staram się zmniejszyć siłę jego przyciągania. Wychodzi na to, że skończyłem tam, gdzie zacząłem – w kosmosie.

Przez dłuższą chwilę spoglądają na siebie w milczeniu.

– Miałaś patrzeć w nieskończoność – przerywa w końcu ciszę Wolin.

– Właśnie patrzę – odpowiada Natasza, patrząc policjantowi głęboko w oczy.

Właśnie to spojrzenie Ani zapadło Żebrowskiemu głęboko w pamięć.

– Ania na planie dużo żartowała, odwlekała moment, kiedy zaczynała się gra na serio. Przed tą sceną również: próbujemy, ja z siebie flaki wypruwam, bo przecież mam jej – to znaczy Nataszy McCormack – wyznać niejako miłość. Ale ona się non stop wygłupiała. W końcu mówię: No dobra, ale jak ty tak reagujesz, to ja nie mam jak zagrać zakochanego. Nagle spoważniała, kamera poszła, a ona spojrzała na mnie i powtórzyła swoją kwestię w taki sposób, że mi ciarki przeszły po plecach aż do pięt.

*Sępa* warto zobaczyć jeszcze raz, choćby tylko dla tej sceny.

– Nie musiałem tego odgrywać. Naprawdę mnie zatkało. Ta dziewczyna miała twarz anioła, ale mimo młodego wieku przebijające

ze spojrzenia życiowe doświadczenie. Miałem wrażenie, że śmiałość i bezpośredniość to pozory. W gruncie rzeczy bardzo jej zależało, żeby doceniono jej grę. A przy tym wyglądała tak, jakby miała coś do ukrycia.

## Jak ci było ze mną w łóżku

Amatorski film, nakręcony wieczorem po premierze *Sępa* w warszawskich Złoty Tarasach. Ania z Jarkiem Bieniukiem próbuje dostać się do windy. Otacza ich wianuszek fanów i fotoreporterów, non stop błyskają flesze. „Pani Aniu, pani Aniu, błagam, jeszcze zrobię zdjęcie” – słychać co chwilę. Widać, że Ania jest już zmęczona i poirytowana, odwraca się, próbuje uciekać. „Koniec, już koniec” – mówi stanowczo. Nikt jednak nie reaguje na jej prośbę. „Zostawcie kobietę” – słychać pojedynczy głos.

„Pani Aniu, ja dopiero o piątej wrócę do domu” – woła zrozpaczona kobieta. – „No, proszę panią, jedno zdjęcie”

„Ja też wstaję o piątej” – odpowiada Ania, jest już „na granicy”

W końcu wsiadają z Jarkiem do windy, ale razem z nimi pcha się, kto tylko może.

Na dole znów flesze, błagania o zdjęcia. Kiedy do Przybylskiej podbiega z aparatem jakaś kobieta i w biegu robi *selfie*, Ania jeszcze raz odwraca się do goniących: „Panie, panowie, proszę już was, przestańcie robić zdjęcia. Ani one nie będą ładne, ani nie będą dobre”

To raczej polowanie z nagonką i ściganie rannej zwierzyny niż spotkanie fanów z ich idolką.

A idolka, co ciekawe, paraduje na premierze *Sępa*... na bosaka. Przyjechała co prawda w czerwonych kozakach, które kompletnie nie pasują jednak do gołębiej sukni, więc po chwili je zdejmuje i odtąd świętuje premierę bez obuwia.

•

Rankiem po premierze *Sępa* Ania pojawia się u boku Żebrowskiego w *Pytaniu na śniadanie*. Niespodziewanie występuje w ciemnych

okularach, które zasłaniają jej pół twarzy. To „efekt” nocnego świętowania nowego filmu.

– Są z nami Anna Przybylska... – zaczyna prowadząca rozmowę Marzena Rogalska.

– Nie mamy pewności – ripostuje Żebrowski.

Na to dwa niewyraźne słowa swoim chrapliwym głosem wydusza z siebie Ania.

– Teraz mamy pewność – puentuje aktor.

– Myślałam, że ją zabiję – opowiada Gosia Rudowska. – Kładłam Ance do głowy, że nazajutrz z samego rana musi, choćby nie wiem co, po prostu musi iść do *Pytania na śniadanie*. Sama wieczorem wracałam do Gdyni. Rano włączyłam telewizor, by sprawdzić, czy dotarła. Kiedy zobaczyłam ją w tych ciemnych okularach, myślałam, że się przewrócę. Podobno Anka na fotelu u charakteryzaterek założyła te okulary i mówi: „Pudrujcie tylko naokoło”. Myślałam, że będzie afera, ale jakoś rozeszło się po kościach.



Anna Przybylska i Michał Żebrowski w *Pytaniu na śniadanie* w TVP2, dzień po premierze *Sępa*. Styczeń 2013 roku

Rozmawiają o graniu z dzieckiem przy piersi i treningach kick-boxingu, które wykańczały Anię.

– Podobno świetną scenę miłosną zagraliście – pyta w pewnym momencie Rogalska.

– Michał, no powiedz, jak ci było ze mną w łóżku – cedzi Przybylska.

– Przybylska, kocham cię za to! – rzuca prowadząca, zanim lekko speszony Michał Żebrowski zdążył odpowiedzieć.

Kolejne pytanie? Ania i Michał muszą się tłumaczyć, jak się im oglądało tę scenę, siedząc przed ekranem razem ze swoimi partnerami.

– Nie lubię scen miłosnych – przyznaje dziś Michał Żebrowski. – To krępujące, ludzie, którzy są dorośli, muszą sapać, dyszeć, na dodatek przy kamerach, światłach, dwudziestu członkach ekipy... W pewnym momencie ma się już tego dość, bo to jest zwyczajnie głupie. A że media akurat wyciągały tę naszą scenę? A co miały wyciągać? Ania

zresztą świetnie radziła sobie z podobnymi zaczepkami. Była bezpruderyjna, dowcipna, autentyczna. Przecież właśnie dlatego ludzie ją pokochali.

Po doświadczeniach na planie *Sępa* Żebrowski i Korin proponują Ani monodram w ich Teatrze 6. Piętro.

Korin: – Rzadko się zdarza, żebyśmy byli tak zgodni. Pomysł się zrodził po wysłuchaniu jej fenomenalnie śmiesznych opowieści z życia, którymi bawiła nas często podczas przerw w kręceniu filmu. Byliśmy pewni, że to wspaniała aktorka, ale trzeba poszukać formy, w której się odnajdzie. Nie chcieliśmy jej skrzywdzić – przecież nie miała teatralnego doświadczenia, scena to zupełnie inny żywioł niż plan filmowy. Mieliśmy diament, który trzeba było mądrze oszlifować.

Uznali, że najlepszy będzie monodram, trochę w stylu dopiero raczkującego w tamtym czasie u nas *stand up-u*. Miał napisać go profesjonalista, ale na podstawie autobiograficznych opowieści Ani.

– Ania, jak wielu aktorów filmowych, marzyła, by spróbować sił na scenie – opowiada Żebrowski. – To ma być dla nich test i dowód, że są w pełni profesjonalistami. Bo kamera, montaż pomagają ukryć rzemieślnicze braki. Na scenie wszystko widać jak na dłoni. Ale te obawy w przypadku Ani były nieuzasadnione. Ona grała całą sobą, a jej prywatność mogłaby być tylko atutem. Nikt nie oczekiwał przecież od Przybylskiej, żeby była na scenie Budzisz-Krzyżanowską. Zresztą po co? Granie siebie to wystarczające wyzwanie. Musisz zagrać sprawę, o której mówisz, odtworzyć w sobie towarzyszące jej emocję, konkretną frazę, zadanie, które – choć to o twoim życiu – ustawia ci reżyser. To dyscyplina, czasami precyzyjna jak matematyka.

Ania zaproponowała, że monodram napisze scenarzysta Krzysztof Jaroszyński, którego Ania знаła z *Daleko od noszy*. Choć do podpisania umowy nie doszło, Jaroszyński jednak i tak zaczął pisać.

# Boję się

Ania o swoim ciele:

– Mam tak unerwione ciało, że właściwie nie musiałabym się kochać. Mnie wystarczy dotykać, osiągam orgazmy przez dotyk (*śmiech*). Plecy, dłonie, włosy, szyja, uszy... Uwielbiam pocałunki. Pamiętam, grałam z Jankiem Fryczem u Christophera Doyle'a [w filmie *Warsaw Dark*]. Mieliśmy tam sceny, kiedy Janek stawał z tyłu i tylko chuchał mi w kark, a mnie ciarki przesywały (*śmiech*). (...) Węch też mam silnie rozwinięty. Zapach jedzenia, kuchni jest dla mnie niesłychanie ważny. Uwielbiam chodzić po klatkach schodowych, wąchać i zgadywać, co dziś będzie na stołach. (...) Uwielbiam zapach mężczyzn, męskich perfum, byle nie nachalny. Uwielbiam zapach wypielęgowanej męskiej skóry, ale zapach kobiety też lubię. Uwielbiam obwąchiwać koleżanki na planie<sup>[97]</sup>.

O „diabelskiej” naturze:

– Jest bardzo brzydka, czarna i zła. Nie chcę o niej mówić. Mam kilka czarnych historii za sobą, a one są okrutne. Za coś takiego idzie się do piekła. Pocieszam się, że każdy ma taką ciemną stronę siebie, ja – niestety – też ją posiadam. I bardzo się wtedy nie lubię. Tak jak Marylin Monroe podchodzę do lustra i szukam przyjaciółki, ale jej tam nie ma. Parę dni trzeba na to, żeby ona wróciła<sup>[98]</sup>.





Z Janem Fryczem w filmie *Warsaw Dark*



Aktorzy podczas konferencji prasowej. Warszawa, grudzień 2007 roku

#### O starości:

– Zastanawiałam się, czy będę umiała fajnie i godnie się zestarzeć. Jak będę się czuła, grając matki nastolatków, a potem, o zgrozo, babcie? Przychodzi mi do głowy Meryl Streep i jej ostatnie role. Na przykład fantastyczny film o miłości po sześćdziesiątce: *To skomplikowane*. Chciałabym zestarzeć się tak jak ona. Nie ośmieszać się groteskowymi próbami zatrzymania młodości na siłę, twarzą pękającą od botoksu. Uważam, że XXI wiek jest okropny dla aktorki<sup>[99]</sup>.

– Czasami się martwię, że będę starą prukwą, której nikt na planie nie będzie mógł znieść, bo będzie zrzędzić, wszystkim dokuczać, wymądrzać się. To jest najgorsze, co może mnie spotkać. Oby nie! Chciałabym być jak Beata Tyszkiewicz, która jest spełnioną damą, potrafi poświntuszyć, bluznąć, pali papierosy, a przy tym ma niesłychaną klasę, maniery i styl. Uwielbiam ją i tym bardziej nie chcę być sfrustrowaną aktorką, która nienawidzi młodszych koleżanek, zazdrości im urody, wyglądu,

propozycji. Boże, jak ja bym tego nie chciała!<sup>[100]</sup>

O swojej rodzinie za dwadzieścia lat:

– Chciałabym, żebyśmy wytrzymali próbę tych okrutnych czasów. W tym konsumpcyjnym szaleństwie i internetowym szale żebyśmy mogli zachować wartości, które już dawno temu przestały się liczyć. Lojalność, przyjaźń, bliskość. Chciałabym, żebyśmy zawsze umieli się dogadać i żeby los dał nam szansę, by wspólnie wychować nasze dzieci. Ale przede wszystkim pragnę być pogodzona ze sobą, mieć pokorę, radość i optymizm. (...) Pozostaje mi tylko prosić Opatrzność, żebym umiała sobie z każdą trudną sytuacją poradzić. Przede mną przecież jeszcze tyle różnych wydarzeń życiowych. Gdy dzieci wyjdą z domu, pójdą na studia, poznają partnerów, a ja będę musiała znaleźć z nimi porozumienie. Nie wiem, jak się wtedy zachowam. I jaka będę. Chcę być normalną, życzliwą, a nie zrzędliwą, panią w średnim wieku. Widzisz, może dlatego, że straciłam wcześniej ojca, jestem pesymistką i wolę spodziewać się najgorszego niż najlepszego. Jakby na wyrost uodparniam się na takie sytuacje. Ojciec był bardzo ważny w moim życiu. Nie chciałabym już żadnej ważnej osoby tracić<sup>[101]</sup>.

O śmierci:

– Nigdy nie wiesz, co cię w życiu spotka. Dziś jestem szczęśliwa, mam fajnego faceta, mężczyźni się za mną oglądają, dużo gram, ale za chwilę wszystko może się zawalić i będę palce gryźć. Boję się trochę tej starości. Boję się umierania... Bardzo się boję. Wiem, że śmierć jest nieunikniona całe życie się z nią oswajamy. Ale może dlatego, że mam rodzinę, nie potrafię pogodzić się z myślą, że ktoś będzie po mnie płakał. Ja umieram i mam święty spokój, ale po mnie zostaje żal matki czy rozpacz dziecka. To jest irracjonalne, ale często myślę o tym, jak bardzo skaleczyłabym swoje dzieci, gdybym przedwcześnie umarła. One już nigdy nie byłyby tymi samymi beztroskimi, pogodnymi dziećmi co teraz. Czuję się wtedy strasznie<sup>[102]</sup>.

# Dom

Kocha kwiaty, przede wszystkim białe. Najbardziej tulipany i storczyki, koniecznie właśnie białe. Zawsze dużo jest ich w domu, Ania na miejskim targowisku kupuje całe naręcza.

•

W 2012 roku Jarek Bieniuk odchodzi z Widzewa – w tym klubie też – jak wcześniej w Turcji – są problemy z wypłatą zagwarantowanych w kontrakcie pieniędzy. Szybko jednak znajduje nowy klub. A właściwie stary.

Jarek wraca do Lechii Gdańsk, w której się wychował i z której przed laty odszedł do Amiki Wronki. A Ania? Po latach ciągłych przeprowadzek – z miejsca na miejsce, z kraju do kraju, nieustających wyjazdów w sprawach służbowych – cieszy się, że wraca w końcu do domu. Traktuje powrót do Gdyni jako przeprowadzkę ostateczną – taką „na zawsze”. Cieszy się, że dzieci nie będą już musiały co chwilę zmieniać szkoły. Oliwia ma właśnie rozpocząć naukę w czwartej klasie. Do tej pory tak często zmieniali miejsce zamieszkania – a to Turcja, a to Poznań, a to Gdynia, a to Łódź – że mała ma kompletny mentlik w głowie. Do tego stopnia, że pewnego dnia, kiedy wracają od babci z Gdyni do Łodzi, Oliwka spytała, czy nie zapomnieli zabrać paszportów. Mała nie miała łatwo, zwłaszcza gdy mieszkali w Turcji. W przedszkolu do dwunastej rozmawiała po angielsku, potem z rówieśnikami po turecku, po południu w domu po polsku. Z jednej strony to dobrze, kiedy dzieci mogą się osłuchać z różnymi językami, ale w małej główce może to naprawdę niezłe namieszać. Kilkuletnia Oliwka czasem nie wiedziała, w jakim języku akurat mówi.

Teraz Ania ma być wreszcie blisko mamy, siostry, przyjaciół. Wie,

że zawsze może na nich liczyć. Choćby przy opiece nad dziećmi, gdy będzie musiała na kilka dni wyjechać na plan zdjęciowy.

Już wcześniej zakładali, że wcześniej czy później wylądują w Gdyni. W 2008 roku, jeszcze w czasie pobytu w Turcji, kupili dom nad samym morzem, w Orłowie. Ania myślała o mieszkaniu, ale gdy agentka prowadzi ją do domu na dopiero powstającym ekskluzywnym osiedlu, zakochuje się od pierwszego wejrzenia. W domu pewnie też, ale przede wszystkim w widoku z okien. Zawsze marzyła o domu z widokiem na morze, teraz to marzenie ma się ziścić. A z okien jej przyszłego domu rozciąga się wspaniała panorama Zatoki Gdańskiej, aż po Hel.

Ale do ostatniej chwili ma też ogromne obawy. Koszty są duże, by kupić dom, muszą wziąć kredyt. – Obojętnie, jakie pieniądze by nie wpływały na jej konto, i tak się bała – i dużych pieniędzy, i przyszłości – mówi Gosia Rudowska. – Myślała: teraz jest dobrze, ale co będzie za rok, za pięć lat? Przekonywałam ją: Ania, kredyt spłacisz szybko, a dom ma sporą wartość, zawsze możesz go sprzedać. I tak się jednak bała.

Jeszcze tuż po podpisaniu aktu notarialnego zadzwoniła do swojej prawniczki Magdaleny Stanilewicz.

– Chyba jednak zrezygnuję – powiedziała.

– Ale przecież dokumenty podpisane, już za późno... – odrzekła przerażona prawniczka.

Dopiero ten argument ostatecznie przekonał Anię.

Dom jest w stanie surowym. Ania może więc go urządzić od podstaw, po swojemu. Korzysta z pomocy architektki Joanny Kozubskiej, ale kluczowe decyzje podejmuje Ania i Jarek. Przybylska wie już bardzo dobrze, jak chce żyć. Wszystko w tym domu mówi jedno: najważniejsza jest rodzina. Są miejsca, gdzie można się odizolować na chwilę, ale to wspólne przestrzenie są kluczowe.



Z Jarkiem w warszawskim klubie Space podczas imprezy Plejada Top Ten, 17 maja 2012 roku

Sercem domu będzie kuchnia – z widokiem na morze. To właśnie w tym pomieszczeniu Ania będzie spędzać najwięcej czasu. Nie wyobraża więc sobie, żeby jej okna nie były zwrócone na zatokę.

Kuchni poświęca najwięcej czasu i uwagi. Kiedy podejmują decyzję o przeprowadzce z Łodzi, jest już gotowa. Zaraz potem urządzą salon na parterze oraz sypialnie dzieci z własną łazienką. Małżeńską sypialnię wykańczają już po przeprowadzce.

Bardzo wciąga ją urządzenie domu, choć cieszy się, że może to robić stopniowo (od zakupu domu do przeprowadzki miną ponad trzy lata). Lawinowo rosnące koszty ją przerażają.

Wszystkie swoje mieszkania starała się urządzać na biało. Tak jest i teraz. Biel jest tłem, z którego wyłaniają się drobiazgi. Mnóstwo drobiazgów: różowa lampa kupiona w sklepiku na warszawskim Powiślu, niebieski telefon, książki. Ważny jest każdy szczegół. Bo – jak twierdzi Ania – to właśnie detale tworzą przytulną, domową atmosferę.

– Zdziwiłam się, kiedy któregoś dnia Ania powiedziała, że kupuje firany i zasłony do nowego domu – wspomina Krystyna. – Dlaczego chce zasłaniać piękny widok na morze? Przecież to bez sensu. Ania powiedziała mi wtedy: „Ale mam, jak są firany i zasłony, robi się od razu taka ciepła atmosfera. Człowiek czuje się jak w prawdziwym domu”

Choć zbiera piękne przedmioty, Ania nie jest typem „chomika”. Z jednym wyjątkiem – dziecięcych ciuszków. Skoro przed laty zaplanowała, że będzie miała czwórkę dzieci, nigdy nie pozwala wyrzucać ani rozdawać ubranek, gdy jej Oliwka i Szymon z nich wyrastają. Owszem, chętnie pożycza je rodzinie, przyjaciółkom, ale zawsze muszą wracać. W gdyńskim domu ma na nie nawet specjalną komodę. Bluzeczki, T-shirty, dresiki. Absolutnie wszystko ma tam leżeć i „nabierać mocy”. Kto wie, przecież jest dopiero trójka..

– Ubierała Szymona w ubranka po Oliwce, więc po pewnym czasie zaczęliśmy jej mówić: „Już przestań, gdzie dla chłopaka taki sweterek z gwiazdką” – śmieje się Gosia Rudowska.

– Kiedy urodził się Jasiek, powiedziała mi z triumfem: „Widzisz, mamusiu, a jednak wszystko nam się przydało” – wspomina pani

Krystyna.



# Normalnie

Gdy czyta dzieciom na dobranoc, stara się wczuwać w rolę – jak to aktorka. Ale dzieci nie zawsze to lubią. „Nie wiesz, jak się czyta normalnie?” – pytają czasami. „To już lepiej niech nam tata poczyta”

•

Najważniejszą i najbardziej pilną sprawą po powrocie do Gdyni jest zapisanie dzieci do szkół. Oliwka idzie ostatecznie do szkoły publicznej – „Osiemnastki”. Ania po latach zagranicznych przedszkoli, potem prywatnej szkole w Łodzi ma dość eksperymentów. A „Osiemnastka” jest jedną z najlepszych podstawówek w regionie. Szymon, który akurat zaczyna zerówkę, idzie do szkoły amerykańskiej. Tam dzieci w pierwszych klasach uczą się przede wszystkim języka, bo od czwartej większość lekcji prowadzona jest po angielsku. Jaś trafia do prywatnego przedszkola w Orłowie – blisko domu, można dojść spacerkiem. Ania się cieszy, że z czasem będzie miał w sąsiedztwie kolegów z przedszkola.

Dni Ani, jeśli akurat nie jest na planie, wyglądają niemal bliźniaczo. Wstaje po piątej i zaczyna od joggingu. Po drodze „zabiega” po świeże bułki i gazety. Zestaw obowiązkowy to „Gazeta Wyborcza”, „Dziennik Bałtycki” i „Newsweek”. Wraca do domu, budzi dzieci i robi im śniadanie. Potem odwozi Oliwię i Szymona do szkół, a Jaśka do przedszkola.

Jeździ zwykle samochodem, chyba że pogoda piękna, a w domu jest mama. Wtedy odprowadza Jasia do przedszkola, a pani Krystyna odwozi Szymona. Potem z Oliwką jadą rowerami do jej szkoły.

Ania uwielbia rowerowe wycieczki. W wywiadach opowiada, że pierwszy porządny rower, który dostała na urodziny już jako nastolatka, był dla niej najpiękniejszym prezentem w życiu. – Wszyscy

na osiedlu wiedzieli, że go dostała, tak głośno krzyczała ze szczęścia – wspomina pani Krystyna.

Od tej pory całe Trójmiasto przemierza najczęściej na rowerze. Często jeździ też na grób taty, na cmentarz na Oksywiu, pięknie położony na stromym Klifie Oksywskim – tam może pobyc sama, zawiesić na chwilę codzienność, opowiedzieć tacie o wnukach, zwierzyć się.

Gdy Ania wraca, a Jarek wychodzi na trening, zaczyna się sprzątanie przerywane długimi rozmowami telefonicznymi z przyjaciółmi. Trzeba wszystko obgadać, poplotkować, powściekać się czasem na kogoś.

W sprzątaniu pomaga Ani wynajęta pani – na co dzień, bo od święta wpada do Gdyni pani Basia z Łodzi. Przyjeżdża też czasem na weekendy. A jak są wakacje, zabiera swoje dzieci, które mają kilka dni laby nad morzem.

Ale na co dzień Ania sprząta sama. Jak zwykle jest precyzyjna do błysku.

Przed powrotem dzieci ze szkoły musi jeszcze zrobić zakupy. Często znów na rowerze – przyczepka dla Jasia bardzo się wtedy przydaje.

Później szybkie przygotowywanie obiadu i wyprawa po dzieci. W godzinach szczytu trwa ona nawet półtorej godziny. Ania poznaje przy tym wszelkie możliwe gdyńskie skróty (wcześniej uczy ją ich zwłaszcza Gosia). Na błędach sprawdza, jak unikać korków.

Mama Krystyna: – Jeśli chodzi o prowadzenie domu, prześcignęła swoją babcię i mnie. Zawsze idealny porządek w szafach, szufladach, wszędzie. Była niesamowita.

Ania dostaje nawet propozycję poprowadzenia programu „Perfekcyjna pani domu”, który potem, prowadzony przez Małgorzatę Rozenek, staje się hitem TVN-u.

– Śmiałyśmy się, że to coś w sam raz dla niej – komentuje Agnieszka.

Ania odmawia. Na pracę przy telewizyjnym show nie ma już sił ani czasu.

Po przywiezieniu dzieci ze szkoły i z przedszkola dzień pracy przecież się nie kończy. Najczęściej Ania zawozi Oliwkę i Szymona na zajęcia dodatkowe. Potem – albo między kolejnymi zajęciami – musi być jeszcze czas na odrabianie lekcji. Bardzo nie lubi, kiedy dzieci siedzą przed komputerem. Dlatego stara się im aktywnie zagospodarować czas. Najlepszym rozwiązaniem są spaceru.

– To nie były spaceru, to była katorga – śmieje się siostra Agnieszka. – Długo, daleko i bardzo szybko. Bez względu na pogodę. Wiatr, drobny deszcz – to nie było coś, co mogło Anię zniechęcić. Jedna czapka, druga, kaptur i w drogę. Ania przodem, my za nią, niemal truchtem. Krzyczeliśmy do niej: – Za co to, co my ci zrobiliśmy, żeby nas karać? Śmiała się.

Ale zanim udało się wyjść z domu, trzeba było ogarnąć całe stado. Najpierw wszystkich poubierać. Żeby tylko – poubierać. U Ani nogawki dziecięcych spodni musiały być idealnie włożone w skarpetki, te naciągnięte bez fałd, bluza, kaptur, szalik precyzyjnie obwiązany wokół szyi. Jak przed arktyczną wyprawą. Ale zaraz. Bluza jest, ale czy włożyłaś podkoszulek? Trzeba sprawdzić, rozebrać Szymona, wysłać go do pokoju po ubranie. A wszyscy czekają.

O dwudziestej, po powrocie ze spaceru i kolacji, dzieci są już z reguły wykąpane – wiadomo, następnego dnia trzeba wstąpić. „Skarpety proszę ubrać, gruby szlafrok i wtedy możecie chodzić po domu” – komenderuje Ania.

Po takich intensywnych dniach szybko odpada, czasami szybciej niż dzieci. Zasypia nad książką albo przy włączonym telewizorze. Nawet przy *Rodzince.pl*, którą wszyscy w jej rodzinie uwielbiają.

Chyba że wychodzą wieczorem z Jarkiem. Nie tylko na imprezy z przyjaciółmi. Chodzą do kina, do Teatru Muzycznego albo Kameralnego w Sopocie. Zawsze bardzo ją tam ciągnie, ciągle przecież marzy, by zagrać na scenie.

Lubi chwalić swoje koleżanki z branży. Kiedy trafia akurat na serial *Na Wspólnej* i widzi Ewę Gawryluk, mówi: „Ona fajnie gra. To jest fajna babka”. Zachwyca się Małgorzatą Kożuchowską i jej rolą Natalii Boskiej w *Rodzince.pl*. Polubiły się też z Weroniką Rosati. Ma też bardzo dobry kontakt z Magdą Mielcarz. Opowiada, że mają podobną energię, dobrze się razem bawią. Największą przyjaciółką w świecie filmu pozostaje jednak Kasia Bujakiewicz, choć nie spotykają się już tak często jak w „okresie poznańskim”.

Filmów czy seriali, w których występuje, raczej nie ogląda. Wyjątkiem są *Daleko od noszy*. Zaśmiewa się wtedy do łez. Czasem zresztą śmieje się sama z siebie. – Kiedy oglądałyśmy ten serial razem, zawsze opowiadała, co się działo na planie – mówi Gosia Rudowska. –

Uwielbiała całą ekipę, z którą to kręciła. Zaproszenie do *Daleko od noszy* odbierała jako nobilitację – że „tacy aktorzy chcieli z nią grać”

# Miejsca

Ania ma w Gdyni swoje miejsca, takie, w których spotyka się z przyjaciółmi albo w które najczęściej i najchętniej zabiera rodzinę.

Zupełnie wyjątkowym miejscem jest Polanka Redłowska. Kiedyś – dopóki funkcjonował przy niej zespół odkrytych basenów – miejsce bardzo popularne, gwarne. Dziś mało kto tam dociera, choć dojazd nie jest trudny. W okolicach Hotelu Nadmorskiego trzeba skręcić w prawo i po kilkuset metrach droga kończy się sporym parkingiem. Pod nim – koniec popularnej gdyńskiej nadmorskiej promenady. Można wejściem numer jedenaście zejść na plażę, skręcić w lewo i po kilku minutach dotrzeć do Klifu Orłowskiego. Można też nie wychodzić na plażę, ale ścieżką pod górę zagłębić się w las. Kryją się w nim bunkry – pozostałości po baterii stacjonującej tam po wojnie. Mieszkańcy Gdyni mówili o niej – przekręcając tytuł popularnego filmu – „działa na wrony”

Ania ma też w Gdyni swoje kulinarne „miejsca magiczne”

Niedaleko Polanki Redłowskiej, tuż przy Hotelu Nadmorskim, od 1966 roku działa kultowa lodziarnia Mariola. Niepozorny, schowany nieco w ogrodzie budynek skrywa kawiarenkę z przepyszными deserami. Ania wpada tam, gdy tylko może.

Jej ulubioną gdyńską restauracją jest Trafik, na początku skweru Kościuszki.



Widok z Polanki Redłowskiej



Wnętrze restauracji Moon

„Trafik – Jedzenie i Przyjaciele.” Motto dobrze oddaje klimat tego miejsca. Chodzili tam rodzinnie, Ania też zamawiała dania do domu. Kochała tamtejszą kuchnię – za prostotę, świeżość produktów, sposób przygotowywania dań – na parze, zdrowo. Miała nawet „swojego” kucharza, a zarazem przyjaciela. Michał Maj specjalnie dla niej przygotowywał dania spoza karty – wariacje na temat ryb i specjalnie skomponowane sałatki.

Często odwiedzają też restaurację Moon na Śląskiej, którą prowadzi rodzina Jarka.

Ale na co dzień Ania lubi też zajść do pizzerii Anker, po sąsiedzku z gdyńskim urzędem miejskim. To pierwszy w okolicy *fast food*, ale żadna sieciówka. Smaczne, dość różnorodne jedzenie sprawia, że do dziś bez względu na porę dnia mnóstwo tam klientów.

Jeśli trzeba pomóc swojemu miastu, pomaga. Bierze udział w akcjach promujących Gdynię, zawsze – co podkreśla prezydent Wojciech

Szczurek – *pro publico bono*. W 2008 roku zgodziła się zostać twarzą swojego miasta. Szczurek, Przybylska i inni goście uroczystości wypływają z tej okazji galeonem Dragon w rejs po zatoce, jest maj, to tam dokonują oficjalnej inauguracji akcji i jej hasła – *Mistrzostwa Świata w Odpoczywaniu. Gdynia 2008*.



Ania z prezydentem Gdyni Wojciechem Szczurkiem podczas konferencji prasowej na pokładzie galeonu Dragon. Początek miejskiej kampanii wizerunkowej *Mistrzostwa Świata w Odpoczywaniu*, Gdynia, 16 maja 2008 roku





Uroczystość nadania imienia nowemu statkowi firmy Stena Line – Stena Spirit, 1 lipca 2011 roku

Pierwsze skojarzenie, jakie Wojciech Szczurek ma z Anią – i to już od pierwszego spotkania na Dragonie – to niezwykła naturalność i brak nadęcia. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że ma do czynienia z jedną z najpopularniejszych polskich aktorek. Zupełnie inny typ niż inni aktorzy w podobnym wieku. Prezydent Gdyni ma zresztą porównanie, bo co roku podczas festiwalu filmowego obserwuje gwiazdy polskiego kina, które zjeżdżają do jego miasta. Niektórzy aktorzy, głównie młodzi, próbują wtedy odgrywać przeróżne role, i to niekoniecznie przed kamerą. Wypada to komicznie. Dominuje lans, sztuczne pompowanie wizerunku gwiazdy.

– Pomysłem Ani na istnienie w świecie gwiazd była zupełna normalność – podkreśla Szczurek. – Jakie to proste, prawda? Była spełniona, radosna i robiła rzeczy, które lubi. Nie miała tego – co dominuje w życiu wielu z nas – że odkładamy na później sprawy,

które są dla nas naprawdę ważne. Dobrą książkę przeczytam na emeryturze, dobrej muzyki też posłucham dopiero na starość, a na smakowanie dobrej kuchni też przyjdzie czas. A co dopiero dzieci, budowanie rodziny, trudne decyzje o poświęcaniu kariery i wyjeździe za partnerem. Odrzucenie koniunkturalizmu i gonitwy za kolejnym zerem na koncie – podkreśla Szczurek. – Ona nie miała takich problemów. Brała życie pełnymi garściami, delektowała się nim. A przy tym było to życie pełne prawdziwych emocji, bez gry i bez masek.

W Gdyni Anię spotyka też duży zaszczyt – zostaje matką chrzestną promu Stena Line Spirit. Okazuje się, że taka funkcja wcale nie ogranicza się do rozbicia o burtę statku butelki z szampanem. Więzy z jednostką, a w zasadzie ludźmi, którzy na niej służą, pozostają na zawsze. Z jednej strony na Anię czeka zawsze kajuta po specjalnej cenie – jeśli tylko ma ochotę popłynąć w rejs. Z drugiej – kontakty nie ograniczają się do formalnych przywilejów.

– Kiedy Ania zachorowała, skontaktowała się ze mną żona kapitana – opowiada jej mama. – Przyniosła książkę z dedykacją, spytała, czy się nie obrazę, jeśli zostawi taki prezent. To była opowieść o walce z rakiem, o kimś, kto z nim wygrał. Niesamowicie miły gest.

## „Anka, ląduj, hamuj! Do domu wracasz!”

– Miała zwłaszcza jedną parę ulubionych szarych dresów – opowiada mama Ani. – Nawet do krawcowej je nosiłam, poprawiałam, bo nie wyobrażała sobie, że można je wyrzucić. W końcu dziury w nich się zrobiły, ale i tak ciągle je wkładała. No i długie skarpety. Wszyscy w jej domu chodzili bez kapci, za to w grubych, kolorowych skarpetach.

•

Na co dzień Ania nie przywiązuje większej wagi do stroju. Uwielbia chodzić w dresach.

– Pamiętam zabawną sytuację, jak po roku od urodzenia Jasia, jeszcze w Łodzi, odprowadzałam Oliwię do szkoły baletowej – opowiadała w jednym z wywiadów. – Widzę dziwne spojrzenia rodziców w szatni. Od razu zorientowałam się, o co chodzi. Mówię: „Ale to naprawdę inny dres niż wczoraj!” (*śmiech*). Moja garderoba jest bardzo uboga. Bo nawet jeśli czasami mam takie poranne: „Wow, dzisiaj się wystroję”, to otwieram szafę, myślę „Eeee, niee... No nie ma w co...”. Więc w wersji luksusowej oglądam się właściwie tylko na sesjach zdjęciowych albo na planie. A potem wkładam ten swój polarek, adidas i nagle widzę, że ten *make-up*, te włosy na lwicę wyczesane nie pasują (*śmiech*). I jak już jestem na lotnisku, to myślę sobie: „To drogie futro już ściągnęłaś, bieliznę La Perli też. Ląduj, Anka, ląduj, hamuj! Do domu wracasz!”<sup>[103]</sup>.



Ania na Instagramie: „Hoooooodyyyńskaaaa RATUJ!!!!!! Znowu mnie zwierz napadł!!!!”

Lato 2013 roku. Ania bawi się na gdyńskim Open’erze. Jest ubrana w bardzo kolorową, luźną sukienkę, na którą włożyła brązowe futerko. Jej zdjęcia widzi w internecie Joanna Horodyńska, modelka, stylistka telewizyjna, która bezlitośnie krytykuje gwiazdy za nieprzemyślany ubiór. Jej oceny wywołują często dyskusje i kontrowersje. O stylizacji Ani pisze w „Party”: „Sama sukienka nawet i z trampkami mogłaby się obronić. Natomiast z tego zdechłego, włochatego potwora, który zaatakował Anię, nie zrobiłabym nawet wycieraczki pod drzwi, a co dopiero stroju do noszenia!”

Futerko z potwora okazuje się sztuczne, a Ania odpowiada w swoim stylu: wrzuca na Instagram swoje zdjęcie z przerażoną miną. Na głowie ma kaptur z futrzaną lamówką, też sztuczną. Poniżej apel: „Hoooooodyyyńskaaaa RATUJ!!!!!! Znowu mnie zwierz napadł!!!!”

Ania podpisuje kolejne kontrakty reklamowe, a to oznacza obowiązki, których nie lubi. Szczególnie nie znosi jeździć na imprezy promocyjne, które zwykle odbywają się w Warszawie. To zawsze newralgiczny punkt negocjacji. Firmy naciskają na jej jak najczęstszą obecność na ściankach, czerwonych dywanach. Ania się broni. Ma na to sposób: próbuje przekonywać, że właśnie jej nieobecność jest źródłem popularności. Nie pcha się na afisz, unika ścianek, żyje jak każda Polka. Właśnie dlatego łatwo ją polubić i utożsamić się z nią. Co z tego, że pojawi się na ścianie w wypożyczonej sukni za kilkanaście tysięcy złotych? Powtarzała, że nie chce, aby ktoś, kto siedzi przed telewizorem, pomyślał: „Kurczę, ta Przybylska biega w szpilkach po czerwonych dywanach, a ja muszę siedzieć w domu z dziećmi na kolanach.” A przecież prawdziwa Przybylska jest właśnie taka jak one: siedzi w domu z trójką dzieci, które wspinają się na nią. I często żartuje z popisów swoich popularnych koleżanek i kolegów.

– Kiedy okazało się, że Ania – choć kolejne dzieci powinny wyłączyć ją z gry – dostaje kolejne intratne propozycje, inne aktorki też zaczęły inaczej myśleć o swoim macierzyństwie – śmieje się Gosia Rudowska. – Kombinowały: pochwałę się dziećmi, zyskam sympatię widzów, dostanę kolejne zlecenia. Ale to tak nie działa. To byłoby tylko kopiowanie i fałsz. Tymczasem u Ani wszystko to było prawdziwe i naturalne.

Czasami jednak musiała zjawić się na jakiejś imprezie, bo tak nakazywał kontrakt reklamowy. Albo filmowy – podpisując umowę na rolę, aktorzy zobowiązują się do udziału w szczegółowo opisanych działaniach promocyjnych. Konferencje prasowe, wywiady, sesje fotograficzne, obecność na pokazach i premierze. To często najdłużej negocjowane zapisy kontraktów.

– Gdyby nie te zapisy, nie tak łatwo byłoby dziś znaleźć jakiś większy wywiad z Anią – uważa Rudowska.



Ania z Jarkiem Bieniukiem podczas Open'er Festival 2013



Ania z Michałem Pirógiem w programie Kuby Wojewódzkiego. Maj 2009 roku

Bo nie przepada za wywiadami. Z czasem jednak kilku dziennikarzom, a właściwie dziennikarkom, udaje się zdobyć jej zaufanie. To przede wszystkim Jolanta Pieńkowska, Krystyna Pytlakowska i Agnieszka Jastrzębska.

Co oznacza dla Ani „zaufany dziennikarz”? To ktoś, z kim można szczerze porozmawiać, zmienić wywiad w luźną rozmowę, jak między bliskimi znajomymi, w której nie trzeba się maskować ani uważać, bo wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie. W takim wywiadzie Ania może po swojemu przeklinać, wyrzucać kolejne słowa i zdania z prędkością karabinu maszynowego, ale wie, że druga strona potrafi to potem uporządkować i poukładać tak, że jej się spodoba. I nie będzie musiała się męczyć z autoryzacją.

Kiedy Ania dostaje rozgrzebany wywiad, surówkę spisaną z dyktafonu, dostaje szału. Zwłaszcza, kiedy zaczyna go poprawiać –

a zawsze chce to robić sama. Nie jest przy tym komputerowym mistrzem. Zdarza się więc, że dzwoni do Gosi, klnie jak szewc i krzyczy, że jej gdzieś tekst albo mail zniknął. Że siedzi już ponad godzinę, dużo poprawiła, a tu nagle poprawki diabli wzięli.

I po wywiadzie.

Dlatego jeśli tylko nie wymaga tego umowa, Ania zazwyczaj odmawia rozmów z dziennikarzami. Drażnią ją zwłaszcza pytania o życie prywatne, Jarka, dzieci.

„Bo nowe dziecko sprzedaje się medialnie dużo lepiej niż nowa rola – mówi w 2013 roku. – Kogo obchodzi, że właśnie zagrałam w świetnym filmie *Sęp*? Doskonale napisany thriller, wybitni aktorzy, reżyser. I co z tego? Na czternaście pytań zadanych mi przez dziennikarkę przy okazji promocji filmu dwanaście dotyczy moich dzieci. Ja naprawdę z chęcią mówiłabym o rzeczach kontrowersyjnych, mocnych, jakiś skandal bym wywołała, ale ich to naprawdę nie interesuje. Nawet jeśli z uporem maniaka powtarzam, że powiem wszystko, tylko błagam, nie pytajcie mnie już o rodzinę i ciążę. Bo ja po jedenastu latach przy trójce dzieci nie jestem już w stanie nic odkrywczego „urodzić”. Jestem matką, mam trójkę dzieci, to tyle”<sup>[104]</sup>.

Kiedyś żali się mamie, że tak mało osób pyta ją o marzenia i oczekiwania, a także pracę przy filmie, plany. Ciągłe dominują pytania o zakupy, podróże samolotem, wyjazd za Jarkiem do Turcji, rodzinę, dzieci.

Jednym z niewielu dziennikarzy i showmanów, których lubiła i którym ufała, był Kuba Wojewódzki. W 2008 roku zadzwonił do niej i zaproponował miejsce w jury programu *Mam talent*. To nie był pierwszy telefon w tej sprawie, wcześniej dzwoniли producenci. Ania odmawia, choć nie jest jej łatwo odmówić Kubie. Ale ma dwa powody. Pierwszy jest taki, że wtedy mieszka jeszcze w Turcji i uznaje, że nie da rady przyjeżdżać na nagrania raz w tygodniu. Drugi powód...

– „Gosia – mówiła – jak bym się dała podpuścić Wojewódzkiemu czy Chylińskiej, to nic dobrego by z tego nie było, musieliby przenieść program na po dwudziestą drugiej. Rozumiem, że można tak sobie pożartować w garderobie, ale na antenie? Przecież ja mam dzieci”. Wiedziałam, o czym mówi, bo zawsze, kiedy była w programie



Wojewódzkiego, a była w sumie cztery razy, dawała się nakręcać, niemal odlatywała. Ale Ania Kubę bardzo lubiła – szanowała go za inteligencję, błyskotliwość, często go chwaliła – opowiada Rudowska.



Ania podczas sesji do reklam firmy CCC w Londynie. Partnerował jej Piotr Adamczyk

Kiedy idzie do jego talk-show, ma zabrać ze sobą prezent na licytację. Brakuje jej pomysłu. Właśnie wraca z Egiptu, gdzie – jak zwykle na wakacjach – toczyła pojedynek ze słońcem. Smarowała się grubą warstwą kremu do opalania i w tej białej masce pozowała do urlopowych zdjęć. W końcu jeden z takich portretów z jej autografem trafia na licytację. Ania zatytułowała zdjęcie „Masakra”

Wyjątkowy jest też program, w którym Przybylska odwiedza Kubę razem z Katarzyną Bujakiewicz, przy okazji promocji filmu *Rh+*. Obie niemal wchodzi mu na głowę, gospodarz traci panowanie nad programem, co zdarza mu się niezwykle rzadko. Ale tamtego dnia jest

bezradny.

Jeszcze kilka razy Kuba próbuje zaprosić Anię na swoje kanapy. Najpierw odpowiada mu: „Daj spokój, odpocznijmy chwilę, ile można sobie jaja robić?”. A kiedy dzwoni w czasie choroby, mówi do niego: „Kuba, ty wiesz, co mi jest?”

•

Ania nie przepada też za mediami społecznościowymi. Inna sprawa, że pod koniec pierwszej dekady XXI wieku nie są jeszcze nawet w małej części tak popularne jak dzisiaj. Nie znosi Facebooka. Nie zakłada fanpage'a, Jarkowi też nie pozwala stworzyć własnego profilu. O kontaktach dzieci już w ogóle nie ma mowy.

– Ania nie mogła zrozumieć, dlaczego ludzie piszą w internecie takie głupoty: gdzie akurat są, kiedy wstali, co im do głowy przychodzi – opowiada Gosia Rudowska.

Wciąż ją tylko Instagram. Zakłada profil @aniablond, to ma być jej kanał do komunikowania się z fanami. Nazwa nie jest przypadkowa – Przybylska właśnie przefarbowwała włosy na blond.

– Wydawało się, że to może być dobre narzędzie do relacji z jej fanami – mówi menedżerka Ani. – Bo skoro już ludzie chcą wiedzieć, co Przybylska robi na co dzień, niech sama im to pokaże – na własnych warunkach. Ludzie zaspokoją ciekawość, więc może i paparazzi się odcepią. Albo przestaną być tak nachalni. Potem śmiałam się, że dałam mordercy nóż do ręki.

Bo Ania zakłada sobie konto na Instagramie także po to, żeby parodiować świat show-biznesu. Kiedy jakaś aktorka, modelka albo żona piłkarza publikuje na swoim koncie zdjęcia w eleganckiej sukni, z nową torebką, w drogich butach czy wyszukanych kreacjach, Przybylska odpowiada na to na swoim profilu fotką gumowych rękawiczek do sprzątania, które kupiła właśnie w Tesco (nazywa je disco-myjka). Albo najzwyklejszych kłapek, które nosi do skarpet i dresów. Albo kaloszy, które wkłada, choć ma na sobie elegancką sukienkę. Wrzuca zdjęcia, które zabawnie komentują jej rzeczywistość, pokazują dystans

do wielkiego świata. Ma z tego niezły ubaw.

Ale pewnego dnia Ania dostaje SMS-a. „Jestem w posiadaniu pani zdjęć z Londynu, z których na pewno nie będzie pani zadowolona. Chciałbym o tym porozmawiać, z panią i pani menedżerką. Gdyby była taka możliwość, to najlepiej w ustronnym miejscu.” Na zdjęciach Ania paradyje w samej bieliźnie i kaloszach.

Kto jest szantażystą? Skąd ma te zdjęcia? Czy będzie chciał pieniądze? I ile?

Fotografie zostały zrobione podczas pobytu w Londynie, gdzie Ania brała udział w sesji do reklam firmy CCC. Partnerował jej Piotr Adamczyk. W tym czasie w Londynie był też kuzyn Ani, Paweł.

– Zdjęcia do reklamy trochę się przeciągały, bo potwornie lało, ale w końcu Ania była wolna i udało nam się spotkać – wspomina. – Poszliśmy coś zjeść, potem wróciliśmy do hotelu, bo Ania musiała się zbierać na kolację z Adamczykiem i całą ekipą pracującą przy reklamie. Ale zanim zaczęła się szykować, postanowiliśmy się trochę powygłupiać. Ania kupiła sobie kalosze i ładną podomkę. W hotelu zaczęła w tym zestawie paradować, robić przy tym głupie miny, a ja robiłem jej zdjęcia, które wysyłaliśmy bliskim i znajomym. Tak dla żartu, żeby się trochę pośmiać.

Kiedy zgłasza się SMS-owy szantażysta, Ania wpada w panikę. Może warto zawiadomić policję? A może jednak się z nim spotkać? To niebezpieczny typ, skoro ma nowy numer telefonu Przybylskiej. Używa go dopiero od tygodnia (Ania często zmieniała numer telefonu). W końcu aktorka i jej menedżerka decydują się zadzwonić do nadawcy SMS-ów.

– Jasne, że to byłem ja – śmieje się Paweł. – Kilka razy musiałem przerwać połączenie. Nie mogłem wytrzymać ze śmiechu, a one przy każdym kolejnym połączeniu były coraz bardziej przerażone. Pewnie myślały, że ktoś wyłowił te wysyłane zdjęcia przez sieć komórkową. Albo że to ja zacząłem je rozpowszechniać. W końcu zrobiło mi się ich żal i się ujawniłem. Ależ się wtedy nasłuchiwałem. Umówmy się, że „ty głupi palancie” było dopiero wstępem.

## Nowy początek

„A teraz gwiazda wieczoru, przed państwem taniec erotyczny, tajemnicza i pełna wdzięku Roksana!”

Najpierw widać białe buty, a potem zgrabną sylwetkę kobiety ubranej tylko w biały tiul. Jej strój odbija się w stroboskopowym świetle. Mocno umalowana Roksana ma na głowie lokowaną perukę, a pod białą narzutką przyozdobiony cekinami biustonosz i majtki. Rusza się zmysłowo w rytmie delikatnej muzyki. Po chwili zrzuca biustonosz, po kilku sekundach także majtki. Pod tiulem widać zgrabne pośladki oraz kształtne piersi.

Cięcie.

•

Nikt nie miał pojęcia, że to będzie jej ostatni film.

Jest rok 1969. Adam (Filip Pławiak) dostaje właśnie powołanie do wojska – ma odsłużyć trzy lata w marynarce wojennej. Odwozi go starszy brat Antek (Mateusz Kościukiewicz). Wspólnie przemierzają kraj, spotykają po drodze starych kolegów i nowe koleżanki. Dopiero w sześćdziesiątej czwartej minucie filmu (który trwa ponad sto osiemnaście minut), kiedy bracia docierają do Świnoujścia, na dancingu w restauracji Albatros Adam poznaje Halinę – a właściwie tancerkę erotyczną Roksanę, którą gra przepiękna w tym filmie Przybylska.



Ania jako Roxana w *Bilecie na księżyc* Jacka Bromskiego

Roksana zaczepia Adama w gwarnym lokalu i prosi, aby na chwilę popilnował jej syna Janka. Ukrywa ich na zapleczu, a sama pojawia się na scenie. Wodzirej zapowiada ją jako „szlagier wieczoru”: „Przed państwem tajemnicza i pełna wdzięku Roksana!”. Na scenę wchodzi Halina, ale już po chwili mały Janek odciąga Adama od drzwi, zza których obserwują salę – tłumaczy, że „mama nie pozwala patrzeć”. Ale Adam właściwie od pierwszego spojrzenia zakochuje się w Roksanie, która jako tancerka zarabia w klubach nad morzem, w Warszawie czy Zakopanem.

Co ciekawe, choć Przybylska pojawia się na ekranie dopiero w drugiej części filmu, to i tak to ona jest najważniejszą postacią na jego plakacie.

– Czy to nie najlepszy dowód na pozycję, jaką sobie wyrobiła

w branży? – pyta Rudowska.

Tytuł filmu: *Bilet na księżyc*. Scenariusz i reżyseria: Jacek Bromski.

Dla Ani swoisty powrót do przeszłości, nawet nie jej własnej, tylko do czasów młodości jej rodziców. Świata, którego nie mogła pamiętać, a w którym był jej „początek”. W gruncie rzeczy, patrząc na ten film, ma się poczucie, że dla Przybylskiej to wciąż jest... początek prawdziwej aktorskiej kariery. I że teraz wreszcie dojrzała do naprawdę dużych ról, że wkrótce będzie w stanie udźwignąć cały film.

Krzysztof Kornacki, filmoznawca z Uniwersytetu Gdańskiego, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej Trójmiasto”: – Oglądając *Bilet na księżyc*, ma się wrażenie, że reżyser i kamera obserwują ją z uwielbieniem jak zjawisko. Jak ulotnego motyla, którego za chwilę stracimy z oczu. Ania „po prostu skradła ten film (...). Gdyby dano jej zagrać większą rolę, pokazałaby pełnię możliwości”<sup>[105]</sup>.

Zdjęcia do filmu Bromskiego zaczęły się w sierpniu 2012 roku. Kiedy Ania była w Warszawie na planie, w Orłowie dziećmi zajmowała się pani Basia. Jak zwykle, bez większych problemów. Do czasu. Pewnego dnia siostra Ani wpadła do jej domu, a tam awantura. „Dobrze, że jesteś, bo tu zaraz Oliwia zabije Szymona albo Szymon Oliwię” – krzyczy pani Basia.

Poszło o rolę.

Na planie *Biletu na księżyc* zabrakło chłopca, który mógłby zagrać niewielką w sumie rolę. Ktoś zapytał Anię, czy może jej sześciolatek synek mógłby to zrobić. Ani spodobał się pomysł. Tym bardziej, że miałaby Szymona przy sobie. Ale jej syn wcale się nie palił, żeby jechać na zdjęcia. Kiedy go przekonała, o wszystkim dowiedziała się Oliwia. I zaczął się dramat:

– Przecież on jest młodszy i nie lubi grać w filmach. Ja powinnam tam zagrać.

– Ale to rola dla chłopca.

– To niech ją zmienia!

Ania nie była w stanie uspokoić córki.

– To się nie dzieje naprawdę, to jest jakiś koszmar, to mi się śni, on ma zagrać w filmie, a to przecież było moje marzenie! – krzyczała Oliwia.

W końcu Ania uprosiła produkcję, żeby znaleźli miejsce w kadrze również dla Oliwki. To małą uspokoiło. W siedemdziesiątej siódmej minucie filmu widzimy, jak bawiąca się na plaży Oliwka biegnie z wiaderkiem do morza, aby nabrać wody. Pięć sekund.

Jak kończy się film? Zakochany Adam porywa samolot, którym lecą Roksana i jej syn. Straszy załogę nienaładowanym pistoletem, ale samolot – zamiast w Warszawie – ląduje w Berlinie Zachodnim, na lotnisku Tempelhof. Adam zostaje zatrzymany, samolot ma wracać do Warszawy, ale siedem osób – wykorzystując sytuację – prosi o azyl polityczny. Adam dostaje zgodę, aby popatrzeć przez szybę, kto zdecydował się na powrót do kraju. Ma nadzieję, że wśród nich nie będzie Roksany. Niestety, tancerka idzie z synem po płycie lotniska, zaraz wsiądzie do autobusu, który podwiezie ją do samolotu. Nawet się nie odwraca. Robi to tylko jej syn Janek, który na pożegnanie macha Adamowi.

To ostatnie filmowe ujęcie z Anną Przybylską.



Jeden z ostatnich kadrów filmowych Ani. Obok – syn Szymon. *Bilet na księżyc*, rok 2013



## Tylko z ukochanym reżyserem

O filmie dla Ani, w którym zagrałaby w końcu główną rolę, myśli cały czas Radosław Piwowski. – Napisałem dla niej dwa scenariusze, takie z wielką rolą kobiecą, sto dwadzieścia minut na ekranie. Tylko ciągle nie mogłem zdobyć finansowania. Pierwszy nazywał się *Endorfiny, czyli po górach, po chmurach*. Akcja rozgrywa się w trakcie sławnego w Bieszczadach Biegu Rzeźnika. Biegnie się sześćdziesiąt kilometrów, w parach i nie wolno zostawić swojego partnera. Napisałem to dla Ani, gdy dowiedziałem się, że ona lubi biegać. Partnera dla niej jeszcze nie miałem, ale zawsze by się przecież znalazł, to żaden problem. Wręczyłem jej ten scenariusz w Łodzi, jeszcze tam wtedy mieszkała. Była przesympatiwna. No ale nie dostaliśmy dotacji z PISF i nic z tego nie wyszło. Drugi scenariusz nosił tytuł *Wilki*. Dziewczyna z dobrego domu gubi się w Bieszczadach i wpada w pułapkę na wilki. Ratuje ją, a potem więzi owczarz z kryminalną przeszłością. W tle był przemyt uchodźców do Europy. Na realizację tego scenariusza też nie dostałem dotacji z PISF.

Piwowski: – No cóż, miałem wtedy słabsze lata w zawodzie. Jakieś tam seriale robiłem, na życie mi starczało, ale byłem *outsiderem*. I nagle dzwoni pani z „Gali”. Mówi, że planują specjalny numer z Anią Przybylską. Świetnie, myślę, ale co ja mam do tego? I wtedy słyszę: „Ania się już zgodziła, ale postawiła jeden warunek: wystąpi, ale tylko ze swoim ukochanym reżyserem”. Znaczący się ze mną. Czy ona wtedy poczuła, że musi mi podać rękę, przypomnieć o mnie? Nigdy ją o to nie spytałem, ale tak to sobie tłumaczę. Przez te wszystkie lata tyle aktorek u mnie debiutowało, tytuł dałem szansę zostać gwiazdkami i gwiazdami, ale była tylko jedna, która zrobiła dla mnie coś takiego.



Ania i Radosław Piwowarski – sesja dla „Gali”

„Zrobiła wszystko, żeby kariery, takiej prawdziwej, światowej, nie zrobić – opowiadał Piwowarski w wywiadzie dla „Gali” – Jak moi koledzy filmowcy zorientowali się, że mają taki skarb jak Przybylska, i zaczęli ją brać do filmów, to ona (...) wyjechała za mężem do Turcji. Zamiast wyjechać bez męża do Hollywood. Ja się zastanawiałem, kogo ona mi przypomina, i ona, wiesz, ma taki urok, jak miała Audrey Hepburn w *Śniadaniu u Tiffany’ego*. A do tego jest zdolniejsza, bo tamta była tylko wiotka i ładna, a Anka jest niepowtarzalna”<sup>[106]</sup>.

Piwowarski zamyśla się na chwilę. – Kiedy spotkaliśmy się wtedy z redaktorkami z „Gali” w warszawskim Hyacie, podczas rozmowy Ania musiała się położyć na kanapie. Tak bardzo bolał ją brzuch.

Była późna jesień 2012 roku (wywiad ukazał się w styczniu 2013). Do zdiagnozowania choroby pozostało jeszcze ponad pół roku.

– Pod koniec 2013 roku zadzwoniłem jeszcze do Ani z pewną propozycją. Trochę się wahałem, wiedziałem przecież, że zachorowała. Ale co tam, w końcu spróbowałem – opowiada Cezary Pazura. – To miał być film o parze, która poznaje się przez internet i zakochuje się w sobie. Ale on ciągle nie wie, że ona jeździ na wózku inwalidzkim. Udaje niedostępną, nie chce się spotkać w rzeczywistym świecie, a tak naprawdę boi się, że czar pryśnie, gdy on zobaczy, że dziewczyna jest inwalidką. Ani bardzo się pomysł spodobał, mówiła: „Słuchaj, świetne. Mam w styczniu chemię, ale po niej, jak się pozbieram, to dam radę”. Niestety, nie dała...

# Niesprawiedliwe

Ania: „Człowiek zdrowy nie myśli o chorobach, nie chce zastanawiać się nad nieszczęściem, uważając, że to go nigdy nie dotknie. Ale choroby, niestety, też są dla ludzi. Obcowanie z cierpiącymi, zwłaszcza dziećmi, uczy pokory wobec życia”<sup>[107]</sup>.

•

Już w 2005 roku Ania rozpoczyna współpracę z Fundacją Spełnionych Marzeń. Działa przy warszawskim szpitalu dziecięcym przy ulicy Litewskiej oraz przy Instytucie Matki i Dziecka. Założyli ją Małgorzata i Tomasz Osuchowie. Sami stracili jedenastoletniego syna po długiej chorobie nowotworowej. Ania jest honorowym członkiem rady fundacji. Mówi: „Jeśli mogę swoją obecnością złagodzić ich ból, jestem szczęśliwa. Wizyty w fundacji nauczyły mnie cieszyć się tym, co mam: udaną rodziną i przede wszystkim zdrowym dzieckiem”.

Nigdy nie chce, żeby podczas jej wizyt w szpitalach towarzyszyła jej kamera czy fotoreporter. Nie potrafi się przemóc, idzie tam, żeby spokojnie porozmawiać z dziećmi, nie dla rozgłosu. Kiedy fundacji brakuje pieniędzy, załatwia jej założycielom występ w TVN-ie. To pomaga.

– Kiedy Ania była już chora, dużo mówiła o tym, że kiedy już wyzdrowieje, zajmie się czymś pożytecznym – wspomina Rudowska. – Mówiła: „Gosia, to jest niesprawiedliwe i nienormalne. Dostaję duże pieniądze tylko za to, że mam ładną buzię, że ktoś mi robi zdjęcia, ale przecież tak naprawdę niewiele robię. To wolontariusze w hospicjum zasługują na wielkie pieniądze, a nie ja za występ w jakiejś reklamie”.



14 marca 2012 roku Ania zarejestrowała się w fundacji DKMS jako potencjalny dawca szpiku

Ania wspiera też fundację DKMS, czyli Bazę Dawców Komórek Macierzystych. Rejestruje się jako dwustutysięczny potencjalny dawca szpiku kostnego. Tym razem na oczach fotoreporterów oddaje trzy mililitry krwi, dzięki którym można określić, czy jej komórki macierzyste mogą uratować komuś życie. Pobieranie krwi celowo odbywa się w obecności dziennikarzy – aktorka liczy, że dzięki temu zachęci do rejestracji innych. A poza tym chce pokazać „na żywo”, jak krótki i bezbolesny jest to zabieg.

– To była ta jej wrażliwość. Nawet w czasie swojej ciężkiej choroby mówiła: „Ja już mam dzieci, wszystko mam, ale powiedz mi mamo, dlaczego to malutkie dziecko musi umrzeć?” – wspomina pani Krystyna.

# Nowy gracz

Jesienią 2012 roku Ania dostaje nową propozycję reklamową. Pytanie na razie jest niewinne: czy może reklamować kosmetyki, a konkretnie farbę do włosów.

Farba? OK, możemy dalej rozmawiać, akurat włosy Ani są „wolne”

Wtedy dopiero nowy gracz ujawnia swoje personalia. To prawdziwy gigant, firma Garnier, część koncernu L'Oréal. Bezpośredni konkurent Coty.

•

W 2013 mija dziesiąty rok współpracy Ani z Astorem. Przybylska z tą marką osiągnęła już wszystko. Trzy lata wcześniej centrala firmy decyduje się wprowadzić do reklam telewizyjnych Heidi Klum, a wizerunek Ani wykorzystywany jest jedynie w działaniach prasowych.

– Propozycja Garniera jest dla Ani nie tylko atrakcyjna finansowo, ale też daje jej szansę udziału w reklamach telewizyjnych kręconych na najwyższym poziomie, we współpracy ze światowymi ekspertami – tłumaczy Rudowska.

Początkowo starają się pogodzić współpracę Ani dla dwóch marek, ale Garnier ostatecznie prosi o wyłączność i rozszerza swoją propozycję na inne produkty.



Plan zdjęciowy reklamy dla Garniera (*backstage*), 23 września 2013 roku



 aniablond Obserwuj

..... a w świetle dziennym???

GARNIER Color Naturals Creme 8

załaduj więcej komentarzy

Tak strasznie tęsknię..  
Kocham Cię mała wariatko <3 Na zawsze!

☹️☹️☹️

<3

:-\*!!!

Twoje odejście brzmi dla mnie cały czas kompletnie bezsensownie !!!

Bardzo często tu do Ciebie wracam, oglądając zdjęcie po zdjęciu...

Anulka <3

dosłownie to samo chciałam napisac ... ☹️

Najpiękniejszy Anioł wśród aktorów.tak bardzo przvkro.odoczwai [\*]

♡ 💬

Liczba polubień: 1 193

26 WRZEŚNIA 2013



 aniablond Obserwuj

A kuku!!!

Zaraz fakt napisze, ze zrobilaś nieudany lifting i dołacza to zdjęcie.:

Anka jesteś mega!

Najlepsza ☺️

Trochę taki Hugh Jackman :-)

piekności :)

Wyglądasz cudownie :-)

Pani Aniu jakiego tuszu do rzęs Pani używa? Rewelacyjnie Pani wygląda, dużo zdrowia zyczeń! :)

Dr Hause najlepszy 🖤

My #hero :D

Ślicznie w bladzie 🖤

Gosia "mistrz drugiego planu":)

Willson Siobana brakuje!!!!

♡ 💬

Liczba polubień: 928

23 WRZEŚNIA 2013

Dodaj komentarz... ...

Z instagramowego konta Ani. Przybylska już w wersji blond



Ania z Gosią mają jednak wątpliwości, nie wyobrażają sobie, że po tylu latach współpracy rozstaną się nagle ze swoim ukochanym Astorem. Jadą na szczerą rozmowę z dyrektorką generalną Coty, Moniką Rut, która przez lata współpracy stała się dla Ani bliską osobą.

Rudowska: – Pojechałyśmy do Warszawy i powiedziałyśmy prawdę. A ludzie w Coty po raz kolejny zachowali się cudownie. Podziękowali za szczerą i powiedzieli, że nie mogą zaproponować podobnej oferty.

Wkrótce Astor ogłasza, że Heidi Klum zostaje twarzą marki również w Polsce. Jednocześnie Ania Przybylska podpisuje dwuletnią umowę z L'Oréalem na reklamę Garniera.

Oficjalne ogłoszenie nowej ambasadorki marki Garnier odbywa się w lipcu, konferencję zorganizowano na katamaranie w Gdyni. Chwilę wcześniej Ania nagrywa pierwszą reklamówkę – w Pradze. Na konferencję przyjeżdżają dziennikarze z całej Polski. Ale Ania podczas rejsu katamaranem czuje się źle. Kilkanaście dni później dowie się, że jest chora.

## Mamo, Ania była u lekarza...

Ania od lat skarży się na problemy z żołądkiem. Jeszcze kiedy mieszka w Poznaniu, po posiłkach często kładzie się na boku. Mówi, że „tak jest jakoś lepiej”

– Rozmawiałyśmy przez telefon, to musiał być koniec czerwca 2013 roku – wspomina pani Basia. – Opowiadała, że właśnie wrócili z dziećmi z McDonalda, więc pewnie musiała to być niedziela. Skarżyła się, że boli ją żołądek. Powiedziała: „Muszę znów zrobić badania”

Ania bada się dość regularnie. Wyniki zawsze są w porządku, żadnych niepokojących sygnałów. Ale co z tego, skoro coś dzieje się z jej ciałem – czuje się ciągle zmęczona, coraz częściej popada w depresyjne nastroje. Tylko że wszystko to daje się łatwo wytłumaczyć: wyczerpująca opieka nad gromadką dzieci, stres, obowiązki zawodowe. O tym, że depresja może być pierwszym objawem raka trzustki, nikt z bliskich Ani nie wie.

Stresem i obowiązkami można także tłumaczyć to, że w ciągu trzech lat Ania mocno schudła. Nawet zdrowy tryb życia jest tu dobrym wytłumaczeniem. Przecież dużo biega, odżywia się coraz sensowniej – nie powinno nikogo dziwić, że to przynosi pozytywne efekty dla sylwetki. A wyglądała przecież olśniewająco. Wszyscy zachodzą w głowę, jak to robi, że po urodzeniu trójki dzieci z każdym rokiem staje się coraz piękniejsza.

Tylko bliscy wiedzą, że ten obraz na zewnątrz nie do końca jest prawdziwy.



Ania, lato 2013 roku

– Przecież ona była zawsze tak niesamowicie aktywna, nie potrafiła usiedzieć w miejscu. A tu przyjeżdżam do niej po południu, patrzę, a Anka śpi – opowiada mama. – Wcześniej nigdy nie potrzebowała popołudniowej drzemki. Rozwazałam różne wersje, może cukier jej skacze...

Na początku lata 2013 roku Ania zgłasza się na badania.

Pani Krystyna: – Pojechałam z siostrą do Krakowa, do naszej cici, która miała wtedy już blisko dziewięćdziesiąt lat. Była sobota. Zadzwoiła do mnie Agnieszka. „Mamo, słuchaj, muszę ci coś powiedzieć, tylko usiądź proszę. Ania była u lekarza...” Po takim wstępie wiedziałam już, że nie powie mi nic dobrego.

# Jak najbliżej domu

„Nowotwór i Ania? Nie, to się nie miało prawa wydarzyć”

•

Gdy o chorobie Ani dowiadują się przyjaciele, natychmiast oferują pomoc. Niektórzy mają znajomych lekarzy, uznane autorytety. Małgorzata Raszek-Zaliwska, która była drugim reżyserem w ekipie *Złotopolskich*, namawia Anię na przyjazd do Warszawy. Kasia Bujakiewicz próbuje ją ściągnąć do Poznania.

– O wynikach badań dowiedziałam się w Kołobrzegu, na wakacjach, gdy media podały tę informację – wspomina. – To był szok. Ale pamiętam też, że nie przechodziło mi nawet przez myśl, że z Anią może się stać coś naprawdę złego. Oczywiście najgorsze jest poczucie bezradności, więc postanowiłam działać. Od lat działałam w Drużynie Szpiku, która poszukuje dawców szpiku kostnego. Dlatego dobrze znam poznańskich onkologów. To naprawdę świetna ekipa. Siostra mojej przyjaciółki też pracuje na onkologii. Cały sztab ludzi czekał w gotowości. No i tutaj byłaby daleko od trójmiejskich paparazzich...

Ale Ania nie chce wyjeżdżać. Ani wyjeżdżać, ani przechodzić dalszych badań. Skoro powiedziano jej, że konieczny jest zabieg – i jak zwykle w takich wypadkach im szybciej do niego dojdzie, tym lepiej, decyduje się na gdańską akademię medyczną. Dlaczego? Proste – bo najbliżej domu. Każdy wyjazd wiąże się przecież z rozłąką z dziećmi.

Czas wydaje się sprzyjać takiej decyzji. Akurat zaplanowała kilkutygodniową przerwę w obowiązkach zawodowych. Wszyscy w branży już wiedzą, że jak Przybylska ma urlop, nie ma co dzwonić ani zapraszać. Po prostu znika i tyle. Liczy się wtedy tylko rodzina. Tym razem Ania ma zamiar spełnić jedno ze swoich marzeń. Już od dawna

planowała wspólnie z Gosią Rudowską rodzinne wakacje w Nowym Jorku.

– Wszystko było przygotowane, bilety kupione. I wtedy, na chwilę przed wyjazdem, Ania powiedziała mi o wynikach badań – wspomina Rudowska. – W pierwszej chwili też chciałam zrezygnować. Ale kazała mi jechać. Była bardzo optymistycznie nastawiona, przekonywała, że to na pewno nic takiego, wszystko się wyjaśni, a moment na zabieg jest idealny. Nikt się nawet nie zorientuje, że coś się dzieje, skoro wszyscy są przekonani, że jedzie na wakacje. Leciałam we wtorek 23 lipca. Tego samego dnia Ania zgłosiła się do szpitala. Po dwóch tygodniach miało być jasne, czy zabieg się udał. To były najgorsze wakacje mojego życia. Całe dwa tygodnie nerwów. Tym bardziej, że lekarz po zabiegu przyznał rodzinie, że „nie wygląda to dobrze”. Jest duże prawdopodobieństwo, że to nowotwór złośliwy. Rak trzustki. Wystarczyło poczytać trochę w internecie, żeby wiedzieć, co to znaczy.

W dodatku ktoś doniósł jednemu z tabloidów, że Anna Przybylska przeszła operację. Mało tego: w gazecie ukazuje się informacja, że aktorka ma raka, przeszła już chemioterapię. Oczywiście pod domem natychmiast pojawiają się paparazzi. Dramat.

– To były kompletne bzdury. Przecież nie było nawet potwierdzenia wyników pierwszych badań, nie było pełnej diagnozy – Rudowska wciąż nie jest w stanie opanować irytacji. – Ale oczywiście rozpętało się piekło. Musiałam z Nowego Jorku wysłać dementi do wszystkich redakcji. Skontaktowałam się też z Garnierem, by poinformować, jak się sprawy mają. Że Ania czuła się źle, bezpośrednio przed urlopem zrobiła badania i skoro wyniki okazały się niepokojące, zamiast wyjechać na urlop, poszła do szpitala na dalsze badania. I że oczywiście będziemy na bieżąco informować o sytuacji.

Po zabiegu Ania kilka tygodni dochodzi do siebie. Ale jeszcze w sierpniu daje się namówić na wyjazd do Szwajcarii – z wynikami zabiegu w Gdańsku na konsultacje i na kolejne badania. Menedżerka namawia ją wtedy, żeby leczyła się właśnie tam. Przecież szwajcarskie kliniki mają światową renomę. Ale to nie takie proste ją przekonać. Ania nie chce rozstawać się z rodziną na długo.

Ze Szwajcarii wraca jednak pełna optymizmu. Twierdzi, że zrobione tam badania nie wykazały nowotworu, że pewnie wszystko wycięto

podczas zabiegu w Gdańsku. Po prostu: raka nie ma. Musi jeszcze przejść chemię, ale – jak podkreśla – „łżejszą”, żeby ostatecznie uwolnić organizm od nowotworu. Rudowska: – Z dokumentów, które przywiozła Ania, wcale jednak nie wynikało, że rak został pokonany. Ale chyba mieliśmy jakieś klapki na oczach. No przecież to była Ania. Przecież jej nigdy nie opuszczało szczęście. Łatwo było nam więc uwierzyć, że i tym razem się udało. Że jest wśród tych dwóch procent, które pokonały raka trzustki.

Pod koniec wakacji Ania czuje się świetnie i tryska optymizmem. W ostatnich tygodniach mocno schudła, ale wygląda przepięknie. Jest szczupła – lecz nie wychudzona. Jeszcze we wrześniu wraca do pracy – uczestniczy w kolejnej sesji reklamowej dla Garniera.

Jesień upływa na nadziei, że najgorsze już minęło.

W grudniu wraca ból.

## Czysta sytuacja

Jesienią 2013 roku Ania dzwoni do Krzysztofa Jaroszyńskiego: „Krzysiek... tego na razie nie będzie. Nie dam rady. Jak tylko wyzdrowieję, będę do twojej dyspozycji, ale teraz nie. Błagajmy oboje Boga, żeby wszystko było dobrze”

•

Ania marzy o scenie. Kiedy mieszka w Poznaniu, występuje z kabaretem Afera, ale spektakl kabaretowy i rola w prawdziwym spektaklu to jednak zupełnie różne sprawy.

– Przecież Anka wiedziała, że nie ma zawodowego aktorskiego warsztatu – mówi Paweł Wawrzecki. – Dlatego bała się, że nie dźwignie dużej teatralnej roli. Tak po prostu wyjść na scenę i przez ponad godzinę zainteresować publiczność sobą? To może Stanisława Celińska, ktoś z jej warsztatem, wnętrzem, możliwościami. Anię trzeba było po scenie prowadzić, pokazać jej, co robić, czego nie. A to wymaga prób. A próby wymagają czasu.

Tymczasem Ania na próby ani na granie spektakli co wieczór wciąż nie ma czasu. Jeszcze nie... Marzy, że kiedy Jarek skończy karierę, będzie mogła wejść na scenę, poczuć się na niej pewnie. Przygotowuje się do tej chwili. Krzysztof Jaroszyński pisze tekst specjalnie dla niej. To ma być monodram zatytułowany *Cała ja*, inspirowany życiem Ani. – Anegdotycznego materiału Ania dostarczała mi sama – opowiada autor.

Zaczynają pracę zimą 2013 roku. Spotykają się w małej włoskiej restauracyjce w Sopocie. Prowadzą też długie rozmowy przez telefon. Ania opowiada, Krzysztof pisze tekst monodramu, dopracowuje gagi. – Ania opowiadała o sobie to, co chciała – mówił „Gazecie Wyborczej Trójmiasto”<sup>[108]</sup>. – Czasem podrzucałem jakiś temat, typu „zwierzaki

w twoim życiu”, i Ania opowiadała dalej.

Coraz poważniej myślą o premierze. Pewnego dnia spotykają się w Gdyni na sesji zdjęciowej Ani do plakatu. Jest upalny dzień, Ania pozując, wygłupia się, zdjęcia wychodzą świetnie.

Jaroszyński: – Wpadł Jarek i jeszcze jacyś koledzy, rozsiedliśmy się w studiu, rozgadaliśmy, zaśmiewaliśmy...

26 lipca 2013 roku, w dniu imienin Ani, przed ósmą rano Krzysztofa Jaroszyńskiego zbudził telefon.

– Artyści nie dzwonią do siebie o tej porze. Chyba że to coś ważnego. Ania dziwnym, nieswoim głosem mówi, że dostała niedobre wyniki jakichś badań. Guz. Musimy na razie zawiesić terminy prób.

Kolejne sceny opracowują już w czasie choroby Ani. – Ja pisałem, bo to mój zawód – opowiada Jaroszyński. – Ale z każdym telefonem słyszałem, że jest coraz gorzej. Mówiłem jej i sobie: „Ania, wyjdiesz z tego, będziesz miała gotowy tekst. Tylko taką wersję rozpatruję. Koniec.” Wymyślaliśmy kolejne żarty, śmialiśmy się. A gdzieś tam nad nami wisiała czarna chmura: „tego nie będzie”





Zdjęcie z sesji do plakatu monodramu, który pisał dla Ani Krzysztof Jaroszyński



Ania z Krzysztofem Jaroszyńskim 25 czerwca 2005 roku podczas gdańskiego Festiwalu Dobrego Humoru. Przybylska została wówczas laureatką kategorii „Najlepsza aktorka komediowa”, Jaroszyński – reżyser „Daleko od noszy” – odebrał nagrodę za „Najdowcipniejszy serial komediowy”

Materiał był już prawie gotowy. I Krzysztof Jaroszyński, i Ania byli zadowoleni, bo wyszła dynamiczna, pełna życia historia zwykłej, normalnej „dziewczyny z sąsiedztwa”, która od setek tysięcy jej podobnych różniła się tylko tym, że udało jej się zrealizować marzenia. A od dziesiątek jej podobnych aktorek tym, że owym największym, najskrytszym marzeniem wcale nie była sława czy choćby wielka rola w głośnym filmie, a – po prostu – szczęśliwa rodzina.

Z Krzysztofem Jaroszyńskim spotykamy się w warszawskiej

restauracji Sawa. Pytamy, czy moglibyśmy przeczytać tekst, który pisał dla Ani. – Szczerze? Po jej śmierci zrobiłem coś bardzo dobrego – odpowiada, robiąc jednocześnie znak rozdierania kartek. Milkniemy na dłuższą chwilę. – Czysta sytuacja. Stało się, koniec. Nie ma.

# Polowanie

„Co pani gwiazdorzy, wariatka jakaś? Zdjęcie tylko chcę zrobić”, „To rób i wynoś się w cholerę”. Ale paparazzi się nie wynoszą. Dla nich im bardziej zdenerwowany „klient”, tym lepiej, tym większa szansa na zdjęcie, które się dobrze sprzeda.

•

Ania stara się w Gdyni żyć zupełnie normalnie, jak zwykła anonimowa osoba. Nie jest to oczywiście łatwe – ba, w zasadzie już niemożliwe. Jest zbyt popularna, znana, kochana. Ludzie chcą wiedzieć, „co u niej słychać”. Zwykle nie ma problemów z tym, by dać autograf, porozmawiać przez chwilę. Nawet lubi takie przypadkowe pogaduchy w sklepie czy na ulicy. Zawsze jest sobą, nie stroni od ludzi. Denerwuje ją jedynie, gdy słyszy za plecami szepty podnieconych przechodniów, pokazujących ją sobie palcami, szczęśliwych, że zauważyli Przybylską.

W kinie dobiega do niej często: „Widziałaś, widziałaś, Przybylska tam siedzi”. Żyma się wtedy: „Czy oni myślą, że ja tego nie słyszę?”

Najbardziej denerwuje się jednak, gdy ktoś próbuje jej robić zdjęcia z ukrycia albo niby przypadkiem. W restauracji potrafi wstać od stolika i podejść do kogoś z prośbą, by nie robił jej zdjęć „z partyzanta”. Przecież jest tu zupełnie prywatnie. A jeśli chce strzelić z nią sobie fotkę, niech podejdzie i poprosi. Nie ma problemu.

To nie było gwiazdorzenie, zarozumiałstwo czy buta. Ania, spotykając się z przyjaciółmi, chciała po prostu czuć się swobodnie. Choć granice między jej pracą i życiem nie zawsze były łatwe do ustalenia, ona próbowała je zakreślić, utrzymywać wokół siebie możliwie szeroki krąg prywatności.

– Wybraliśmy się kiedyś całą rodzina do restauracji na obiad –

opowiada mama Ani. – Idziemy, a tu ktoś z motocykla krzyczy: „Hej, hej, Przybylska!” Zrobił trzy kółka wokół nas. Za każdym razem był coraz bliżej. To naprawdę nie było bezpieczne – ani dla niego, ani dla nas. A później, kiedy już usiadłyśmy w restauracyjnym ogródku na obiad, jak gdyby nigdy nic podszedł po autograf. Nie dostał go, oczywiście.

W Polsce paparazzi na dobre pojawiają się z początkiem nowego wieku, wraz z rozwojem kolorowych gazet i społecznym zapotrzebowaniem na historie „z życia gwiazd” – im bardziej prywatne i intymne, tym lepiej. Czytelnikom szybko opatrują się celebryci na niedzielnych spacerach z rodzinami. Na takich też można zarobić – to łatwa robota, jeśli uda się namówić znaną osobę na tak zwaną ustawkę. Ale o wiele bardziej pożądane (i droższe) są fotografie, które pokazują ich bohaterów w szczególny sposób. Kiedy na przykład z wściekłością pokazują środkowy palec w stronę obiektywu. Albo pijanych. Albo chorych. Popyt określa podaż. Skoro jest zapotrzebowanie, towar musi się znaleźć. Łowy na celebrytów ruszają na całego.

Początkowo paparazzi zostawiają Ani jeszcze trochę swobody. Kręci się ich sporo, ale raczej na sopockim Monciaku, w okolicach, gdzie najczęściej można spotkać gwiazdy. Skoro tam idziesz, musisz zakładać, że mogą ci robić zdjęcia. Powiedzmy, że to w miarę uczciwe postawienie sprawy. Poza tym skupiają się raczej na większych wydarzeniach – festiwalach, premierach, koncertach. Są tam, gdzie schodzą się gwiazdy. Jeszcze nie podążają za nimi krok w krok. Ale już zaczynają polować na Anię w weekendy, kiedy przyjeżdża do Trójmiasta z Cypru, a potem z Łodzi. Ale na razie szukają jej w miejscach publicznych.

– Pewnie, że chcieli gdzieś przyłapać Anię i Jarka, pewnie najlepiej na jakichś baletach – wspomina siostra Agnieszka. – Ale oni byli tak nudni z tym swoim uporządkowanym życiem, że zwyczajnie nie nadawali się na materiał do rubryk z życia gwiazd.

Pani Basia wspomina: – Kiedyś Ania powiedziała mi: „Czego oni ode mnie chcą? Przecież ja w ogóle nie jestem medialna. Nie chodzę po bankietach, imprezach. Jeśli już, to z dziećmi na spacer. I wiesz co, to ich chyba najbardziej wkurza, że nie mogą mnie na niczym przyłapać”

Podójście paparazzich do Ani zmienia się drastycznie, gdy w mediach pojawiają się wieści o jej chorobie.

Już po pierwszych publikacjach na ten temat 12 sierpnia 2013 roku Rudowska wysyła pismo do wszystkich redakcji, publikuje je też na stronie internetowej Ani:

„Wezwanie do zaniechania naruszenia dóbr osobistych Aktorki.

W związku z pojawiającymi się publikacjami dotyczącymi choroby aktorki Anny Przybylskiej oraz jej aktualnego stanu zdrowia, działając w imieniu Aktorki na podstawie art. 24 Kodeksu cywilnego, wzywam Państwa do zaniechania naruszenia dóbr osobistych Aktorki, to jest zaniechania jakichkolwiek publikacji zawierających informacje o stanie zdrowia Aktorki, jej samopoczucia czy przebiegu leczenia, o ile takie informacje nie zostaną ujawnione osobiście przez Aktorkę lub jej Agentą w oficjalnym oświadczeniu wydanym dla prasy.

Wskazuję również, iż zarówno zdrowie i samopoczucie Aktorki, traktowane jest jako sfera prywatna, podlegająca pełnej ochronie, albowiem nie wiąże się to bezpośrednio z działalnością publiczną Aktorki (art. 14 ust. 6 ustawy prawo prasowe), jak również publikacja wizerunku Aktorki, zgodnie z art. 81 ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych, wymaga zgody Aktorki.

Mając powyższe na uwadze, w przypadku opublikowania przez Państwa jakichkolwiek informacji lub zdjęć w powiązaniu z chorobą Aktorki lub jej samopoczuciem lub podjęcia przez Państwa jakichkolwiek innych działań, które pośrednio lub bezpośrednio naruszą będą dobra osobiste Aktorki, działania te będą uważane za bezprawne, wobec czego osoby lub podmioty dokonujące tych naruszeń zostaną pociągnięte do odpowiedzialności cywilnej na podstawie art. 24 w związku z art. 448 Kodeksu cywilnego.

Z poważaniem,  
Małgorzata Rudowska  
Agent Anny Przybylskiej.

•

Jesienią 2013 roku dzwoni też do Ani dziennikarka z „Wysokich Obcasów”, jej ulubionego pisma. Prosi o wywiad – żeby podzieliła się swoją historią z innymi chorymi, była dla nich wsparciem, inspiracją. Ania odpowiada, że jeszcze nie teraz. „Ja tego raka jeszcze nie znam, niewiele o tym wszystkim wiem. Jak się z nim uporam, wtedy będę mogła powiedzieć ludziom, jak walczyć”

Apele nic nie dają. Pierwsi paparazzi pojawiają się już pod akademią medyczną, gdy Ania leży jeszcze po lipcowym zabiegu. I od tego momentu ma wrażenie, że nie opuszczają jej na krok. Koczują pod jej domem, zaczepiają na spacerach. Niemal każdy wypad do gdyńskiego centrum handlowego Klif kończy się ucieczką przed obiektywami.

– Ktoś stamtąd musiał im dawać cynk, że Przybylska przyjechała na zakupy. Może jakiś ochroniarz – zastanawia się Gosia Rudowska. – Tu nie mogło być przypadku. Ania wchodziła do Klifu, a po chwili wiedziała już, że jest śledzona przez paparazzich. Miała jakiś siódmy zmysł do wykrywania ich w tłumie. Bywało, że spotykamy się w kolejce do kas – ona do jednej, ja do drugiej, rozmawiamy, plotkujemy, jak to na zakupach. Nagle Anka przerywa: „Patrz, znowu są! Nie potrafiła tego znieść. Uważała, że to gwałt na jej prywatności. Potrafiła podejść do takiego fotografa i drzeć się na niego przy wszystkich. „Dajcie mi spokój, dajcie mi wreszcie spokój!” Ale ich nic nie było w stanie odstraszyć.

Ania była do tego stopnia zdeterminowana w walce, że czasem kończyło się na policji. – Dwa czy trzy razy zdarzyło się, że zadzwoniła do mnie i mówi: „Agnieszka, musisz dzieci odebrać” – wspomina siostra. – Ale jak odebrać? Jestem w pracy do osiemnastej. „Proszę, wymyśl coś, bo jesteśmy na Portowej, w komisariacie”. Byli na zakupach i paparazzi nie dawali im spokoju. Ania zaczęła na nich wrzeszczeć, oni odpowiadali agresją i wszyscy lądowali na policji. Tylko że również to nie zmieniało niczego. Oni wciąż czaili się wokół niej.



Z instagramowego konta Ani

– Niektóre gwiazdy, aktorzy, celebryci idą z paparazzimi na układy i umawiają się na tak zwane ustawki. Dla świętego spokoju oddają trochę swojej prywatności, by ci dali im spokój w innych sytuacjach. Czasem też po prostu im zależy, by pojawić się w plotkarskich mediach. Ani nigdy na tym nie zależało. I nie uznawała pod tym względem żadnych kompromisów. Nie chciała umawiać się, dogadywać z ludźmi, którzy ja dręczyli, nie szanowali, uważali za towar – denerwuje się Gosia Rudowska. – A oni, widząc, że w końcu ktoś im się postawił, robili wszystko, by ją złamać. Nie tylko nie odpuszczali, stawali się coraz bardziej chamscy i bezwzględni. „Gdyby nie my, nie byłabyś tym, kim jesteś” – rzucali. Akurat. Gdyby nie oni, nie byłaby tak zaszczuta.

Paparazzi w końcu zaczynają na stałe biwakować pod domem Ani. Początkowo jeszcze udają, że są tam przypadkiem, spacerują, witają się z kolegami, którzy niby przypadkiem znaleźli się w tym samym miejscu. Potem okazuje się, że jednak działają razem. Wystają pod oknami albo siedzą w zaparkowanych w pobliżu samochodach. Nocują



w nich. Jest tak jak w ostatnich miesiącach w Łodzi. Nie, jest jeszcze gorzej – bo teraz Ania jest chora. Potrzebuje spokoju, relaksu, wyciszenia. A tymczasem ma pod domem obozowisko „fotografów” czyhających na każdy jej krok. Nie szykują się już jednak na „Przybylską prywatnie”. Oni chcą mieć „chorą Przybylską”, „zdenerwowaną Przybylską”, „zrozpaczoną Przybylską.” To się im lepiej sprzeda. Nie ograniczają się do czyhania na aktorkę. Gdy wychodzi z domu, zdarza się, że prowokują ją chamskimi odzywkami.

– Do dziś nie potrafię zrozumieć, co kieruje takimi ludźmi – mówi Gosia Rudowska. – Czy naprawdę tak trudno zrozumieć kobietę, która jedzie odebrać dzieci do szkoły, odwozi je do domu, a potem jedzie na chemię do szpitala? Próbuje żyć dla najbliższych, walczy o zdrowie, o życie. Naprawdę nie mieli wyrzutów sumienia, gdy nie dawali jej spokoju? Kiedy mierzyli do niej z obiektywów jak snajperzy? I w imię czego? Ile oni na tym zarabiali? Czy naprawdę było warto? Jeden z nich wynajął nawet mieszkanie tuż obok domu Ani. Zupełna paranoja.

Są też pod szkołą Szymona, gdy Ania odwozi go rano albo odbiera po południu. Nigdy nie czatują jednak pod szkołą Oliwki.

– Może dlatego, że w brukowcach pisali, że „dzieci Przybylskiej chodzą do amerykańskiej szkoły” – zastanawia się Rudowska. – Nie chciało im się sprawdzać, jak jest naprawdę. A do tego kolegami Szymona ze szkoły były też dzieci innych aktorów oraz polityków. Nie tylko Ania była tam obiektem zainteresowania „mediów”. Czatowali, bo liczyli na hurtowe ilości tematów do spieniężenia.

Dwa razy Ania składa na policji oficjalną skargę. Zarzut: nękanie. Ale to nic nie daje. Sprawy są umarzane ze względu na „niską szkodliwość społeczną”

– Pewien prokurator napisał nawet, że nie widzi nic zdrożnego w działaniu paparazzich – opowiada Agnieszka, siostra Ani. – Wpadłam więc na pomysł: ustalimy, gdzie ten prokurator mieszka – przecież to nic trudnego – a potem będziemy siedziały na drzewie pod jego domem z aparatami i codziennie witały go słowami: „Dzień dobry, panie prokuratorze, jak dzień? Jak żona? Dzieci do szkoły odwiezione? Co, nie chce się dzisiaj? Główka boli?” I chodziłybyśmy za nim krok w krok – do pracy, knajpy. Ciekawe, czy dalej by uważał, że to nic zdrożnego.

Zdarzają się i słowa wsparcia, szkoda, że tylko nieoficjalnie. – Był

pewien sympatyczny policjant – kontynuuje pani Agnieszka. – Za którymś razem, kiedy składałyśmy doniesienie, powiedział: „Tak mi wstyd, że jesteście policją i nic nie potrafimy z tym zrobić”

Atmosfera zastraszenia z czasem zaczyna udzielać się również dzieciom.

– Ania opowiadała mi kiedyś, jak wychodziła z dziećmi na spacer, piękna pogoda, ciepło, a Oliwka zakłada na głowę kaptur – wspomina siostra Ani. – „Co ty robisz?” – zapytała Ania, a Oliwia poprosiła ją, żeby dała jej swoje ciemne okulary. „Tu paparazzi mogą być” – tłumaczyła.

Szymon reaguje za to „po męsku”. 1 września, gdy wychodzą z inauguracji roku szkolnego, a paparazzi robią im zdjęcia, pokazuje im środkowy palec. Mama Ani: – Byłam oburzona, kiedy zobaczyłam to zdjęcie w internecie. Uważałam, że Szymon nie powinien zachować się w ten sposób. Ale Ania odrzekła: „Niech się uczy od małego, żeby się gnojom nie dawać”. Rozumiałam jej gniew. Każdego dnia musiała uciekać, być czujną, bo zawsze mogła się spodziewać, że ktoś ją obserwuje. Dla mnie najgorszym doświadczeniem była pierwsza komunia Szymona. Widziałam cały czas, że kilka osób nieustannie nas fotografuje. Nie wytrzymałam. W trakcie mszy podeszłam do nich i wyjęłam komórkę, żeby im zrobić zdjęcia. „Słuchajcie, mówię, jak natychmiast się nie wyniesiecie z tymi aparatami z kościoła, to zaraz tak wam koło pióra narobię, że długo popamiętacie”. Dwóch panów odeszło, ale była jeszcze jedna zawzięta baba. Jakby uważała, że to nie do niej mówię. Rzuciłam jej: „Jeżeli jakiegokolwiek zrobione tutaj zdjęcie kiedykolwiek się ukaże, nie daruję”. Strasznie byłam roztrzęsiona. Ani nie dawali spokoju i jeszcze wciągali w to mojego wnuka! Jak tak można?

Cezary Pazura: – Sam miałem kilka procesów z brukowcami. I co zyskałem? Nic, tylko nerwy. A jeszcze zaczęli o mnie pisać tak, by obrzydzić mnie czytelnikom. Wszystko można przedstawić w taki sposób, że bohater tekstu wychodzi na bufona albo zarozumialca. I może tylko obgryzać paznokcie ze złości.

Ludzie mediów często nie rozumieją postawy Ani, krytykują ją za wojnę z paparazzimi. – Ania wtedy była jedną z pierwszych publicznych postaci, które walczyły o swoją prywatność – kontynuuje Rudowska. – Dziś znani ludzie walczą z paparazzimi nawet w sądzie.

I wygrywają. Teraz to już nie dziwi, opinia publiczna też często bierze stronę gwiazdy. Powoli, bo powoli, ale zaczynamy rozumieć prawo znanych ludzi do prywatności. Szkoda, że dopiero teraz. Tymczasem wtedy słyszałam i czytałam, że to nieprofesjonalne zachowania. Bo jak tak można walczyć z mediami, zamiast z nimi współpracować? To walka z wiatrakami. Albo: „gdzie są specjaliści od PR-u, jak mogą Przybylskiej na to pozwolić?” Pamiętam, że po takiej krytyce Ania publicznie wściekła się na pewną znaną dziennikarkę „lajfstajlową”, nawyzywała ją od źmij.



Kadr z programu *Tomasz Lis na żywo*, w którym Ania opowiedziała o swojej walce z paparazzimi



Ania wrzucała na swoje konto instagramowe @aniablond zdjęcia śledzących ją paparazzich

W końcu Ania sama zaczyna robić zdjęcia gnębiącym ją paparazzim i publikować je na swoim Instagramie. Zdarza się, że protestują: „Czemu nam pani zdjęcia robi, do sądu pójdziemy!” „A skąd ja mam wiedzieć, że pan jest z mediów, co? Pan na moje dzieci czatuje. Pan jest może pedofilem. Ludzie, uwaga, pedofil!” – odpowiada wtedy.

Sprawa robi się głośna. Ania dostaje zaproszenie do programu *Tomasz Lis na żywo*. Nie jedzie już do Warszawy, występuje ze studia w Gdańsku. Może całej Polsce opowiedzieć o codziennym gnębieniu jej przez ludzi z aparatami, wytłumaczyć, dlaczego z nimi walczy.

– W wakacje przebywałam na terenie akademii medycznej w Gdańsku. Ktoś życzliwy udzielił informacji mediom, że zostałam tam zoperowana – opowiada Ania Tomaszowi Lisowi. – Miałam później przez kilka tygodni poczucie, że grzebie mi się w trzewiach. Media kierowały mnie na powtórny operację, następnie na chemioterapię. (...) Wysyłałiśmy pisma prawnicze do różnych wydawnictw o zaniechanie naruszania dóbr osobistych. To nie pomogło. Wpadłam wtedy

na genialny pomysł, żeby zacząć wstawiać na swoim profilu na Instagramie zdjęcia natrętnych, niezdolnych, bezczelnych ludzi, którzy okradają mnie z prywatności, nękają mnie. (...) Nie chcę wyjść na megalomana, który mówi tylko o sobie. Myślę, że jestem głosem wszystkich artystów, celebrytów. Jesteśmy świadkami – przepraszam za brzydkie wyrażenie – medialnej orgii, do której media wciągają piosenkarzy, ludzi biorących udział w talent-show, estradowców, aktorów serialowych. (...) Nie rozumiem tego ogromnego zainteresowania moją osobą, bo zawodowo w ostatnich latach robię naprawdę niewiele. Jestem dla mediów łakomym kąskiem chyba dlatego, że mam partnera piłkarza, nie mieszkam w Warszawie, od czasu do czasu grywam w reklamie, rocznie robię może jeden film. No i szczęśliwie żyję od dwunastu lat w związku i mam troje dzieci. (...) To nie jest tak, że [paparazzi] robią zdjęcia i dają mi święty spokój. Oni godzinami wystają pod moim domem, pod szkołami moich dzieci. Próbuje być coraz bardziej bezczelni, zuchwali. Prowokują mnie, żebym zrobiła coś, co będą mogli sfotografować. Jak prowokują? To różnego rodzaju pyskówki, zaczepki, wyzywanie mnie od gówniar, twierdzenie, że to ja ich atakuję, bezczelne podśmiejki. (...) Mnie to przeraża, bo tu nie chodzi już o fotografie, a o upodlenie i poniżenie mnie. Ostatnio słyszałam w mediach, że to ja [fotografując paparazzich i publikując zdjęcia na Instagramie] mogę mieć kłopoty, bo naruszyłam czyjąś prywatność. Proszę bardzo, jeśli ktoś czuje się pokrzywdzony, zapraszam do sądu.

– W tym czasie wszyscy ci, którzy komentowali zachowania Ani, na ogół wiedzieli tylko, że jest chora. Nie zdawali sobie sprawy, jak to poważne. Tak ich próbuję tłumaczyć – mówi dziś Gosia Rudowska. – A ja widziałam śmiertelnie chorego człowieka, który walczy o tę ostatnią część siebie. W takim momencie miałam jej tego zabronić? Z troski o *image*? Ania potrzebowała wykrzyczeć się, wyładować złość, wściekłość. Nie było mowy o budowie jakiegoś wizerunku. Był bardzo chory i bardzo wkurzony człowiek. Po prostu.

Kiedy Cezary Pazura zobaczył w telewizji program Lisa o tym, co paparazzi robią z życiem Ani, zagotował się. – Skakałem po całym domu i darłem się: „Jakim prawem jakieś bydlaki stoją i pasą się jej chorobą?! Nie wiem, władze miasta, ktokolwiek. Powinni zasieki przed

jej domem zrobić. Gonić z pałami. Ale nikt nic nie zrobił. Policja? Nie ma prawa. Straż miejska? Nie wolno. Kiedyś pewien policjant powiedział do mnie: „Panie Cezary, a co my mamy zrobić? Kiedyś wziąłbym takiego szczura nad Wisłę, bym mu dupę pałą sprął, to by się więcej nie pokazał. A teraz on pobiegnie do sądu, mnie wyrzucą z pracy, emeryturę stracę, na cholerę mi to? A niech sobie pan wynajmie ochroniarzy.” I co, Ania miała wynajmować ochroniarzy? Bezradna, chora kobieta? A kiedy zaczęła jeszcze wrzucać do sieci zdjęcia tych bydlaków, którzy ją codziennie molestowali, to jeszcze zaczęli ją hejtować! Straszne. To była porażka ludzkości w pigułce.

Pazura wie, o czym mówi. Sam miał poważne przejścia z paparazzimi. – Pamiętacie to zdjęcie w tabloidzie, jak skopałem zad jednemu z nich? Komputerowo wymazali mu torbę i aparat. Jeden mnie prowokował, a drugi czekał, żeby zrobić zdjęcie. A potem we dwóch chcieli mnie bić. To było kilka dni przed moim ślubem. Mówię: „Dobra, bijemy się, ale na śmierć, OK? Ale już. Ja tam mogę być posiniaczony na weselu, ale żyły wam poprzegryzam.” Uciekli. Innym razem opublikowali mnie bez majtek, nad jeziorem. Mam tam działkę, piętnaście hektarów. Sporo miejsca, ale i tak mnie „chwycili”, chociaż schowałem się za beczką. I jeszcze powiedzieli, że własne dzieci molestuję. Myślałem, że oszaleję z bezsilności. Oni naprawdę potrafią zniszczyć człowieka.

## Jesteś diabłem

W styczniu 2014 roku firma Play proponuje Ani udział w swojej reklamie. Rudowska nie zostawia zbyt wielu złudzeń: Ania jest chora, raczej nie przyjmuje nowych propozycji. Ale oczywiście zapyta. I tu niespodzianka. Ania deklaruje od razu:

– Chcę grać!

Menedżerka, ale i najbliższa przyjaciółka próbuje oponować: – Przecież nie czujesz się dobrze. Jest sens się teraz pokazywać? Przecież wciąż trwa terapia.

– Praca dobrze mi robi – Ania nie daje się przekonać.

Żeby być *fair* wobec kontrahenta, dziewczyny proponują spotkanie w Sopocie w hotelu Mera Spa – żeby ludzie z Playa na miejscu przekonali się, w jakim stanie jest Ania, i świadomie podjęli decyzję: chcą tej reklamy czy rezygnują.

– Spotkałam się z Anią dzień wcześniej i – powiem szczerze – słabo to wyglądało. Nie byłam pewna, czy w ogóle dojdzie do spotkania – wspomina Rudowska. – Z przedstawicielkami Playa mieliśmy się spotkać w sopockim hotelu Mera. Ania wcześniej miała wizytę w szpitalu. Kolejna chemia albo naświetlania, nie pamiętam. Prosto stamtąd miała przyjechać do Sopotu. Czekałam na nią na parkingu. Podjechała i... Trzeba było widzieć tę scenę. Wysiadła wystrojona, wymalowana, w kapeluszu. Wyglądała przecudownie. „Ty jesteś po prostu diabłem” – podsumowałam wtedy.



Ania z Barbarą Kurdej-Szatan i Maciejem Łagodzińskim na planie reklamy dla marki Play

Ania oczarowuje panie z Playa swoim luzem. Niczego na temat swojej choroby przed nimi nie ukrywa. Opowiada nawet o chemii, naświetlaniach i zastrzykach, które musi sama sobie aplikować. Przedstawicielki firmy sugerują, że Play może zorganizować zdjęcia w Trójmieście. Ale Ania nie chce o tym słyszeć.

– Przyjadę do Warszawy – ucina.

Sesja odbywa się w marcu. Akurat w kilkutygodniowym okresie, gdy czuje się znacznie lepiej. Zanikają dolegliwości związane z terapią. Wygląda zjawiskowo.

– Kiedy patrzyłam na nią, jaka jest szczęśliwa, pełna energii, jak wzmacnia ją powrót do pracy, ogarnęły mnie wyrzuty sumienia – opowiada Rudowska. – Przecież odradzałam Ani udział w tej kampanii. Nie chciałam, żeby się przemęczała, a tymczasem praca była jej po prostu niezbędna. Znowu była... taka jak zawsze. Szczuplejsza, ale zjawiskowo piękna, wyjątkowa.

Pierwszy dzień zdjęciowy upływa bez problemów.



Drugiego muszą jednak skończyć wcześniej. Ania znów źle się poczuła.

## Najpiękniejszy

„Dobry wieczór, państwu, dobry wieczór, Piotrze. Możesz się troszeczkę tak teraz przesunąć ze sceny?” – mówi na nagraniu Przybylska. „Oczywiście bardzo gratuluję ci wygranej, uważam, że absolutnie zasłużyłeś na tę nagrodę. Chociażby dlatego, że masz zgrabne nogi. Wiem, widziałam. A teraz tak zupełnie na poważnie... Zanim podziękuję za swoją wygraną, chciałam się z państwem podzielić taką refleksją, że ten plebiscyt jest dla mnie trochę taki... niezrozumiały. Trudno jest porównać ludzi z różnych branż, mam na myśli sportowców, dziennikarzy, aktorów, prezenterów. I zawsze się zastanawiam, czym państwo się kierujecie, kiedy głosujecie w plebiscycie. Chyba wspólny mianownik jest taki, że jest to przede wszystkim wyraz ogromnego szacunku i sympatii. I ja za ten ogromny szacunek i sympatię państwa bardzo, bardzo, bardzo gorąco dziękuję. Jest mi trochę przykro i smutno, że nie mogę być z państwem, że nie mogę przytulić teraz Piotra tak personalnie, osobiście. Ale czynię to mentalnie i na odległość, proszę mi w to wierzyć. Życzę państwu oczywiście udanego wieczoru. Piotruś... Mam gorącą prośbę, żeby odebrał również moją statuetkę. Bardzo dziękuję”

Na koniec Ania przesyła wszystkim buziaka.

•

Organizatorzy przeróżnych plebiscytów mają z Anią problem. Wiedzą, że nawet jeśli wygra, i tak nie przyjedzie na galę. A co to za gala, na której nie pojawia się laureat, nie wychodzi na scenę, nie odbiera statuetki? Zdarzało się i tak, że organizatorzy dostawali informację, że Ania na pewno się pojawi – dopiero wtedy ogłaszali, że to ona jest laureatką – ale potem aktorka i tak nie dociera na finał, wykręcając się

dzień przed galą byle pretekstem.



Kadr z filmiku, który Ania nagrała na początku 2014 roku specjalnie na galę Viva! Najpiękniejsi 2013



Taką okładką „Viva!” wyróżniła „najpiękniejszych roku 2013”

Kiedy Ania jest już chora, dowiaduje się, że wraz z Piotrem

Adamczykiem została laureatką plebiscytu „Viva! Najpiękniejsi” Jest luty 2014 roku. Gosia Rudowska odbiera telefon z informacją, że Ania wygrała. Od razu mówi, że to bardzo miłe, ale Ania na pewno nie pojawi się na gali. Cała Polska mówi już wtedy o jej chorobie, ale nie wszyscy do końca wierzą i wiedzą, co się tak naprawdę dzieje. Organizatorzy plebiscytu proszą, by mogli przynajmniej przyjechać do Gdyni i nagrać kilka słów od Ani. Zgoda. Ale nie w domu. Więc hotel w pobliżu? Niech będzie.

– Czuła się już źle i brała silne leki przeciwbólowe, ale wciąż wolała wyjść na zewnątrz, niż wpuścić ekipę do domu. Do końca broniła swojej oazy prywatności. To była granica nie do przekroczenia – podkreśla Rudowska.

Kiedy pojawia się ekipa z „Vivy!”, Ania jest w słabej formie, nagranie trzeba powtórzyć kilka razy. Później, już podczas gali, goście i widzowie oglądający Anię dziękującą czytelnikom „Vivy!” nie mieli wątpliwości, że aktorka jest ciężko chora. Zaraz po transmisji rozdzwonił się telefon Rudowskiej – ludzie współczuli, niektórzy proponowali pomoc. Ania jest szczególnie wdzięczna Jolancie Pieńkowskiej i Leszkowi Czarneckiemu.

Tylko dziennikarze tabloidów wciąż zdawali się ślepi: „Jak zawsze wyglądała znakomicie. Co więcej, wciąż wrzuca do internetu swoje zdjęcia, na których możemy podziwiać jej urodę oraz wyćwiczone ciało i zobaczyć, jak świetnie sobie radzi” – pisał „Super Express”<sup>[109]</sup>.

– Ania nie lubiła tych wszystkich plebiscytów, rankingów. Krępowwały ją tego rodzaju zaszczyty, czasami śmiała się z tych często dziwacznych zestawień – opowiada siostra Ani. – Nie mogła zrozumieć na przykład, jakim cudem w plebiscycie jednej z gazet wśród kandydatów do wygranej była ona i Władysław Bartoszewski. „Jak to – ja i on w jednym worku? Przecież to bez sensu” – dziwiła się.

Ania tak to tłumaczyła w jednym z wywiadów: – Ale za co są te nagrody? Gdyby dostawało się je za wybitną kreację aktorską, to rozumiem. Ale ja nie wiem, jakie są kryteria oceny. Wychodzisz potem na scenę, kłaniasz się, dziękujesz. Ale statuetka „Złotego śledzia” czy „Srebrnego żuka” nie czyni cię wcale szczęśliwszą<sup>[110]</sup>.

•

Mimo choroby Ani współpraca z Garnierem trwa zgodnie z umową, farba do włosów świetnie się sprzedaje, dosłownie znika z półek. Okazuje się również, że z wizerunku Ani chce jeszcze skorzystać aż dziewięć europejskich państw, że ze wszystkich ambasaderek marki (każda nagrywa materiał reklamowy według identycznego scenariusza, zmienia się tylko twarz i głos w reklamie), to Ania ma największe wzięcie.

Ale pod koniec wiosny 2014 roku, kiedy zbliża się półmetek dwuletniego kontraktu, Przybylska z Rudowską postanawiają, że poproszą L'Oréal o przerwanie współpracy już po pierwszym roku. Powód jest oczywisty – Ania coraz częściej źle się czuje, wie, że nie będzie w stanie spełnić warunków umowy przez kolejne dwanaście miesięcy. Dziękuje więc za to, że koncern pozwolił jej dokończyć choć jeden rok kontraktu, przeprasza za zaistniałą sytuację i mówi otwarcie, że już dłużej nie da rady.

Ale L'Oréal decyduje, że będzie czekać na powrót Ani do zdrowia i nie zamierza zostawić swojej ambasadorki w trudnym momencie. Ostatecznie nie dochodzi do przerwania kontraktu i Garnier zostaje z Anią do końca jej życia.

## Pozdrawiam z zaświatów

Media, nazywane pobłaźliwie „plotkarskimi”, w końcu przestają czyhać tylko na zdjęcia chorej Ani Przybylskiej. Zaczynają się przygotowywać na jej śmierć. Już pod koniec 2013 roku, niespełna pół roku po zdiagnozowaniu choroby, rozpoczyna się makabryczny wyścig: kto poinformuje o tym jako pierwszy.

Gosia Rudowska: – Pamiętam pewien mecz koszykówki. Podszedł do mnie zaprzyjaźniony dziennikarz radiowy, blady jak ściana, i pyta, czy to prawda, że Ania Przybylska umarła. Zadzwonili do niego z redakcji, żeby potwierdził anonimową informację, którą dostali przez telefon. Mówię: „To przecież niemożliwe, dziś z nią rozmawiałam.” Ale pojawił się niepokój. Z trybun zadzwoniłam do Ani, odebrała. Nawet się trochę z tego pośmiałyśmy. „Jeszcze żyję, jeszcze żyję” – mówiła. – „Generalnie akurat mam się dobrze”

Ale takie anonimowe sygnały zaczynają się powtarzać. Do Rudowskiej co jakiś czas dzwonią znajomi dziennikarze. „Gosia, znowu ktoś wydzwania po redakcjach i mówi, że Ania nie żyje. Ja wiem, że to na pewno nieprawda, ale wiesz, muszę sprawdzić.” Nie jest to miłe, ale przynajmniej sprawdzają. Chociaż nie wszyscy wierzą w zaprzeczenia menedżerki. – Nie wiem, myśleli, że będziemy to ukrywać czy jak? – zżyma się Rudowska. – Trudno to zrozumieć.

# Ania Przybylska nie żyje

Anna Przybylska Ania Przybylska



CZWARTEK 17.07.2014

Lubię to! 41

## SPROSTOWANIE

Anna Przybylska Ania Przybylska sprostowanie

### Sprostowanie

Zespół Pudelek.pl bardzo przeprasza Annę Przybylską i jej najbliższych za publikację nieprawdziwej informacji, która została opublikowana w artykule: "Ania Przybylska nie żyje"

Pełna wersja oświadczenia menadżerki Pani Anny Przybylskiej dostępna jest pod adresem: <http://www.aniaprzybylska.com/>

Z poważaniem,  
Zespół Pudelek.pl

Najpierw *fake news*, a kilka godzin później... sprostowanie

Któregoś dnia dostałam informację, że nazajutrz w dużym tabloidzie ma się ukazać tekst o śmierci Ani. Ja na to: „OK, niech opublikują, jestem gotowa. Przecież byłam pewna, że w końcu coś takiego może się



wydarzyć. Poprosiłam nawet naszego radcę prawnego o przygotowanie oficjalnego pisma, które wysłałabym do redakcji w takiej sytuacji. I o zaplanowanie całej procedury sądowej, którą bym natychmiast uruchomiła. Ania trochę to bagatelizowała, miała inne problemy na głowie. Poza tym prawie nikt nie wierzył, że ktoś ośmielił się coś takiego puścić. Ale ja wolałam być przygotowana. Wtedy jeszcze tamta gazeta nie opublikowała artykułu o śmierci Ani. Sytuacja się uspokaja. Ale na krótko.

W środę 16 lipca 2014 roku jeden z portali nie sprawdził u źródła swoich informacji. Na stronie Pudelek.pl pojawia się informacja: „Ania Przybylska nie żyje”

Rudowska: – Nagle ktoś dzwoni, że na Pudelku pojawiła się informacja o śmierci Ani. Natychmiast siadłam do komputera, znalazłam ten tekst i zrobiłam screeny na potrzeby sądu. Potem zadzwoniłam do Ani. „A, to dowiem się przynajmniej, jak umarłam” – skomentowała. Na początku nie dotarło do niej, co oznacza taka informacja. A przecież Oliwia była akurat na obozie sportowym. „Dzwoń do niej natychmiast, bo jeszcze tam ktoś do niej podejdzie i powie, że jej mama nie żyje” – powiedziałam. Ania zadzwoniła, porozmawiała z córką. Ale co dziecku powiedzieć? „Wiesz, piszą w internecie, że umarłam, ale to nieprawda, nie przejmuj się”

Wkrótce rozdzwonił się telefon Ani. A potem jej najbliższych. Składano kondolencje, ale też najróżniejsze redakcje zaczęły prosić o precyzyjne informacje, komentarze, wywiady.

Do Jarka dzwonią między innymi z popularnego tabloidu. Rozpoznaje numer, mówi do Ani: „Pewnie to w tej sprawie?” „Daj, odbiorę” – odpowiada. Odzywa się w słuchawce swoim charakterystycznym głosem. Po drugiej stronie długa cisza. Potem niepewne: „Pani Ania?” „Tak, to ja. Pozdrawiam z zaświatów”

Gosia Rudowska: – A ja usiadłam do maila i do Pudelka wysłałam przygotowane wcześniej przez prawnika pismo. To zresztą było ciekawe doświadczenie – bo jak chcesz się z takim portalem skontaktować, trudno jest znaleźć autora tekstu, redaktora naczelnego, ich adresy mailowe. Nie masz naprzeciwko konkretnego człowieka, wszyscy są anonimowi. Na stronie jest tylko adres do korespondencji donosy@pudelek.pl. No więc na ten adres wysłałam nasze pismo.

Po pewnym czasie ktoś zadzwonił do mnie z nieznanego numeru. „Dzień dobry, mówi Iksiński z Pudelek.pl, chciałem bardzo przeprosić za tę tragiczną pomyłkę.” Odpowiedziałam: „Wie pan co, proszę zajrzeć na maila. To nie była tragiczna pomyłka, to było kurestwo. A teraz wypierdalać!!!” Z całą pewnością była to bardzo nieprofesjonalna reakcja. Do dziś jestem z niej bardzo dumna.

Ta historia zakończyła się sprawą sądową, Anię reprezentował mecenas Roman Giertych. Wyrok zapadł już po jej śmierci. Każde z dzieci Ani dostało po sto tysięcy złotych zadośćuczynienia.

## New York, New York

Gdy człowieka dopada ciężka choroba – prawdopodobnie śmiertelna – walczy do końca, próbuje różnych dróg, eksperymentalnych kuracji. Chwyta się każdej szansy. Ania też tak robi. Jeśli nawet statystyki mówią, że nie ma wielkich szans na pokonanie choroby, może choć marzyć o odwlekaniu nieuchronnego. Kilkukrotnie jeździ do Szwajcarii. Trzy razy leci też do Ameryki. Jeden z tych wyjazdów, wiosną 2014 roku, łączy z realizacją swojego wielkiego marzenia. Chce poznać Nowy Jork. Ale nie ten turystyczny, z folderów: Central Park, MOMA, Metropolitan Museum... Chce poczuć miasto, jego puls, roztopić się w nim na chwilę, uciec od ciekawskich spojrzeń, paparazzich. Zapomnieć o bólu, o strachu. Zadziierać głowę i pozwalać oślepić się słońcu wyglądającemu zza drapaczy chmur. Marzyć.

– Planowaliśmy ten przyjazd Ani bardzo długo – opowiada Dorota Sekulska z firmy Coty, która od kilku lat pracowała w nowojorskiej centrali firmy. – Była tu przy okazji promocji filmu *Rh+*, ale wtedy ledwie „liznęła” miasto. Chciała tu wrócić na spokojnie i po prostu powłóczyć się ulicami Manhattanu. Miały z Gosią Rudowską całymi rodzinami przyjechać już latem 2013 roku, ale wtedy dowiedziała się, że jest chora... Ostatecznie dotarła do mnie wiosną rok później. Spędziłyśmy razem tydzień. To był czas świąt wielkanocnych, więc miałam mniej pracy.

Po mieście poruszają się najczęściej pieszo albo komunikacją publiczną – głównie metrem. Niby nic niezwykłego, po Nowym Jorku najwygodniej podróżuje się koleją podziemną, nie stronią od tego nawet gwiazdy. Ale Ania czerpie z tych podróży autentyczny *fun*. Najbardziej cieszy ją anonimowość. Może czuć się naprawdę swobodnie.



Ania w Nowym Jorku, wiosna 2014 roku

Do czasu. Pewnego dnia dziewczyny wybierają się promem na Brooklyn. Kiedy spacerują po dzielnicy, którą uwiecznił w swoich powieściach Paul Auster, Anię rozpoznaje grupa Polaków. Zaczynają robić zdjęcia, zaczepiają. Dziewczyny szybko muszą się ewakuować. Na piechotę przekraczają Brooklyn Bridge. Ale Ania nie ma dość. Chce jeszcze obejrzeć nowe World Trade Center.



Na Moście Brooklińskim...



...i w zwykłej nowojorskiej pralni

– Nikt, patrząc na Anię, nie powiedziałby wtedy, że jest chora. Spacer przez całą 5th Avenue aż do Central Parku – proszę bardzo – śmieje się Dorota Sekulska. – To ja miałam problem, żeby za nią nadążyć. Po drodze zatrzymałyśmy się w zwykłym Deli, żeby kupić wodę. Poszłam poszukać lodówki, a Ania została przy kasie i rozmawiała po polsku przez telefon. Sprzedawcy i kilku klientów, myśląc, że nie rozumie, zaczęło się zachwycać jej urodą i obstawiać, skąd jest. Zastanawiali się, jak do niej zagadać. Ale ona sama do nich zagadała. Kiedy wróciłam do kasy, już śmiali się razem.

Ulubionym miejscem Ani w Nowym Jorku stał się park Waszyngtona, ten z filmu Agnieszki Holland. Cudowne miejsce z pierzeją dziewiętnastowiecznych domów (jak na Nowy Jork to prawdziwa starówka), trawnikami, na których piknikują studenci pobliskiego uniwersytetu, i wmontowanymi w bruk szachownicami zachęcającymi do gry. Przesiadwały tam z Dorotą godzinami. Korzystając z pierwszego ciepłego weekendu w roku, zrobiły sobie nawet piknik. Ania w parku tropiła też... pudle. Koniecznie chciała zrobić zdjęcie jednemu z nich i wstawić na Instagram z pozdrowieniami dla „pudelka”, który cały czas próbował ją wyśledzić. Ania cieszyła się, że w końcu wymknęła się plotkarskim psom gończym.

Jak zwykle uwielbia jeść. Więc Dorota dostarcza jej kulinarnych atrakcji. Tuż po lądowaniu w restauracji Spotted Pig na West Village jedzą słynny *chicken liver toast*. Potem Ania usypia nad hamburgerem – *jetlag* działa. Żeby trochę ją rozbudzić, barmani robią specjalnie dla Ani Cosmopolitan, chociaż ulubionego drinka bohaterek *Seksu w wielkim mieście* nie mają akurat w karcie.

Potem w niewielkiej, ale popularnej restauracji The Hudson Clearwater w Greenwich Village Ania zachwyca się sernikiem z owocami leśnymi, a w The Lantern (na Brooklyn Heights) – zielonym curry. W Brooklyn Ice Cream Factory zjada przepyszne – nawet jak na nowojorskie standardy – lody.

Śniadanie wielkanocne dziewczyny jedzą w Penelope przy Lexington Avenue. Chociaż restauracja chwali się, że „karmi jak u mamy”, nie jest to typowe wielkanocne śniadanie. W Nowym Jorku raczej trudno

znaleźć lokal, w którym serwowano jajka w majonezie i żurek z białą kiełbasą, zwłaszcza przed południem. Ania zjada więc górę gofrów i nie ma potem nawet siły na lunch.

Pod koniec pobytu w Nowym Jorku do Ani dołącza Jarek. – Strasznie się cieszyła, spała cały dzień, żeby mieć siłę pojechać po niego na lotnisko – opowiada Dorota. – Zrobiłyśmy mu niespodziankę, była najszczęśliwsza na świecie.

Wspólnie z lotniska jadą na ucztę do Pecking Duck House. Ale nie zamawiają tylko słynnej tam kaczki w pomarańczach. Biorą wszystkiego po trochu i dzielą się, by spróbować jak najwięcej.

Prawie zawsze kulinarne wybory Doroty trafiają w dziesiątkę. Tylko raz jest inaczej. Zaraz na początku 5th Avenue znajduje się restauracja HuKitchen słynna ze zdrowej (ale też smacznej – zaznacza Dorota) kuchni. Jednak Ania nie znajduje w menu nic dla siebie. Jak dla niej – oświadcza – to wszystko jest „za zdrowe”. Więc na ostatni posiłek na Manhattanie i pożegnalną pizzę idą do Eataly.

– Jest taki zwyczaj, że w drugi dzień świąt ludzie wychodzą tu na ulice w dziwnych kapeluszach na głowie, przyozdobionych jajkami, zajęciami, innymi cudami – opowiada Dorota Sekulska. – Ani strasznie się to podobało, kręciła tego dnia mnóstwo filmików komórką. Ale długo tam nie zostaliśmy. Ania bała się tłumów. Wiele mówiło się w tym czasie o zagrożeniu terrorystycznym. Na nią to działało.

Chyba że chodziło o sklep z zabawkami. W tych ogromnych sklepach, w których – jak się zdaje – są zgromadzone wszystkie zabawki świata, nie przeszkadzało jej przepychanie się wśród klientów. Zachowywała się jak rozbrykana pięciolatka.

– Biła z niej radość życia. I kupowała, kupowała, kupowała... Dla swoich dzieci, dla dzieci przyjaciół...

•

Spaceru spacerami, ale Ania przy okazji zrobiła też rewolucję w... mieszkaniu Doroty. – Drugiego dnia po jej przylocie obudziły mnie rano podejrzaną łomoty. Było bardzo wcześnie – pewnie piąta rano. Zrywam



się, lecę do kuchni, a tam Ania stoi na krześle i wyjmuję z szafek dosłownie wszystko. Stwierdziła, że każdą rzecz ustawiałam niefunkcjonalnie, a poza tym „wszystko jest niedomyte i zakurzone”. Więc po kolei wyjmowała każdy talerz, każdy kubek, myła, a potem ustawiała po swojemu. Przy okazji musiałam wysłuchać, dlaczego właśnie tak będzie lepiej.

Dorota przyznaje, że sprawdziły się te nowe porządki. Nie tylko w kuchni, bo Ania szybko zabrała się za kolejne pomieszczenia. Obroniła tylko swoją sypialnię. Za to musiała się zgodzić na znaną przez Anię panią do sprzątnia.

– Spotkały się w pralni – opowiada Dorota. – Na Manhattanie zwykle w mieszkaniach nie można mieć pralek, jest za to mnóstwo publicznych pralni. Ja akurat mam taką na dole, w tym samym budynku. Ania spędziła w niej mnóstwo czasu, strasznie jej się tam podobało. Prała swoje rzeczy, moje rzeczy, firany, zasłony – wszystko. I tam właśnie zgadała się z pewną Polką, która sprzątała już jedno z mieszkań w moim budynku. Któregoś dnia siedzimy w moim mieszkaniu i nagle ktoś puka. Ja zdziwiona, a Ania: „O Jezu, zapomniałam ci powiedzieć, że panią ci znalazłam do sprzątnia, pewnie właśnie przyszła”. I w tym wypadku dobrze wybrała.

## Jak tylko wyzdrowieję...

Wciąż planuje podróże – duże i małe. Marzy, że na rok oderwie się od wszystkiego i wyruszy z rodziną dookoła świata. „Niech tylko Bieniuk skończy karierę, niech ja będę zdrowa, to spakujemy dzieci i wyjeżdżamy. Że stracą rok edukacji? Trudno. Co to znaczy rok wobec całego życia. A ile świata poznają, ile zobaczą. Inne kultury, kuchnie, wszystko”

– Nawet kiedy leżała już w gdańskim szpitalu, wciąż snuła wizje podróży. „Mamuś, jest tyle pięknych miejsc w Polsce, a my ich nie znamy” – mówiła. „Zakopane, Kraków. Jak tylko wyzdrowieję, na pewno z dziećmi tam pojedziemy”. Miała przy sobie taki złoty notes, w którym zapisywała, które miejsca koniecznie musimy odwiedzić. Nawet niedawno udało mi się go znaleźć w domowych szpargałach. Nie było jej dane, więc teraz ja staram się, jak tylko mogę, zabierać wnuki we wszystkie te miejsca, gdzie mieliśmy jechać razem. Pakujemy się do samochodu i jedziemy – dopóki jeszcze mogę.

Do Stanów wraca jeszcze w czerwcu 2014 roku. Tym razem lecą całą rodziną. Ania z dziećmi ma zostać na dłużej, nawet kilka miesięcy. Jeszcze wiosną zakwalifikowała się do eksperymentalnego programu leczenia raka – tyle ma potrwać terapia. Jest pełna nadziei, że to może być jej wielka szansa. Niestety, ostatnie badania przeprowadzone już na miejscu wykazują znaczne pogorszenie stanu zdrowia Ani. W ostatniej chwili wypada z programu. Dramatycznie to przeżywa. Umiera w niej ostatnia nadzieja. Uznaje, że już nie ma dla niej szansy. Pozostaje tylko wrócić do Polski.

– Wyszliśmy po nią na lotnisko, baliśmy się o jej stan. Podczas rozmów telefonicznych bardzo płakała – wspomina Rudowska. I dodaje: – Całkiem niedawno dowiedziałam się, że cały ten program okazał się fiaskiem, terapia nie przynosiła efektów.

Wcześniej jeszcze, przed Stanami, Ania myśli o Chinach i tamtejszych tradycyjnych terapiach. Zawsze jednak wygrywał inny pomysł.

A w końcu na wyprawę do Chin było już za późno.

Na początku lipca stan Ani bardzo się pogarsza. Trafia do szpitala, by można było jej założyć aparaturę do znieczulenia zewnątrzoponowego. Potem karetka przewozi ją do gdańskiego Hospicjum im. księdza Dutkiewicza. Ale na krótko. Następnego dnia decyduje, że chce wrócić do domu.

## Na kawie z Panem Bogiem

Całe życie kochała wycieczki rowerowe. Zawsze jeździła dużo i chętnie, sama i z dziećmi. Najczęściej wzdłuż brzegu morza, do Sopotu i dalej. Wiatr, zimno, deszcz? „Nie mówcie, że nie ma pogody. Pogoda na rower jest zawsze” – powtarzała.

Nawet w chorobie nie chce rezygnować ze swojej pasji. Choć bywa to niebezpieczne. Wiosną 2014 roku dochodzi do wypadku. W jadącą rowerem Anię, już niedaleko domu w Orłowie, uderza samochód. Przybylska przelatuje przez maskę, na szczęście ma kask. Kończy się na strachu i potłuczeniach. Ale Ania traktuje to wydarzenie jak... dobrą wróżbę. – Jakbym miała umrzeć, tobym teraz zginęła – stwierdza. – A jeśli wyszłam z tego cało, to...

Jeszcze tydzień przed śmiercią wyciąga mamę i ciotkę Elę na spacer do rybnej restauracji. Przerażonym kobietom oświadcza: „A ja pojedę tam rowerem.”

Może chce wszystkim i sobie jeszcze coś udowodnić? Siada na siodełku, próbuje jechać, ale jest ciężko. Zbyt ciężko. Dalszą drogę prowadzi rower, a raczej opiera się na nim.

Jeszcze kilka miesięcy wcześniej Ania jeździła rowerem z Orłowa aż do Brzeźna, nadmorskiej dzielnicy Gdańska, na spotkania z niedawno poznanym księdzem. Miała potrzebę wyspowiadania się. Szukała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać, przedyskutować sprawy, które jej ciążyą. Pomaga Benek, drugi mąż mamy. Zawozi ją któregoś dnia do znajomego księdza, do Brzeźna właśnie. Rozmawiają najpierw we trójkę, potem Ania i ksiądz zostają sami. Spowiada się, potem utrzymuje z nim stały kontakt. W jednym z ostatnich wywiadów dla „Vivy!” stwierdza, że „poszła z Panem Bogiem na kawę”<sup>[111]</sup>.

W ostatnich miesiącach życia Ania znów zaczyna chodzić do kościoła. Gdy jest już bardzo słaba, prosi czasem, by zawieźć ją tam na wózku. Nie ma żadnych oporów, by pokazywać się w nim publicznie. Zresztą, prawie nikt jej wówczas nie rozpoznaje. Zagląda też do orłowskiego

klasztoru, siostry elżbietanki uczą ją odmawiać różaniec. W domu, w salonie stawia krzyż, a przy nim zdjęcie swojego taty. „Jeszcze mnie nie zabieraj, tato, jeszcze nie jestem gotowa...” – mówi czasami, patrząc na fotografię.

– My przed sobą grałyśmy – opowiada mama Ani. – Przez cały ten czas w ogóle nie rozmawiałyśmy o śmierci. Raz tylko, kiedy razem leżałyśmy na łóżku, zapytała mnie: „Mamuś, a co będzie z dziećmi?”. Odpowiedziałam: „Słuchaj, dziecko. Na razie to ty musisz Jaśka wysłać do nowego przedszkola, zorganizować mu tort, bo zaraz ma urodziny. Niedługo Szymon idzie do komunii, trzeba go przygotować... Myśl o tym, dziecko, na razie nic złego się nie dzieje”. Odpowiedziała tylko: „Masz rację”.

Jest w niej potrzeba poukładania do końca wszystkich spraw. Spisuje testament. Ale nie chodzi tylko o to. W rozmowie z mamą mówi pewnego razu: „Wiesz, jak coś, to przynajmniej Dominik będzie mógł wziąć ślub kościelny”. Myśli i o tym, że jej pierwszy – formalnie jedyny – mąż zostanie teraz wdowcem.

Ale wciąż chce walczyć. Stara się, by choroba nie odebrała jej tego, co kocha. Czasami chodzi o drobiazgi. Uwielbia sprzątać, porządkować rzeczywistość wokół siebie, więc mimo choroby robi to, jak długo może. Potrafi wyrwać się z drzemki tylko po to, by rozpakować zmywarkę i wrócić do łóżka. Sprząta też wtedy, kiedy w nocy nie może spać. Sprzątanie zawsze ją relaksowało. Teraz myśli, że skoro wciąż ma siłę, by sprzątać, wciąż może jeszcze walczyć. Nawet w szpitalu, do którego trafiła latem 2014 roku.

– Do jej pokoju weszła pani, żeby łazienkę posprzątać – opowiada mama Ani. – Kobieta krząta się, jak potrafi, czyści, szoruje, a Ania patrzy. W końcu nie wytrzymała. „Przepraszam, czy mogę?”. Wzięła od niej szmatę, środki czystości i sama wysprzątała całą łazienkę. Wcześniej jednak zamknęła drzwi, żeby nie robić tej pani przykrości, że ją pacjentka uczy sprzątania.

Anię w Gdyni odwiedza od czasu do czasu pani Basia. Sprząta wtedy dom, „jak tylko ona potrafi”, pomaga w zakupach. I obserwuje codzienną walkę Ani z chorobą. – Jeszcze we wrześniu wszystko planowała, załatwiała, działała. Już była bardzo słaba, ciężko jej było samej chodzić, mówiła więc: „Barbara, weźmy wózek i jedziemy do Ikei. Muszę jeszcze

kupić to i tamto, żeby w domu niczego nie brakowało”. Innym razem jechałyśmy do sklepu po ciuchy dla dzieci. Nie wiem, skąd w niej się ta siła brała. Ja bym pewnie w takiej sytuacji siedziała w kącie i płakała. A ona wciąż działała.

## Nie będzie

W czasie choroby Ania – to akurat jak chyba wszyscy chorzy – ma zachcianki, często w środku nocy. Na budyń, na ryż. – „Zrób mi, mamuś taki z jabłkami, taki jak mi zawsze robiłaś”. I tak sobie czasami gotowałyśmy do czwartej nad ranem – wspomina mama Ani.

W tych ostatnich miesiącach raczej rzadko spotyka się z przyjaciółmi. Ci najbliżsi deklarują, że zrobią wszystko, stawią się natychmiast, jeśli tylko będą potrzebni. Ale wyczuwają, że na razie nie są. Że chorej lepiej zostawić jak najwięcej spokoju.

– Dziesięć lat wcześniej na raka trzustki zmarła Daria Trafankowska – wspomina Kasia Bujakiewicz: – Zapamiętałam dobrze, co mi powiedziała, gdy do niej zadzwoniłam z propozycją, że odwiedzę ją w szpitalu. „Błagam cię, nie. Mam wrażenie, że ostatnio nie robię nic innego, tylko pocieszam tych wszystkich ludzi, którzy odwiedzają mnie i płaczą nade mną”. Dlatego gdyby Ania tylko zechciała, przyjechałabym natychmiast. Czułam jednak, że woli, gdy tego nie robię. Dzwoniłam do niej oczywiście, opowiadałam jakieś głupoty z planu, anegdoty. Żeby choć przez chwilę myślała o czymś innym.

Jeśli spotyka znajomych z branży, to raczej tylko przez przypadek.

– Ostatni raz widzieliśmy się o tu, niedaleko, za rogiem – opowiada Andrzej Piaseczny, gdy rozmawiamy w restauracji hotelu Sheraton w Sopocie. – Była wiosna. Wpadliśmy na siebie przypadkiem (Piaseczny na chwilę zawiesza głos, próbuje walczyć ze wzruszeniem). Oczywiście wiedziałem, co się dzieje. Ale mało kto z nas ma tę umiejętność, że gdy staje oko w oko z człowiekiem, którego dotyka choroba, potrafi powiedzieć mu coś mądrego. No bo cóż mądrego można powiedzieć? Że „będzie dobrze”? Nie wiem, co wtedy powiedziałem. Pewnie coś podobnego, bo zapamiętałem odpowiedź. Ania popatrzyła na mnie tak smutno i powiedziała po prostu: „Nie będzie”.

Po śmierci Ani na koncertach znów zaczął śpiewać piosenkę *Pogodniej*. Znają ją wszyscy, choć niekoniecznie pod tym tytułem.

Przez lata towarzyszyła napisom końcowym kolejnych odcinków *Złotopolskich*. Śpiewa ją do dziś. Zawsze wcześniej opowiada publiczności o Ani. O tym, że była absolutnie wyjątkowa. Banał? Nie, a najlepszy na to dowód, że zawsze, gdy o niej myśli, nie może powstrzymać się od uśmiechu. „Bo Ania była osobą, która skłaniała ludzi do śmiechu. To prawdziwy dar. Taka zwykła niezwykłość”

Zapowiedź piosenki *Piaseczny* kończy zawsze słowami „Dla Ciebie, Aniu” – A potem zostają z nią na scenie sam.

– Do końca w głębi ducha liczyłem, że wysmyrnie się z tego – mówi Paweł Wawrzecki. – Przecież to była nasza Ania...

W jednym z wywiadów po śmierci Ani powiedział jeszcze: „Pan Bóg dał jej wszystko, poza czasem” – Całe życie była w biegu, spieszyła się. Jakby wiedziała, że nie zdąży, że ma za mało czasu – dodaje, gdy mu to przypominamy.

Kasia Bujakiewicz: – Dziecko szczęścia, tak ją nazywałam. Do końca miałam nadzieję. Bo trzeba mieć nadzieję. Przez lata działalności w Drużynie Szpiku dotknęłam zdarzeń, które wymykały się medycynie. Spotkałam ludzi, którzy powinni już nie żyć, a pokonywali raka. I Ania... Myślałam często, że właśnie ona pokona nowotwór trzustki, żeby pokazać wszystkim innym, że można. Jeszcze we wrześniu zaniosiłam ostatnie wyniki Ani do znajomego onkologa. „Daj mi cokolwiek, jakąś iskierkę chociaż” – prosiłam. Przejrzał dokumenty i odrzekł: „Kasiu, przykro mi, ale to kwestia dwóch tygodni”. Nie pomylił się ani o dzień.



## Jakim człowiekiem trzeba być

Gosia Rudowska: – Siedziałyśmy w samochodzie na naszej Polance Redłowskiej, musiał być już wrzesień. Ciepło, słonecznie, ale Ania ubrana grubo, w czapeczce. Wtedy już stale było jej zimno. Patrzyła na morze, pływające po Zatoce Gdańskiej żaglówki. W pewnym momencie rzekła: „Patrz, mnie nie będzie, a życie będzie toczyć się dalej. Pewnie ludzie będą mówili: Przynajmniej już się nie męczy. A wiesz, ja bym chciała się jeszcze pomęczyć, byle tylko żyć...”

Ostatni raz widziały się dzień przed śmiercią Ani. – Chyba czuła, że to już się zbliża. Ale była spokojna, nie płakała. Ja za to rozkleiłam się kompletnie, pierwszy raz przy niej. Zaczęłam tulić ją i łkać, że to takie niesprawiedliwe, że się nie mogę z tym kurestwem – tak powiedziałam – pogodzić. Głaskała mnie po głowie i mówiła: „Taka kolej rzeczy. Popatrz na te dzieci w hospicjach. Tam to jest dopiero dramat. Ja przynajmniej swoje przeżyłam, miałam świetne życie” I to mówiła osoba, która wiedziała, że właśnie umiera, rozumiecie to? Jakim człowiekiem trzeba być, by tak myśleć w takiej chwili?

## 15.18

– Czy matka może się przygotować na śmierć córki? Nie, ja wciąż nie jestem na to gotowa – mówi mama Ani. – Żaden rodzic nie powinien chować swojego dziecka. Nawet dziś, kiedy jestem w domu Ani, zawsze siadam tyłem do miejsca, w którym stało jej łóżko wypożyczone z hospicjum. Kiedyś się z tym uporam, ale jeszcze nie teraz.

Kiedy nadeszły ostatnie dni, czułam, że to już. Tak zwyczajnie, jak matka. W czwartek Agnieszka zabrała Anię na wózku i gdzieś pojechały. Nie było ich cztery godziny, a ja się denerwowałam. Komórek oczywiście nie odbierały. Okazało się, że pojechały tylko na lody, a potem Anię – jak nie ją – wzięto na zakupy. Po powrocie nakrzyczałam na nie, jak za ich młodszych lat.

W sobotę była przepiękna pogoda. Na zatoce odbywały się jakieś zawody żeglarskie. Nakryliśmy Anię kołdrą, kocem, włożyliśmy jej czapkę. Ania kazała nam patrzeć na słońce, wodę, na te żaglówki.

Wieczorem przyszła pielęgniarka z hospicjum. Zaczęła mnie namawiać: „Krysiu, idź do domu, odpocznij trochę”. Ale nie chciałam. Ania też mówiła: „Mamuś, proszę cię, nie idź”. Chyba też już to czuła. Poszłam nawet na chwilę do góry, chciałam chwilę poleżeć, ale zaraz zeszłam z powrotem. Musiałam przy niej być.

W niedzielę nad ranem pielęgniarka wychodziła na następny dyżur, zrobiłam jej kawę i kanapkę, wróciłam do Ani i zobaczyłam, że odchodzi. Jak ktoś to wcześniej już widział, to wie. Nosek się jej wyciągnął, ręce się zrobiły takie... inne. Oddech miała cichutki, łapała powietrze jak taki malutki ptaszek albo ryba, która szuka wody. Wyglądała jak mała śpiąca laleczka – już taka malutka, drobniutka. Siedzieliśmy przy niej z Jarkiem i Agnieszką. Jeszcze wstałam, wzięłam ją za rączkę i szepnęłam: „Dziecko, nic się nie martw, wszystko będzie dobrze”. Już nie odpowiedziała, tylko spod powiek popłynęły jej dwie łzy. Może mnie jeszcze usłyszała?

Umarła o 15.18.



# Dzięki, że byłaś

Po śmierci Ani w centrum Gdyni wystawiono księgę kondolencyjną. Każdy mógł się do niej wpisać.

Trzydzieści pięć lat to nie jest ten wiek. Za wcześnie, za młodo, za szybko.

Emilia, Jarek, Julia, Ola

•

Jest na świecie taki rodzaj smutku, którego nie można wyrazić słowami, nie można go nikomu wytłumaczyć. Osiada ciasno na dnię serca i tam tkwi.

Koleżanka szkolna Agnieszka

•

Ania jest – bo ciężko jest napisać, że była – inspiracją i wzorem do naśladowania dla wielu młodych kobiet, matek, takich jak ja. Swoim życiem pokazała, że w dzisiejszych czasach nie jest najważniejsza pogoń za pieniądzem, karierą. Najważniejszą wartością jest rodzina, a raczej Rodzina przez wielkie „R”

Bożena Żuławska

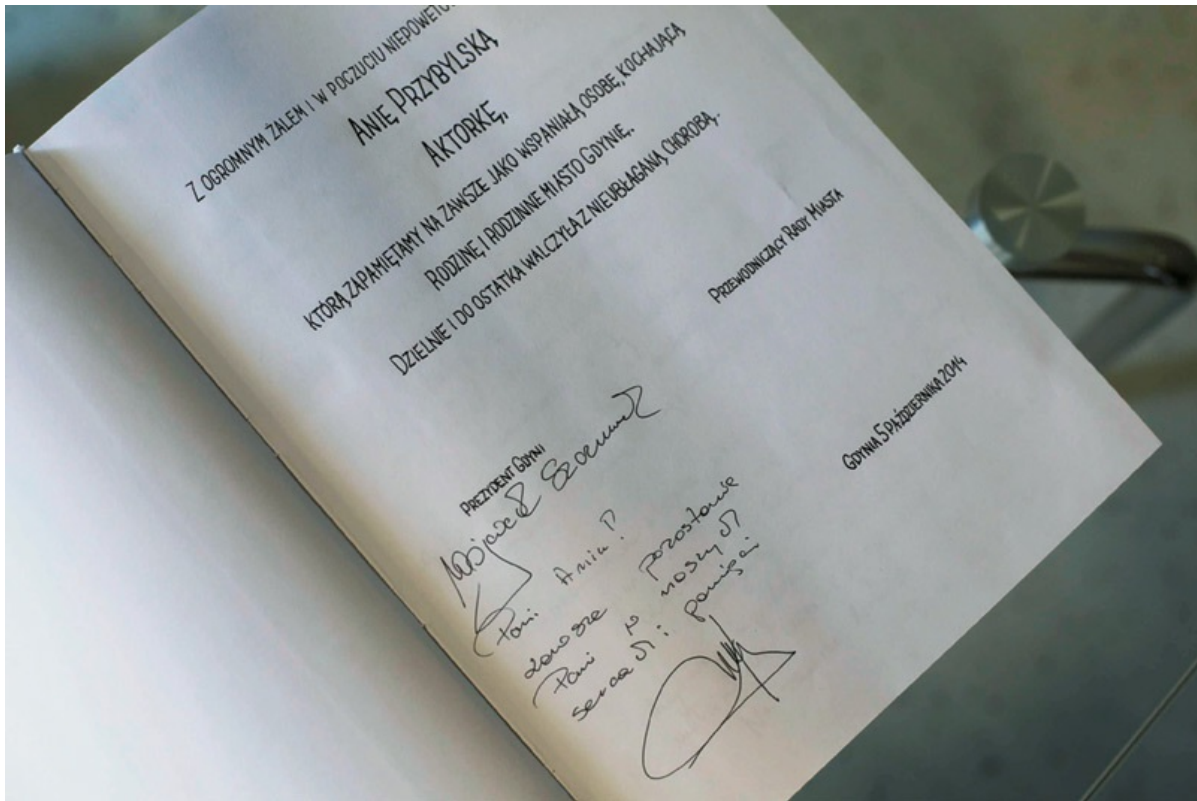
•

Zawsze, kiedy byłem w Gdyni, miałem nadzieję, że uda mi się spotkać Cię na plaży z dziećmi i chociaż chwilę porozmawiać. Wciąż nie mogę uwierzyć, że to się już nie stanie. Byłaś cudowną osobą.

Maciej z Bydgoszczy

PS Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy





W gdyńskim Infoboksie została wystawiona księga kondolencyjna, do której wpisały się setki osób. Na górnym zdjęciu – prezydent miasta Wojciech Szczurek

•

Raz w życiu miałem okazję spotkać Cię na skrzyżowaniu gdyńskich ulic. Pchałaś wózek, otoczona dwójką swoich dzieci. Emanowała z Ciebie siła piękna i wielka miłość – do dzieci, do świata. Żegnaj, ukochana Aniu. Włodzimierz Tupalski, gdynianin

•

Żal przeogromny mam w sercu. Jestem z Twojego rocznika, mam dwuletnią córeczkę. Będę tęsknić za Tobą, bo byłaś wspaniałą osobą. Jako matka nie umiem wyrazić bólu, jaki czuję w tej chwili. Spotkamy

się kiedyś na tej kawie u Pana Boga?  
Aleksandra Pusz z rodziną

•

Aniu, kochana... Zawsze byłaś, jesteś i będziesz wzorem kobiety wspaniałej, kobiety, która potrafi stworzyć piękną rodzinę. Dziękuję. Pamiętam.  
Ula

•

Żegnaj Aniu. Śpij spokojnie.  
Kochający Cię sąsiedzi z Gdyni, Ala i Jarek

•

Aniu, Twój uśmiech, radość i naturalność inspirowały wszystkich do bycia dobrymi ludźmi. Byłaś wzorem dla matek, dawałaś przykład, że można rodzinę postawić na pierwszym miejscu. Odeszłaś zbyt wcześnie, zbyt młodo...  
Joanna P.

•

Aniu, byłaś wielka. Jesteś i będziesz wielka i kochana tam na górze. Trzymamy za Ciebie kciuki. Cała Alma w Klifie pogrążona jest w smutku, że nie będzie ciebie z rodziną na zakupach. Będziemy o Tobie pamiętać. Dziękujemy, że byłaś taka wspaniała.

•

Wielokrotnie widywałam Cię w towarzystwie Twojej rodziny, gdy byłaś jak żywioł, pełna energii, spontaniczności, ale i stanowczości. Powinnaś żyć jeszcze długo, ale dla nas milionów Polaków w tak krótkim życiu zrealizowałaś się w 100 proc. i na zawsze pozostaniesz wzorem do naśladowania i w naszej pamięci.

Justyna Gońko

•

Jestem zła na Pana Boga.  
Ola Jamrot

•

Pani Aniu! Bardzo często spotykałyśmy się w bloku na Kraszewskiego w Sopocie. Mój dziadek tam mieszkał... Byłam zawsze zaskoczona, że taka gwiazda jest tak sympatyczną, miłą i pełną serdeczności osobą. Taką zawsze panią wspominałam i taką będę pamiętała. Przemiła, pełna pozytywnej energii, gracji i klasy...

Joanna

•

Pierwszy raz zobaczyłam Cię w moim osiedlowym sklepie na Grabówku (pomyślałam: to ta laska z telewizji). W czasach studenckich widywałam Cię w sopockim klubie Non Stop, później



razem ćwiczyłyśmy w fitness klubie Planeta (już nieistniejącym), a ostatnimi czasy widywałam Cię z wózkiem i kawą na skwerze. Mój mąż jako dziecko mieszkał z Tobą w bloku na Bosmańskiej. Jesteśmy prawie równolatkami, również jestem mamą. (...) Dla mnie byłaś i będziesz ideałem kobiecej, naturalnej urody. Nikt nigdy nie zrozumie, dlaczego dla niektórych los potrafi być tak okrutny i niesprawiedliwy...

D.P.

•

Anka, za wcześnie!!! Kiedyś dogonię Cię na rowerze...  
Love, Iza Bielińska

•

Aniu, napiszę krótko. Chciałabym być taka jak Ty.  
Aleksandra Grabarczyk

•

Śpij w spokoju, Słoneczko.  
Rodzice Amelii

## Róże

Wiadomość o śmierci Ani porusza ludzi, bez względu na to, czy znali ją dobrze, tylko trochę czy wyłącznie z telewizji, kina i magazynów. Nie potrafią się z tym pogodzić – bo taka młoda, piękna, matka... Dlaczego właśnie ona? Dlaczego tak szybko?

Żałoba jest powszechna. Obcy ludzie ronią łzy, przystają na chwilę w pędzie dnia, by pomyśleć o sprawach ostatecznych.

– Zadzwoił do mnie mój kolega, lekarz ze szpitala na Szaserów – opowiada Cezary Pazura. – Był za granicą i wrócił dokładnie w dniu śmierci Ani. Dzwoni i mówi: „Słuchaj, idę na dyżur, wchodzę na ortopedię, a tam... pielęgniarki płaczą. „Jak to, pan nie wie? Ania Przybylska umarła”. One płakały cały dzień. Szły do pacjentów, a łzy im z oczu płynęły. Obcy ludzie płaczą, atmosfera nie do zniesienia. Nawet mi się smutno zrobiło”

•

9 października, czwartkowe popołudnie, Gdynia. Cała trasa z kościoła Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski w centrum Gdyni na cmentarz na Oksywiu (Ania została pochowana w grobie swojego ojca) udekorowana jest tysiącami białych róż. Zadbął o to magistrat. – Byliśmy w szoku – przyznają zgodnie najbliżsi Ani.

Na ulice wychodzą tysiące ludzi. Stoją na chodnikach, przyłączają się do konduktu. Rodzina bardzo prosi, by tego dnia nie robić zdjęć. I prawie wszystkie media podporządkowują się tej prośbie. Fotografie – robione z ukrycia, bo presja tłumu jest ogromna – ukazują się tylko w tabloidach.

Najbliżsi niewiele pamiętają z tamtego dnia.

Ciocia Halina z Warszawy: – Gdynia tego dnia to był jeden wielki

ogród botaniczny. I ten szpaler ludzi... Czym sobie zasłużyła? Swoim ciepłem, tym, jak zawsze traktowała ludzi, wszystkich bez wyjątku.

– Pogrzeb był traumatycznym przeżyciem – wspomina Cezary Pazura, który podczas mszy pogrzebowej czytał fragment liturgii. – Trzymałem się, dopóki nie zobaczyłem Jasia u Jarka na kolanach. Starłem się nie patrzeć w tamtą stronę, tylko przeczytać to, co miałem do przeczytania, i wrócić na miejsce. Ale po mojej lewej ręce stała ta biała trumienka, za nią widziałem dzieci i Jarka. I to był dla mnie koniec, poczułem, że już więcej nie potrafię, nie mam innych emocji, tylko płacz. Kompletnie mnie przytłoczył. Jeszcze nigdy tak nie płakałem, nie mogłem tego zatrzymać, wszystko mi się w środku rozsypało.

Podczas mszy pogrzebowej Jacek Jasiński, przyjaciel rodziny, odczytał list pani Krystyny – nie była w stanie zrobić tego sama.

„W ostatnich miesiącach przyszło mi zmierzyć się z wrogiem, który dzień po dniu bezlitośnie odbierał mi córkę. Do samego końca niezłomnie żyłam nadzieją na jej powrót do zdrowia i ocalenie mojej Anki. Dziś nie ma już wśród nas tej żywiołowej trzpiotki tryskającej energią i zarażającej uśmiechem wszystkich wokół. Dziś mym sercem targają uczucia dla większości z Was niewyobrażalne i niezrozumiałe. Nie istnieją ludzkie słowa, które są w stanie wiernie oddać to, co przeżywa matka, której przychodzi pogrzebać własne dziecko. Na ten ból i na to cierpienie nawet czas nie jest lekarstwem.

Tocząc trudny i nierówny bój z chorobą, Ania nie była osamotniona. Liczne grono osób w ferworze ich własnego życia poświęciło jego kawałek mojej córeczce, okazując jej wiele ciepła, serca i życzliwości. Dług wdzięczności, jaki mam wobec tych osób, jest niemożliwy do spłacenia (...).

Zdaję sobie sprawę z tego, że nie jestem w stanie wymienić wszystkich tych, którzy w obliczu próby okazali się być prawdziwymi przyjaciółmi, lecz zachowam ich w swym sercu i pamięci, licząc, że kiedyś będę mogła tę przyjaźń odwzajemnić.





Tak wyglądały ulice Gdyni w dniu pogrzebu



Księżce kondolencyjnej towarzyszyło zdjęcie Ani, które wybrały jej dzieci. Fotografie

wykonał Mariusz Mazurczak podczas sesji reklamowej Garniera

Dałam Ci, Aniu, dar życia, lecz niespodzianie zabrał go los. Byłaś silna i waleczna, lecz tej walki nie mogliśmy wygrać. Razem z sobą zabierasz część każdego z nas, w zamian zostawiając ogromną wyrwę w naszych sercach. Otaczaj nas opieką i wyczekuj ponownego spotkania w wieczności. Spoczywaj w pokoju...”

Za co gdynianie tak pokochali Anię? – Myślę, że we współczesnym świecie bardzo rzadko spotykamy kogoś, kto nie udaje – mówi prezydent Szczurek. – Szczególnie w tym świecie „z ekranu”, „z fotografii w kolorowych gazetach.” Który nie rysuje scenariusza swojego życia, nie analizuje, jak ma być postrzegany. Tylko po prostu jest. I taka była Ania. Naturalna, normalna dziewczyna z sąsiedztwa. A jednocześnie imponowała umiejętnością dokonywania wyborów życiowych, konsekwentnym stawianiem na to, co jest najważniejsze. Jedni łapali się za głowę: jak można tak marnować talent, nie korzystać z szans? Ale te wybory, których dokonywała Ania, stawianie rodziny zawsze na pierwszym miejscu, było... cholernie piękne. I do bólu prawdziwe. Im bardziej dziś chcemy udawać, że współczesny świat jest światem szybkich prędkości, przelotnych związków, tym bardziej pozostaje w nas marzenie o prawdziwej miłości. Takiej, która powoduje, że nie liczy się moja sława, tylko jadę na drugi koniec świata, bo tam jest też mój ukochany.

Cezary Pazura: – Wierzę głęboko, że jesteśmy nieśmiertelni, nasze dusze nie umierają, że kiedyś zmartwychwstaniemy. I wierzę, że Anka wciąż jest. W naszych wspomnieniach, na taśmie filmowej. I tak czasem sobie przewrotnie myślę: my wszyscy się starzejemy, powoli odchodzimy, a ona nie. Jej to zostało oszczędzone. Kto wie, czy Pan Bóg sam się nie zakochał w niej i nie powiedział: „Ania, daj już sobie spokój, chodź do mnie”

•

Krystyna Przybylska: – Czy można to jakoś zrozumieć? Pogodzić się? Oswoić jakoś z tym, co się zdarzyło? Chyba nigdy, matka tego nie potrafi. Ale trzeba żyć. Dla najbliższych. To dla nich tak bardzo chcę zachować prawdziwy obraz Ani – takiej, jaka była naprawdę. Wesołej, szalonej, zadziornej, czasem roztrzepanej. I nad wszystko na świecie kochającej Oliwkę, Szymona i Jaśka. Chcę, by to wiedzieli. Nie potrafię powiedzieć, jaka to radość, że... są. Dzięki nim czuję, jakby część Ani wciąż żyła z nami. To niezwykle, jak bardzo są podobni. Oliwka na pierwszy rzut oka to córeczka tatusia – szare oczy, jak Jarek. Ale jak się ożywi, szczebiocze, to już zupełnie jak mama. A już chłopcy – wypisz wymaluj Ania. Kiedy śpią, to po prostu niesamowite, nawet to, jak są ułożeni – tak na boku, jak mają zagięte paluszki. Uwielbiam, kiedy mogę ich wziąć do siebie na noc. Potrafię godzinami siedzieć przy nich i patrzeć, jak śpią. Po prostu przytulam wtedy moją Anię...





## Autorzy zdjęć

Odwołania do numerów stron dotyczą wydania papierowego książki.

Marcin Palicki/Agencja ZOOM (okładka), Mariusz Mazurczak/23studio s. 5, 327, 337; Studio Filmowe Zebra s. 6; Akpa s. 10, 282; archiwum rodzinne s. 13, 16, 21, 22, 25, 26, 30, 35, 36, 39, 43, 47, 48, 51, 58, 60, 162, 191, 214, 271; Jarosław Karpiński (fryzura, makijaż i stylizacja: Anna Męczyńska) s. 55; Renata Pajchel/TVP/Forum s. 65 (górze); Krzysztof Fus/Filmoteka Narodowa s. 65 (dół); archiwum Radosława Piwowarskiego s. 70; Cezary Piwowarski/TVP/PAP s. 83; Mirek Noworyta/SE/East News s. 88, 91; Jacek Urbaniak/TVP/East News s. 92; Jacek Urbaniak/TVP/Forum s. 97; Jacek Urbaniak/TVP/PAP s. 98, 101, 104, 161; Krzysztof Jarosz/Forum s. 109; Jacek Urbaniak/Studio 69 s. 110, 169, 217; Adam Hawałej/PAP s. 117, 118; SE/East News s. 121; KFP s. 127 (górze); „Playboy” s. 127 (dół); Nestlé s. 130 (górze); Krajowa Rada Drobiarstwa/YouTube s. 130 (dół); archiwum Pawła Tamberga s. 140; Paweł Stępniewski/Życie/Reporter/East News s. 147; PAP/TVP s. 148, 249, 318; Krzysztof Wellman/ERBE s. 150, 250; Maciej Kosycarz/KFP/REPORTER s. 151; Rafał Maciąga/FORUM s. 152, 181, 182, 220, 229, 235; Studio 69 s. 155, 177; Piotr Fotek/Reporter/East News s. 157; archiwum Katarzyny Bujakiewicz s. 162, 189, 190, 191; Dariusz Jadach/TVP/FORUM s. 165; BE&W s. 166, 246, 296, 306; Adam Nocoń/SE/East News s. 172; Tricolors/East News s. 174; Tomasz Kamiński/AG s. 185; archiwum kabaretu Afera s. 186; Agnieszka Piotrowska/Filmoteka Narodowa s. 188; Albert Zawada/AG s. 196; Andrzej Wiernicki/East News s. 203; Cezary Piwowarski/Zoom s. 207; „Cosmopolitan” s. 226; archiwum prywatne Małgorzaty Rudowskiej s. 232, 272, 281; „Twój Styl” s. 237 (górze); „Viva” s. 237 (dół); archiwum prywatne s. 240; Krzysztof Jarosz/Forum s. 245; Radosław Józwiak/AG s. 254; Piotr Rewucki/W-Impact/TVN s. 258; Wojciech Traczyk/East News s.

263, 264; Jacek Balk/AG s. 267; Łukasz Węgrzyn/AG s. 268; Dariusz Proniewicz s. 271 (góra); Robert Pałka/Scorpio Studio s. 278; Robert Pałka/Fotos-Art.pl/Forum s. 279; Maciej Biedrzycki/Forum s. 287; kadr z filmu „Warsaw Dark” reż. Christopher Doyle, dystrybucja Monolith Films s. 291 (góra); Marcin Dławichowski/Forum s. 291 (dół); Grzegorz Kubicki s. 304 (góra); Rafał Malko/AG s. 304 (dół), 377; Andrzej Wrzesiński/East News s. 305, 331, 383, 384; Instagram Anny Przybylskiej s. 309, 328, 343, 346 (dół); Łukasz Dejmnarowicz/Forum s. 311; TVN s. 312; Anna Witkowska s. 314; TVP/Forum s. 320; Mateusz Stankiewicz/AFPhoto s. 322; VIPhoto/East News s. 325; Adam Warzawa/FORUM s. 338; TVP 1 s. 346 (góra); Anna Bajorek s. 351; TVP 2 s. 353 (góra); „Viva” s. 353 (dół); pudelek.pl s. 357; archiwum prywatne Doroty Sekulskiej s. 361, 362, 386-387

# Przypisy

- [1] Rafał Pawłowski, *Beatlesi za tysiąc dolarów*, <http://legalnakultura.pl/pl/czytelnia-kulturalna/rozmowy/news/2076,radoslaw-piwowarski> [data dostępu: 26 lipca 2017].
- [2] Agnieszka Jastrzębska, *Odkrywcy Przybylskiej – Naród*, „Gala”, 2-13.01.2013.
- [3] Jacek Wakar, *Wygrałam los na loterii*, „Tele Tydzień”, 9.08.2004.
- [4] Hanna Dolatowska, *Nikt nie płacze tak pięknie jak nasza Anusia*, „Tina”
- [5] Anna Jabłońska, *Oczy zielone, jasnowidzące*, „Twój Styl”, 2004.
- [6] Liliana Fabisińska, *Prowadzę zwykłe życie*, „Dobre Rady”, 02.2013.
- [7] Anna Jabłońska, *op.cit.*
- [8] Bartek Winczewski, Monika Połusznny, *Pani sympatyczna Ania Przybylska*, „Machina”, październik 2000.
- [9] Jolanta Berent, *Pochwała ukrytej inteligencji*, „Viva”, 5.01.2004.
- [10] Anna Jabłońska, *op.cit.*
- [11] Kamila Gierczykowska, *Często zachowuję się niepoważnie*, „Halo!”
- [12] A. Wiśniewska, *Bardzo przesądny koziorożec*, „Twoje Imperium”, 19.02-18.03.2004.
- [13] Monika Jankowska, *Słońce odbijało się w jej włosach. Była zachwycającą twarzą Gdyni*, „Dziennik Bałtycki”, 10.10.2014.
- [14] Agnieszka Jastrzębska, *Odkrywcy...*, *op.cit.*
- [15] Anna Janiak, *Nie czas na rozbieranie*.
- [16] Kamila Gierczykowska, *op.cit.*
- [17] Anna Janiak, *op.cit.*
- [18] Bartek Winczewski, Monika Połusznny, *op.cit.*
- [19] *Ibidem*
- [20] Jacek Szczerba, *Mało prawdziwej Polski*, „Gazeta Wyborcza”, 20.10.1997.

- [21] Agnieszka Jastrzębska, *Odkrywcy...*, *op.cit.*
- [22] Rafał Pawłowski, *op.cit.*
- [23] Agnieszka Litorowicz-Siegert, *Dom z obiadem na czas*, „Twój Styl”, listopad 2007.
- [24] *Ibidem*
- [25] Anna Ibisz, „Na żywo”, 10.01.2000.
- [26] Jolanta Berent, *op.cit.*
- [27] Bartek Winczewski, Monika Posłuszny, *op.cit.*
- [28] Magdalena Rusakiewicz, *Po domu chodzę nago*, „Wieczór Wybrzeża”, 22.01.2005.
- [29] Agnieszka Jastrzębska, *Odkrywcy...*, *op.cit.*
- [30] Anna Krasuska, *Diabła mam za skórą*, „Na żywo”, 19.03.2004.
- [31] Katarzyna Przybyszewska, *Pierwszy krok w dorosłość*, „Pani”
- [32] Jacek Wakar, *op.cit.*
- [33] Agnieszka Różycka, „Elle”, wrzesień 2000.
- [34] Beata Nowicka, *Anna. Twarz anioła, dusza diabła*, „Gala”, 8-21.03.2010.
- [35] Agnieszka Różycka, *op.cit.*
- [36] *Ibidem*
- [37] Marta Bednarska, *Wieczór świętego Walentego*, „Blask”, marzec 2001.
- [38] Ania Michałowska, *Bez ciemnych okularów*, „Beverly”
- [39] Marta Bednarska, *op.cit.*
- [40] Agnieszka Różycka, *op.cit.*
- [41] Marta Bednarska, *op.cit.*
- [42] *Miłość, zakupy i piosenki*, „Tina”
- [43] Anna Krasuska, *op.cit.*
- [44] Katarzyna Przybyszewska, *op.cit.*
- [45] *Ibidem*
- [46] Agnieszka Jastrzębska, *Ależ ja się bawię!*, „Gala”, 2-13.01.2013.
- [47] Krystyna Pytlakowska, „Viva”, 10.03.2005.
- [48] Jolanta Berent, *op.cit.*
- [49] Krystyna Pytlakowska, *op.cit.*
- [50] Agnieszka Jastrzębska, *Ależ...*, *op.cit.*
- [51] Ewa Rosa, *Wszystko przede mną*, „Dobre Rady”, 12.2004.
- [52] Jolanta Berent, *op.cit.*

- [53] Agnieszka Jastrzębska, *Ależ...*, *op.cit.*
- [54] Justyna Kobus, *Kariera Nikosia Dyzmy*,  
<https://www.wprost.pl/12427/Kariera-Nikosia-Dyzmy> [data dostępu: 26 lipca 2017].
- [55] Ewelina Nasiadko, *Kariera frajera*,  
<http://www.filmweb.pl/reviews/Kariera+frajera-380> [data dostępu: 26 lipca 2017]
- [56] Dominik Kubacki, *Krytyk to ma fajne życie*,  
<http://www.filmweb.pl/reviews/Krytyk+to+ma+fajne+zycie-534> [data dostępu: 26 lipca 2017].
- [57] Dominik Kubacki, *Rób swoje i nie idź do kina*,  
<http://www.filmweb.pl/reviews/Rób+swoje+i+nie+idź+do+kina-395>  
[data dostępu: 26 lipca 2017].
- [58] Ewa Smolińska-Borecka, „Gala”, 14-21.04.2003.
- [59] Jolanta Berent, *op.cit.*
- [60] Ewa Smolińska-Borecka, *op.cit.*
- [61] Jolanta Berent, *op.cit.*
- [62] *Ibidem*
- [63] Katarzyna Przybyszewska, *op.cit.*
- [64] *Ibidem*
- [65] Jolanta Berent, *op.cit.*
- [66] Katarzyna Rostkowska, *Drugie dziecko? Jak Bóg da*, „Na żywo”, 24.09.2004.
- [67] Ewa Rosa, *op.cit.*
- [68] Krystyna Pytlakowska, *op.cit.*
- [69] Agnieszka Jastrzębska, *Ależ...*, *op.cit.*
- [70] Konrad Stachurski, *Dlaczego*, luty 2005.
- [71] Anna Stańczak, *Trafiam same szóstki w totka*, „Świat Kobiety”, 18.01.2005.
- [72] Bartek Winczewski, Monika Posłuszny, *op.cit.*
- [73] Jolanta Berent, *op.cit.*
- [74] Bartek Winczewski, Monika Posłuszny, *op.cit.*
- [75] Jolanta Berent, *op.cit.*
- [76] Anna Stańczak, *op.cit.*
- [77] Jolanta Berent, *op.cit.*
- [78] Agnieszka Różycka, „Elle”, 09.2000.

- [79] Renata Gratkowska, *Do pracy samolotem*, „Telemax”, 7.05.2007.
- [80] Krystyna Pytlakowska, *op.cit.*
- [81] Agnieszka Litorowicz-Siegert, *op.cit.*
- [82] *Ibidem.*
- [83] Dariusz Zaborek, *Edyta Górniak, piosenkarka*,  
<http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,3275187.html>  
[data dostępu: 26 lipca 2017].
- [84] *Złoty środek*, autora nie podano,  
<http://film.dziennik.pl/recenzje/artykuly/88302, zloty-srodek.html>  
[data dostępu: 26 lipca 2017].
- [85] Michał Walkiewicz, *Tylko dla stoików?*,  
<http://www.filmweb.pl/reviews Tylko+dla+stoik% C3%B3w-8326> [data dostępu: 26 lipca 2017].
- [86] Emil Sowiński, *Złoty środek*, <http://filmowo.net/recenzja-filmu/zloty-srodek-2009/> [data dostępu: 26 lipca 2017].
- [87] Liliana Fabisińska, *Prowadzę zwykłe życie*, „Dobre Rady”, luty 2013.
- [88] Agnieszka Jastrzębska, *Ależ...*, *op.cit.*
- [89] *Ibidem*
- [90] Iwona Leończuk, *Czy świat zwariował?*, „Tele Świat”, 20-26.06.2008.
- [91] Przemysław Szubartowicz, *Ekranowe zwierzę*.
- [92] Beata Nowicka, *op.cit.*
- [93] „*Sęp*”. *Miała być piękna katastrofa, jest solidna polska sensacja*, prod. Gazeta.tv, <https://tinyurl.com/y9fvn8mj> [data dostępu: 26 lipca 2017].
- [94] Agnieszka Jastrzębska, *Ależ...*, *op.cit.*
- [95] Arkadiusz Bartosiak, Łukasz Klinke, „Playboy”, 2008.
- [96] *Ibidem*, 2010.
- [97] Beata Nowicka, *op.cit.*
- [98] *Ibidem.*
- [99] Liliana Fabisińska, *op.cit.*
- [100] Beata Nowicka, *op.cit.*
- [101] Krystyna Pytlakowska, *Dobijam do portu*, „Viva”, 16.08.2012.
- [102] Beata Nowicka, *op.cit.*
- [103] Agnieszka Jastrzębska, *Ależ...*, *op.cit.*

- [104] *Ibidem.*
- [105] Katarzyna Fryc, „Gazeta Wyborcza Trójmiasto”, 7.10.2014.
- [106] Agnieszka Jastrzębska, *Odkrywcy...*, *op.cit.*
- [107] Katarzyna Michalska, *Anna Przybylska spełnia marzenia chorych dzieci*, „Epizody”, 16-22.03.2005.
- [108] Katarzyna Fryc, *Ania płonęła nadzieją*, „Gazeta Wyborcza Trójmiasto”, 10.10.2014.
- [109] Medzia, *Ania Przybylska najpiękniejsza! Nagrody „Viva! Najpiękniejsi”* rozdane, <https://tinyurl.com/y7jbpz5a> [data dostępu: 26 lipca 2017].
- [110] Katarzyna Rostkowska, *op.cit.*
- [111] Krystyna Pytlakowska, *op.cit.*